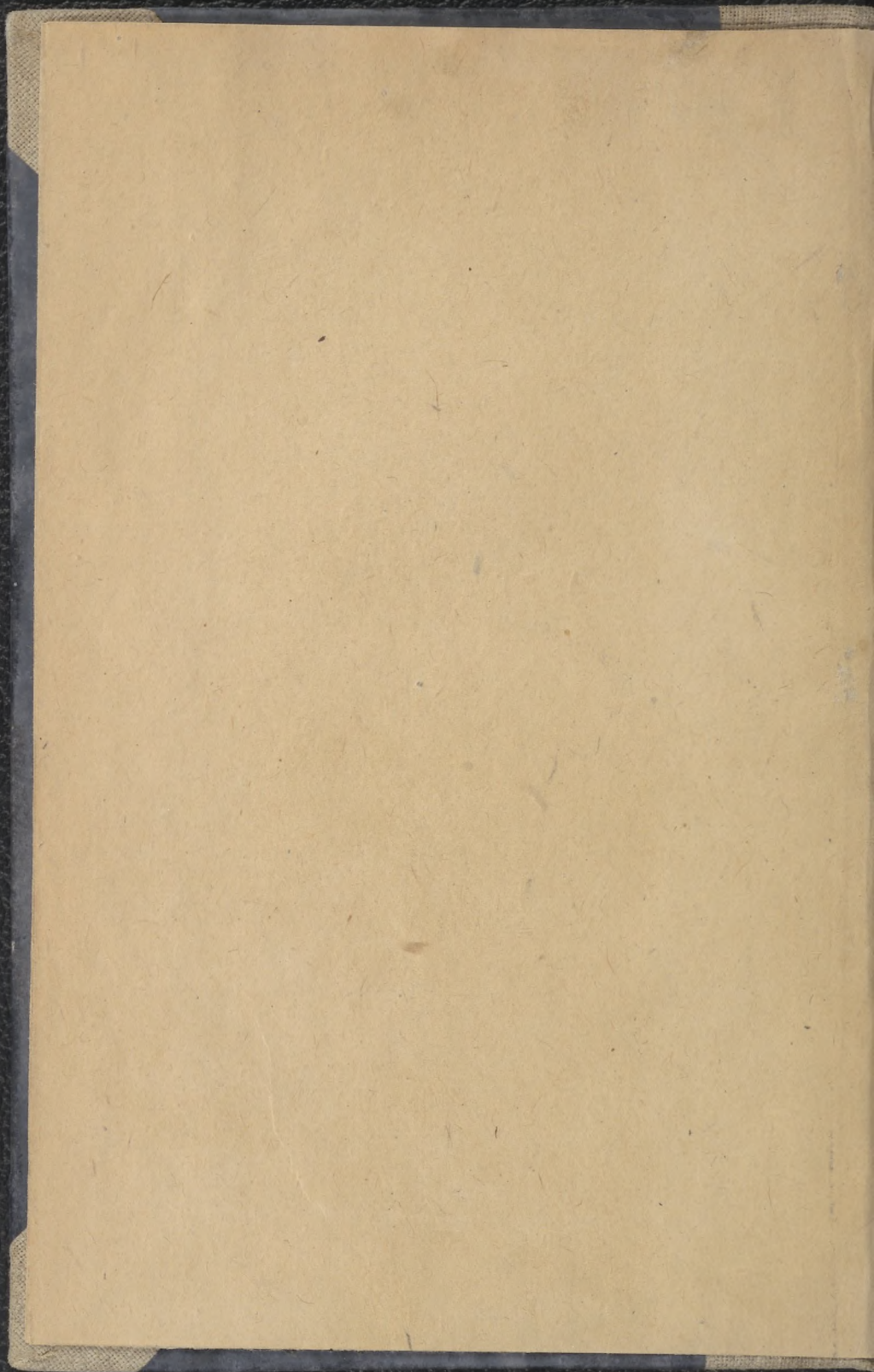


II 2.016.423



57565

Abgarowa Księżka

ABGAR-SOŁTAN

WIDZIANE I ODEZUTE

Szkice i Opowiadania

TREŚĆ: Kolega — Pierwszy bunt — Dzikie go-
łębie — Król polski — Zginął marnie! — Weksel



Spółka wydawnicza Polska w Krakowie

1904

Hyskiency
1903

Spółka Wydawnicza Polska w Kra

otrzymała na skład główny następujące dzieła

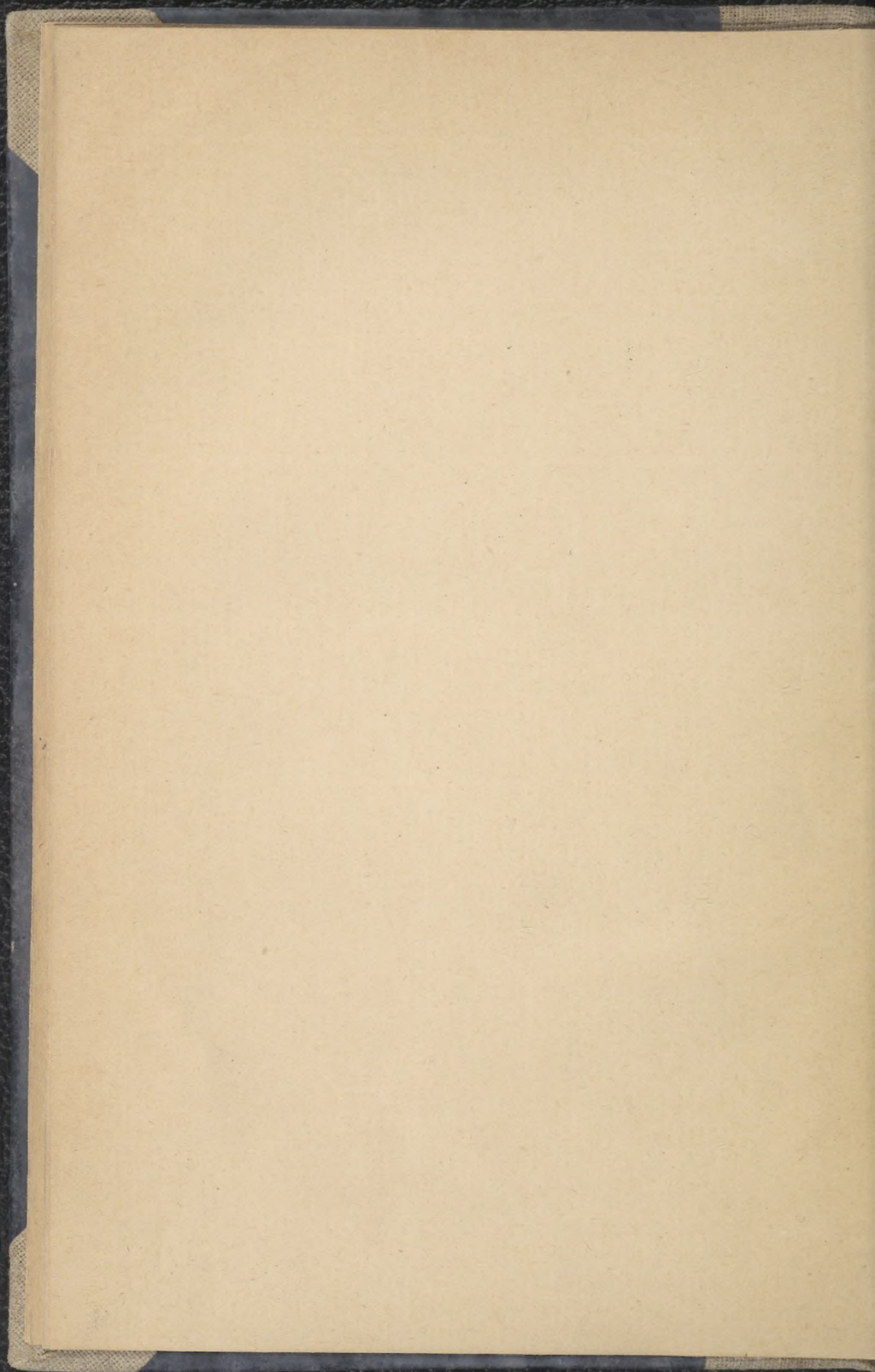
Ceny w Koronach.

- Balcer Oswald Dr*, prof. Uniw. lwowskiego. **Genealogia Piastów**. Kraków 1896, 4-o, str. 574. 20—
- Barabas Szaniszta*. **Ornament płaski na pomnikach krakowskich z XV i XVI w.** (Wydawnictwo subwencyonowane przez komisję dla spraw przemysłowych). Trzy poszyty in folio, (75 tablic wraz z tekstem objaśniającym) po 24—
- Birkenmajer Mikołaj*. **Mikołaj Kopernik**. Studya nad pracami Kopernika i materiały biograficzne, obszerny tom in 4-to z kilkudziesięciu rycinami i podobiznami 20—
- Bobowski Mikołaj*. **Polskie pieśni katolickie od najdawniejszych czasów do końca XVI w.**, z 6 tabl. Praca odznaczona nagrodą Akad. Umiej. 7—
- Bobrzyński Michał* i *Smolka St. Jan Długosz*, jego życie i stanowisko w piśmiennictwie. W 4-ce 6—
- (Rzecz źródłowa na podstawie najnowszych badań, pisana stylem tak pięknym, iż czytać ją można jak najciekawszą powieść).
- Brzozowski Fr. Korab*. **Przysłowia polskie**. W 4-ce. 2-60
- Brückner A. Dr.* **Taniec Rzeczypospolitej Polskiej**, szkic historyczny z 2-ma rycinami 1-20
- Ciechanowski St. Dr.* **Dżuma**, zapobieganie i leczenie —80
- Codex diplomaticus Universitatis studii generalis-Cracoviensis**, Pars 5, ab anno 1549 usque ad annum 1605, obszerny tom in folio 8—
- Poprzednio wydane 4 tomy in folio 4—
- Czerkawski Włodzimierz Dr*, prof. Uniw. **Wielkie gospodarstwa, ich istota i znaczenie** 3—
- **Teorya czystego dochodu z ziemi** 2-40
- Finkel L. Dr*, prof. Uniw. **Bibliografia historii polskiej, część II, zeszyt III** (obejmuje bibliografię prawa i ekonomii, cywilizacji, kultury (szkolnictwa) i literatury polskiej) 3-60
- Poprzednio wydany obszerny tom I kor. 12. Tom II, zeszyt 1—2 7-20
- Fischer Zygmunt*, c. k. inspektor rybactwa krajowego. **Przewodnik rybacki dla właścicieli i dzierżawców rewirów rybackich**, str. 56 z tablicą 1—
- Frank Dr* i *Sorauer Dr.* **Choroby roślin**, wskazówki praktyczne w celu poznania chorób i środków zaradczych, z 44 rycinami i 6 tabl. kolor. 3-60
- Golian Zygmunt ks.* **Listy**, serya I 3—
- Gołba Franciszek ks.* **Sześć pieśni biblijnych**, w przekładzie polskim z komentarzem 2—
- Górski Antoni*, prof. Uniw. Jagiellońskiego **Warunki gospodarcze dzierżaw angielskich** 1-20
- Grabowski Bronisław*. **Krzysztof**, tragicomedia żakowska 1-60
- **Noc dwóch wieków**, poemat —80
- Grabowski Tadeusz Dr.* **A. Dumas syn i współczesny teatr francuski** —80
- **Wiktor Hugo i jego korespondencya** 1-20
- Homera Iliada, przełożył wierszem miarowym *Paweł Popiel*, b. prof. szk. głównej warsz. 2-40
- Herold Polski**, czasopismo ilustrowane, poświęcone heraldyce i sfragistyce Rocznik I, k. 16. Rocznik II. 10—
- Karbowiak Antoni Dr prof.* **Krakowska szkoła katedralna w wiekach średnich** 1-20
- **Szkoły dycyezyi chełmińskiej w wiekach średnich** 3—
- Kartowicz Jan*. **Słownik gwar polskich**, tom I, A—E, tom o 459 str. 10—
- Kętrzyński W. Dr.* **O Słowianach mieszkających niegdyś między Renem a Łabą, Salą i czeska granica**, z 7 mapami. 3—
- Kluczycki Stanisław*. **Niebo i ziemia**, pogadanki popularno-naukowe w 4-ce, str. 520 w wykwintnej oprawie 24—

Gebethner i Wolff w Warszawie.

7

Widziane i Odczute



ABGAR-SOŁTAN

WIDZIANE I ODCZUTE

Szkice i opowiadania



Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie

1904

7 57565



II 2.016.423

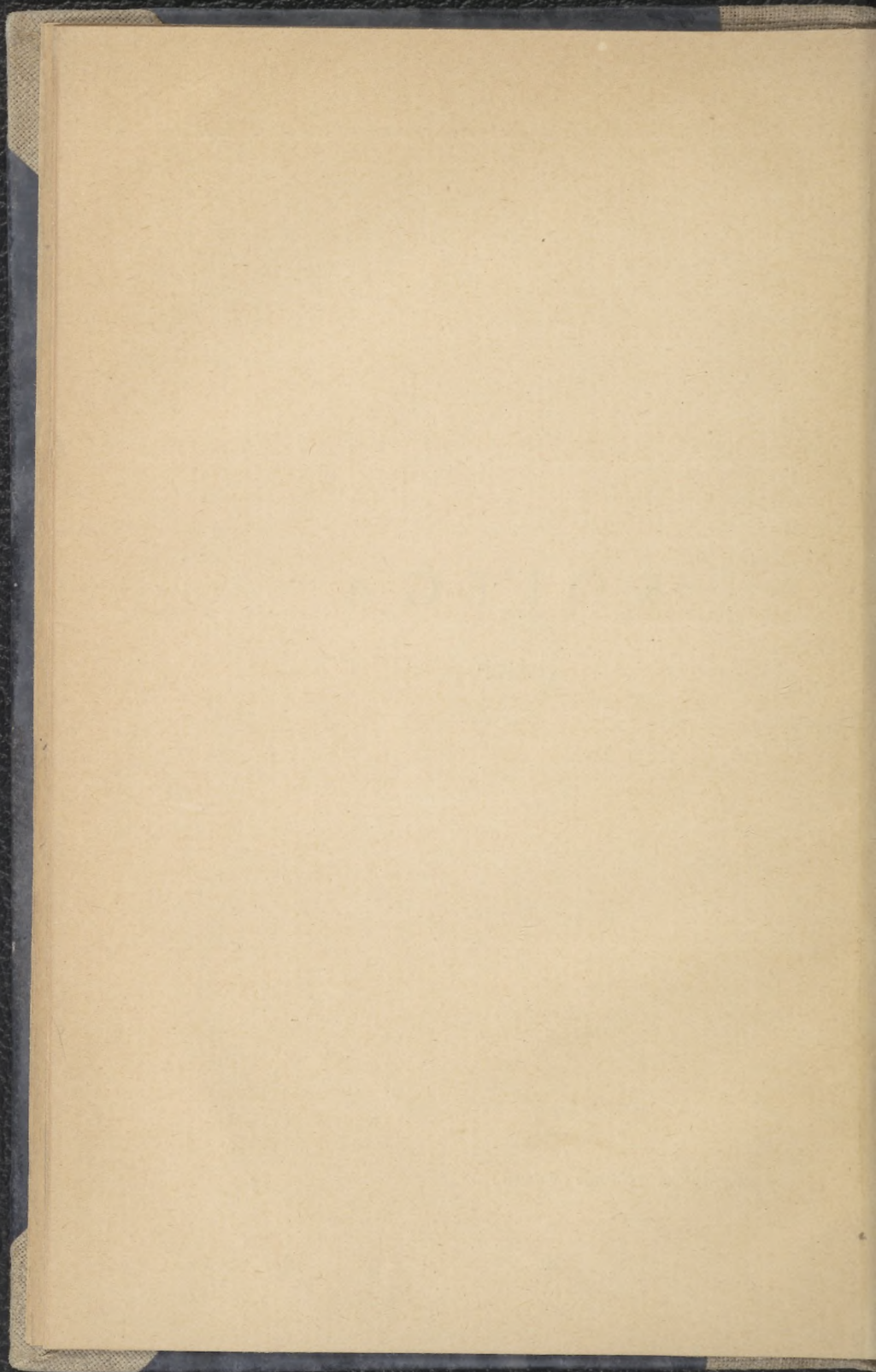


Drukarnia „Czasu“ w Krakowie.

7

K O L E G A

(SZKIC)



Przypominam sobie z największą dokładnością, kiedy go po raz pierwszy spotkałem. Poznanie nasze utkwilo mi silnie w pamięci; wówczas pierwszy raz spostrzegłem, że są różnice majątkowe na świecie i idące za nimi różnice elegancyi, szyku, komfortu i w ogóle używania... Wówczas po raz pierwszy uczułem, choć tylko bardzo przemijająco, jad zazdrości w mem dziecięcym sercu.

Było to po śmierci mego najukochańszego, uwielbianego ojca; miałem wówczas czternasty rok, a moi dwaj bracia byli młodsi. Po smutnych, najboleśniejszych feryach letnich odwoziła nas matka do szkół. Byliśmy wszyscy razem w żałobie, a dość daleką podróż koleją odbywaliśmy oszczędnie — drugą klasą. Pakunki nasze i różnorodne węzłki uczniowskie swym wyglądem odbiegały daleko od tego, co w drugiej połowie dziewiętnastego wieku przyzwyczajono się uważać za komfort.

Gdyśmy przyjechali do miasta Stanisławowa, w którym odbywaliśmy nauki gimnazjalne, pierwszy wyskoczyłem z wagonu, ażeby dopomóc matce i braciom w wydobywaniu wszystkich naszych gratów; trwało to chwilę i wnet skierowaliśmy się ku wyjściu z dworca. Równocześnie z nami wysiadła z sąsiedniego przedziału pierwszej klasy bardzo elegancka pani z małym chłopczykiem, mniej więcej mego wieku. Chłopak był wylegantowany jak królewicz. Pakunki lśniły od bronzów

i żółtego angielskiego juchtu, a wyjmował je z wagonu wspaniały służący, przyodziany w pyszną uherbowaną liberyę... Piękna pani spostrzegłszy moją matkę, stanęła na miejscu i zaczęła się jej bystro przyglądać. Na twarzy mej matki spostrzegłem dziwną grę wrażeń; wydało mi się, że tę piękną i elegancką panią poznaje, że ją znała doskonale, ale waha się, czy ma pierwsza zbliżyć się do niej, czy przejść obok i udać, że nie zwraca na nią uwagi... Tymczasem wytworna nieznajoma wydała dość egzaltowany okrzyk i otworzywszy ramiona rzuciła się na szyję mej matki.

— Luniu! To ty? I nie poznajesz mnie, Marcelinki... Nie poznajesz mnie, kuzynki i najlepszej przyjaciółki — woła piękna pani, ściskając i całując moją matkę.

Rozpoczęła się pospieszna rozmowa, prowadzona dorywczo, pełna zapytań, wykrzykników, ubolewań i westchnień. Rozmowa, w której przez chwil kilka pragnęły dwie kobiety pomieścić to wszystko, co stało się w ich życiu przez kilkanaście lat niewidzenia się, zupełnego prawie zapomnienia o sobie... Z rozmowy tej dowiedziałem się, że pani Marcelina ma męża, który choruje często i całe lato przesiaduje w zagranicznych miejscach kąpielowych, że ma jednego syna, właśnie obecnego tu Sewerka, który był w szkołach we Lwowie, nie może go tam jednak dalej oddawać, bo jakiś profesor »zawziął się na niego« i »prześladuje« go w okropny sposób, dlatego umyśliła go ulokować w Stanisławowie u profesora Dzełyńskiego, gdzie znajdzie pilną opiekę i obronę przed niesłusznymi napaściami... Z rozmowy tej dowiedziałem się dalej, że za Sewerka pani Marcelina płaciła więcej, niż płacono za nas trzech — to mi się wydało dziwnem i niesprawiedliwem i nie imponowało mi ani trochę... Imponował mi jednak kostyum strzelecki przyszłego kolegi, jego kapelusz z cietrzewiem piórem, jego tyrolskie mchowo-zielone poń-

czochy, sięgające po kolana, trzewiki z żółtej skóry, jakiś niepochwytny blask elegancyi, bijący z całej jego postaci.

Spojrzałem uważnie na syna pani Marceliny. Był to ładny chłopak, o blado-rumianej cerze, jasnych włosach i błękitnych, figlarnych oczach... Zbliżyliśmy się ku sobie, obserwując się wzajemnie... Spostrzegłem wówczas, ku wielkiej swej ucieście, że moje długie buty, szerokie spodnie i czarna kurtka, uszyta wojskowym krojem nie robiły na Sewerku złego wrażenia... Zaczęliśmy rozmowę od tego, że on pierwszy zapytał mnie, do której klasy mam w tym roku iść, jacy są profesorowie, czy »porządne są belfery«, czy »psiekrwie tyrany?« Odpowiadałem mu z ożywieniem.

Rozmowa nasza zwróciła uwagę obu pań.

— Jacy oni do siebie podobni! — zawołała pani Marcelina, wskazując nas końcem parasolika. — Patrz Luniu! Jacy oni podobni... Powinna się pomiędzy nimi zawiązać przyjaźń, taka jak była, jak jest do dziś między nami.

Moja matka westchnęła boleśnie na te słowa i nie odpowiedziała. Pamiętam, że westchnienie to ubodło mnie wówczas i zdawało mi się, że najdroższa moja mateczka popełniła niesprawiedliwość względem świetnej, wytwornej, a przytem serdecznej swej dawnej przyjaciółki. Późniejsze życie i doświadczenia światowe pozwoliły mi dopiero dokładnie zrozumieć owo westchnienie matczyne i pouczyły mnie, że zajęta domem, rodziną i ciężkimi interesami kobieta znała życie światowe lepiej, niżby to kto mógł przypuszczać.

Rozmowa na platformie kolejowej musiała się narazie skończyć; służący pani Marceliny zaanonsował, że dorożka już czeka. Panie pożegnały się serdecznie, obiecując sobie zobaczyć się tegoż jeszcze wieczora. Ja z Sewerkiem ucałowaliśmy się z dubeltówki. Oni pierwsi

odjechali w stronę miasta. Dopiero po ich odejździe zacząłem znosić nasze tobołki do drugiej dorożki. Dziś jeszcze odczuwam najdokładniej w świecie, że to była pierwsza chwila, w której mój stary, ongi ojcowski kuferek z czarnego rosyjskiego juchtu, będący dotychczas ozdobą posiadanych przezemnie przedmiotów i przyczyną mej dumy, wydał mi się w tej chwili obdartym i haniebnie zniszczonym... Była to pierwsza korzyść, otrzymana ze stosunku z nowo poznanym kolegą i kuzynem.

Stosunki nasze zacieśniały się później coraz bardziej; koledzy nazywali nas — Orestem i Pyladem. Nie mam wyobrażenia, na jakich warunkach była zawarta przyjaźń owych mitologicznych druhów, wiem tylko na pewno, że ja w przyjaźni z Sewerkiem Pstrągowskim traciłem na każdym kroku... To jest, dziś to widzę, że traciłem — wówczas byłem gotów do każdej ofiary; oczarował mnie był do tego stopnia, że z rozkoszą poniosłbym był wszelką karę, byle tylko przed nią zasłonić mego przyjaciela. I raz pod koniec drugiego kursu w czwartej klasie udało mi się dopiąć zamierzonego celu — spełniłem wedle ówczesnych moich pojęć, czyn bohaterski, przyjąłem Sewerkową winę na siebie, przed ciężką karą ochroniłem przyjaciela, a sam — dostałem w skórę. Chwała Bogu, że się na tem skończyło, bo omal wówczas ze szkół mnie nie wygnano... Co by się wówczas stało z moją najdroższą matką, dziś jeszcze pomyśleć o tem nie mam odwagi, choć moja najukochańsza już od kilkunastu lat spoczywa w cichej mogile, na granicy podolskiego jaru i stepu szerokiego.

Dziś zdarzenie całe bardzo zabawnie się przedstawia w mej pamięci, przed laty dwudziestu kilku wstrząsnęło ono było całą moją naturą i było pierwszym samostnym krokiem w mem życiu... Krok to był donki szocki, ale wieleż podobnych mu w życiu popełniłem... Co prawda, że wówczas nie znałem jeszcze sławnych

dział kawalera z la Manszy, który miał się stać dla mnie jedną z najulubieńszych postaci światowej literatury.

Nagle zaciężyło nam było strasznie w naszym życiu uczniowskim. Było to w czwartej klasie po pierwszym półroczu. Żadna rewolucya, żaden zamach stanu, żaden przewrót społeczny nie wywołał pewno takiego przeobrażenia w społeczeństwie, w którym się zdarzył, jakie zapanowało wśród uczniów naszego gimnazjum po niespodziewanej, zupełnie nieoczekiwanej zmianie prawie wszystkich naszych dawnych nauczycieli. Że krok ten ówczesnej rady szkolnej był słuszny i nawet konieczny, to widzę dziś jasno — wówczas wydawał się mnie, wydawał się wszystkim uczniom stanisławowskiemu, a za nimi wszystkim opiekunom i rodzicom — barbarzyńskim. Ni stąd, ni zowąd, nagle, bez widocznej przyczyny, zabrano wszystkim dawnych, a przysłano nowych... i jakich nowych? Poszedł kochany dyrektor Kruszyński, zawołany heglista, filozof, który, choć nic sławnego nie napisał, ale zato stosował przy każdym przekroczeniu ucznia filozoficzną maksymę: »wszystko głupstwo w porównaniu z wiecznością«. Poszedł niemiec Lichtenstein, zwany Szmulem, sławny z tego, że wypijał co wieczora mnóstwo »halb« piwa, drobiazg — coś około dwudziestu czterech kwart... Ten był poczciwy, nie nękał nikogo, uczyć się po niemiecku nie kazał, twierdząc, że każdy się sam nauczy, gdy mu będzie potrzeba, a jak nie będzie tej potrzeby, to poco się ma darmo męczyć...

— Nie umiałem ani słowa po polsku — zwykł był mawiać — a przecież dziś mówię tym językiem, jak ś. p. Kochanowski.

Przypuszczam, że wieszcz z Czarnolasu nie byłby był rad z takiego porównania...

Poszedł stary, poczciwy Zipser, łacinnik, który zwyczajem greckich mędrców wyprowadzał nas w pola i lasy — tam zapoznawał nas z »duchem klasycznym«,

nie zanutdżając marnemi formami gramatycznemi. Swoją drogą, od tego starego »leniucha i próżniaka« więcej skorzystał był mój umysł, niż od późniejszych bałwochwalców »supinów i gerundiów«. Poszła cała rzesza »dobrych ludzi«, którzy za śniadanko zjedzone z wujaszkiem, za »drobną przysługę«, a czasem i bez niej, przepuścili biednego chłopaka z klasy do klasy, choć nie odznaczał się mrówczą pilnością, ani wybitnemi zdolnościami. Poszli wszyscy, a na ich miejsce przybyli inni, umyślnie wybrani na to, żeby gimnazyum »do porządku doprowadzili«. Nie zazdroszczę im zadania! Spotkała ich na każdym kroku niechęć i nienawiść... Tysiące psikusów czekało ich na każdym kroku, a straszna dokuczliwość małych rewolucjonistów ścigała ich bez wytchnienia.

W naszej klasie najgorszego przyjęcia doznał pan Szajgicki, od pierwszego dnia przezwany Szajgiecem, nauczyciel niemieckiego języka, który odziedziczywszy katedrę po poczciwym Szmulu, za głowę się chwycił i głośno twierdził, że nikt w całej klasie tyle nie umie, co powinien umieć przeciętny pierwszoklaśnik i że bez pardonu da wszystkim »trójkę«. Na takie *dictum acerbum* stał się okrutny popłoch między nami, były najrozmaitsze narady, co w tych strasznych okolicznościach czynić należy, wreszcie górę wzięła partya »terrorystów«, do której należeliśmy ja z Sewerkiem... Początkiem działań terrorystycznych była olbrzymia demonstracya, zrobiona »Szajgiecowi«... Gdy wszedł na lekcję, nikt nie powstał, a zamiast ukłonu powitaliśmy go gwizdaniem i przeraźliwym stukaniem obcasami o podłogę. Zapanował sądny dzień, zbiegli się nauczyciele z sąsiednich klas, nadszedł zasapany nowy dyrektor, Malinowski, zwoływano następnie konferencye, sprawa oparła się aż o radę szkolną, a skończyła się tem, że czwarta klasa przez cały tydzień nie była wypuszczana w połu-

dniowych godzinach na obiad, tylko w asystencyi jednego z nauczycieli przesiadywała w klasie te chwile wypoczynku, przygotowując się do popołudniowych lekcyj... Głód jest złym doradcą... Wygłodzeni i znudzeni, łamałiśmy sobie głowy nad stosowną zemstą. W naradach tych rej znowu wodziliśmy ja i Sewerek... Sewer szczególnie zaciętym był przeciwnikiem utrapionego »Szajgiewca«, który mu zapowiedział pewną trójkę z niemieckiego języka. Nieraz w późniejszym życiu zastanawiałem się głęboko, w jaki sposób może powstać nienawiść pomiędzy nauczycielem, człowiekiem w średnim wieku, a uczniem, chłopakiem kilkonastoletnim. Na zimno sądząc, jest to przypuszczenie prawie niemożliwe do urzeczywistnienia. A jednak faktem jest, że uczucie to, w całej swej okrutnej pełni istniało między nauczycielem Szajgickim, a uczniem Sewerynem Pstrągowskim... Szajgiewicz nie mógł Sewerka znosić, (może miał i dobry instynkt); chorował na jego eleganckie garnitury, nienawdził sfery, do której on należał; nazywał go ironicznie: ksiązątkiem, hrabiczem, jaśnie paniczem. Prześladowany Sewer odwdzięczał mu się równie silną nienawiścią.

Dokąd nienawiść doprowadzić może, dowodem pomysłu, który powziął był Sewer w celu wykonania zemsty nad Szajgickim... Nie wiem jakimi drogami i skąd dowiedział się on, że Szajgicki w jednym z miast galicyjskich pozostawił żonę, z którą nie żył, że powodem rozejścia się tego małżeństwa były liczne i bardzo głośne niewierności pana profesora, a że Szajgicki i w Stanisławowie nie odznaczał się mniszem życiem, o czem uczniowie doskonale wiedzieli, więc wieść ta wydawała się nadzwyczaj prawdopodobna... Stawszy się panem tej wiadomości Sewerek umyślił wykonać swą zemstę. W zeszycie zupełnie podobnym do tych, w których oddawaliśmy wypracowania niemieckie, napisał rodzaj niedulnej noweli, treścią której były wypadki towarzyszące

rozejściu się małżeństwa państwa Szajgickich. Sposób pisania był bardzo podobny do sposobu używanego później przez Zolę i jego naśladowców, a szczególnie przypominał mi, — jak to dziś sobie uprzytomnić mogę — styl niektórych naszych sióstr po piórze, t. j. był równie brudny, a może brudniejszy jeszcze niż zolowski, tylko zdradzający daleko mniej talentu pisarskiego niż u autora »Nany«. Arcydzieło to literackie zepsutego przed czasem ucznia było przyozdobione ilustracjami, robionymi piórkami, w których średniowieczny brak wprawy rywalizował ze wściekle pornograficznym realizmem... Dzieło to pierwsze i jedyne w życiu popełnił Sewerynek w największej tajemnicy i niepostrzeżony przez nikogo wsunął Szajgickiemu pomiędzy zeszyty. Udało mu się wszystko doskonale i mógł być prawie pewny bezkarności, tylko zapomniał o jednym, a to, że nienawiść, tak jak miłość prawdziwa, bywa częstokroć jasnowidząca... Szajgicki przeczuł, że autorem tego paszkwilu nie mógł być nikt inny tylko Sewer Pstrągowski. Chociaż dla własnej reputacji najlepiej byłby zrobił lekkomyślnych obyczajów nauczyciel, gdyby był odrazu zniszczył ów nieszczęsny zeszyt i nikomu o nim nie wspomniał; jednakże pragnienie zemsty nad przeczuwanym autorem zaślepiło go do tego stopnia, że zaniósł tę nędną elukubrację do dyrektora, wskazał mu jako domniemanego przestępcę Pstrągowskiego i prosił o ukaranie winnego.

Zadrzała *sintaxima* w swoich podstawach!... Rozpoczęło się okrutne śledztwo, groźbom nie było miary. Dyrektor Malinowski przesiadywał w naszej klasie całymi godzinami. Wprawdzie nie było żadnych dowodów, żeby przestępstwo popełnił Sewer, wszyscy jednak uważali go za autora i mieli nawet żal do niego, że dla zastonienia siebie pozwala nękać całą klasę bezustannymi dochodzeniami i najściślejszym dozorem dyrektora. Malinowski swoją drogą nie żartował, ale wziął

się z całą energią do tej sprawy i wezwawszy Pstrągowskiego do kancelaryi, powiedział mu bez ogródek, że jest pewny, iż nikt inny tylko on napisał ten paszkwil, a to z powodu, że było w nim użytych kilka wyrazów francuskich, a on tylko jeden w klasie umiał po francusku... Namawiał go usilnie, żeby się do winy przyznał, a w razie nieprzyznania się zagroził wydaleniem ze wszystkich zakładów naukowych monarchii... Sewer do niczego się nie przyznał, tylko powiedział dyrektorowi — o czym się dopiero później dowiedziałem — że ja razem z nim biorę lekcye francuskiego języka...

Wprost z tej rozmowy z dyrektorem przybiegł Sewer do mnie. Nigdy nie zapomnę jego pobladłej twarzy i przestraszonych oczu; wydał mi się wówczas brzydki, prawie wstrętny. Nie mogłem nigdy znieść tchórzostwa, a ono było w całej swej ohydnej doskonałości wypiętnowane na twarzy mego kolegi i przyjaciela. Pomimo spóźnionej pory namówił mnie, żebym z nim wyszedł na ulicę; przy moich braciach i korepetytorze nie mógł mi powiedzieć, co zamierzał. Po wyjściu z domu skierował się w odludną wówczas część miasta ku dworcowi kolejowemu i szedł długo milcząc. Pośpiech ten i milczenie dziwnie podziały na mnie, czułem, że mi ma coś nad wyraz ważnego powiedzieć; czułem, że będę musiał pierwszy raz w życiu decydować w ważnej sprawie, w sprawie, która może wyrzucić wpływ na całą moją przyszłość. Dziwne są te przeczucia... W ważnych chwilach życia, tak w radosnych jak bolesnych, zawsze doznawałem podobnych nieokreślonych stanów nerwowych, które mi zawsze zapowiadały jakieś niezwykłe zdarzenie, mające mnie spotkać.

Gdyśmy już daleko odeszli od ostatnich domków miasta i nikogo już na pustej ulicy nie było widać, Sewer wówczas zatrzymał się nagle i przybrawszy dramatyczną pozę, zawołał:

— Jestem zgubiony! Ty jeden możesz mnie uratować... Jeśli nie uratujesz — to się zastrzelę.

Wyobrazić sobie nie trudno, jakie wrażenie podobne słowa, z ust uwielbianego przyjaciela wychodzące, zrobiły na piętnastoletnim chłopaku, który od dzieciństwa miał w swej naturze silną dozę donkiszoteryi. Poczujęm w sobie taki zapał, że gdyby było potrzeba do wybawienia Sewerka wziąć na plecy ratusz stanisławowski i wynieść go na górę Wołczyńską, to byłbym się ani chwili nie wahał. Bez chwili namysłu odrzekłem:

— Mów, co ci się stało? Co będę mógł zrobić, żeby ci dopomódz.

— Ja napisałem... napisałem... ten... ten... tu zaciął się, oglądając się z trwogą na wszystkie strony.

— Co? co napisałeś? — pytałem z niecierpliwością.

On jąkał się, krztusił, wreszcie ledwie dosłyszalnym głosem szepnął:

— To zadanie, które oddałem Szajgiecowi.

Co prawda, spodziewałem się trochę tego, ale nie mogłem w pierwszej chwili wpaść na myśl, w czym mogę być mu pomocnym. Najrozmaitsze kombinacye i projekty z błyskawiczną szybkością krzyżowały się w mej niedoświadczonej głowie, ale w żaden sposób nie mogłem nic wynaleźć, co by mnie doprowadziło do upragnionego celu. Zwróciłem się więc z pewnem zawstydzeniem do Sewerka i zapytałem wzruszonym głosem:

— Cóż mam robić?

On stał chwilę zmieszany, niepewny siebie, jakby walczący sam z sobą, wreszcie zdobywając się widocznie na krok stanowczy szepnął:

— Ty mógłbyś to wziąć na siebie.

Słowa te wypowiedział głosem nadzwyczaj niepewnym, niby próbując wrażenia, jakie one na mnie zrobią, patrzył przytem na mnie badawczo. Widocznie jednak badanie to dało mu dodatnie wyniki, bo wnet

ożywił się i głosem już pewnym, prawie rozkazującym mówił dalej:

— Tobie się nic stać nie może... Jesteś znanym tu od pierwszej klasy porządnym uczniem, z obyczajów miałeś zawsze dobry stopień, co najwięcej zamkną cię na szesnaście godzin do karceru... A mnie... mnie wypędzą bez pardonu. Dyrektor mi to dziś bez ogródek powiedział.

Tu rozczulił się nagle zaczął mnie ścisnąć i całować, szepcząc drżącym, rozkliwionym głosem:

— Tobie się nic stać nie może. Ratuj mnie, ratuj! Ja tego nie przeżyję. Muszę sobie życie odebrać. Muszę! Muszę!

W dzieciństwie, w pierwszej młodości słowa patetyczne daleko silniej działają na umysł ludzki, niż w późniejszych latach, więc choć odrazu odczułem i zrozumiałem, że projekt Sewerka jest z jego strony szczytem egoizmu i wyzysku przyjaźni, poczułem jednak dziwną chęć spełnienia bohaterskiego czynu. On z bystrością zepsutego chłopaka, który miał później wyrósć na człowieka robiącego dobre interesa, spostrzegł odrazu moje wewnętrzne wahanie: zrozumiał, że to stanowcza chwila i przypuścił szturm jeszcze silniejszy; w oczach jego dużych i wymownych zjawiły się łzy i łkając mówił:

— Tobie się nic nie stanie... A ja... A ja życiem tu przypłacić muszę... Nie przeżyję zmartwienia, jakie sprawi ta historia mej mamie... Być wypędzonym ze wszystkich gimnazyów monarchii! Wyobraź to tylko sobie. Gdybym był miał we Lwowie z obyczajów »zadawalniająco«, to by mi nic nie zrobili, ale przyszedłem tu z obyczajami »zupełnie nieodpowiednimi«, więc niema najmniejszej nadziei wykręcenia się z tego nieszczęścia... W tobie jedyna moja nadzieja. Ty jeden mnie uratować możesz... Ratuj mnie! Będę dla ciebie przez całe życie przyjacielem... sługą, psem wiernym.



I począł mnie znowu ścisnąć i całować z czułością dziecka garnącego się do matki. Łzy i ta serdeczna czułość zwyciężyły mnie zupełnie. Nie zastanawiając się nad możliwymi następstwami, obiecałem Sewerkowi, że wezmę winę jego na siebie i jutro pójdę do dyrektora i powiem mu, że ja napisałem ten paszkwil i wsunąłem wraz z zeszytami Szajgickiemu.

Powiedziawszy to, spojrzałem na Sewerka i wyraz jego twarzy zastanowił mnie ogromnie. Malowały się na niej różne uczucia, jednak wyraz tryumfu i pewnego politowania zacierają inne. Gdy sobie dziś uprzytomnię ten wyraz — a to mi dość łatwo przychodzi — to wyobrażam sobie, że wódz bandy rozbójniczej, któremu się powiódł szczęśliwie niepewny i bardzo niebezpieczny napad, musi mieć taki sam uśmiech drwiący i takie płomienie zarozumiałości w oczach. Wrażenie to, choć bardzo wyraźne, było jednak nadzwyczaj krótkotrwałe, doskonale udana serdeczność i wdzięczność Sewerka zatarły je w mgnieniu oka.

Zdecydowawszy się na krok tak heroiczny, uznałem już za stosowne nie wyzyskiwać uczuć wdzięczności mojego przyjaciela, nawet wprost raziły mnie trochę za długotrwałe objawy serdeczności. Nawet uczułem się obrażonym, gdy wśród podziękowań chciał mi darować swą prześliczną portmonetkę z pewnym zapasem kieszonkowych pieniędzy. Po tej nieudanej próbie rekompensaty za moje poświęcenie, która wydała mi się dziwnie niemile brzmiącym dysonansem wśród harmonijnej i pięknej symfonii uczuć przyjaźni, zapragnąłem znaleźć się sam; tłok rozmaitych myśli kłębił mi się w mózgu. Czułem, że dostaję lekkiej gorączki. Skierowałem więc pospiesznie kroki do domu i pożegnawszy się w bramie jak można najprędzej z Sewerem Pstrągowskim i zapewniwszy go, że obietnicy dotrzymam, wpadłem do naszego pokoju.

Krew mi biła do głowy, oddechu złapać nie mogłem, a w umyśle panował chaos trudny do opisania. Nauczyciel nasz domowy, pan Domański popatrzył na mnie bardzo podejrzliwie i zapytał o powód mej spóźnionej wycieczki i tego rozgorączkowanego stanu. Odpowiedziałem mu coś zupełnie bez sensu, on się tem zadowolnił, tylko coś bardzo znacząco pokręcił głową... Gest ten wywołał nową falę rumieńców na moją twarz; wstyd uczułem, takisam jak gdybym dopuścił się w rzeczy samej czynu, o który mnie Domański posądzał. Jednak miałem natychmiast w duszy wynagrodzenie, pomyślałem:

Posądżaj sobie zdrów, zem gdzieś z Sewerkiem na lamparkę chodził, a ty nie wiesz, że ja spełniam czyn najwyższego bohaterstwa, poświęcam się za przyjaciela.

Myśl ta opanowywała mnie coraz wyłączej, wciśkała się w każdą komórkę mego mózgu, w każdą kroplkę krwi; upajałem się, dyszałem bezcelowem bezsensowem bohaterstwem. A tailem się z myślą tą jak pensyonarka z pierwszym liścikiem miłosnym. Gdybym był miał choć trochę zdrowego rozsądku wówczas, to byłbym się przyznał memu młodszemu bratu Kaziowi, który był zrazu praktyczniejszy i rozumniejszy odemnie, i ten z łatwością byłby mi ten karkołomny projekt wybił z głowy. Chwilami nawet przychodziło mi na myśl pomówić o tem z Kaziem, jednak jak najspieszniej odpychałem tę myśl ze wstrettem. Pomówić o tem z Kaziem, znaczyło zdradzić tajemnicę przyjaciela, mnie jednemu powierzoną i to w celu znalezienia ratunku dla tegoż przyjaciela; znaczyło nietylko go nie ochronić od niebezpieczeństwa, ale stanowczo go pogrążyć w ostatecznem nieszczęściu; bo Kazio bez wątpienia chcąc odwieść mnie od szalonego kroku zdradziłby przed dyrektorem naszą tajemnicę. Żeby to był zrobił, nie wątpię ani chwili — był stanowczy i trzeźwo myślący całe ży-

cie. Zresztą byłby mi się wysunął jedyny sposób popełnienia »bohaterskiego czynu«, a ucuwałem konieczną potrzebę spełnienia go i to co najrychlej.

Wieczera przeszła bez żadnego ważniejszego wypadku. Jeść nie mogłem ani trochę, nie miałem zupełnie apetytu. Domański widocznie zapomniał sobie o mojej wieczornej wycieczce, bo nie wspominał o niej, i najadłszy się doskonale zaraz po wieczery poszedł gdzieś do kolegów. Bracia moi zaczęli się przygotowywać do jutrzejszych lekcyj, ja także wziąłem gramatykę łacińską i próbowałem zagłębiać się w tajemnicach składni mowy Cicerona, ale mi to zupełnie nie szło, nie rozumiałem wprost słów, które czytałem. Ku wielkiej mojej radości przed dziesiątą Kazio skończył *praeparatio* greckie i zaproponował gaszenie lampy i generalne spanie, najmłodszy brat Ludwik »parwista« już od godziny spał smacznie, marząc widocznie o grze w piłkę, której się z namiętnością oddawał, bo wyraz twarzy miał rozpromieniony i zwyczajski uśmiech igrał na jego wpółotwartych, dziecięcych ustach. Popatrzyłem nań z pewną zazdrością i pomyślałem:

— Szczęśliwyś, ty jeszcze nic nie wiesz o ciężkich zadaniach życia, nie spałbyś tak spokojnie, gdybyś miał do spełnienia jutro czyn bohaterski, gdybyś miał narazić całą swą przyszłość dla wzniosłego uczucia przyjaźni.

I choć niby zazdrościłem małemu Ludwikowi jego spokoju, to jednak w rzeczywistości nie pragnąłem go zupełnie, przeciwnie, opanował mnie był najdoskonalszy »obłęd ofiary« i bezprzestannie marzyłem tylko o spełnieniu tejsze.

Położywszy się, ani na chwilę oka zmróżyć nie mogłem. Uprzypomniałem sobie wyraz zdziwienia na twarzy dyrektora, gdy ja zupełnie nie podejrzrywany przyjdę i powiem: »To ja zrobiłem, a wyście Sewerka posądzali«. I rozkoszowałem się już naprzód tem, że zrobię

na dyrektorze ogromne wrażenie, że podziwiać on będzie hart mojej duszy; przypuszczałem, że on wstanie, poda mi rękę i swym poważnym, trochę teatralnym głosem powie:

— Za winę odpokutować młodzieńcze musisz, ale przyjm moje powinszowanie za swą odwagę, przyznanie się do winy jest najlepszą pokutą. Idź dalej po tej drodze, a staniesz się pociechą rodziny i chlubą narodu.

Słowo to »pociechą rodziny« zadźwięczało mi jakoś niemiło w umyśle i zastanowiłem się nagle, czy w rzeczy samej to, co zamyślam zrobić, przyczyni się do tego, żebym się stał pociechą mojej rodziny, mojej ukochanej matki, mego wuja, stryja etc. etc. I wyobraził mi się nagle dyrektor Malinowski innym zupełnie jak przed chwilą, stał rozgniewany, ze zmarszczonem czołem, ściągniętymi brwiami, z jego wązkich, z trudnością otwierających się ust wychodziły gniewne słowa: »Hultaju, lamparcie, niecnoto, wyrzutku, zakało naszego zakładu!« A w ślad za nasrożoną postacią dyrektora zjawił się cień mej matki o twarzy bolesnej i zapłakanej i postać wuja Ludwika, spojierającego groźnie swemi mądrymi, siwemi oczyma, który w rękę trzymał elastyczną, długą szpicrutę, wymachując nią w powietrzu, i smutna, zamysłona twarz stryja Józefa, twarz mędrca i myśliciela, na której malowała się rozpacz i zwątpienie. I te wszystkie oczy tak mi drogie patrzyły na mnie groźnie i te wszystkie usta miały się już otworzyć, żeby przestrzedz mnie przed spełnieniem kroku szalonego, a zupełnie bezcelowego i głupiego. I już przygotowywałem się w myśli do ukorzenia się przed temi uwielbianymi postaciami, gdy nagle drzwi się od pokoju otworzyły i Domański wrócił ze swej wycieczki do kolegów. Postacie otaczające mnie znikły bez śladu, a ja starałem się udać że śpię, żeby uniknąć w ten sposób zapytań o przygotowaniu się do jutrzejszych lekcyj. Nie udało

mi się to zupełnie; Domański spostrzegł, że czuwam, i wnet zapytał:

— A nauczyłeś się wszystkiego?

Odpowiedziałem naturalnie, że lekcyce umiem wybornie. Korepetytor był widocznie w dobrym humorze, bo nie zapalił lampy i nie wypytał mnie lekcyi systematycznie; tylko poświstując jakąś katarynkową aryę, rzucił od niechcienia pytanie:

— A co tam u was jutro?

— Religia, niemieckie, arytmetyka, łacina — odpowiedziałem, ziewając i udając strasznie zaspanego.

— Łacina! — mruknął Domański, świszcząc ciągle. — Hm! hm!... A z łaciny przygotowałeś się dobrze?

— Naturalnie — kłamałem jak z nut i obróciłem się do ściany.

— Nie odwracajno się odemnie! — zawołał korepetytor, przestawszy świstać — gramatyki pytać cię nie będę, bo szkoda lampy zapalać, księżyc świeci, to i tak się rozbiorę, ale dla ćwiczenia przetłómacz mi następujące zdanie...

Tu przestał na chwilę, szukając w myśli zdania, godnego być przetłómaczonem na klasyczny język Wirgiliusza — wreszcie z emfazą przyszłego nauczyciela języków klasycznych wydeklamował:

— »Nieśmiertelność zdobywa się czynami bohaterскими«... Najprzód przetłómacz to na łacińskie, a później zrób schema, powiedz, co jest podmiotem, co orzeczeniem etc. etc.

Namordowałem się z kwadrans nad tem zadaniem, zanim, nie dosłuchawszy się mej odpowiedzi, Domański zachrapał w najlepsze.

Ja znowu zasnąć nie mogłem.

Może przed półgodziną byłbym się wyrzekł mego bohaterstwa i zostawiwszy Sewerka jego losom, zasnąłbym był spokojnie... Ale teraz — w żaden sposób. Zda-

wało mi się, że słowa korepetytora są jakby palcem bożym, wskazówką niejako, co mi czynić wypada. Odzuciłem wszelkie skrupuły i już do rana nie myślałem o niczem, tylko o swem bohaterstwie i o wrażeniu, jakie ono wywoła.

Ze wstydem przyznać się tu muszę, że bardzo mi żal było, iż o prawdziwie bohaterskiej stronie mego zamierzonego czynu nikt, oprócz Sewerka, wiedzieć nie będzie; pocieszałem się jednak tem, że po skończonym roku szkolnym on sam uzna za stosowne obwieścić bohaterstwo moje *urbi et orbi*. Zresztą i tem się pocieszałem, że prawie wszyscy bohaterowie nie znaleźli uznania natychmiast po spełnieniu wielkiego czynu, ale dopiero później, bardzo nawet często aż po śmierci stawali się w pamięci ludzkiej nieśmiertelnymi... W swym zapale godziłem się na nieśmiertelność choćby po śmierci, chociaż wolałbym dowody uznania odbierać natychmiast po spełnieniu ofiary.

Szary kwietniowy poranek zapowiadał dżdżysty, pochmurny dzień, gdy po bezsennej nocy zerwałem się z łóżka. Zabrałem się pilnie do nauki, bo wśród rozmyślań nocnych przyszedłem był do tego zbawiennego przekonania, że prawdziwy bohater powinien spełniać swe obowiązki nawet nie bohaterskiej natury. Zanim więc bracia moi i Domański wstali, byłem najzupełniej przygotowany i po spożyciu skromnego śniadania, ruszyłem do szkoły z takim uczuciem, z jakim kroczył Leonidas do Termopile. — Na placu przed gimnazjum spotkałem Sewerka, który widocznie oczekiwał na mnie, i zobaczywszy mnie, z nieukrywaną radością poskoczył do mnie, żeby się ze mną przywitać.

Przy świetle dziennem mogłem mu się dobrze przypatrzeć, był zmieszany i bardzo niepewny siebie.

Zbliżywszy się schwycił mnie za rękę i wzburzonym głosem zawołał:

— No i cóż?

— Cóż może być — odpowiedziałem z udaną zimną krwią — pójdę do dyrektora i powiem, com powiedziałem obiecał... Ja słowa nie zmienię.

Ostatnie zdanie musiałem powiedzieć dość szorstko, bo dostrzegłem, że zrobiło ono na Sewerku niemiłe wrażenie. Stłumił je jednak w mgnieniu oka i odpowiedział w bardzo serdecznym tonie:

— I ja swych obietnic dotrzymam... Wierz mi, będę ci wiernym przyjacielem do śmierci.

— To twoja rzecz!

Odpowiedź ta moja brzmiała krótko i sucho, bo dziwnym przeczuciem wiedziony, odgadłem, że Sewer już wówczas kłamał i obiecywał rzeczy, których dotrzymać nie miał zamiaru... Co mi jednak wówczas wdzięczność znaczyła; byłem upojony mym donkiszockim zamiarem i wnet zjawiła mi się w pamięci na pocieszenie maksyma: »że bohaterowie nie mogą się spodziewać wdzięczności współobywateli«.

Wszedłem do klasy i nie odzywając się do nikogo, przesiedziałem dwie pierwsze godziny. Uważałem nawet zupełnie pilnie na słowa nauczycieli i wogóle wróciłem do zupełnej równowagi umysłowej. Czekałem dziesiątej godziny, o której można było pójść do kancelaryi dyrektora. — Wreszcie godzina stanowcza wybiła; wstałem z mej ławki i pewnym krokiem, choć z dziwnie nierównym biciem serca, poszedłem na pierwsze piętro do kancelaryi dyrektora Malinowskiego.

Był sam i zobaczywszy mnie, zmierzył mnie niechętnym wzrokiem, jak człowiek zgniewany tem, że mu ktoś ważną robotę przerywa.

— Po co? — zapytał sucho.

Tchu mi w piersiach zabrakło, język stanął mi kołkiem, pomimo nadludzkich wysiłków, nie byłem w stanie słowa przemówić.

Dyrektor widocznie spostrzegł, w jak wysokim stopniu jestem wzruszony i onieśmielony i przypuszczał, że ostry ton jego mowy tak na mnie podziałał, gdyż zbliżył się do mnie i położywszy mi dłoń na głowie, łaskawym tonem przemówił:

— Nie bój się, chłopcze; powiedz, z czem tu przychodzisz?

Ujął mnie był wówczas zupełnie i uczułem nagle wstręt do siebie, że tak pocziwego człowieka przyszedłem okłamywać... Cóż było jednak robić... kości były rzucone — czyn bohaterski tego wymagał, honor nakazywał. Dziwna to rzecz ten nasz honor — ileż głupstw w mem życiu zrobiłem z tego-li powodu, że honor nakazywał. Z rozkazu więc honoru począłem cichym, zawstydzonym głosem kłamać:

— Przyszedłem do pana dyrektora — szeptałem, spuszczając oczy do ziemi — w sprawie tego... tego... zadania... Tej sprawy pana profesora Szajgickiego.

Malinowski nagle zdjął rękę z mej głowy i odsunął się z pewnym widocznym dla mnie wstrętem: z twarzy jego zniknęła zupełnie rozlany na niej wyraz dobroliwy i ostrym, przenikliwym głosem zapytał:

— Czy wiesz może, kto to bezeceństwo popełnił?..

Nadeszła stanowcza chwila: ciemno mi się zrobiło w oczach, serce biło jak młotem, ale zebrałem wszystkie siły i odpowiedziałem o ile mogłem głośno:

— Ja... Ja, panie dyrektorze.

Malinowski rzucił się ku mnie, jakby ukąszony przez tarantulę i podniósłszy moją nachyloną ku ziemi twarz i patrząc mi bystro w oczy, wołał:

— Ty!... Ty!... To nieprawda... Ty kłamiesz... Przyznaj się, że kłamiesz... Przyznaj się, kto cię do tego kłamstwa namówił?... Przyznaj się!..

Zdobywszy się już na stanowczy krok, uspokoiłem się już był znacznie, serce mi bić przestało, odpowie-

działem więc spokojnie, że ja sam to zrobiłem, że mnie nikt nie namawiał, że wiedziałem, iż władza szkolna kogo innego posądza, więc przyszedłem przyznać się sam, żeby nikt za mnie niewinnie nie cierpiał.

Dyrektor słuchał słów moich z dziwną jakąś zadumą, kiwał głową i uśmiechał się litośnie.

Gdym wreszcie skończył, odpowiedział tonem suchym urzędowym:

— Uczeń się do winy przyznał, uczeń zostanie ukarany, uczeń może odejść.

Ukloniłem się i skierowałem się do wyjścia, gdym już był we drzwiach, usłyszałem za sobą wzburzony głos dyrektora:

— Czekaj, ośle!

Obróciłem się i spojrzałem mu śmiało w oczy; ostatni komplement podrażnił mnie srodze.

— Czekaj! Czy wiesz, że ciebie wydalą z zakładu... Wydalą... Paszkwil ten zdradza taką zgniliznę moralną, że ucznia, który go zlepił, władza szkolna cierpieć nie może. Uczeń taki byłby rozsądnikiem, gniazdem zgnilizny! Chłopcze przyznaj się, że cię namówiono do dzisiejszego kroku. Prawdziwy winowajca wyzyskał twoje niedoświadczenie i wmówił w ciebie, że spełnisz jakieś bohaterstwo, biorąc winę na siebie... Powiedz, że się nie mylę?

Stałem jak posąg wykuty z kamienia, ani okiem, ani ustami nie ruszyłem, bom czułem, że gdybym na oka mgnienie otrząsł się z tego stanu martwoty, to musiałbym wszystko a wszystko wygadać przed dyrektorem. Ten nie dał jednak za wygraną i nalegał dalej, coraz usilniej:

— Będę musiał wydalic cię z zakładu... Pomyśl tylko nad tem, jaką boleść sprawisz matce... stryjowi. Stryja twego znam od dziecka, na jednej ławie siedzieliśmy... Przyznaj się, żeś skłamał.

Serce w piersi krajało mi się w drobne strzępki, czułem, że łyzy nabiegają mi do oczu; rozumiałem już w tej chwili całą bezdenność głupstwa, jakie popełniłem, punkt honoru jednak nie pozwalał mi cofnąć się. Milczałem uparcie dalej. Zniecierpliwiło to wreszcie zacnego dyrektora, bo uniósł się znowu i gniewnie zawołał:

— No, marsz ośle do klasy! O tem coś mi tu powiedzieć ani słowa przed nikim. Napiszę do twoich opiekunów, zwołam konferencyę, co się z tobą stanie — zobaczymy. No, marsz!

Ukłoniwszy się niezgrabnie wyszedłem. Zamykając drzwi słyszałem za sobą grzmiący głos Malinowskiego, który chodząc ogromnymi krokami po kancelaryi mówił sam do siebie:

— Osioł! dureń! błazen! bohater! gawron!

Zrozumiałem, że się te wspaniałe epitety do mnie odnosiły i smutno mi się zrobiło, że czyn tak wzniosły jak mój, z tak niesprawiedliwą oceną się spotkał. Jedno mnie tylko pocieszało, a do tego ze wstydem znowu przyznać się muszę, a to, że czułem, iż Malinowski odgadł w całości nasz podstęp i w wymiarze kary z pewnością to uwzględni. Myśl ta uspokajała mnie trochę, ale zawsze alternatywa wydalenia z gimnazyum zaciężyła na mej fantazyi — bryłą ołowiu. Smutny i złamany wróciłem do klasy i pograżyłem się zupełnie w słuchaniu wykładów na dwóch ostatnich lekcjach. Dostrzegłem, że ani uczniowie, ani profesorowie o mojem przyznaniu się nic nie wiedzieli, bo zachowywali się względem mnie tak samo jak przed moją wycieczką do kancelaryi dyrektorskiej. Nawet »byłem pytany« z łaciny i dostałem eminencyę.

Wróciłem do domu, poszedłem popołudniu znowu do szkoły i taksamo nazajutrz nic się na pozór nie zmieniło w moich losach. Już mnie to wreszcie zaczynało gniewać na dobre; sądziłem, że przecież mój czyn za-

sługiwał na to, żeby nań przynajmniej zwrócono uwagę, a to żebym był w sąsiednim żydowskim domu szybę stłukł, to większąby było burzę wywołało, aniżeli moje bezgraniczne poświęcenie, złożone na ołtarzu przyjaźni.

Wreszcie doczekałem się tego, czego tak pragnąłem. W cztery dni po mojem oskarżeniu się, zaturkotało coś przed domem i raptem stanęło, widocznie dorożka jakaś się zatrzymała. Za chwilę do naszego pokoju wszedł nasz stryj Józef... Odetchnąłem trochę swobodniej; z drżeniem serca oczekiwałem wejścia wuja Ludwika, którego — pomimo, że nad wszystko kochałem — bałem się jak ognia. Był ostry bardzo i nie lubił żartować. Stryj Józef był tak dobry i wyrozumiały, żem lepszego i wyrozumialszego człowieka w życiu nie spotkał... Później poznałem go lepiej i dokładniej — był głębokim mędrce i filozofem, a przytem człowiekiem religijnym i ślepo wierzącym: życie miał złamane i humor popsuty, ciągly smutek gościł na jego prawej i dobrotliwej twarzy — był wdowcem po niedawno zmarłej żonie, która kilkanaście lat przepędziła w ciężkiej dziedzicznej chorobie... Gdym spojrział na stryja, zrozumiałem, że i z tym nie będzie przelewki, był tak smutny, że smutniejszym go w życiu całem nie pamiętam; tylko bardzo wielka boleść może takie piętno żałosne wycisnąć na ludzkim obliczu.

Gdym go na przywitanie w rękę pocałował to ani słowa do mnie nie przemówił, tylko skinął na pana Domańskiego, zabrał go ze sobą i natychmiast wraz z korepetytorem wyszedł. Ja zostałem zmartwiały, niby do krzesła przykuty, na którym siedziałem, a mój brat Kazio, zaniepokojony dziwnem postępowaniem stryja i zapytujący mnie o możliwe przyczyny tego, nie mógł ze mnie ani słowa wydusić. Dał wreszcie pokój, tylko szepnął jakby do siebie:

— Ha wiem rybko, pewno ty już coś nabroiłeś!

I zabrał się do greckiego tłumaczenia, bo zawsze odznaczał się zimną krwią i dziwną w dziecku logiką słów i czynów. Mnie tymczasem opanowały ze wszech stron gnębiące myśli i okropne wyrzuty sumienia. Nie mogłem sobie w żaden sposób darować, żem dla mrzonki, dla zachcianki udawania jakiegoś bohaterstwa sprawił tak głęboką boleść istotom, które w gruncie kochałem po nad wszystko... Rozpaczliwy wyraz twarzy stryja przywiódł mi na myśl moją najukochańszą matkę, która nami tylko żyła i ponosiła największe ofiary, żeby nas wychować na ludzi użytecznych krajowi i społeczeństwu.

— Co się z nią stanie? Co się ze mną stanie, gdy mnie ze szkół wypędzą? — zadawałem sobie bolesne pytanie i bałem się nawet z wyobraźni własnej odpowiedzieć na nie. Czułem jednak, że stanie się coś strasznego, coś okropnego.

— I po co? I dlaczego? W jakim celu? — Szarpałem pytaniami temi własny mózg i byłbym szarpał ciało, gdyby mi to wówczas na myśl przyszło. Jeżeli kiedykolwiek uczuwałem głęboką nienawiść do swojej istoty, to bez zaprzeczenia wówczas najsilniejszą.

— Boże, Boże! Jakim ja podły i niegodziwy! — powtarzałem sobie po tysiąc razy, a te wyrzuty nic nie uspakajały mej boleści i nienawiści do siebie samego.

Po dwu godzinach tortura jedna skończyła się po to tylko, żeby zaczęła się druga. W przedpokoju usłyszałem odgłos kroków i zmieszane głosy stryja i Domańskiego. Chwila, nim się drzwi otworzyły i oni weszli do pokoju wydała mi się wiecznością. Wreszcie i to się skończyło, stryj wszedł pierwszy i nie mówiąc ani słowa do mnie, gestem rozkazał mi iść za sobą do drugiego pokoju. Wówczas to przeżyłem chwilę, której nie zapomina się nigdy. Jestem święcie przekonany, że charakterzy ludzkie kształtują się w takich stanowczych momentach życia. Dusza moja była wówczas tak zmięta,

tak się stała podatna na wpływ słów stryja, że wchłonięła i na zawsze zatrzymała w sobie wszystko to, co on dobrego i szlachetnego mógł z siebie we mnie przelać.

Było nas dwóch, a mnie się przez dziwną halucynację wydawało, żeśmy się stali jedną istotą. Słów wypowiedzianych ani przezemnie, ani przez stryja nie pamiętam już zupełnie. Pamiętam tylko to, że cudownym jakimś sposobem znikła była wszelka przegroda myśli pomiędzy nami, i on czytał w mej duszy aż do głębi, ja zaś pierwszy raz z podziwem zajrzałem w głąb duszy męskiej, wyrzeźbionej, poranej i porytej w głębokie bruzdy przez boleści rozliczne i ciężkie doświadczenia życiowe. W jakich słowach i kiedy zdradziłem przed stryjem tajemnicę Sewera, o tem nie mam zupełnie wyobrażenia. To pamiętam tylko, że zgodził się on najzupełniej na to, że teraz już honor mi nie pozwala dla odwrócenia kary zdradzić przed dyrektorem tajemnicy.

— Wypędzą cię! — mówił smutnie stryj — będziesz miał naukę na przyszłość, że nie trzeba w stosunkach z ludźmi więcej dawać, niż się ma nadzieję dostać... Ja nie mogłem się tej tajemnicy nauczyć do samej starości... Dzisiejszy świat może ciebie nauczyć.

Słuchałem słów tych z wielkiem skupieniem duszy, płacząc przy tem tak rzewnie i serdecznie jak za dzieciennych lat.

— Rad jestem, żeś się od ciebie szczerzej prawdy dowiedział... Będzie ona i dla twej biednej matki pociechą w tem ciężkiem zmartwieniu... Ja już wezmę na siebie ulokowanie cię na przyszły rok w takim miejscu, w którym nie będziesz narażony na przyjaźń z takimi Sewerkami... Oh! ten kawaler daleko zajdzie.

Ostatnie słowa wymówił z gniewem, który dziwny kontrast stanowił z jego dobrotliwą i smutną twarzą.

Później nagle zjawiły się w jego siwych, błękitnych oczach ciepłe jakieś blaski nadzwyczajnej serdeczności,

skinął na mnie ręką, żebym się doń zbliżył i począł do mnie mówić, ale tak cicho, że szeptał prawie:

— Wuj twój, Ludwik, współopiekun, także uwiadomiony o twem wykroczeniu przez Malinowskiego, odpisał, że w żaden sposób przyjechać nie może, bo ma ważne interesy, ale w liście swym upoważnił Malinowskiego, żeby raczej cieleśnie cię ukarał, niżby cię miał z gimnazjum wypędzić... Rozporządzenia szkolne pozwalają na podobną karę, ale tylko za zgodą rodziców lub opiekunów... Ja, ja nie miałem odwagi, nie miałem serca zgodzić się na tego rodzaju karę.

Słuchałem słów tych z upojeniem, wydawało mi się, że nagle wśród burzy spostrzegłem brzeg bezpieczny i cichą przystań... Różga Malinowskiego wydała mi różdżką zbawienia. Nie dałem dalej mówić stryjowi, przerwałem mu jego słowa i zawołałem:

— Stryju, niech stryj się zgodzi. Niech mi dadzą sto różeg, to wolę, niż wypędzenie z gimnazjum...

I ta perspektywa wydobycia się z kłopotów kosztem własnej skóry tak mi przypadła do smaku, że aż poweselał odrazu, omal że nie zacząłem skakać po pokoju i śpiewać z radości. Dwa razy więcej zacząłem kochać wuję Ludwika za to, że miał tak doskonały concept i rozciął węzeł gordyjski mego smutnego położenia prawdziwie szlacheckim cięciem, godnem choćby Aleksandra Wielkiego.

Stryj Józef, choć z wyraźną przykrością zgodził się na »tatarską« — jak mówił — ewentualność. Później powiedział mi, że jutro, przy niedzieli, zaraz po mszy zwoła dyrektor konferencyę wszystkich profesorów, że przedstawi im całą sprawę i zaproponuje »boćkowskie« rozwiązanie. Pożegnałem się ze stryjem serdecznie i wróciłem do braci i Domańskiego, którzy uprzedzeni przez stryja, nie dokuczali mi i nie męczyli pytaniami. Wnet po odejściu stryja położyłem się spać i spałem jak anioł;

spałem tak spokojnie i rozkosznie, jak już dawno nie pamiętam — odsypiałem wszystkie te noce bezsenne, które w mękach przepędziłem od chwili zrobionego Serwerkowi przyrzeczenia.

Rano o godzinie siódmej zbudził mnie Domański tem, że czas zbierać się na egzortę i do kościoła. Wy-skoczyłem z łóżka jak z procy; byłem lekki i rzeźki, smutki mnie odleciały zupełnie i nawet na myśl mi nie przychodziło, że nie wypada bohaterowi brać w skórę, jakby jakiemu zwykłemu żakowi. Usposobienie to moje ówczesne było wynikiem przekonań wpojonych w pierwszym jeszcze dzieciństwie przez ś. p. mego ojca, że kto przewinił, ten musi odpokutować. A o winie swej, po wczorajszej rozmowie ze stryjem, byłem przekonany naj-zupełniej. Zresztą perspektywa fizycznego bólu nie przestraszała mnie zbyt, od dziecka byłem dziwnie nań obojętny i znosiłem go pod rozmaitemi formami z zupełną rezygnacją.

Z najzimniejszą krwią ubrałem się i poszedłem na egzortę. Ku wielkiej mej ucieście spostrzegłem, że dotąd nikt jeszcze nie wiedział o mem wykroczeniu, ani o karcie, która mnie czekała.

Dopiero pierwszy raz tego dnia uczułem silniejsze bicie serca w kościele, gdym rzucił okiem do bocznej kaplicy i spostrzegł tam stryja, pogrążonego w głębokiej modlitwie. Zrozumiałem, że przyszedł umyślnie do naszego kościoła, ażeby mnie zabrać i po mszy zaprowadzić do dyrektora. Zacząłem się zastanawiać nad techniczną — że się tak wyrażę — stroną zapowiedzianej kary. A w miarę rozmyślenia o tem serce mi biło coraz głośniej, a poza plecy przebiegać mi zaczęły jakieś nie-określone dreszcze, a od czasu do czasu ciemniało mi w oczach, tak, że nic prawie przed sobą dojrzeć nie mogłem. Wówczas to po raz pierwszy od samego rana wydało mi się, że się wszyscy, cały kościół oglądają na

mnie i z szyderczemi uśmiechami wskazują mnie sobie, szepcząc złośliwie:

— Patrzcie, patrzcie! to ten, który ma dziś brać w skórę!

Gdybyż mi choć była jeszcze pozostała ta pociecha, ta myśl, która mnie doprowadziła do tego szalonego kroku, gdybym mógł sobie powiedzieć: »Wezmę w skórę, ale będę cierpiał za cnotę, za prawdę, za bohaterski czyn«.

Niestety, już i tej pociechy nie miałem. Złudzenie rozwiąło się zupełnie w czasie wczorajszej rozmowy ze stryjem; zdawałem sobie najjaśniej sprawę, że odniosę najsprawiedliwszą karę za lekkomyślność, łatwowierność i głupotę.

Chciałem się pomodlić — nie mogłem; w głowie mi się gotowało, szumiało jak w lokomotywie, przygotowanej do wyruszenia w daleką podróż. Z bolesnem uczuciem śledziłem ruchy księdza przy ołtarzu; pragnąłem wówczas, by się owa msza przeciągnęła w nieskończoność, w całą wieczność.

Niestety, skończyła się. Wychodząc, spotkałem stryja w bramie kościoła; czekał na mnie. Gdym go w ramię pocałował, uśmiechnął się do mnie łaskawie i jakoś bardzo litościwie i pierwszy przemówił:

— No, musisz spełnić wszystko. Widziałem się już z Malinowskim, wstydu ci zaoszczędzi. Kara nie będzie publiczna.

Otucha wstąpiła mi znowu do serca, czułem, że mi się twarz rozjaśniła i ożywiła. Śmiałym krokiem poszedłem za stryjem do kancelaryi.

Dziś jeszcze, po latach dwudziestu paru, z największą dokładnością przypominam sobie najdrobniejsze szczegóły owej chwili. Dzień był pochmurny, smutny, poranek kwietniowy, przypominający chmurne dni grudniowe. Wszedłszy do kancelaryi, rzuciłem nasamprzód

okiem na ogromny portret cesarza Franciszka Józefa, który w pašowym mundurze generała huzarów, otulał się sutym gronostajowym płaszczem. Wydawało mi się, że uśmiecha się łaskawie.

Słowa dyrektora oderwały moje oczy i moją myśl od cesarskiego portretu.

— Uczeń niech mi jeszcze raz odpowie na zasadnicze pytanie.

Tu przerwał na chwilę; skorzystałem z tego mgnięcia oka i spojrzałem w koło siebie, oprócz mnie było trzech ludzi w kancelaryi, to jest dyrektor, mój stryj i profesor Szajgicki. Dyrektor udawał srogiego, ale mu się to nie udawało, stryj był smutny i zdenerwowany, Szajgicki zaś, ku największemu memu zdumieniu, spoglądał na mnie zupełnie przyjacielskim wzrokiem i ani śladu nie spostrzegłem w nim rozgniewania, tak łatwego do wytlómaczenia i tak naturalnego — przeciwnie wydało mi się, że nie tylko nie cieszył się karą, którą mam otrzymać, ale przeciwnie, robi mu ona pewną przykrość.

Dyrektor jakby siłąc się na urzędową powagę, powtórzył swe pytanie:

— Niech mi uczeń odpowie stanowczo na zasadnicze pytanie, czy w rzeczy samej uczeń popełnił ten karygodny czyn, czy uczeń napisał i wraz z zeszytami wręczył panu profesorowi Szajgickiemu ów bezecny paškwil, który tu, jako *corpus delicti* leży przed nami?

— Ja jestem pewny, że on tego nie pisał — przerwał dyrektorowi niecierpliwie Szajgicki. — Jestem najmocniej o tem przekonany. On tylko wie, kto to zrobił, a przez chorobliwą egzaltację chce odcierpieć karę za przyjaciela, który nie wart tej ofiary.

Dyrektor zmarszczył się i niechętnie spojrzał na nauczyciela, który przerwał mu kunsztownie ułożone przemówienie, skorzystał więc z chwili, w której Szajgicki zdyszany mówić przestał i prawił dalej:

— Właśnie o to samo chciałem ucznia zapytać. Czy uczeń trwa przy swem twierdzeniu, że sam tę szkaradę napisał, czy może namyślił się i wyda prawdziwego winowajcę?... Zostawiam uczniowi pięć minut do ostatecznego namysłu.

Tu wyjął z kieszonki granatowej aksamitnej kamizelki ogromne złote zegarzysko, położył go na stole przed sobą i wskazując ręką krzesła, stryjowi i Szajgickiemu, usiadł na ogromnym, staroświeckim, dyrektorskim fotelu. Pozostałem w stojącej pozycji, spojrzałem tylko na stryja i poznałem odrazu, że on również był zdania, iż trzeba być już konsekwentnym do końca. Minuty wlokły się jak lata. Dyrektor chudy, wysoki, o pożłobionej, wyniszczonej twarzy suchotnika wpatrywał się we wskazówki zegarka i miał pozór mumii egipskiej, na której skrzepliły myśli z przed czterech tysięcy lat. Milczenie panowało wprost straszne. Wreszcie Malinowski podniósł się i przemówił:

— Termin namysłu minął; proszę ucznia o stanowczą odpowiedź.

I biorąc ów nieszczęsny zeszyt do ręki, zapytał groźnie:

— Kto to napisał?

— Ja!

Brzmiała cicho, ledwie dosłyszalnym głosem wyszeptana moja odpowiedź.

— Taaak! Więc to uczeń to paskudztwo nabazgrał — grzmiał już potężnym głosem dyrektor. — A uczeń wie, że za taki objaw szalonego zepsucia obyczajów, za taki objaw zaniku wszelkich pierwiastków moralnych przewidziana jest w naszych szkolnych przepisach *exclusia* ze wszystkich zakładów naukowych monarchii...

Tu przerwał dyrektor Malinowski na chwilę. Zrobiło mi się zimno, czułem, że dostaję śmiertelnych dreszczów w całym ciele, przeraziłem się myśląc, że mi

odmówią owej różgi, a wypędzą ze szkół. Wzdychałem do różgi jak do zbawienia.

— Ze względu jednak na nieposzlakowane zachowanie ucznia w przeszłości — mówił dyrektor dalej — na jego niedoświadczenie; ze względu na te wreszcie okoliczności, że władza szkolna niema zupełnego przeświadczenia i dowodu na to, że uczeń w rzeczy samej przestępstwo wyż pomienione sam popełnił — skłoniliśmy się na prośbę obecnego tu opiekuna, by za jego zgodą karę odmienić...

Odetchnąłem swobodniej; nogi przestały podemną dygotać, spojrzałem na Malinowskiego, jak na wybawcę z niebezpieczeństwa. On tymczasem mówił dalej:

— Dalej nawet, wobec zgody na ten szczegół, spotwarzonego profesora pana Szajgickiego, władza szkolna postanowiła wykonać karę zupełnie prywatnie, wobec trzech tylko świadków, a mianowicie: mnie, jako głównego zwierzchnika zakładu, pana profesora Szajgickiego, jako osobiście zainteresowanego i opiekuna przestępcy... Uczeń skazany jest na otrzymanie pięciu plag różgą, z rąk swego opiekuna.

Ostatnie słowa wymówił z patosem godnym średniowiecznego herolda, ogłaszającego wyrok jakiegoś tajemniczego i potężnego trybunału. Skończywszy, skinął ręką na stryja, dając mu tem niejako do zrozumienia, że przyszła chwila spełnienia jego roli.

— Niema co żartować, kładź się aspan! — szepnął do mnie stryj, siłąc się na żartobliwy ton, a widocznie w głębi duszy zmartwiony bardzo.

Blizszych szczegółów owej »średniowiecznej« egzekucyi nie będę opisywać. Nie była ona sroga; plagi wymierzone ręką stryja nie uszkodziły mi skóry; kara była więcej moralnej natury, niż fizycznej. I nie z bólu, ale ze wstydu miałem łzy w oczach, gdym się podniósł z zydła po tej operacyi.

Wówczas poznałem, że ani Malinowski, ani Szajgicki nie byli złymi ludźmi... Dyrektor nie krył się nawet ze swem współczuciem dla mnie; Szajgicki w czasie operacyi odsunął się ku oknu i cały czas tam zostawał, spojierając na plac przed gimnazjum, rojący się pobożnymi, spieszącymi do fary na nabożeństwo; gdy usłyszał, że już *post festum*, obrócił się ku mnie i siląc się na srogi ton powiedział:

— A widzisz, jak to źle kłamać, zostałeś niewinnie ukarany, a byłoby się obeszło bez tego, gdybyś był powiedział, kto to zrobił... Nie bój się jednak, prawdziwego winowajcę kara nie minie. Wszystko to musi się odkryć... Prawda jak oliwa na wierzch wypłynie.

Słuchałem tych słów z niecierpliwością, chciałem jak najspieszniej wydostać się z kancelaryi i uciec do domu, rozmyślać o marnościach świata. Czekala mnie jednak jeszcze jedna niespodzianka, nad wyraz przyjemna i świadcząca dobitnie o poczciwości Malinowskiego i jego dobrem sercu. Oto na wychodnem oświadczył mi, że będę musiał odsiedzieć w karcerze szesnaście godzin kary i że tylko ta kara będzie w klasie publikowaną, o karze zaś, którą otrzymałem przed chwilą, publicznie wspominać się zupełnie nie będzie.

Uszczęśliwiony ucałowałem rękę dyrektora, stryja i ponoś nawet Szajgickiego i lotem ptaka pędziłem do domu. Przed samą bramą spotkałem Sewerka, który widocznie czekał aż tu na mnie, bojąc się spotkać ze mną przed gmachem gimnazyalnym, żeby nie zwracać na siebie dalszych podejrzeń. Wogóle zauważyłem, że od chwili, gdy się oskarżył sam przed dyrektorem, to Sewer starał się być ciągle jak najdalej odemnie i widocznie z zamiarem i samowiedzą unikał mego towarzystwa. Chociaż rozumiałem dokładnie pobudki takiego postępowania i nawet na zimno sądząc musiałem je pochwalać, to jednakże robiło mi ono przykrość i czułem

do Sewera jakiś niezdefiniowany żal... Teraz, gdym się zbliżył do niego, to patrzył on na mnie przez chwilę badawczo, a w głosie jego drżał wyraźny niepokój, kiedy mnie zapytał:

— No cóż tam z tobą słychać? Naznaczyli ci nareszcie karę... Głupie bałwany!

— Naznaczyli! — odpowiedziałem niechętnie i szedłem dalej, pragnąc uniknąć rozmowy o bliższych szczegółach owej kary. Uczułem nagle wstręt do przyznania się przed Sewerkiem, za jaką cenę kupiłem jego bezkarność. Sądziłem, że będzie to zbyt wielkiem upokorzeniem dla niego, gdy się dowie, jak wiele dlań zrobiłem. Z drugiej strony szydarczy uśmiezek rysujący się w kątach jego wązkich ust, doprowadzał mnie do wściekłości i sprawał, że za nic na świecie nie wtajemniczyłbym go był w dzisiejsze moje przejścia... Nic mnie w życiu całem tak nie mroziło i tak nie odpychało, jak ironia i sarkazm.

— Jaka? Jaka? Jaka? — pytał niecierpliwie, chwytając mnie za rękę i zastrzymując obok siebie w samej już bramie domu, w którym mieszkaliśmy.

— Jutro się dowiesz... Wyrok w klasie przeczytają... Puść mnie.

Ton mego głosu był widocznie stanowczy i zdradzał wielkie rozdrażnienie i niecierpliwość, bo Sewer natychmiast wykonał to, com od niego żądał. Zanim jednak zdołałem wejść w bramę, przemówił całkiem odmiennym, ciepłym, serdecznym głosem:

— Za co ty się na mnie gniewasz? Przecież sam się zgodziłeś na to coś zrobić..

— Tak, tak, wiem o tem — przerwałem mu niecierpliwie — tylko tyś nie powinien był przyjmować odemnie takiej ofiary... Tyś wiedział na co mnie narażasz.

Tchu mi brakło, z gniewu przez chwilę mówić nie mogłem.

— Na co cię narażam? Na co cię narażam? — powtarzał on, najwidoczniej bezmyślnie i machinalnie, przestraszony moją gwałtownością i wyrazem moich rozognionych oczu.

— Na co? — wołałem coraz gwałtowniej. — Omal że mnie ze wszystkich gimnazyów w całym państwie nie wypędzono... Przyznaj, że taki wyrok dalekoby był mniej tobie zaszkodził, który masz milionowych rodzi-ców, niż mnie... Wystaw sobie, co byłaby zrobiła z tem moja matka, która ma nas sześcioro i bardzo ciężkie warunki życia.

Wpadłem w takie uniesienie, że mu tak wymy-słał przez długi kwadrans, on słuchał cierpliwie, tylko od czasu do czasu mitygował mój głos słowami:

— Ciszej! ciszej! na miłość boską, ludzie słuchają.

W czasie tej rozmowy, ugłaskany jego cierpliwo-ścią i pokorą, powiedziałem mu, że mam odsiedzieć szesnaście godzin w karczerze, powiedziałem mu, że choć dziwię się, że mógł mnie narażać na takie niebezpie-czeństwo, jednakowoż przebaczam mu to, nic mu jednak o prawdziwej karze nie wspomniałem.

Sewer się rozczulił, robił mi zapewnienie swej do-zgonnej wdzięczności, ścisnął, całował, chciał obdarzać wszystkimi swoimi drobiazgami; niechętnie jednak słu-chałem tego, czułem bowiem przesadę tych słów i nie-szczerłość obietnic, których z góry dotrzymać nie miał wcale zamiaru. — Pożegnaliśmy się przed bramą.

Na drugi dzień nastąpiło głośne, urzędowe odczy-tanie wyroku na mnie w klasie... Zrobiło ono najzupeł-niejszą niespodziankę wszystkim kolegom. Przypuszcze-nia i wnioski wyciągane przez nich z całego przebiegu tej ohydnej sprawy objaśniły mi wiele i rozwiwały nieje-dno złudzenie.

Nasamprzód żaden z moich kolegów nie uwierzył był w to, żebym ja napisał ten paszkwil na Szajgi-

ckiego; wszyscy odrazu powiedzieli sobie, że prawdziwym winowajcą był Sewer, a ja tylko dla zasłonięcia go przyjąłem winę na siebie.

W tem się nie mylili, ale mylili się okropnie, boleśnie, w pobudkach tego czynu. Jedni mówili:

— Ot dureń, dla przypodchlebiania się paniczowi siedzi w areszcie... Zobaczysz jakiej wdzięczności się od Pstrągowskiego doczeka.

Inni, szlachetniejsi, nie wspominali nic o wdzięczności, ale zgadzali się na to bez wahania, że byłem w całym tego słowa znaczeniu »dureń«, bo kto się dziś dla drugich poświęca.

A nawet Ludwik *recte* Leibe Solzmann, kolega zajmujący się wypożyczaniem nam pieniędzy nieraz, rozpuścił wieść, iż wie napewno, że Sewer grubo mi zapłacił za to, żem jego winę wziął na siebie.

— Jabym mu był za połowę tych pieniędzy to zrobił — mawiał ten szlachetny koleżka, który tak umiejętnie swoimi funduszami w gimnazyum obracał, że podobno po skończeniu gimnazyum pojechał na pierwszy wydział w uniwersytecie wiedeńskim, wywożąc ze sobą dwa tysiące guldenów uciulanych z procentów pobieranych od pożyczek. — Sądy te robiły mi prawdziwą przykrość i truły w zarodku niejednego szlachetnego porwy duszy. To też byłem prawdziwie uszczęśliwiony, gdy mnie opiekunowie po skończonym roku szkolnym zabrali ze Stanisławowa i ulokowali w zupełnie odrębnym zakładzie naukowym.

Wieleż to lat upłynęło od czasu, jak na dworcu kolejowym w Stanisławowie pożegnałem się był z Sewerkiem Pstrągowskim... Żegnaliśmy się dość zimno i obojętnie, ja, pomimo odbytej kary, a może właśnie przez nią wywoziłem świadectwo z dobrym postępem, on zaś miał »kompletną tróję« i wracał z bardzo kwaśną miną do rodziców.

Później drogi nasze rozeszły się zupełnie, na długie, długie lata po to, żeby się ześć później na chwilę, która nam obu zapewne nie przysporzyła przyjemnego wspomnienia. Przez cały ten czas, kiedy opiekunowie moi starali się wykierować mnie na uczonego człowieka, nie słyszałem nic a nic o Sewerku. Podobno i z nim odbywano te same, nie wiodące do celu, próby i zabiegi. Następnie, gdym się stał »paniczem bez pieniędzy« i kręcił się po trzech guberniach i dwudziestu galicyjskich powiatach, to nazwisko Sewerka Pstrągowskiego obijało mi się dość często o uszy... Robił on mniej więcej to samo, co i ja, z tą tylko różnicą, że trafiały mu się przy tem doskonale gratki. Mawiano o nim, że ma tęgą głowę do interesów. Umiał wygrywać w karty, miewał konie wyścigowe, które miewały chwalebny zwyczaj przychodzić pierwsze do mety, gdy się na nie właściciel grubo założył, cieszył się nawet podobno względami wysoko położonej, bardzo bogatej, ale też strasznie już podstarzałej damy, która — jak sobie na ucho szeptało — płaciła za niego długi karciane, gdy miał kiedy to nieszczęście zgrania się w karty. Był jednak ciągle kawalerem bez zarzutu, stałym członkiem szlacheckich klubów we Lwowie i Krakowie, miłym młodym człowiekiem, bardzo wykształconym, bywającym i pożądanym we wszystkich »najlepszych« towarzystwach Galicji.

Jakim dziwnym trafem tak się złożyło, że myśmy się wówczas ani razu nie spotkali przez siedm lat, tego sobie w żaden sposób wytłómaczyć nie umiem... Dość, że tak się złożyło.

Wszystko na świecie musi mieć swój koniec, najszybciej jednak kończy się zazwyczaj paniczowanie bez pieniędzy. Moje trwało trochę dłużej, ale wreszcie skończyć się także musiało. Znalazłem się na bruku lwowskim, bez wszelkich zapasów pieniężnych, tylko z za-

miarami poświęcenia się pracy literackiej. Za podstawę do tych zamiarów miały mi służyć dwie nowe, drukowane przed rokiem i kilka artykułów o koniach.

Jaki jest brak sił dziennikarskich u nas, dowodem tego fakt, że w przeciągu kilku dni znalazłem był zajęcie w redakcyi jednego z poważnych pism, które mi przynosiło wynagrodzenie wystarczające najzupełniej na skromne życie.

Kto nie przechodził takiego przeskoku w życiu, ten nie może mieć zgoła pojęcia, jakich wrażeń doznaje taki młody szlachcic, przyzwyczajony do zwracania na siebie w mieście uwagi i nie oglądający się na wydatki — gdy nagle znajdzie się w tem samym mieście, zmieszany zupełnie z tym szarym tłumem ulicznym i niczem, zgoła niczem się odeń nie odróżnia... Z doświadczenia wiem, że są to straszne tortury...

Nie tu jednak koniec... A ścisłość godzin redakcyjnych, a termin dostarczania artykułów, a cała masa obowiązków, które muszą być ściśle przestrzegane, bo ostatecznie redaktor, pomimo najprzyjaźniejszych uczuć, gotów znudzić się niepunktualnością nowego współpracownika i poszukać sobie innego, pilniejszego.

Pchałem tę taczkę życia powszedniego przez kilka miesięcy, a popychanie to było mi tem cięższe i przykrejsze, że nawet w najśmielszych marzeniach nie znajdowałem sposobu wyjścia, wydobyć się z tego podrzędnego stanowiska... Naturalnie, że i powierzchowność moja przybrała pozory paryasa miejskiego; w ubraniu się zaniedbywałem, nie miałem wreszcie do kogo stroić się. Wstawałem rano, zaparzałem herbatę, pospiesznie wypijałem dwie filiżanki i spieszyłem do redakcyi, później w domu zjadałem obiad — i znowu do drukarni, robić korektę. Wieczory spędzałem przeważnie w domu, pisząc i łamiąc sobie głowę nad stworzeniem jakiegoś utworu, któryby zwrócił na mnie uwagę publiczności.

Tryumfy Sienkiewicza i innych spać mi nie dawały. Całemi godzinami rozmyślałem nad tem, czy mam ciaśniej-
szy mózg od owych koryfeuszów literatury, czy tylko
nie potrafię napisać tak, jak oni. A wiedziony miłością
własną, godziłem się na to ostatnie przypuszczenie i za-
cząłem wygładzać i polerować zawzięcie wszystko, co
tylko z pod mego pióra wychodziło. Korespondencye
z Madrytu, Astrachania, Konstantynopola lub Zaleszczyk
oszlifowywałem z zajadłością godną lepszej sprawy i był-
bym się zmanierował zupełnie, gdyby nie szczęśliwy dla
mnie zbieg okoliczności i pomoc kochających krewnych,
którzy mnie z piekła, czy czyścica umysłowego wyrwały.

W czasie tej wyczerpującej mój umysł i rozstra-
jającej moje nerwy pracy dostałem polecenie od reda-
ktora, ażeby w roli »sprawozdawcy« udał się na po-
siedzenie jakiejś »ankiety« gospodarczej, która miała
obradować nad bardzo ważnemi kwestyami, obchodzą-
cemi żywo cały stan ziemiański. Ja jako »były« ziami-
nin dawałem wszelkie gwarancye, że potrafię dać jasne
i »z sensem« sprawozdanie z tego posiedzenia. Pamię-
tam, że szedłem tam jak na ścięcie. Uczuwałem ów, tak
łatwy do zrozumienia, wstręt ludzi wyrzuconych — czy
z własnej winy, czy kolejami losu — ze swej sfery, do
spotykania się z ludźmi, których się dawniej znało,
z którymi się żyło na równi. Obowiązek jednak prze-
mógł. Poszedłem i nawet nie żałowałem tego. Wraże-
nie, które odniosłem dnia tego nie usposobiło mnie źle
dla świata. Jedyń cierń jaki mi się wbił był głęboko,
pochodził od dawnego kolegi i przyjaciela — Sewerka
Pstrągowskiego.

Wszedłem był na to posiedzenie nie pytany przez
nikogo: poco i jakim prawem wchodzę? Napróżno u
wejścia szukałem jakiegokolwiek osoby, przed którą mógł-
bym się być wylegitymować z mego posłannictwa. Zaraz
w początku, nim zagajono posiedzenie, spotkałem dale-

kiego mego krewnego Artura Z., który wiedział najdokładniej o mojem dzisiejszem położeniu, przed którym nie kryłem zupełnie roli, w jakiej się tu znajdowałem; nie zrobiło to jednak na niego zgoła złego wrażenia, przeciwnie, zauważyłem, że pokrewieństwo i zażyłość z »reprezentantem prasy« robiły mu pewną przyjemność, znany on był zresztą ze swej popularności. Inni, dalsi znajomi, starsi gospodarze witali się ze mną jak za dawnych, dobrych czasów. Pan Ignacy Wojkowski nie mógł się nadziwić, że mi za to płacą, co ja napiszę.

— Bo ja, mój kochany — mówił z zapalem — za wszystko co nabazgrzę to sam muszę płacić. I tak: napiszę list — płac za markę, napisz jakąkolwiek prośbę — wal stempel, napisz weksel — płac za papier... Nawet, wyobraź sobie, raz napisałem artykuł... Jak Boga kocham, artykuł... o naszych wyborach i posłałem do *Gońca*, co powiesz?... Odpowiedzieli mi, że jak zapłacę po guldenie od wiersza, to mi to pisanie wydrukują... No, dałem sobie pokój, za drogieby to było pisanie.

Nagle, już po rozpoczęciu narad spostrzegłem wchodzącego Sewerka Pstrągowskiego. W pierwszej chwili nie spostrzegł mnie, ale ja jego odrazu poznałem. Zmienił się niewiele, tylko nie wyrosły mu jeszcze wielkie wąsy i nosił rzadkie, płowe bokobrody. Ośmielony przez Artura, nie siedziałem za stołem dla dziennikarzy przeznaczonym, tylko zająłem miejsce pomiędzy Arturem a panem Ignacym. Pomimowoli wpatrywałem się uparcie w twarz Sewerka; cały rój wspomnień ogarnął mnie i zawojował odrazu cały mój umysł.

Nie słuchałem mądrych dowodzeń głośnych i sławnych mowców, obcemi dla mnie były te palące kwestye ekonomiczne, o których miano dziś decydować — patrzyłem na Sewerka i stawała mi przed oczyma młodość nasza, pierwsza młodość pełna czaru, pełna złudzeń, przetykana złotą przędzą szczerzej, prawdziwej po-

ezyi. Gdyby nie publiczne zebranie i nie tłum nieznanomych ludzi, byłbym się zerwał z mego miejsca i biegł do Sewerka uściskać go i z gorączkowym pośpiechem przypominać mu ubiegłe lata, lata rozgraniczające nasze dzieciństwo od młodości. Magnetyczna siła mego wzroku była tak potężna, że Sewer uczuł moje spojrzenie i kilka razy rzucił okiem w moją stronę, widocznie nawet starał się przypomnieć mi twarz, ale napróżno, bo zawsze odwrócił się obojętnie i z przykrością czułem, że nie może sobie mnie przypomnieć. Nie brałem mu nawet tego za złe — tyle lat niewidzenia się, mogło w jego pamięci zatrzeć moje rysy, mogłem wreszcie zmienić się znacznie od tego czasu.

Po skończeniu jednego z ważniejszych przemówień wszyscy powstałi i potworzyły się małe grupy, w celu naradzenia się nad wotowaniem nad jakimś ważnym wnioskiem. Skorzystałem z tej chwili i zbliżyłem się do Sewerka. Popatrzył na mnie zimno, ale ciekawie, do-tychczas widać nie przypomniał sobie, kim ja być mogę.

— Nie poznajesz mnie? — spytałem cicho.

— Z kim mam przyjemność? — odrzekł zimno, ale szablonowo grzecznym głosem.

Wymieniłem moje nazwisko.

Błyskawica radości przemknęła po jego twarzy, błysnęła, ale wnet znikła; widocznie wyćwiczony był doskonale w ukrywaniu swych uczuć i wrażeń. Dostrzegłem jednak owo mgnienie oka trwające przyjazne spojrzenie i rozradowało mnie ono, ścisnąłem go serdeczniej za rękę, czułem, że serce mi mięknie zupełnie.

— Czy zawsze mieszkasz na Podolu w proskirowskim powiecie? Co cię tu sprowadza? Co tu porabiasz? — rzucił kilka pytań, jedno po drugim, nie czekając zupełnie mojej odpowiedzi.

Każde z tych pytań żarem na mnie spadło, więc on nic nie wiedział o mojem obecnem położeniu, więc

on myśli, że ja dotychcaas należę do »uprzywilejowanej warstwy«, że sprzedaję pszenicę, mam konie wierzcho-
we, jeżdżę po polowaniach i umizgam się do panien...
I nagle jak olśniewająca i oślepiająca błyskawica, prze-
mknęła w mej głowie myśl: »A może on dowiedziawszy
się, że dziś jestem najzwyczajszym współpracownikiem
dziennikarskim, może on nie zechce nawet poznać
mnie więcej. Z gorączkowym więc pospiechem zacząłem
go obznajmiać z dzisiejszym moim położeniem i przy-
czynami, które mnie do niego doprowadziły. Mówiąc to,
wpiłem swe źrenice w jego twarz i starałem się czytać
myśli jego do najskrytszych kryjówek duszy... I odkry-
łem dwa wrażenia, które słowa moje nań wywierały,
pierwsze zdumienie, drugie obawy o to, żebym nie za-
żądał od niego pomocy pieniężnej. Wzdrygnąłem się
i nagle mówić przestałem.

On spojrział na mnie swym zmęczonym wzrokiem
i odrzekł, uśmiechając się ironicznie:

— Zwykle to dzieje, każdego z nas może to spo-
tkać, tylko nie każdy znajdzie umieszczenie w redakcyi...
Życzę powodzenia i szczęścia... Kto wie, może Sienkie-
wiczem jeszcze zostaniesz... Do widzenia!... Mieszkam
tu, to może się gdzie spotkamy.

Ostatnie słowa wymówił zimno, lodowato, tak, że
zmroziły mnie one do szpiku i odebrały zupełnie ochotę
do nowych spotkań.

Wyszedłem z posiedzenia tego przed końcem, a
spieszyłem do domu tak, jakby gonił mnie najzacieklej-
szy wierzyciel. W duszy czułem gorycz i okropne znie-
chęcenie do życia i gdybym był wówczas cośkolwiek
napisał, to utwór ten możnaby było używać jako truci-
znę na muchy. Pamiętam, że spotkanie to z dawnym
kolegą było ostatnią kroplą, przepełniającą pełną czarę
zmartwień i boleści; tego samego wieczoru dostałem
gorączki i zapadłem na silną influencję, grasującą pod-

ówczas epidemicznie we Lwowie... Gdy po kilkunastu dniach, podniósłszy się z choroby, blady i wymizowany, wyglądający zupełnie na polskiego literata, wlokłem się do drukarni dla robienia korekty, spotkałem Sewera. Wychodził z hotelu Żorża, poświstując jakąś wesołą aryę z modnej operety. Gdy mnie spostrzegł, odwrócił nagle oczy w przeciwną stronę i udał, że mnie zupełnie nie widzi, lub nie poznaje.

To mnie nawet już nie zmartwiło, przeszedłem obojętnie obok, nie mrugnawszy nawet doń okiem. Od tej chwili Sewer Pstrągowski przestał dla mnie istnieć na świecie...

Jednakowoż miałem się z nim jeszcze kilka razy spotkać w życiu.

* * *

Wszystko na świecie musi mieć swój koniec. Tak samo było i z moją ówczesną niedolą.

Serdeczna dłoń kochających krewnych wyciągnęła mnie z tego deptaka dziennikarskiego, gdzie marnują się i giną rokrocznie liczne talenty literackie. Znalazłszy się znowu na wsi wśród zielonych łąk i lasów, wśród pozłocistych łanów pszenicy, odżyłem, odetchnąłem swobodnie, a nauczony doświadczeniem, zabrałem się gorąco do pracy. Nie gnębiły już mnie wśród bezsennych nocy mary nakazujące dorównywać Sienkiewiczowi lub Krechowieckiemu, albo nawet przyćmiewać ich sławę; zrozumiałem, że »każdy ptak tak śpiewa, jak mu dzień wyrósł« zacząłem więc pisać »na własną nutę« i ostatecznie nie źle mi poszło. Kilka noweli i powieści w krótkim czasie wydrukowały najpoważniejsze pisma polskie... Szło mi znowu... I znowu miałem i konie wierzchowe i strzelby angielskie i przyjechawszy do miasta, czytałem w dziennikach, że »nasz znany i ceniony powieściopisarz i nowelista bawi w naszym grodzie«.

Nawet ten rok niedoli wyszedł mi bardzo na korzyść, bo w ciągu tego roku nauczyłem się poznawać świat i ludzi dokładniej niż przez dziesięć lat swobodnego, dostatniego życia.

Zasiedziawszy się na wsi, zajęty pracą literacką, straciłem znowu z oczu Sewerka; nic mnie on zresztą już nie obchodził, więc nie dowiadywałem się nawet o niego. Zdarzyło mi się, że musiałem się wybrać do Lwowa i trafiłem właśnie na uroczysty obchód pamiątkowy w rocznicę śmierci Zygmunta Krasińskiego. Młodzież akademicka lwowska uprosiła była jednego ze sławnych krytyków krakowskich, żeby miał na otwarcie tego obchodu odczyt; zasłużony ten mąż nosił w dodatku głośne, sławne i bardzo świetne senatorskie nazwisko. Oddawna cieszyłem się osobistą znajomością, życzyłem poparciem i opieką przezacnego profesora. Pośpieszyłem więc na odczyt, ażeby się rozkoszować rozumnymi zdaniem, wypowiedzianymi tak melodyjnym i harmonijnym głosem, że równego mu w życiu nie słyszałem więcej.

Podczas odczytu zająłem miejsce obok kilku poważniejszych kolegów literackiego zawodu, którzy przybyli także w celach tych samych co i ja... Ze współczuciem spozierałem na ławkę, gdzie siedzieli sprawozdawcy dziennikarscy. Od czasu owego mego »roku próby i niedoli« ogromną sympatyę odczuwam zawsze dla tych bezimiennych pracowników, którzy skarby wielkiego talentu niejednokrotnie rozrzucają i marnują na błahe artykuły poświęcone zabawie i rozrywce tłumów. Doświadczam czasem złudzenia, że to starożytni gladyatorowie, przebrani w czarne nowoczesne surduty, ginący gwoli zabawy ludu... Nieraz zdaje mi się, że któryś z nich podniesie się i głosem potężnym zawoła:

— *Ave populus! Morituri te salutant!*

Widziałem jak skrzętnie stenografowali każde słowo hrabiego-profesora, to mi pozwalało mniej zwracać

uwagi na treść, a więcej pieścić się melodią głosu prelegenta... Byłem pewny, że dosłowną treść znajdę w jutrzejszych porannych dziennikach.

Odczyt się skończył, w sali, zagrzmiały oklaski z duszy i prawdziwego zachwytu płynące, prelegent kłaniając się obecnym na wszystkie strony, zeszedł z mównicy. Miały nastąpić produkcje muzyczne, więc zaczęto wysuwać na środek estrady fortepian i robić przygotowania. W sali zaszumiało od gwaru. My wszyscy, zaliczający się do cechu literackiego, zbliżyliśmy się do prelegenta, ażeby go powitać i powinszować skutku, jaki jego słowa wywarły na lwowskiej publiczności... Był na nas bardzo łaskawy i nawet zajął miejsce obok nas... Pamiętam, że z profesorem dużo i z ożywieniem rozmawiałem.

Wśród jednej z przerw pomiędzy produkcjami muzycznymi uczułem, że ktoś się we mnie uparcie wpatruje, skierowałem wzrok w tę stronę i ujrzałem Sewerka Pstrągowskiego, który dawał mi najwyraźniejsze znaki porozumienia, przywołujące mnie do niego. Bezmyślnie, nie zastanawiając się, co robię, wstałem i podszedłem do niego. Z niezwykłą serdecznością ścisnął on podaną mu dłoń i głosem nad wyraz uradowanym zawołał:

— Jakże się cieszę, że cię widzę... Opowiadał mi Oleś, jak zabiłeś świetnie dzika w Gruszynie... Masz podobno doskonałego arabskiego ogiera ze stada Dzie duszyckiego... Zawsze mówiłem, że to najlepsza krew w kraju, stara Jaryczowiecka krew... Ciągłe wybieram się odwiedzić cię na wsi.

Wszystko to mówił tak pośpiesznie, że w początkach nie byłem wprost w stanie zorientować się w sytuacji. Słowa jego padały jak grad, a ja przypominałem sobie wszystko, co pomiędzy nami zaszło było kiedykolwiek. Nie mogłem się tylko domyśleć, jaka jest

przyczyna jego nagłej i niezwyklej serdeczności. Jednak w miarę, im głos jego nabierał coraz to serdeczniejszych tonów, tembardziej we mnie wzbierał gniew i rozdrażnienie.

— Czego ten błazen może chcieć odemnie? — łamałem sobie głowę.

Wnet nastąpiło rozwiązanie zagadki. Sewer nachylił się ku mnie i szepnął:

— Dawno znasz profesora? — i wskazał na dzisiejszego prelegenta.

Teraz odrazu rozjaśniło mi się wszystko, oburzenie doszło do zenitu.

— Od dzieciństwa — odparłem głosem przytłumionym.

— Ach! jeśli tak, to proszę cię, przypomnij mi moją osobę... Gdzieś, kiedyś prezentowałem mu się, ale on pewno już zapomniał.

Kipiałem z irytacji, ale użyłem wszelkich sił, ażeby nie wybuchnąć... Tak, więc on umyślnie przyszedł witać się ze mną, ażeby ja go przedstawiał człowiekowi, o którym dziś mówi całe miasto. Umyślnie po to, żeby dziennikarze zanotowali, że »ze sfer arystokratycznych rozmawiał z prelegentem szambelan Seweryn Pstrągowski«.

Zwyciężyłem się, opanowałem zupełnie wzburzone nerwy i odciągnąwszy pana szambelana ku oknu, odpowiedziałem mu zimnym miarowym głosem:

— Dziwi mnie wybór miejsca i czasu, jaki uczyniłeś dla zawarcia znajomości z hrabią Granowskim... Jeszcze bardziej dziwi mnie to, że za pośrednika do zawarcia tej szaczonej znajomości wybrałeś sobie mnie, którego przez jakiś czas nie poznawałeś zupełnie... Otóż przedstawiać cię hrabiemu nie mam zamiaru, a ciebie proszę, żebyś mnie uwolnił od swej znajomości... Bądź zdrow!

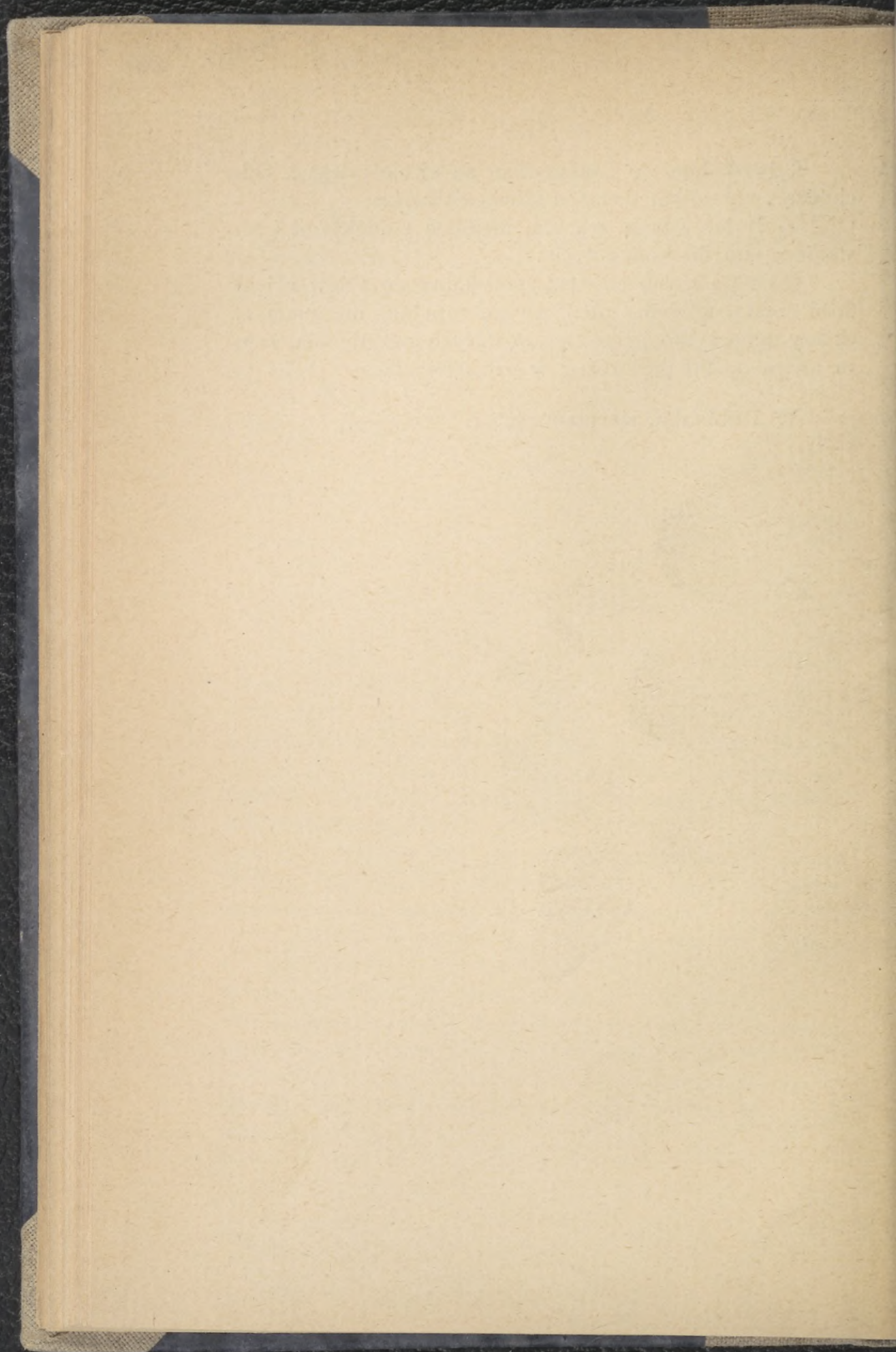
Odwróciłem się i odszedłem na swoje miejsce. Odchodząc, słyszałem drwiące słowa Sewerka:

— Byłeś zawsze waryat, idealista i donkiszot i zostaniesz nim do końca życia.

Od tego czasu, chociaż spotykamy się z Sewerkiem dość często, udajemy obaj, że się zupełnie nie znamy... Cieszy mnie tylko jedno, że on dotychczas nie wie, że za niego dostał pięć różeg w czwartej klasie.

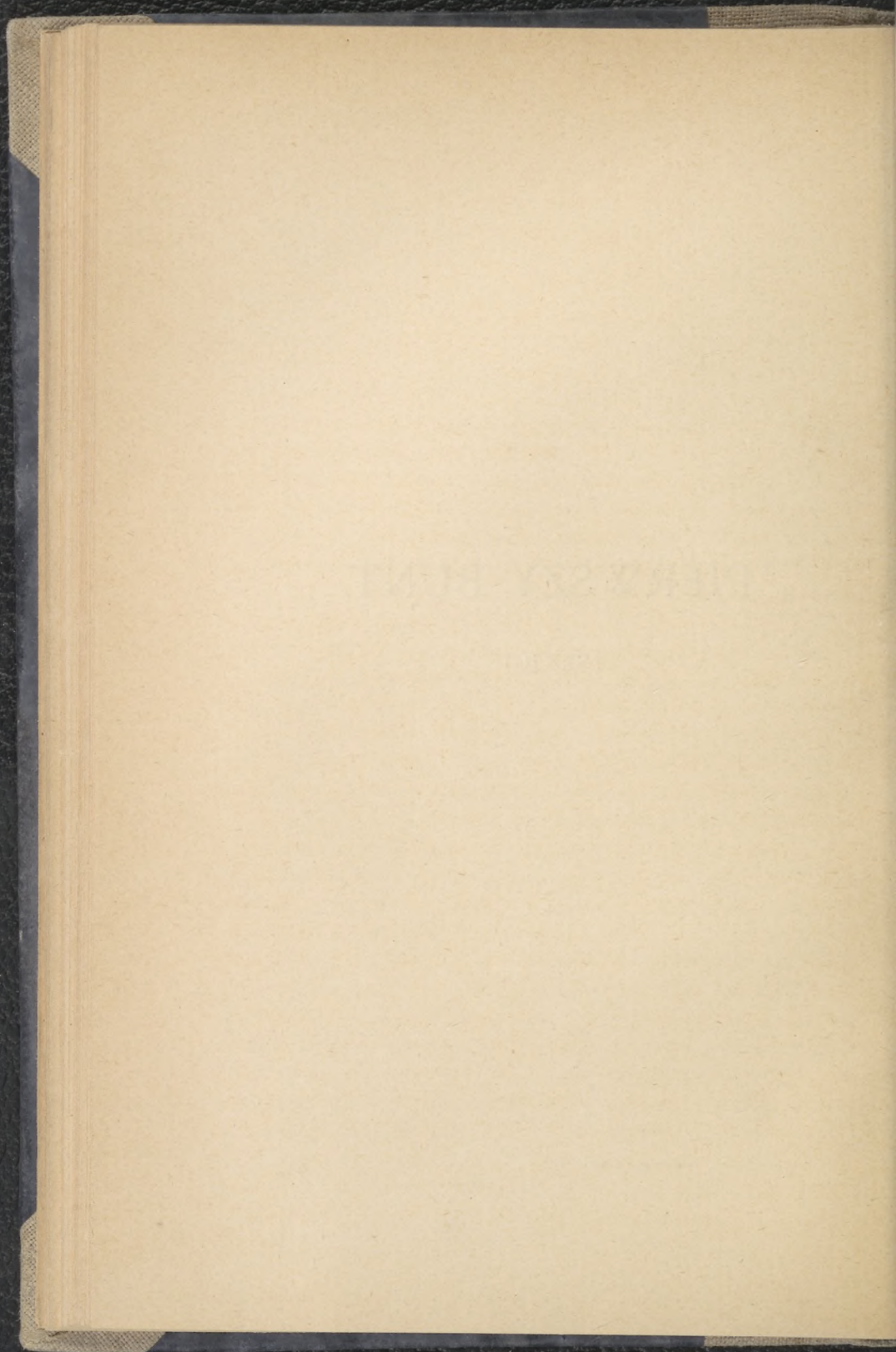
W Dubienku, sierpień 1896 r.





PIERWSZY BUNT

(SZKIC)





czwartej klasie gimnazjalnej nie tego mi się powiodło. Zrobiłem awanturę z profesorem Szajgickim, zostałem skazany na »skórobicie«, ułaskawiony w ostatniej chwili od fizycznego wykonania kary, miałem w zakładzie reputację zaszarganą; moi opiekunowie postanowili przenieść mnie z gimnazjum stanisławowskiego do Lwowa.

Postanowienie to wynikło z porady mego stryja Józefa, który, chociaż nie miałem mu być odbierać mnie z zakładu, w którym cztery pokolenia naszej rodziny pobierało średnie nauki, uważał za stosowne poddać mnie i innym wpływom i wprowadzić w inne otoczenie.

— Chłopak ma dobrą naturę — przedkładał mojej matce — ale jest butny, samowolny i koniecznie potrzebuje rygoru i męskiej ręki.

I wyszukał tę męską rękę. Należała ona do księdza kanonika Trzcinińskiego, który był przełożonym zakładu naukowego dla ubogich chłopaków, powstałego z zapisu jakiegoś dawno zmarłego dobrodzieja. Kanonik miał ze trzydziestu chłopaków »funduszowych«, których wychowywał darmo, a oprócz tego przyjmował zawsze pięciu, sześciu chłopców zamożniejszych, za których rodzice płacili. Byli to przeważnie »psie duchy« — jak ich kanonik nazywał — t. j. kawalerowie o płomiennych głowach, szalonym temperamencie i wichrowatej fantazyi, jednym słowem chłopcy, z którymi nikt sobie

nie mógł dać rady... Tacy »panicze« przyjmowani bywali do zakładu »na reperacyę«... Kanonik słyszał z tego, że umiał poskromić najzuchwalsze natury i dawał sobie radę z najoporniejszymi.

Stryj mój dowiedział się o istnieniu tego zakładu przez kuzyna naszego Józia, którego ojciec po burzliwym życiu, przepędzonym w bezprzestannych wędrówkach po całej Europie, umarł i zostawił syna bez żadnych funduszków... Kanonik przyjął Józia na miejsce funduszowe i wychowywał go bardzo starannie, uważając go za perłę swego zakładu.

Tego Józia wówczas jeszcze nie znałem, a co do samego zakładu, miałem najgorsze przecucia. Przywykłem być już do samowoli, więc burzyło się we mnie wszystko na samą myśl, że ma się znaleźć ktoś, kto mnie weźmie w żelazne kluby i nakaże bezwarunkowe posłuszeństwo. — Pamiętam, że nigdy mi nie było tak ciężko wyjechać z domu, jak wówczas, gdy nas miał stryj zawieźć do zakładu księdza Trzcinińskiego.

* * *

Ciemno było jeszcze zupełnie na dworze; wewnątrz wagonu było słabo oświetlone przesłoniętą lampką: obaj moi bracia spali w najlepsze, rozciągnięci na miękkiej sofie wagonowej, mnie przebudził chrapliwy głos konduktora, wołającego pod samem oknem wagonu »Stare Sioło«. Przetarłem oczy, i starałem się zorientować, gdzie się znajduję, i co się ze mną dzieje. Przypomniałem sobie, że wczoraj studyowałem mapę linii kolejowej, którą mieliśmy jechać do Lwowa i z tych studyów pozostało w mej pamięci, że »Stare Sioło« jest jedną z najbliższych stacyi do Lwowa. Na tę myśl uczułem jakieś niewyraźne drżenie w plecach, coś niby zimny dreszcz mnie przechodził — bałem się poprostu śmiertelnie spotkania z tym strasznym kanonikiem, który na

moją nieokiełzaną dotychczas młodość miał założyć munschuk... Z drugiej strony, ciekawy byłem ogromnie zobaczyć Lwów. Miało to być pierwsze »wielkie miasto«, widziane w mojem życiu. Przedtem znałem tylko Stanisławów i Kamieniec Podolski, a ten ostatni był najwyższym szczytem moich wymagań.

Po kilku minutach przestanku, lokomotywa świsnęła, konduktor zawołał: »fertig! gotów!« i pociąg ruszył w dalszą drogę...

Zasnąć już nie mogłem. Siedziałem kilka minut cicho, wreszcie wstałem i poszedłem do stryja. Popatrzyłem nań — spał doskonale. Zdawało mi się jednak, że poprostu moim obowiązkiem jest zbudzić go teraz, bo za kilkanaście minut będziemy we Lwowie, a przecież trzeba powyciągać pakunki poukładane na szaragach, pobudzić »młodszych chłopców«, w ogóle przygotować się do wysiadania. Pociągnąłem więc stryja za rękaw, zrazu bardzo delikatnie, później coraz mocniej, aż wreszcie otworzył oczy i zapytał niespokojnym głosem:

— Co?... Co się stało?

Odpowiedziałem uspokajająco:

— Nic się złego nie stało... Tylko mineliśmy teraz »Stare Sioło« i zaraz będzie Lwów.

— Dobrze!... Dobrześ zrobił, żeś mnie zbudził — odpowiedział stryj Józef swym serdecznym, nad wszelki wyraz łagodnym głosem, i rozpoczął sam porządkowanie pakunków i zabrał się do budzenia mych braci. Z najmłodszym Ludwikiem to jeszcze jakoś poszło, ale średni mój brat, Kazio, w dzieciństwie sypiał tak twarde, że go można było z łóżkiem wynieść na dziedziniec, nawet urządzaliśmy mu nieraz takie figle w czasie wakacji, więc i stryj i ja namęczyliśmy się do syta, zanim rozbudziliśmy go do tego stopnia, że zrozumiał, iż dojeżdżamy do Lwowa, i wkrótce będziemy musieli wysiadać z wagonu.

Zdawało mi się, że pociąg idzie coraz szybciej; wkrótce pojawiły się pierwsze lampy; wnet potem lamp tych coraz więcej... Setki, tysiące lamp! Skoczyłem pośpiesznie do okna. Widok, który przedstawił się moim oczom, wywołał w duszy szalony podziw. Czegoś podobnego nie widziałem nigdy w życiu. Dziesiątki lokomotyw, krzyżujących się w najrozmaitszych kierunkach, setki ludzi z latarkami w ręku, wykonywających jakieś cudackie znaki... Świst, huk, stuk, sygnały, nawoływania, wszystko razem zmieszane, sprawiło wówczas na mnie wrażenie, że wjechał przynajmniej do przedpiekła... Przerażało mnie to i straszło, lecz równocześnie i pociągało swą wielkością i grozą... Pierwszy raz w życiu byłem na wielkiej stacji kolejowej.

Z tego wszystkiego najmocniej mi utkwilo w pamięci, że z gorączkowym pośpiechem zbierał wszystkie zawiniątka i tobołki, a gdy wagon stanął, tom je gwałtownie wynosił, i przy tej gorączkowej operacji połamałem sobie paznogcie, które przez wakacje pozapuszczałem sobie długie, zupełnie takie same, jak nosił mój kuzyn, Andrzej Pomian. Wypadek z paznogciami sprawił, że nie zwracał już tak bacznej uwagi na to, co mnie na dworcu otaczało, tylko z przykrością spozierałem na palec, pozbawiony tej drapieżnej ozdoby... Zresztą moja czynna rola skończyła się. Posługacze zabrali nasze pakunki, i my idąc krok w krok za stryjem, przeszliśmy cały dworzec, i umieściliśmy się w olbrzymiej dorożce, która na komendę stryja potoczyła się do »hotelu angielskiego«. — Przyznam się, że mi ten »hotel angielski« grubo się był nie podobał. Zawsze słyszałem, że mój ojciec i moja matka, i wuj Ludwik zajężdżali do Żorża... a tu ni stąd, ni z owąd, stryjowi przyszedł nagle koncept jechać do... »hotelu angielskiego«.

— Co to może być »hotel angielski?« — rozmyślałem — pewno jakaś dziura.

Nie mogłem w końcu wytrzymać, i udając z głupia franta, zapytałem stryja:

— A dlaczego my nie zajeżdżamy do Żorża?

Stryj popatrzył na mnie zdziwionym wzrokiem i nic mi na to nie odpowiedział.

— Wuj Ludwik zawsze do Żorża zajeżdża...

Mówiłem dalej przekornym głosem, zirytowany tem, że mi nic stryj na moje pytanie nie odpowiedział. Stryj Józef spojrział na mnie jeszcze smutniej niż zazwyczaj to czynił i odpowiedział:

— Wuj Ludwik jest wielki pan, może robić, co mu się podoba. Zajeżdża do Żorża, chodzi do kasyna, jeździ za granicę, ma angielskie konie... a wy jesteście bardzo, bardzo ubodzy i musicie starać się jak najmniej pieniędzy wydawać, bo i tak biedna wasza matka nastarczyć na was nie może.

Cała ta tyrada stryja Józefa bardzo mi była nie w smak... Prostu przypuszczałem, że on przesadza, albo wprost komponuje... Właśnie mnie się najbardziej to podobało, co widywałem u wuja Ludwika. I ja miałem silną nieprzymuszoną wolę całe życie zajeżdżać do Żorża, chodzić do kasyna, mieć konie i strzelby angielskie i jeździć za granicę... Wuja Ludwika znałem tylko z tych zewnętrznych jego cech i z nich utworzyłem sobie ideał mego przyszłego życia. Później przekonałem się, że wuj Ludwik w gruncie był zgoła innym człowiekiem i inaczej na życie się zapatrywał, niż ja to sobie w swej pustej głowie wykombinowałem.

Wreszcie mimo mego złego humoru, dorożka stanął przed starym budynkiem, noszącym nazwę »angielskiego hotelu«.

— Chociaż na dworze już szarzało, to jednak we wązkich i długich kurytarzach hotelowych było całkowicie ciemno. Kurytarze te i ich rozmiary, przy słabem oświetleniu małej lampki, niesionej przez nocnego stróża,

który nas prowadził do pokoju dla nas przeznaczanego, wydały mi się wprost olbrzymie, niezmierzone... jednym słowem zaimponowały mi.

Cóż to za porównanie do hotelu europejskiego w Stanisławowie — myślałem w duchu — albo do »domu zajezdnego Krajza« w Kamieńcu... Tamto były zwykłe budy dla psów, a to hotel.

Myśl ta zrobiła mi wielką przyjemność, lecz nie na długo, wkrótce bowiem potem pomyślałem:

— A jakież dopiero musi być hotel Żorża, kiedy »hotel angielski« taki ogromny.

I opanowała mnie znowu cicha rozpacz, że stryj taki niegodziwy i nie stanął u Żorża, tylko w jakimś »angielskim hotelu«.

Rozpisuję się o tych uczuciach i wrażeniach z taką dokładnością, bo ona wskazuje, jak wcześniej i z jaką siłą rozwija się w naszych chłopakach próżność i pragnienie naśladowania bogatszych od siebie.

Rozpacz ta nie przeszkadzała mi jednak i w »angielskim hotelu« zasnąć, jak tylko znalazłem się w wygodnym łóżku, i pod ciepłą i miękką kołdrą.

Spałem ze dwie godziny i bardzo niemiłego doznałem uczucia, gdy około dziewiątej godziny stryj mnie zbudził i oświadczył, że trzeba się pośpiesznie ubierać, bo za godzinę musimy już być u kanonika.

Wyszedszy z hotelu, uczułem się zupełnie ogłuszony gwarem »wielkiego miasta«. Wszyscy trzej zbiliśmy się w jedną grupę i szliśmy krok w krok za stryjem, niby stadko przerażonych owiec za swym pastierzem. Któreymi ulicami szliśmy nawet nie mogę sobie dziś przypomnieć. Po niedługiej jednak wędrówce, stanęliśmy przed szarą, dosyć ponuro wyglądającą kamienicą. Uliczka, przy której ta kamieniczka stała, była wązka, smutna i nosiła na sobie niezatarte piętno starożytności; wszystkie domy przy niej były podobne do

tej kamienicy, do której dzwonił mój stryj. Zanim nam otworzono, rozglądałem się pośpiesznie po najbliższych domach, i zauważyłem, że tuż naprzeciw był wielki, kilkupiętrowy gmach, który miał wszystkie okna zakratowane. Widok ten zrobił na mnie nad wszelki wyraz smutne wrażenie — sądziłem, że będziemy mieli w najbliższem sąsiedztwie — więzienie. Później dowiedziałem się, że był to klasztor, w którym wychowywało się kilkadziesiąt pańienek. Pod przygnębiającem wrażeniem, wywołanem widokiem zakratowanych okien, spojrzałem na parterowe okna tej kamienicy, do której właśnie mieliśmy wejść, i — o zgrozo! — zobaczyłem, że miały również grube, silne kraty żelazne... Zdrętwiałem z przerażenia. Nie miałem jednak wiele czasu na rozmyślanie, bo w tej chwili z niemiłym zgrzytem drzwi się otworzyły, a w nich ukazała się wiekowa kobieta, miłej powierzchności, która zwróciła się do stryja z uprzejmem zapytaniem:

— Czy pan dobrodziej do księdza kanonika?

A na potwierdzającą odpowiedź, dodała:

— Ksiądz kanonik jest tuż obok w parlatoryum...

Właśnie mówił, że czeka na jegomości pana z trzema chłopczykami.

— A to właśnie ja.

Kobieta była widocznie rozmowną z natury, bo nie dała nawet skończyć stryjowi rozpoczętego zdania, tylko zaczęła pośpiesznie trzepać:

— Właśnie, właśnie ksiądz kanonik mi mówił...

Mówił, że pan doktor przyjedzie... Ja jestem Komarowa, ochmistrzyni i gospodyni zakładu... Kanonik mówił, że chłopcy są panicze... On się tem turbuje, powiada, że z paniczami kłopot... Co do mnie, to ja wolę chłopców z porządnych obywatelskich domów, bo są grzeczniejsi... Niech Bóg broni, jak przyjdzie porać się z chłopskimi, albo mieszczkańskimi dziećmi... To niewdzięczne dzieci-

ska... Nic dziwnego, ja sama jestem z porządnego, obywatelskiego domu. Mój mąż nieboszczyk, świeć Panie nad jego duszą, trzymał dzierżawę od hrabiny Moriskiej... Dzieciśmy nie mieli, ale za to mam teraz zawsze aż czterdzieścioro. Ot, dola ludzka.

Zatrzymani tym obfitym zlewem gadatliwości pani Komarowej, staliśmy ciągle w drzwiach i stryj ze zwykłą mu uprzejmością słuchał poważnie całej tej tyrady, widząc jednak, że temu nie będzie końca, przerwał starowinie, pytając grzecznie:

— Boję się, że tam ksiądz kanonik czeka na nas, i tak spóźniliśmy się trochę... Niech pani będzie łaskawa wskazać nam, gdzie jest parlatorium.

— Ot, zaraz na prawo, pierwsze drzwi!

Zawołała z ożywieniem i gwałtowną gestykulacją i poszła przodem sama nam drzwi otwierać.

Staruszka ta od pierwszego wejrzenia podobała mi się bardzo i sympatya była wzajemna, bo miałem w niej przez cały czas mego pobytu w zakładzie stałą i dowodną przyjaciółkę i protektorę.

Drugą osobą, którą w zakładzie poznałem, był sam ksiądz kanonik. Postać ta wywołała we mnie zdumienie, bezwiedny jakiś instynktowy szacunek i przestрах. Jeszcze dziś mam go przed oczyma mej duszy, takim, jakim był owego dnia, gdy go po raz pierwszy obaczył. Postać olbrzyma, noszącego na sobie wszelkie cechy surowego ascety. Był to ogromny i barczysty mężczyzna, mierzący co najmniej sześć stóp wzrostu, chudy do tego stopnia, że cienka i przenoszona należycie sutanna wisiała na nim, jak śmiertelne prześciera-dło na trupach, stwarzanych bujną fantazyą malarzy. Twarz sucha, pomarszczona miała ostre zarysy i niczem niezatarty wyraz wysokiej inteligencji, połączonej z wielkim fanatyzmem.

Z przerażeniem patrzyłem w jego szare, zawsze przenikliwe oczy, i czułem, że dzieje się ze mną coś dziwnego, wzroku mego nie mogłem wprost od jego oczu oderwać... Byłem zamagnetyzowany. W takim stanie muszą się znajdować małe zwierzątka ubezwładnione wzrokiem grzechotnika.

Potęga tego uroku prysła, gdy przemawiał, witając się z mym stryjem; głos był zupełnie niestosowny do tej imponującej postaci — mówił piskliwie, trochę szepelił, i robił tym głosem wprost śmieszne wrażenie... Zdawało mi się, że to nie jest jego naturalny głos, że to poprostu maniera.

Powitanie i pożegnanie ze stryjem trwało bardzo krótko. Kanonik od razu zapowiedział, że ma strasznie mało czasu. Odebrał nasze metryki, opłaty za utrzymanie za pierwszy kwartał, i zapowiedział nam krótko a węzłowato:

— Jak tam z waszemi naukami było dawniej, nie chcę pytać... U mnie musi być dobrze... Tu musicie się uczyć i słuchać. Przedewszystkiem słuchać.

Nagle zwrócił się do stryja i zapytał:

— Czy pan doktor nie życzy sobie zobaczyć swego kuzyna Józefa?... Porządny chłopak, chluba zakładu, chciałbym, żeby i ci byli takimi.

Na potwierdzającą zaś odpowiedź stryja, zadzwonił. W drzwiach ukazała się zaszmarowana postać stróża, któremu kanonik tonem komendy wojskowej nakazał:

— Idź na górę, na drugie piętro, do sali rysunkowej i powiedz, żeby mi tu zaraz zeszedł Józef A.

Po kilku minutach wszedł do parlatorium błady i chudy młodzieniec, o zapadłych policzkach i bezkrwistych ustach. Cicho, nieśmiało, podszedł nasamprzód do kanonika i w rękę go pocałował, później to samo wykonał ze stryjem, z tą tylko różnicą, że stryj go serdecznie do piersi przycisnął i w czoło pocałował. Z nami

przywitał się podaniem ręki. Lecz gdym zajrzał w jego poczciwe, jasne i rozumne oczy, tom odrazu zrozumiał, że będę w nim miał przyjaciela i pomoc we wszystkich niepowodzeniach uczniowskiego życia...

Kanonik tymczasem zwrócił się do stryja i wskazując na Józia, z niezwykłym zapałem mówił:

— Ten chłopiec zaszczyt nam przynosi... Zdał maturę z wyszczególnieniem... Teraz zapisał się na wydział prawniczy i równocześnie od pierwszego października będzie służył w wojsku, jako jednoroczny ochotnik... Zatrzymam go w zakładzie aż do ukończenia studyów, ale później niech mu rodzina co dopomoże.

Przerwał nagle, dostrzegłszy, że przy jego słowach Józio oblał się gwałtownym rumieńcem, poklepał go więc protekcyjnie po ramieniu, i rzekł do niego:

— Zabierz tych cybulusów ze sobą... Tak rozlokować... Małego Ludwika na pierwszym piętrze w czwartym pokoju i dać go pod nadzór Grutowskiego... Średniego Kazimierza na drugie piętro, do wolnych piątklaśników, on pilny, uczyć się sam będzie... a tego panicza — tu wskazał na mnie — zaprowadź do repereacyjnego pokoju, będzie tam razem z Dratwowskim, Słomińskim i Pechuniem.

Pechuń ma ich pilnować, żeby ekscesów żadnych nie robili, a ty mi za tego kawalera sam będziesz odpowiadał.

Skończył i popatrzył przenikliwie po nas, jakie jego słowa wywarły wrażenie; po chwili milczenia, dość wymownego, dodał wprost do nas:

— No, pożegnajcie się ze stryjem i marsz na górę! Józef wam wskaże, gdzie macie się udać i powie, co macie robić. On popołudniu zapisze was do szkoły, a jutro zacznie się nauka na seryo. Bądźcie zdrowi.

Pożegnał się ze stryjem i zmusił go prawie, że przed nim izbę opuścił.

Słyszałem, jak zaskrzypiały zardzewiałe zawiasy od wchodowych drzwi, jak je później stróż ze stukotem zamykał i obracał klucz w zgrzytającym zamku... Spojrzałem do okna, były gęsto zakratowane i miały szyby do połowy grubo wapnem zasmarowane. Straszno mi się zrobiło. Chciałem płakać, ale wstyd mi było nowo poznanego kuzyna, przed którym pragnąłem koniecznie uchodzić za bohatera i dzielnego kawalera.

Józef widocznie jednak odgadł, jakie uczucia nurtują w mej duszy, bo zbliżył się do mnie i pośpiesznie, jakby się tego wstydził, chwycił mnie za rękę i potrząsając nią silnie, szepnął:

— Nie bój się! Nie taki dyabeł straszny jak go malują... Patrz na mnie, już dziewięć lat wytrzymałem w zakładzie.

Uściskałem go bardzo serdecznie i pokochałem go odrazu, nie przekonał mnie jednak. Patrząc nań, nie miałem najmniejszej ochoty, żebym wyglądał tak jak on — był strasznie blady i mizerny.

Pod przewodnictwem Józia poszliśmy na górę. Stary Wawrzyn, stróż, niósł nasze kuferki i narzekał przez drogę, że kanonik teraz już jakieś »państwo« do zakładu przyjmuje, które z tak ciężkimi kuframi zjeżdża jakby jakie »rajzendery«. «Szóstka» udzielona Wawrzynowi za ten trud, wprawiła go nagle w tak doskonały humor, że mnie z wdzięczności w rękę pocałował i nazywał »jasnie paniczem«... To »jasne paniczostwo« było pierwszym promykiem, który oświecił mi na mgnienie oka ponurą atmosferę zakładu.

Po odprowadzeniu mych braci do izb dla nich przeznaczonych wprowadził Józio wreszcie i mnie do owego »reperacyjnego pokoju«. Nazywając rzeczy po imieniu była to właśnie izba »poprawcza«. Była ona dość ciemna, bo miała tylko jedno okno, które wychodziło na ciemny dziedziniec i mikroskopijny ogródek

zarośnięty drzewami. Całe umeblowanie tej izby składało się z czterech łóżek, tyłu szafek, tyluż krzeseł i jednego stołu, stojącego po środku... Wszystkie meble były zwykłe graty jodłowe, na biało polakierowane, jak zresztą wszystkie meble w całym zakładzie... Z izby tej wiało smutkiem i pustką. Miała ona pozory celi klasztornej lub kazamaty więziennej.

Przy stole siedziało trzech chłopców zajętych nauką.

Wnet poznałem się z moimi przyszłymi kolegami i towarzyszami.

Pierwszy wysoki, bardzo ładny chłopak, nad wiek wyrośnięty i rozwinięty, już prawie dorosły mężczyzna, bo mu się nawet zaczynały już pokazywać wąsy pod nosem, nazywał się Dratwowski... Był z pochodzenia mieszczaninem lwowskim, ojciec jego jednak jako przemysłowiec dorobił się ogromnego majątku i syna jedyńka zrazu nadmiernie pieścił, a teraz, gdy chłopak brykać zaczął oddał na »reperacyę« do kanonika.

Drugi, Słomiński, był synem, także jedynakiem zupełnie zubożałej szlachcianki, której rodzina bogata dopomagała do życia i wychowania syna. A że chłopak na » Prywatnych stancyach« uczyć się nie chciał i figlował, więc go oddali krewni do kanonika.

Trzeci Pechuń się nazywał i był typowym chłopem ruskim, miał twarz płaską, niskie, zarośnięte czoło, ponure oczy i całą twarz o pochmurnym wyrazie. Pochodził ze wsi należącej do kuratora naszego zakładu, a że miał ponoś wielkie zdolności, więc za protekcją kuratora wychowywał się w zakładzie na funduszowym miejscu.

Pechunia tego odrazu nie lubiłem, a to dlatego, że w pięć minut po naszym poznaniu zwierzył mi się, że pragnie koniecznie, żeby mógł zostać doktorem — »bo doktor — mówił — zbiera najwięcej pieniędzy i to bierze, czy chorego wyleczy, czy mu chory umrze«...

Tego rodzaju interesowność straszliwie mi się była niepodobała i przypomniałem sobie, że stryj Józef chociaż także był doktorem i to bardzo ponoś znakomitym doktorem, to jednak pieniędzy od chorych nie brał, ale jeszcze im na lekarstwa często dawał.

Opowiedziałem to Pechuniowi, a on mi na to nadymając lekceważąco usta:

— Ten twój stryj, to albo bardzo wielki pan, albo też dureń.

Pomyślałem: — pewno, że wielki pan, ale jeżeli mój stryj jest wielkim panem, jakim prawem Pechuń syn prostego chłopca ma prawo »ty« mi mówić. Chciałem mu to nawet nie dwuznacznie dać do poznania, ale nie czułem jeszcze gruntu pod nogami, więc wstrzymałem się od robienia awantury. — Z innymi dwoma towarzyszami prędko przyszedłem do przyjaźni i zażyłości... A choć mi się to odrazu nie podobało, że Dratwowski chce nami przewodzić, to jednak także uczułem, że trudno mi będzie przeszkodzić temu... Przekonałem się bowiem, że Dratwowski miał mnóstwo pieniędzy.

Gdym przy pomocy Józia rozpakował swój kufer i ulokował rzeczy w przeznaczonej dla mnie szafie, Józio jakby przeczuwając, że Pechuń, który głośno się tem chwali, że będzie brał pieniądze i od umarłych swych »pacyentów przyszłości«, nie może być miłym świadkiem przy zawarciu bliższej znajomości pomiędzy trzema wisusami, zesłanymi do »reperacyjnego pokoju« na pokutę i poprawę — skinął na Pechunia i kazał mu pójść »wypytać lekcye« malców, którzy mieli jutro zdawać wstępny egzamin do gimnazyum.

Więc zostaliśmy sami. Chwilę panowało milczenie które pierwszy przerwał Dratwowski, śmiejąc się rubasnie i wołając:

— No, chwała Bogu, już jesteśmy w komplecie...
Die ganze Straßcompanie!

I zwrócił się wprost do mnie z zapytaniem:

— Coś przeszkrobał, że cię tu oddano?... Ten puch paniński — tu wskazał na Słomińskiego — ten płaksa, »vulgo tryndelajs«, jak go w szkole nazywają, gada naprzykład, że on nic nie zbroił i że go familia przez złość i skąpstwo tu oddała... Ja się nie kryję... Stary zmiarkował, że się kocham we Fruzi, pannie służącej hrabiny, która mieszka w naszej kamienicy, żem z Fruzią jeździł do Brzuchowic na majówkę i pijany wróciłem, a że z moim starym pardonu niema, więc mię wytryniał z domu i siedzę tu... No, gadaj, coś ty nabroił, że cię tu oddano? — nalegał natarczywie.

Opowiedziałem mu całe zajście z profesorem Szajgickim i niebezpieczeństwo, które nademną wisiało, wypędzenia z gimnazyum. Nie zataiłem nawet, żem w świadectwie przyniósł stopień z obyczajów nieodpowiedni.

Ten ostatni szczegół zaimponował Dratwowskiemu, słuchając o tem, powtarzał z podziwem i to kilka razy:

— Patrzcie go! Wcale nieodpowiednio z obyczajów!... Bagatela!... No, a ja mam »nienaganne«...

Później przysunął się jeszcze bliżej do mnie i ciekawie mi się przypatrując, mówił:

— Musisz ty być majster nad majstrami, kiedy masz aż »wcale nieodpowiednie«... Albo majster, albo dureń. Pewnoby i mnie byli wylali z gimnazyum, gdyby mnie był jaki belfer spotkał z Fruzią, ale ja nie głupi w takim towarzystwie belferom w oczy leźć... A choćby i spotkał, to byłbym mu powiedział, że to moja ciotka... Wygląda na samą hrabinę, to nie jest żaden dla familii despekt, może być Dratwowska z domu!...

Podczas tej przemowy starszego towarzysza, Słomiński patrzył nań jak w tęczę, tak, że to wreszcie musiało zirytować Dratwowskiego, bo zawołał porywczo:

— Czego się ty, puchu marny, we mnie wpatrujesz... Czegoś oczy wybałuszył, jak wół na słońce... Coś

ty wart, to ja wiem. Tchórz, baba, puch marny i w dodatku goły jak kij, szustki przy duszy nie masz... Ot teraz chcę się przekonać, jaki ten drugi, co mi go dyabli na towarzysza tej niewoli nadnieśli.

Nagle, jakby przypominając sobie, zapytał:

— A pieniądze masz?

Wydobyłem portmonetkę i zacząłem obliczać swoje kapitały... Był dukat od babuni, było pięć reńskich od ciotki Anielki i rubel srebrny od panny Anny i kilka guldenów od mamy; w pierwszej chwili wstyd mi było przed tym despotycznym Dratwowskim, że mu tak mało pokazałem, ale kiedy dostrzegłem, że on z pewnym szacunkiem na te pieniądze spoziera, to nabrałem animuszu i szepnąłem:

— Mam nadzieję, że mi jeszcze co z domu przyszlą.

— To kiepska nadzieja — przerwał mi drwiąco — mogą ci przysłać i tysiące, a ty z tego nic nie powąchasz... Kanonik sam listy odbiera, a pieniądze zabiera do swej dyspozycji — może ci porachować za miesiąc utrzymania... Zresztą ty dość masz i jak tylko będziesz szanować i nie pomarnujesz na głupstwa, to ci na długo wystarczy.

Wracający Pechuń przerwał nam tę poufną pogawędkę... Dratwowski spostrzegłszy go, nachylił się do mnie i szepnął:

— A przed tym murgą nie wydaj się, że masz pieniądze, bo jak to zwącha, to będzie mańczył, zebrał, prosił, a jak nie wyżebrze, to ukradnie... Ja go już znam, zresztą inni mi to mówili, ci co tu siedzieli z nim tamtego roku.

Skończywszy mówić, usiadł przy stole i wziął do ręki książkę, udając, że się pilnie czyty, kiwał się przytem nadzwyczaj zabawnie i udawał modlącego się żyda.

Słomiński również pograżył się w jakiejś książce, a ja kończyłem układanie mych drobiazków w szafie.

Tak milcząc, doczekaliśmy się pierwszej godziny i sygnału, wzywającego do obiadu.

Poszedłem na pierwszy obiad w zakładzie.

W długim bardzo a wąskim i trochę przyciemnionym pokoju, stało dwa stoły przez całą długość pokoju. Przy jednym z nich na naczelnem miejscu siedział już kanonik, a chłopcy lokowali się każdy na przeznaczonym sobie miejscu. Mnie wskazał miejsce Józio, pomiędzy moimi towarzyszami, Dratwowskim i Słomińskim.

Kanonik odmówił uroczyście modlitwę, a wnet po jej skończeniu zjawiły się dwie olbrzymie baby, niosąc pod komendą pani Komarowej, tace pełne głębokich talerzy tłustego rosołu z makaronem...

Rosół mi nie smakował, był za gęsty, jakiś ciemny i pływały po nim ogromne »oczka« żółtego, roztopionego tłuszczu. Nie wiedziałem sam, czy brać się do jedzenia, czy nie. Wahanie to dostrzegł Słomiński i nachylając się do mego ucha, szepnął:

— Jedz!... Będziesz głodny, będzie tylko mięso gotowane i jakieś pierogi lub kluski, a na kolację kasza... Zresztą kanonik jak zobaczy, że nie jesz, to sobie to zapamięta i później dokuczać ci będzie od paniczów i delikacików...

Usłuchałem mądrej rady, zrazu szło mi to nie tego, uczuwałem jakiś wstręt, wnet jednak przezwyciężyłem go i zjadłem cały talerz z apetytem.

Przy sztukamięsie poznałem po raz pierwszy, że jestem »protegowanym« pani Komarowej. Sama podała mi talerz sztukamięsa z kartoflami, a dwa kawałki znajdujące się na talerzu, były omal, że nie lepsze niż te, które podała samemu księdzu kanonikowi. Z przykrością jednak dostrzegłem, że moim dwom sąsiadom dostały się porcy o wiele gorsze niż moje, prawie najgorsze. Zjedli je jednak z ochotą i nawet nie narzekali. Uczułem nagle obawę, że oni dla mnie powezmą nie-

chęć za to protegowanie mnie przez gospodynię... To też zaraz po skończonym obiedzie, gdy znaleźliśmy się sami w pokoju, wytłumaczyłem obu, że zupełnie nie starałem się o łaskę pani Komarowej i nie mam najmniejszego wyobrażenia, skąd do niej przychodzi.

Na to obaj śmiać się serdecznie zaczęli a »puch« zaczął żartobliwym tonem:

— »Pani Komarowej łaska na pstrym koniu jeździ«.

— Zobaczysz, co za ochłap da ci ona jutro lub pojutrze... Zobaczysz — wołał Dratwowski.

— U niej co dnia inny faworyt — przerwał mu Słomiński, śmiejąc się.

— Cicho! puchu marny... Twoje psie prawo milczeć, kiedy starszy gada... Rozumiesz! — poczem zwrócił się Dratwowski do mnie i tłumaczył: Ja o wszystko się rozpytywałem. Otóż ta Komarowa to ma bzika małego... Miała jakiegoś siostrzeńca, czy coś podobnego, tu w zakładzie i ten umarł przed pięciu laty na szkarlatynę, a teraz upatruje sobie od czasu do czasu, że któryś z zakładowców do tego siostrzeńca jest podobny i temu daje lepiej jeść i otacza go swą opieką i protekcją, ale to bardzo krótko trwa, bo najczęściej po kilku dniach przychodzi do przekonania, że się pomyliła i cofa swą sympatyę, ażeby nią zaraz drugiego obdarować... Nie ciesz się więc zbytecznie tym faworem.

Pechunia nie było w pokoju, widocznie »ćwiczył« przyszłych kandydatów do nauk klasycznych, więc mogliśmy jakiś czas swobodnie rozmawiać. Z tego skorzystał Dratwowski, ażeby się do dna wygadać. Nasamprzód wyciągnął dosyć gruby pugilares i otworzywszy go, wysypał na stół pięć dziesięcioreńskowych papierków i kilka sztuk drobniejszej monety i wskazując na nie rzekł:

— Pokazuję ci to, ażebyś wiedział, że twoich pieniędzy nie potrzebuję, bo mam dość swoich... Nadawała

mi ich ciotka Agnieszka, nim z domu mnie stary wywioził. Ciebie pytałem się, żeby wiedzieć, jak z tobą żyć i na co sobie możemy pozwolić... Marnować pieniędzy nie możemy, ale człowiek jakoś żyć musi. Jutro idziemy do szkoły, to ja już postaram się wieczorem wyprawić dla was »przyjęcie«, a później na ciebie przyjdzie kolej.

— A cóż zrobimy z Pechuniem? — zapytałem z przestraczem.

— Pechuń aż palce będzie oblizywał.

— Ja do przyjęcia nie należę — zawołał porywczco Słomiński — zdradzić was nie zdradzę, ale nie mogę korzystać z waszych specyałów, bo sam nie mam zaco przyjęcia sprawiać... Wiesz Zych, że mam tylko dwa guldeny, a te mi potrzebne na marki, bo do matki co tygodnia pisuję listy.

— Tara - ra - ra - ra - bum - bum! — zawołał Dratwowski, którego Puch nazwał Zychem. — Gadaj, gadaj, jak katarynka... Ot bohater, ot męczennik, ktoś musi wiedzieć, że ty tylko dwa blaty majątku całego posiadasz... Będzie przyjęcie, to będziesz jadł, pił, bo mnie się tak podoba. Od ciebie nikt przyjęć nie wymaga, bo każdy wie, że grosza przy duszy nie masz... Moskał ma — zaczął mnie Moskałem nazywać, ponieważ z Podola rosyjskiego przybywałem — i ja mam... Ty nie masz, to tobie damy, a Pechunia darmo karmić i poić musimy, bo inaczej zarazby do kanonika dał znać... Sprawa skończona!... Apelacyi niema!

I pograżył się znowu w przypatrywaniu się literom trzymanej w ręce książki i kiwaniu się na krześle jak żyd na szabasie... Po chwili, jakby przypominając coś sobie, szepnął mi do ucha:

— Tylko ty z Pechuniem o przyjęciu ani słowa nie gadaj, już go sam obrobię.

Wkrótce potem wszedł Józio i oznajmił mi, że kanonik już załatwił formalności zapisania nas do gimna-

zyum, a teraz polecił, żebyśmy wszyscy trzej pod przewodnictwem Józia poszli do miasta i tam pokupowali sobie niezbędne rekwizyta szkolne, na zakupno których stryj u Józia zostawił pieniądze.

Po załatwieniu sprawunków poprowadził nas Józio na wały i na Wysoki Zamek, gdzie nagapiliśmy się do syta na wystrojonych panów i panie, na błyszczących oficerów, popisujących się wierzchowymi końmi i na wspaniałe ekwipaże... Wszystkiego tego nigdy w życiu nie widziałem i wydawało mi się to czemś tak niezwykłym, tak czarującym, że po prostu nie wiedziałem, czy mi się to śni, czy widzę to wszystko na jawie.

Przed wieczorem powróciliśmy do domu. Wracałem uszczęśliwiony i rozbawiony i byłem zupełnie kontent, że mnie z brudnego, małego Stanisławowa przeniesiono do tak wspaniałej stolicy. Przez drogę rozmawiałem z Józiem długo i szeroko. Obiecałem mu, że będę się uczył doskonale i sprawował nienagannie, żeby tylko choć dwa razy na tydzień wziął mnie z sobą na spacer i pokazał tak cudowne rzeczy, jak te, które dziś widziałem. Józio rozmawiał ze mną z wielką serdecznością i zupełnie tak, jak z człowiekiem równym mu wiekiem i stanowiskiem, tem mnie ujął najzupełniej.

W mojem ówczesnem pojęciu on, jako przyszły słuchacz uniwersytetu, prawnik, ukończony maturzysta, był czemś tak wyższem odemnie, iż nie mogłem wyjść z podziwu, że on tak poufale ze mną rozmawia. Dawał mi różne praktyczne wskazówki co do zachowania się w zakładzie i nauczył mnie jednego sekretu, który okazał się nadzwyczaj korzystnym dla mnie w bardzo niedalekiej przyszłości.

— Kanonikowi nigdy nic nie odpowiadaj — mówił — gniewa się on, ty spuść głowę i milcz, ani pary z ust nie puść... Choć jesteś niewinny, nie usprawiedliwiał się. On jest niecierpliwy, ale sprawiedliwy w grun-

cie rzeczy, choć się na razie zirytuje, to jak go się nie drażni, przeburzy się prędko i wnet zapomni...

Słuchałem go z uwagą i notowałem w swej pamięci te wszystkie nauki.

— Patrz na mnie — mówił dalej — od trzeciej klasy nigdy w skórę nie dostałem, chociaż moi koledzy brali i w piątej i w szóstej.

— Brali! — zawołałem z przestraszeniem.

— A brali — odpowiedział uśmiechając się — ale niech cię to tak nie przestrasza... Kanonik teraz zfolgował w rygorze i uczni z wyższego gimnazjum bardzo rzadko każe na zydłu przeciągać... Chyba coś nadzwyczajnego który zbroi... I to raczej woli wypędzić niż bić w skórę.

Nie bardzo mnie ta nowina pocieszała, nie miałem zupełnie pewności siebie, czy czasem »czegoś nadzwyczajnego« nie zbroję.

Do zakładu przyszliśmy już zmierzchem... Gdym się znalazł w naszym pokoju, ani Zycha, ani Pucha nie było w nim; poszli do ogrodu, gdzie się znajdowała huśtawka i przyrządy gimnastyczne i wszyscy »zakładowcy« używali »świeżego powietrza«.

W pokoju siedział tylko Pechuń, pogrążony cały w nauce. Gdym wszedł i pozdrowił go, podniósł głowę, spojrzął na mnie niechętnym okiem, mruknął coś pod nosem i znowu zaczął powtarzać trygonometryczne formułki. Po chwili złożył ze złością książkę i zawołał:

— Dyabeł powymyślał tę matematykę... Na co się to komu przydało, a musi się tego człowiek uczyć, bo bez tego matury nie zda.

Po takim zagajeniu rozmowy, przypatrywał mi się dość nieufnie i robił na mnie takie wrażenie jakby nie wiedział zupełnie co ma dalej mówić. Nagle, jakby decydując się na stanowczy krok, zapytał mnie z niezwykłą szorstkością:

— A masz ty szczotki do butów?

Popatrzyłem na niego z najwyższym zdziwieniem w oczach.

On rozśmiał się zjadliwie i mówił:

— Nie masz co na mnie oczu wytrzeszczać... Ja na seryo się pytam, czy masz szczotki do butów... Tu wszyscy sobie sami buty czyszczą.

Jakiś szatan zaczął się budzić w mej duszy i wszystkie dobre zamiary, które miałem w czasie rozmowy z Józiem, zniknęły w jednej chwili. Zagryzłem ze złości usta i zawołałem:

— Nigdy butów sam nie czyściłem i tu nie będę!

— To będziesz chodził w nieczyszczonych.

— Będę chodził w nieczyszczonych.

— A jak kanonik zauważy — szepnął Pechuń ironicznie — co będzie?

— Nic!

— Eh nic, nic, tylko na pierwszy dzień śniadania nie dostaniesz, drugi raz obiadu, na trzeci pójdziesz na całą niedzielę do »chłodnej izby«, a na czwarty raz za upór... Mociumdzieju... w skórę... Tobie może dadzą na dywanie, boś pono ze szlachty... Tak przynajmniej Józio o sobie gada... z dożów weneckich, czy królów arabskich.

Wściekłość mnie ogarniała, nad którą z trudnością mogłem do czasu zapanować... Zacisnąłem pięści i spozierając nań złowrogo, szepnąłem:

— Milcz, bo jeżeli cię pobiję, to sam będziesz winien.

W moim wzroku i sposobie mówienia, było widocznie coś tak groźnego, że mój Pechuń od razu zmienił sposób postępowania, uśmiechnął się po przyjacielsku i szepnął:

— Nie masz się czego gniewać... Ja żartuję.

— Piękne mi żarty!

— Żarty jak żarty — przerwał mi — ale buty tu każdy musi sobie sam czyścić... Dla mnie to nie jest za-

den trud ani dyshonor... Ot z Dratwowskim jużem zrobił umowę, czyszcę mu buty, a on mi w szkole na przerwie, dwie bułki kupuje... Ja ciągle głodny... Nic dziwnego, człowiek pracuje jak wół... Ta matematyka, niech ją dyabli porwą... A sztubaków ucz! Co?... Zje człowiek wieczorem małą miseczkę kaszy — próżno w brzuchu.

Przerwał znowu, jakby namyślał się, co ma dalej mówić. Skorzystałem z tej przerwy, a ponieważ już ochłonałem zupełnie z gniewu, który był mnie tak niespodzianie opanował, chciałem kilku słowami złagodzić poprzednie uniesienie... Rzekłem więc:

— Przepraszam cię, żem się uniósł.

— Nic nie szkodzi — odpowiedział.

Sprawa między nami była na razie skończona, udo-bruchałem się zupełnie i zacząłem go pocieszać, że znowu z jedzeniem nie jest tak źle, jak inni mówili.

— Ja naprzykład — mówiłem — po dzisiejszym obiedzie, zupełnie nie jestem głodny, i od biedy obszedłbym się bez kolacyi.

Nagle twarz Pechunia rozjaśniła się, jakimś pełnym szczęśliwości uśmiechem i z radością zawołał:

— Oto właśnie chodzi!... Wy panicze mniej jeść potrzebujecie... Macie pańskie żołądki... A ja mam zwyczajny chłopski... Muszę go napchać po same gardło... Ty na początek pewno masz zaco to i owo na »przerwie« kupić... Odstąp mi swoją kolacyę a ja ci będę co rana buty czyścił.

— Zgoda! — zawołałem.

Interes został załatwiony w kilku słowach, ku uciesze obu interesowanych stron.

Spytałem go tylko, czy kanonik nie będzie miał nic przeciw takiej transakcyi. Na to uśmiechnął się lekceważąco i oświadczył, że kanonik nigdy do wieczery nie przychodzi, bo sam nic na noc nie jada i tylko temu

szczegółowi należy zawdzięczać, że tego rodzaju interes jest możliwy do zrobienia.

Zwierzania te zostały przerwane odgłosem dzwonka, wzywającym nas do wieczerzy. Idąc po schodach do jadalni, rozmyślałem nad tem, że jednak nie popełniłem nic kary godnego, bo i bez owej rekompensaty pod postacią czyszczenia butów, byłbym odstąpił moją porcję Pechuniowi, który jest ciągle taki głodny, że »wytrzymać nie może«.

W jadalni Zych z uśmiechem ironicznym przypatrywał się, jak Pechuń z wilczym apetytem zjadł za jednym zamachem aż dwa pełne talerze kaszy hreczanej z mlekiem. Co do mnie, to zupełnie nie żałowałem zrobionego »interesu«, bo kasza ta nie wzbudzała we mnie całkiem apetytu; była bardzo ciemna i tak lepka, że ze wstrętem na nią spoglądałem.

Gdyśmy po wieczerzy szli na górę, Zych wziął mnie pod rękę i zapytał poufale:

— Co? Już cię Pechuń oszwabił... Powiedz, co ci ma dać lub zrobić za tę kolację!

Opowiedziałem mu pokrótce treść naszej umowy.

Na to on kręcąc głową, rzekł:

— Okpił cię, bo tu jest zwyczaj, że za codzienne czyszczenie butów daje się kolacya co drugi dzień... Ale mniejsza z tem, na tę kolację daje Komarowa takie świństwa, że pies by tego nie jadł, więc mała strata.

Zamilkł na chwilę, a po namyśle zapytał:

— Czy nie jesteś bardzo głodny?

— Nie! — odpowiedziałem smutnym głosem, choć w rzeczy samej głód uczuwałem należyty.

— No, no, tylko się nie ceremoniuuj... Mam na górze kawałek salcesona i bułkę, to ci dam zjeść, bo w nocy z głodu spać nie będziesz... A jutro pogadamy, jak mamy nasze gospodarstwo urządzić... Jutro ja wam wytoczę przyjęcie.

Po godzinnej może nauce, przy której Zych więcej kiwał się na krześle, niż czytał, usłyszeliśmy sygnał wzywający do gaszenia światła i udania się na spoczynek. Mieliśmy przed sobą kwadrans czasu na uporządkowanie książek i rozbieranie się. Byliśmy wszyscy czterej w pokoju, w sąsiedniej sali rysunkowej nikogo już nie było; z tej chwili skorzystał Zych, ażeby ułożyć i ogłosić konstytucję naszego pokoju — kontrakt socyalny — jak to z emfazą nazywał.

— Słuchajcie — mówił — musimy ułożyć warunki, na jakich tu w tym pokoju razem żyć będziemy... To jest dość trudna rzecz, bo istnieją pomiędzy nami ogromne różnice majątkowe... Ja mam i będę miał najwięcej pieniędzy... Moskał ma mniej, ale zawsze ma tyle, że mu na porządne życie wystarczy, jeżeli nie będzie marnował na głupstwa... Puch niema prawie nic... No, a Pechuń nietylko że nic niema, ale potrzebuje dwa razy tyle jeść i pić co każdy z nas.

Na taki początek ja i Słomiński milczeliśmy, tylko Pechuń coś ponuro mruczeć zaczął.

— Pechuń nie mrucz! — zaczął znowu mówić Zych. — Ja tobie tego nie wymawiam, że ty nic nie masz, a jeść dużo potrzebujesz, to nie twoja wina... Chcę tylko jasno sprawę pomiędzy nami postawić... Ty masz łaskę kanonika i mógłbyś nam szkodzić i nawet bardzo, gdybyś chciał być »fagasem« i donosić na nas każde głupstwo... Słuchaj! ja ci robię propozycję. Co tygodnia raz ja, raz Moskał urządzimy »przyjęcie« i z tego przyjęcia możecie i wy obaj korzystać, to jest i ty Pechuniu i Puch. Ale za to jeżeli każdy z nas kupi sobie co i będzie jadł na codzień, to wam obu nic do tego i rozumie się, że nie śmiecie żaden donosić o tem kanonikowi, bo naturalnie przyjęcia ustana, a wy będziecie gryźli własną łapę.

Pechuń z najwyższą radością zgodził się na takie *pacta conventa*. Puch zaś oświadczył kategorycznie, że do przyjęć nie będzie należał, bo niema zaco sam przyjęcia sprawiać. Skończyło się znowu na tem, że Drajowski go nałajał i powiedział, że taki »drobiazg« niema rezonować, tylko słuchać i wypełniać, co »starsi« uradzili i postanowili.

Dyskusya była skończona, mieliśmy zatwierdzoną konstytucyę, którą, co prawda święcie dopeñnialiśmy i nie było ani jednego wypadku zdrady lub obejścia konstytucyi.

Gdyśmy byli już wszyscy trzej w łózkach, Pechuń zgasił lampę i boso poszłapał do swej pościeli.

Tak upłynął pierwszy dzień mego życia w zakładzie... Zasnąłem spokojnie.

* * *

Na drugi dzień do dnia, bo ciemno było jeszcze zupełnie, uczułem, że ktoś mnie targa gwałtownie za rękę. Otworzyłem oczy i spojrzałem. Józio stał nademną i robił wprost nadludzkie wysiłki, żeby mnie rozbudzić z twardego snu.

— Wstawajże nareszcie — wołał — zanim się ubierzesz i umyjesz, to kanonik przyjdzie, a jak cię nie zastanie już przy stole uczącego się, to będziesz miał odrazu u niego *malam notam*.

Przetarłem oczy i ziewnąłem przeraźliwie, tak głośno, że odrazu Zych i Puch serdecznie śmiać się zaczęli. A Zych pierwszy zawołał:

— Słuchajcie, jak Moskał ziewa... Czysty niedźwiedź! Nieprawda?

Koncept ten i mnie rozśmieszył i rozbudziłem się całkowicie. Wyskoczyłem pośpiesznie z łózka i w tej chwili spostrzegłem, że Pechuń już zupełnie ubrany do pokoju wchodził. W jednej ręce niósł ręczną lampkę,

a w drugiej moje, wyczyszczone, jak szkło błyszczące trzewiki. Omal, że nie ucałowałem go w tej chwili, a wyraziłem mu moje podziękowanie w najgorętszych słowach.

— Nie masz za co dziękować — odrzekł ponuro — nie dla twojej przyjemności to robię, ale dla kolacyi, którą mi odstałeś... To mój obowiązek.

Mycie i ubieranie poszło mi bardzo prędko i nim kanonik nadszedł, siedziałem już uczesany, wzięwszy pierwszą lepszą książkę, która mi się pod rękę nawinęła i kiwałem się na krześle zawzięcie, tak samo, jak to robił Zych. Myślałem przytem o dzisiejszym wstępie do »lwowskiego« gimnazyum i o tem jakich tam będę miał kolegów i profesorów.

O kwadrans na siódmą, pod przewodnictwem kanonika weszliśmy do jadalni na śniadanie i przyznam się, że duża filiżanka ciepłego mleka, a dobra i świeża bułka, tak mi smakowały, jak największe specyały świata.

Do szkoły poszliśmy każdy z osobna, podług klas i zakładów naukowych, do których byliśmy zapisani. Ja z Puchem byliśmy w piątej klasie bernardyńskiego gimnazyum... Razem z nami szli do szkoły i Zych, który był w szóstej, i Pechuń siódmo-klasista tego gimnazyum. Oprócz nas »Ober« gimnazyalistów, chodzili do tego samego gimnazyum i malcy z niższego gimnazyum, ale z tymi towarzystwa nie trzymaliśmy i oni w zupełnie oddzielnej grupie odbywali te spacerki.

Co do szkoły, to nie znalazłem zbyt rażącej różnicy pomiędzy gimnazyum stanisławowskiem a lwowskiem. Tylko nauczyciele byli bardziej modnie poubierani i między uczniami było daleko więcej elegancyi, przynajmniej jedna trzecia uczniów była tak postrojona, jak mój przyjaciel i kolega Pstrągowski, który wprost podziw, zazdrość, a nierzadko i zgorszenie wzbudzał w Stanisławowie swą elegancyą i pańskimi strojami.

Koledzy przytem nie lgnęli tak do człowieka, jak w Stanisławowie, niektórzy nawet mówili nam »pan«, z takim akcentem, jakby się bali, żeby który z nas nie odważył się im »ty« powiedzieć... Były to ponoś oznaki »wyższej cywilizacji«.

Kazano mi usiąść w trzeciej ławce. Na prawo obok mnie siedział Puch, a na lewo miałem sąsiada, do którego od pierwszej chwili uczułem nadzwyczajną sympatyę. Nazywał się on Stefek Browski, a koledzy go powszechnie przezywali Stalfem. Z jakiego powodu to imionisko przykleiło się do Stefka — tego nigdy nie mogłem dojść. Oprócz Stalfa, zaprzyjaźniłem się jeszcze z Nagorskim, dobrym i nadzwyczaj zabawnym chłopakiem, którego znowu przezwano »fizykiem« z powodu jego zamiłowania do nauk przyrodniczych. — Obaj moi nowi przyjaciele byli tak niepodobni do siebie, że można ich było uważać wprost za przeciwne bieguny ludzkich kształtów. Stalf, był stworzony na model dla rzeźbiarza i malarza. Piękniejszego chłopca nie zdarzyło mi się w życiu spotkać. Doskonale zbudowany, posiadał kształty młodocianego Apollina, a twarz miał poprostu cheruba. Pamiętam, że gdy on kiedykolwiek, wychodząc ze szkoły, odprowadzał nas jaki kawałek drogi do domu, to kobiety stawały w zdumieniu na ulicy i pożerały go wzrokiem. Spojrzeń tych ani Stalf ani ja nie rozumieliśmy zupełnie, dopiero doświadczony Dra-twowski wytłómaczył nam ich znaczenie. Fizyk przeciwnie, był mały, gruby, przysadkowaty, o ogromnej kudłatej głowie i pełnych wyrazu mądrych i poczciwych oczach. Ci dwaj koledzy najbardziej mi do serca przy-padli i najdłużej w mej duszy pozostało o nich wspomnienie.

Pierwszy dzień »szkoły« przeszedł tak monotennie, jak miały później miejsce inne. O ósmej zaczęły się nauki, o jedenastej się skończyły. Wróciliśmy na obiad,

aby o drugiej znowu pójść do szkoły a o piątej powrócić do zakładu.

Gdyśmy po piątej wracali do domu, to Zych zatrzymywał nas kilka razy na ulicy i kazał na siebie czekać, a sam wstępował do różnych sklepów. Do mnie mrugnął kilka razy znacząco i szepnął, że robi sprawunki na dzisiejsze »przyjęcie«.

Pechuń znać wiedział doskonale, do czego to zmierzają, lecz nic nie oponował, tylko uśmiechał się słodko i cichaczem oblizywał swe tłuste, czerwone wargi.

Wszystko to razem sprawiło, że z niecierpliwością oczekiwaliśmy sygnału na gaszenie światła i przepisowy spoczynek.

O składzie »przyjęcia« byłem powiadomiony pierwiej niż inni, bo Zych, gdy wrócił do naszego pokoju, skinął na mnie, żebym przyszedł do jego szafy, przy której on coś manipulował. Poszedłem i ze zdziwieniem zobaczyłem, że on z kieszeni swego paltota wydobywał cały kram wiktuałów... Była tam nasamprzód duża flaszka jakiejś czerwonej nalewki, na której widniał herb Pilawa i wyraźny napis »likier wanilowy«, później był długi kawałek doskonałej kiełbasy, cały plik pokrajanej szynki, kawałek salcesona, pudełko sardynek i kilkanaście grubych papierosów...

— Ale musiałeś wydać sumy bajońskie — zawołałem z przerażeniem!

Zych uśmiechnął się lekceważąco i rzekł niby od niechcienia:

— Głupstwo! Wszystko razem kosztuje dwa blaty i dwadzieścia dwa krejcary. Rachuj tylko: likier sześćdziesiąt centów, szynka i salceson pięćdziesiąt, kiełbasa pięćdziesiąt, sardynki czterdzieści dwa, papierosy dwadzieścia... No musisz dodać jeszcze szóstkę, którą dałem Pechuniowi, żeby nam do tego bułek przyniósł, których już nie miałem gdzie zmieścić.

O godzinie dziewiątej razem ze wszystkimi pokładaliśmy się spać. Pechuń zgasił lampę i wkrótce zapanała cisza grobowa w całym zakładzie. Tak przeleżeliśmy pewno z pół godziny. Pierwszy ruszył się Pechuń, szepcząc do Zycha:

— Już można zaczynać, wszyscy śpią.

— To pal mandrylu światło — odpowiedział Zych. Słyszałem, że Słomiński ciężko oddychał, a mnie serce biło głośno, przyznam się dziś otwarcie, ze strachu.

Niezgrabny Pechuń wygramolił się z łóżka, zapalił ostrożnie ręczną lampkę i powtarzając co chwila: »cicho, cicho!« rozkładał na stole wyciągane z pod poduszki bułki...

Tymczasem wstał z łóżka i Zych, na nogi wdział czerwone haftowane pantofle, przedmiot naszej zazdrości, ubrał się w przenoszoną zarzutkę, która mu służyła za szlafrok i z wielką powagą wy dobył z szafy, nasamprzód spory kieliszek, a później wszystkie zapasy, które mi przedtem pokazywał.

Pechuń spozierał na to ze zdumieniem i zapominając o nakazywanej przez siebie ciszy, zawołał:

— Takiego »przyjęcia« od kiedy zakład zakładem, to tu jeszcze nie było nigdy.

— Cicho, mandrylu! — huknął mu w ucho Zych. — Pewno, że ty na takim jeszcze nigdy nie byłeś, ale będziesz teraz często, bo ci Pan Bóg dał z panami mieszkać w jednym pokoju...

Później zwrócił się do nas dwóch, którzy jeszcze ciągle w łóżkach leżeliśmy:

— No wylądźcie, niemowlęta!... Każdy dostanie po równej części, ale tak niekrajanego na stole stawiać nie można. Pechuń zjadłby za minutę wszystko, a my nic.

Wylazłem wreszcie z łóżka, aby wziąć udział w tem pierwszym przyjęciu. Przyznam się otwarcie, że uczuwałem strach paniczny przed tem, co miało się robić.

Kiełbasa, szynka, sardynki — myślałem — to głupstwo!... Ale ten likier, te papierosy! Co to by było, jakby się tu nagle kanonik zjawił.

Czułem, że popełniamy wielkie nadużycie, czyn, za który nietylko dostalibyśmy wszyscy w skórę, ale z całą słusznością moglibyśmy z zakładu wylecieć... Patrzyłem uważnie na mych towarzyszy. Puch musiał myśleć tak samo jak i ja, tylko tak samo był za słaby i po prostu nie umiał się Zychowi sprzeciwić... Zych zaś sam i Pechuń nie mieli nawet najmniejszego pojęcia, że robią coś złego, uważali, że wszystko jest w porządku i oni zupełnie są uprawnieni do »urządzania przyjęć«.

Podczas, gdy oddawałem się tym psychologicznym refleksyjom, Zych pokrajał kiełbasę na cztery równe kawałki, to samo zrobił z salcesonem i porozdzielał każdemu po równej części kawałków szynki. Poukładał to na stole, mówiąc:

— Każdy ma po równej części... Sardynek nie rozdzielam, ale powiadam z góry, że jest w pudełku ośm ryb, to każdy może wziąć po dwie... No a teraz Moskał w twoje ręce.

Rzekł, zwracając się do mnie i nalewając pełny kielich czerwonego płynu; wypił go jednym haustem, jakby to zupełnie nie było dlań nowością.

Wziąłem drżącą ręką od niego pełny kieliszek i naśladowując go z całą ścisłością, połknąłem za jednym zamachem, całą zawartość... Płyn nie był zły... Co prawda był trochę za słodki, ale wówczas właśnie dlatego smakował mi bardzo.

Po mnie wypili Puch i Pechuń.

Po nalaniu czterech kieliszków Zych popatrzył do światła na zawartość flaszki i z pewnością doświadczonego człowieka, rzekł:

— Poszła piąta część... Wystarczy na każdego jeszcze po cztery... No bierzcie się do jedzenia.

Uczuwałem, że jakieś dziwne ciepło rozchodzi się nagle po całym moim organizmie... Krew mi obficie do głowy napływała i zaczynało mi się robić jakoś niezwykle... Z apetytem zabrałem się do szynki i bułki. Pechuń z łapczywością pakował kielbasę, tak, że mu wydymała policzki i robiła jego i tak płaską twarz krótszą jeszcze niż zwykle... Słomiński i Dratwowski spożywali należne im sardynki na bułce.

Drugi kieliszek wypiliśmy wszyscy z doskonałym animuszem. Przy trzecim Puch zakrztusił się fatalnie. W pięknych jego ciemno-szafrowych oczach pokazały się łzy, ale twierdził uparcie, że »to nic«, i że on tak samo pić potrafi jak i inni. Ja znowu uczuwałem, że mi się coś zaczyna podsuwać od żołądka do piersi, uczuwałem przy tem nieprzepartą ochotę zaśpiewania rusińskiej piosnki »Jichaw kozak z za Dunaja«, tylko myśl o tem, że mogą inni nasi sąsiedzi z drugiego piętra usłyszeć i tu przyjąć, powstrzymywała mnie od wykonania tego zamiaru... Wiedziałem i to, że zaledwie połowę przypadającej na mnie porcyi byłem wstanie zjeść, a resztę grzecznym ruchem odsunąłem przed Pechunia, i on to spałaszował w mgnieniu oka.

Pamiętam i to, że wszyscy razem, nie wyjmując i Pechunia, zaczęliśmy głośno i bardzo energicznie perorować, przerywając jeden drugiemu. Przedmiotem tych tyrad były stosunki rodzinne i świetności domu każdego z nas.

Pechuń jeden tylko nic nie gadał o świetności domu, tylko zaciskał pięści i krzyczał, że choć jego ojciec z cepem na pański tok chodzi, ale on zato będzie wielkim panem, zdobędzie fortunę większą niż ją ma sam jaśnie wielmożny kurator i pokaże ludziom, co z chłopą być może.

Puch rozmarzonym nadzwyczaj i na pół sennym głosem wołał:

Moja matka niema grosza... Ja nie mam grosza. Ja szczur kościelny... Ale Słomińscy senatorski ród, herbu Kierdeja... Choćbym w szpitalu miał umierać, to nie zapomnę o tem, że moi dziadowie byli wojewodami i kasztelanami.

— Cha, cha, cha! — śmiał się na to Dratwowski. — Co mi twoje kasztelaństwo, kiedy masz podarte buty... U mnie szyld, firma »Dratwowski i Syn« więcej znaczą niż dziesięć herbów... Ty rozumiesz, że teraz jest tylko Dratwowski, to znaczy mój stary, Hilary Dratwowski, a jak ja dorosnę, to będzie Dratwowski i Syn... Ty wiesz, że weksel mego starego więcej znaczy, niż weksel samego księcia Sapiehy... Memu staremu każdy bank da sto tysięcy guldenów na jeden podpis... Ty to rozumiesz Puchu... Czy wy to rozumiecie?... Sto tysięcy na jeden podpis.

Ja znowu rozwodziłem się nad tem, że mój wuj, Ludwik, ma angielskie konie i bażantarnię, a nie wspominałem zupełnie, że mama musiała odprawić klucznicę, bo wystarczyć w żaden sposób nie mogła... Wśród tej gwarliwej rozmowy, która tylko w ten sposób nie pobudziła naszych towarzyszy, że nasz pokój był oddzielony od innych sypialni, aż dwiema salami naukowemi, Zych zaproponował wypicie czwartego kieliszka likieru. Zgodziliśmy się na to z ochotą.

Po wypiciu czwartego kieliszka Puch miał już zupełnie dość. Machinalnym ruchem wziął ze stołu papierosa, a zapaliwszy go, pochylił głowę i puszczając gęsto dym przed siebie, zaczął rzewnie płakać. Mówił przy tem bez ładu i składu:

— Podły świat! Głupi świat!... Belfry są psy, familianta uszanować nie umieją... Co mi tam firma! Co mi tam znaczy »Dratwowski i Syn!« Wy wiecie, że mój dziad był kasztelanem Mińskim... Moja babka Ligenzianka z domu!... Rozumiecie to Ligenzianka z do-mu...

Mówiąc to, podniósł raptownie głowę w górę i zakrzuszył się nieznacznie.

Zych patrząc nań, zaczął się śmiać i wołał:

— Ty Puchu marny!... Po czterech kieliszkach już jesteś gotów... Niema z kim pić.

Na to Puch wyprostował się z największym wysiłkiem, twarz mu okropnie pobladła, rzucił niedopalony papieros w kąt i zawołał:

— Tak, tak! Ligenzianka z domu... Proszę pana Dratwowskiego nie ubliżać mi... Bardzo... pro-szę.

I zakrzuszył się po raz drugi.

Pechuń znać doświadczony już w podobnych wypadkach ze zręcznością i szybkością dzikiego czerwono-skórca chwycił miednicę i podstawił ją pod usta Pucha, wołając:

— No, wal na miednicę, bo jak powalasz podłogę, to jutro będzie bal z kanonikiem...

Zaczęła się morska choroba.

Zych śmiał się jak szalony, dogadywał nieszczęśliwemu chłopakowi i przedrzeźniał go bez przestanku. Pechuń jak doświadczony posługacz chorych w mgnieniu oka pozacierał wszystkie ślady choroby i podawszy biednemu Puchowi szklanekę zimnej wody, ułożył go w łóżku... Za kilka chwil słyszeliśmy nierówne a głośne chrapanie naszego towarzysza.

— Niema z kim gadać — zakonkludował Dratwowski. — Choć on się chwali, że z kasztelanów pochodzi, ale nie może i za prostego szlachcica... No dokończmy butelki — i znów nalał po kieliszku...

Choć uczuwałem nieprzewyciężony wstręt do wypicia tego kieliszka, to jednak wstyd mię było przed Zychem przyznać się do tego... Zmusiłem się do wypicia go... Czułem, że pokój cały kręci się ze mną, że głowa Pechunia przybiera coraz potworniejsze kształty. Milczałem, bo nie byłem pewny, czy nie zacznę ga-

dać jakichś głupstw bez sensu i związku... Uczuwałem wprost nienawiść do Pechunia i Zycha, że mnie doprowadzili do takiego stanu... Jednym słowem nabierałem całkowitej samowiedzy, że jestem kompletnie pijany... Zdarzyło mi się to pierwszy raz w życiu i w głębi duszy wstydziłem się tego okropnie.

Pamiętam, że Pechuń z troskliwością drobiazgową zacierał wszystkie ślady choroby Pucha i całą miednicę wyniósł gdzieś z pokoju, a po chwili wrócił z zupełnie czystą... Mnie tymczasem rozbierać zaczynała niezwykła jakaś senność, głowa mi ciężła.

Pałiłem papierosa i natężyłem się, żeby słuchać i rozumieć słów Zycha, który opowiadał mi ze szczegółami swoje stosunki domowe, srogość ojca, piękność Fruzi... Ale tego wszystkiego nie byłem w stanie uporządkować w mej pamięci... Spać mi się chciało. To też, jak tylko Pechuń pochował i posprzątał wszelkie ślady przyjęcia, położyłem się spać.

Zrazu było mi całkiem dobrze. Wkrótce jednak uczułem jakieś dziwne i dokuczliwe gorąco w piersiach i głowie... Zdawało mi się przytem, że cały świat kręci się ze mną w szalonym wirze, że łóżko jedzie ze mną w górę, w górę aż pod sam sufit, to znowu zapada się poniżej podłogi. Uczuwałem przy tem jakieś nieznośne nudności... Odbiło mi się raz i drugi. W ustach uczułem smak wanilowej wódki, pomieszany ze smakiem wędlin. Zrozumiałem teraz, co mi grozi i z całą przytomnością zawołałem:

— Pechuń, daj miednicę!

Mandryl zerwał się w jednej sekundzie i szepcząc: »spodziewałem się tego«, podsunął mi miednicę.

Wychorowałem się należycie, a tylko sprawności Pechunia zawdzięczam, że kanonik nie dowiedział się o tej orgii.

Pamiętam, że zasypiałem słuchając słów Zycha:

— Wszystko durnie, dzieci... Niema z kim wypić!
Na drugi dzień obudziłem się blady i głowa mnie okrutnie bolała. Puch wstał podobny do nieboszczyka. Zych miał krwią nabiegłe policzki i zaczerwienione oczy. Jeden tylko Pechuń wyglądał jak zwykle i twierdził, że bardzo by był rad, żeby takie przyjęcie co wieczora się odbywało.

Było ono jednak pierwszym i ostatnim. Zych zdecydowawszy, że niema z kim pić — pił sam. Zawsze miał flaszkę z likierem w szafie i tylko w rzadkich wypadkach za specjalne zasługi udzielał czasem Pechuniowi po kieliszku czerwonego płynu.

Ja nabrałem takiego wstrętu do wódki i tytoniu, że kilka lat potem nie mogłem go być przewyciężyć.

Na drugi dzień Józio baczenie mi się przypatrywał, ale nic nie mówił i dotychczas nie wiem, czy domyślał się, co było przyczyną mej ówczesnej bladeści.

Od owego wieczora Zych mnie i Pucha zaczął lekceważyć i »nie chciał się z nami wdawać«. Przyjaźnił się tylko z Pechuniem.

* * *

Tak jednostajnie, bez zmiany upływały nam dni i tygodnie. Sprawiało mi to pewną przykrość, miałem pretensję uchodzić już za całkiem dorosłego człowieka, tymczasem Zych z całą słusnością w oczy i mnie i Puchowi mówił, żeśmy smarkacze, nie dorośli zupełnie do męskich przyjemności... Martwiło mnie to, ale znowu nie miałem najmniejszej ochoty składać nowe dowody przed Zychem, żeśmy już dorośli — przed takimi dowodami uczuwałem strach paniczny.

Taka zupełna obojętność ze strony Zycha trwała ze dwa tygodnie. Po upływie tego czasu, wracając ze szkoły, wziął mnie pod rękę i szedł tak, rozmawiając całkiem po przyjacielsku. Zrobiło mi to przyjemność,

choć znowu nie robiłem sobie z tego zbyt wiele... Zawsze Dratwowski był dla mnie Dratwowskim, choć miał dużo pieniędzy, bardzo elegancko był ubrany, był co się zowie tężyzną.

Zych rozmawiając ze mną obojętnie, stanął na rogu ulicy, przed rozlepionymi afiszami i nagle oczy zaświeciły mu z niezwykłym blaskiem.

— Patrz — zawołał — dziś grają w teatrze »Piękną Helenę«.

Popatrzyłem na afisz, najwyraźniej stało wydrukowane: »Piękna Helena, opera komiczna Offenbacha«. Słyszałem dawno, że taką operę grywano w Paryżu i we Wiedniu, że młodzi panowie nią się zachwycali, a starsze panie uważały ją za szczyt zepsucia i upadku moralnego. Pomimo tego miałem okrutną ochotę zobaczyć na scenie tę piękną Helenę.

Zych widocznie także medytował nad tem, jak się dostać do teatru, ale że on był »człowiek praktyczny«, to też umysł jego pracował odrazu nad wynalezieniem praktycznych sposobów, aby zadosyćuczynić naszej zachciance.

Po przejściu kilkunastu kroków nachylił się znowu ku mnie i szeptem zapytał:

— Czy ty dobrze żyjesz ze starym Wawrzynem?

Odpowiedziałem mu, że nasze wzajemne stosunki z Wawrzynem są zawsze jak najdoskonalsze, że nawet dałem mu już coś ze dwa razy po sześć centów na paczkę tytoniu.

— To doskonale! — zawołał z ożywieniem Zych. — To damy mu dziś dwie »szóstki« i on nas wypuści do teatru, a później znowu wpuści do zakładu, tak, że nikt nie będzie wiedział... Pechuniowi sprawię dziś bal, żeby nic nie gadał.

Zaczęła się we mnie walka wewnętrzna, bałem się straszliwie, żeby się ta eskapada, bądź co bądź bardzo

niebezpieczna, nie wydała, z drugiej strony paliła mnie ciekawość zobaczenia na scenie »Pięknęj Heleny«. Przypominałem sobie wówczas, co za efekt wywarł daleki nasz kuzyn Oleś Topolski, który był w przeszłym roku we Wiedniu i później opowiadał w sąsiedztwie o przedstawieniu »Pięknęj Heleny«... Wszyscy najbardziej eleganccy młodzi ludzie zazdrościli mu tego szczęścia, tylko ksiądz proboszcz i starsze panie gorszyły się temi opowieściami niesłychanie. Kilka słów zachęty podsuniętych zgrabnie przez Zycha, zdecydowało mnie zupełnie. Postanowiłem bądź co bądź pójść dziś do teatru. Zabłądzić tam nie obawiałem się zupełnie, bo Dratwowski zapewniał mnie, że w teatrze jest tak jak u siebie w domu.

— Znam tam każdy kącik — twierdził — nawet za kulisami bym nie zabłądził, ale tam niema pogo gimnazystom chodzić, bo nawet chórzystki nie patrzą się na człowieka, jeżeli która nie zobaczy bransolety co najmniej za trzydzieści blatów... Zresztą z niemi nie warto się zachodzić, bo po największej części chude i stare, a pretensye ogromne.

Pertraktacye moje z Wawrzynem poszły doskonale, dałem mu całe trzydzieści dwa centy, ażeby sobie kupił »wielką paczkę tureckiego« i otwarcie mu powiedziałem, żeby nas obu wypuścić o wpół do siódmej, a czekał około dziesiątej, i jak zastukamy do bramy, żeby nam otworzył. Wawrzyn zrozumiał plan nasz doskonale, projekt ten nawet wzbudził w nim pewne uszanowanie i oświadczył mi: »że zdawności, jeżeli jakie tu panicze bywali, to zawždy do tyjratru chodzili«.

Zych był uradowany z rezultatu moich układow z Wawrzynem i odrazu zaczął się przystrajać do teatru. Byłem przykro zdziwiony, gdym zobaczył jak się przybrał mój towarzyszn na tę wyprawę. Ubrał najbardziej znoszone ubranie, zrudziały, połamany kapeluszn i ową połataną narzutkę, którą używał zamiast szlafroka. We-

dług mego przekonania człowiek, idący na przedstawienie »Pięknej Heleny«, powinien ubrać na siebie najpiękniejsze stroje, jakie posiada. Ze zdziwieniem więc zapytałem Zycha:

- Cóż ty za maskaradę robisz?
- Tak ma być — odpowiedział.
- Jakto?... W dziurawej narzutce.
- A tak! — i zaczął się śmiać.

Cierpliwości mi nie stawało i zacząłem rozpytywać się na seryo, o powody tego dziwactwa.

On śmiał się ciągle i śmiejąc się odpowiedział:

— Cóż ty sobie myślisz, że ty tam furorę zrobisz swoim granatowym paltotem.

Oburzyło mnie tak widoczne lekceważenie mego nowego paltota, to też ze złością odpowiedziałem mu:

— Pewno lepszy od twej narzutki.

— Uspokój się — rzekł mi na to już poważnie — i sam weź jakąś starą kurtkę... My musimy iść na najwyższą galeryę, na sam »paradyz«, żeby nas kto nie poznał... Wiem, że na »Pięknej Helenie« nie będzie kanonika, ale może być mój stary, lub który z belferów, a jakby poznał to byłaby bieda... Uczniom pod żadnym warunkiem na »Piękną Helenę« chodzić nie można. Rozumiesz teraz, dlaczego się tak przystrajam.

Zrozumiałem.

— Zresztą — mówił dalej — wmięszamy się pomiędzy samych szewczuków i terminatorów, to trzeba być podobnie do nich ubranym.

Poszedłem za jego radą i tak obaj zamaskowaliśmy się, że mógł nas kanonik spotkać tuż za bramą, a pewno by nas nie poznał, tylko wziął by nas na pewno za dwóch uliczników.

Tylko to mnie gryzło okrutnie, że na przedstawienie »Pięknej Heleny« szedłem tak fatalnie ubrany. Postanowiłem sobie jednak, za powrotem do parafii, gdy

będę opowiadał o tym wypadku, nie dotykać zupełnie kwestyi mego stroju.

Najkrytyczniejszą chwilą owej wyprawy było przebycie głównych drzwi zakładowych. Na szczęście poszło nam to dziwnie gładko. Zeszliśmy wraz ze wszystkimi niby na wieczerzę, a gdy inni poszli do jadalni, my zostaliśmy w kurytarzu dość słabo oświetlonym, cichaczem podkradaliśmy się do wchodowej bramy, była ona już otworzona, a dyskretny Wawrzyn stał opodal i dawał nam znaki, że przejście wolne. Wyszliśmy.

Doznałem dziwnego, trudnego do opisania wrażenia. Zdawało mi się, że umknąłem z więzienia. Z ciekawością przypatrywałem się tłumowi ulicznemu, wśród którego znaleźliśmy się odrazu. Trzymałem się za poję Zychowej narzutki i doznawałem całkiem słusznej obawy zgubienia się wśród ciemnych zaułków i gęsto snującej się różnorodnej publiczności.

Wiele razy zbliżaliśmy się do latarni, to nasuwałem kapelusz na oczy i podnosiłem kołnierz od starej kurtki, w obawie, żeby mnie kto nie poznał, chociaż zastanowiwszy się nad tem, mogłem być zupełnie spokojny, bo bardzo mało było wówczas ludzi we Lwowie, którzy mnie znali.

Niewiele czasu upłynęło, zanim stanęliśmy u podjazdu Skarbkowskiego teatru. Ruch tam panujący, karety, powozy, ugalonowani lokaje, postrojone panie, wysiadające z powozów, razem wszystko wzięte, zrobiło na mnie tak olbrzymie wrażenie, że stanąłem milczący i zacząłem się gapić. Dopiero silne pociągnięcie za rękaw, obudziło mnie z tego oszołomienia. Zych spoglądał na mnie i śmiał się serdecznie. On był już z tem ostrze-lany i żadnego to na nim nie robiło wrażenia.

— Ależ ty rurał prawdziwy — zawołał. — Jak się będziesz tak gapić, to zgubisz się w tłumie i w teatrze nie będziesz i do zakładu nie trafisz.

Mówiąc to, wziął moją rękę i wsadził ją w kieszeń swej narzutki.

— Trzymaj się mnie — zawołał — idziemy do kasy... Tam natłok... Pamiętaj żebyś się nie puścił. Ja sam kupię bilety, później mi oddasz.

I zaczęliśmy się przepychać do kasy. Zych z efronterą i zuchwalstwem prawdziwego łobuza ulicznego, rozpychał wszystkich łokciami... Ustępowali mu się nawet starsi i porządniej ubrani panowie, bo miał pozór ulicznika, z którym zwada niebezpieczna. Dopchaliśmy się wreszcie do kasy, gdzie Zych kupił dwa bilety. Gdy miał już je schowane w kieszeni, zawołał, zwracając się do mnie:

— No teraz ruro do barszczu, bierz nogi za pas i jazda do góry na paradyz.

Ci, którzy nas otaczali zaczęli się śmiać serdecznie z Zychowego konceptu, a nawet jakiś pan poważnie wyglądający, zawołał głośno:

— A to jakaś cięta jucha!... — Ten się nie da zjeść w kaszy.

Mijaliśmy piętro po piętrze, aż ta nieskończona wędrówka znudziła mi się nalezycie. Wszedłszy nareszcie na tę nieszczęśliwą galeryę, zastaliśmy ją pełnięsienką, chociaż kurtyna była jeszcze spuszczone. Publiczność, którą tam ujrzałem nie zachęcała mnie do uczęszczania na teatralne widowiska — była poprostu odrażająca — ordynarni, nierzadko pijani czaladnicy, włączęgi z ulicy. Postrojone pretensjonalnie ale nad wszelki wyraz niesmacznie kucharki i ulicznice najgorszej kategorii stanowiły główne tło tej publiczności.

Zych jednak i tu nie stracił rezonu. Kazał mi się znowu trzymać swego rękawa i roztrącając na prawo i na lewo i nie szczędząc dobitnych epitetów, doprowadził mnie do balustrady... Tam dopiero odetchnął ciężko i zawołał:

— No nareszcie!

Później zaś szepnął, ale całkiem po cichu:

— Popatrz tam na dół, na balkon pierwszego piętra... Tam powinniśmy siedzieć i tam będzie kiedyś nasze miejsce, jak się z pod kanonika i belferów oswobodzimy.

Muzyka grała najświeższy wówczas walc: *Nur für Natur*. — Zych zaczął w takt muzyki kiwać głową i nogą wypukiwać, za nim zaczęli inni to samo robić, na galerii zapanował hałas trudny do opisania.

— Chłopcy! — zawołał Zych do otaczających nas czeladników — jak punkt o siódmej godzinie nie podniosą »mapy«, to zrobimy »serenadę«.

— Dobrze, zgoda — odezwało się naraz kilkanaście głosów — zrobimy im serenadę.

Inni zaczęli się bardzo ciekawie przypatrywać Zychowi i szeptać:

— To jakiś tegi numer!... Co on za jeden?

Pytanie rosło coraz bardziej i nabierało siły, wreszcie z ust kilkudziesięciu najbliższych sąsiadów wydobyło się naraz równobrzmiąco:

— Co ty za jeden?

— Pośrednik — odparł Zych poważnie.

— Z jakiego interesu? — huczał tłum.

— Stręczę mieszkania.

— Jak się nazywasz.

Zych w tej chwili podniósł rękę w górę i zawołał:

— Siódma bije!... Mapa spuszczoła... Panowie dobieście głosy, zaczyna się serenada.

I w jednej chwili galeria zatrzęsała się od wrzasku piekielnego, drgało tu od tupania nogami, a najrozmaitsze piskliwe i rozbite głosy, składały się na koncert godny przedśionka piekielnego.

Z niższych pięter odezwały się sykania i gesty, nakazujące milczenie, nic one jednak nie pomagały, prze-

ciwnie podrzęgały jeszcze gwałtowność »serenady«. Dopiero ukazanie się stróża bezpieczeństwa z mosiężnym półksiężycem na piersiach, przywróciło spokój.

Zresztą i tak galerya byłaby się uspokoiła, bo kurtyna wkrótce się podniosła i całą uwagę publiczności wchłonęły w siebie sparodyowane postacie klasycznej starożytności.

Słów śpiewu nie byłem w stanie słyszeć, tylko nuta pełna rozpasania dochodziła do mego ucha i budziła w organizmie jakieś straszne piekące prądy. Tego, co się działo na scenie, także dokładnie dojrzeć nie byłem w stanie, kopeć wzrok mi osłabiał, a pot kapiący z czoła oczy zalewał. Nie mogłem rozróżnić co było trykotem a co nagością... Wyobraźnia dopomagała wzrokowi i z góry zdawało mi się, że te wszystkie kobiety, były prawie całkowicie nagie, okryte zaledwie lekką gazą. Serce mi biło gwałtownie, a ręką schwyciłem ramię Zycha i pocałem je gwałtownie, kurczowo ściskać.

On pocałował znowu śmiać się po swojemu i szepnął mi do ucha:

— A co, ruro morska, warto dać trzy szóstki za bilet, żeby być na takim greckim balu... Z tego z pewnością będziesz miał lepsze wyobrażenie o Grekach niż z Iliady.

Później nachylił się jeszcze niżej i ledwie dosłyszalnym głosem mówił:

— Patrzaj, ta, co gra piękną Helenę, wcale nie jest taka cnotliwa jak myślisz... Jak będę współnikiem firmy, to musi być moją kochanką, choćby się stary Dratwiarz złościł jak buldog... Wiem, że ona dobrze żyje z paniczami.

Nie wiem skąd mu na myśl przyszło, że ja miałem piękną Helenę za cnotliwą... Wiem tylko to, że w głowie mi huczało i krew warem po żyłach krążyła i miałem chwilami dzikie, waryackie instynkta, wpaść jak

huragan na scenę, schwycić w swe objęcia jedną z tych nagich kobiet i zginać w szalonym uścisku... Szatan zmysłowości budził się we mnie z nadzwyczajną gwałtownością...

Nie wiem jak długo trwało przedstawienie. Od sceny oczu oderwać nie byłem w stanie, nie patrzyłem ani na łoże, ani na balkony, myśl moja i żądza przykutą była do sceny. Gdy w międzyaktach zapadała kurtyna, to wpijałem w nią me oczy, jak pijak w butelkę, stojącą na wystawie sklepowej, której kupić nie jest w możności, i z niecierpliwością czekałem rozpoczęcia nowego aktu.

Przedstawienie skończyło się. Bezwiednie chwyciłem się rękawa Zycha i szedłem za nim ślepy, głuchy, zupełnie oszołomiony.

W głębi duszy rozumiałem już doskonale przyczynę, dlaczego władze szkolne uczniom zabraniały wstępu na takie »sztuki«. »Piękna Helena« upoiła mnie daleko niebezpieczniej, niż »likier waniliowy«, tem niebezpieczniej, że po upiciu się likierem nabrałem doń wstrętu nieprzewyciężonego, a te »nagie boginie« ciągnęły mnie ku sobie jakąś dziwną magnetyczną siłą.

Znalazłem się na ulicy, chłód nocy wrześniowej objął mnie ze wszech stron, a jednak nie zdołał ostudzić w mej piersi gwałtownego, erotycznego pożaru, wzbudzonego tem przedstawieniem Offenbachowskiej operety... Wieluż chłopaków spłonęło w takim pożarze?

Zych był w doskonałym humorze, sypał żartami i dowcipkował, zaczepiał przechodniów i kpił ze mnie, na nic się jednak to nie zdało, nie byłem w stanie otrząść się z dziwnego stanu, w jaki mnie pogrążyło to przedstawienie. — Dopiero oprzytomniałem, gdym się znalazł u bramy zakładu.

Zych zbliżywszy się do bramy, zastukał trzy razy cicho i dyskretnie, był to umówiony znak z Wawrzy-

nem, na który miał nam bramę otworzyć... Niestety nie słyszeliśmy żadnego ruchu, żadnej odpowiedzi.

— Upił się szelma i spi — szepnął gniewnie Zych, i zastukał po raz drugi, ale już trochę silniej.

Znowu głucho milczenie.

Zastukał po raz trzeci — nikt się nie zjawił.

Skamienieliśmy ze strachu. W tej chwili zapomniałem o »Pięknjej Helenie«, o trzech boginiach, o całym świecie, a stanęło mi jasno przed oczami, że będę musiał nocować na ulicy, jutro rano wykluczą mnie z zakładu i z hańbą największą odeszłą do domu... Co Zych myślał, nad tem nie zastanawiałem się nawet, wiem tylko, że go nienawidziłem w tej chwili i przeklinałem moment, w którym go poznałem. Rozpacz mej ukochanej matki, gniew opiekunów, uprzytomniły się w mym umyśle z błyskawiczną szybkością i z przestraszającym realizmem. — Myśli moje zostały przerwane przygłuszo-
nym, pełnym wściekłości okrzykiem Dratwowskiego.

— Niech piekło pochłonie twego przekłętego Wawrzyna... No i czegoż stoisz jak słup soli, czy myślisz tu pod bramą ranku się doczekać? To musi być sztuczka kanonika... No gadaj!

Milczałem jak zaklęty.

— Gadajże! — wołał, szarpiąc mnie za rękę. — Co tobie głupstwo!... Twoje baby i twoja szlachta opiekunowie głowy ci nie urwą, choć cię kanonik wytrzy-
ni z zakładu. Oni do tego przywykli. Ale mój stary wydziedziczy mnie, jak amen w pacierzu, i dyabli wezmą wszystkie piękne projekta... No chodź! Sprobujemy te-
raz innej drogi.

I poszedł, pobiegł prawie naprzód, ja biegłem za nim jak źrebię za kłaczą.

Przebiegliśmy jakieś kręte uliczki i zaułki, aż znaleźliśmy się na dość obszernym placu zupełnie ciemnym, pod murem wysokim na dwa mniej więcej łokcie?

Tu Zych stanął i wskazując mi mur zapytał:

— Wydrapiesz się tam?

Odpowiedziałem potakująco.

— No, to czekaj tu!

Mówiąc to podskoczył i rękoma uchwycił się za szczyt muru, za chwilę ze zgrabnością kota wywindował resztę ciała w górę i siadł na murze jak na koniu.

— No, teraz drap się ty — szepnął.

Wyteżyłem wszystkie siły i również znalazłem się na górze.

Zych odetchnął i szepnął mi w ucho:

Połowa zrobiona. Spuszczaj się po murze w dół...

Tam nasz ogród, ale cicho się sprawuj.

Do muru przypierały stare drzewa, więc »jazda na dół« była o wiele łatwiejszą.

Byliśmy w ogrodzie.

Skradając się jak koty, podeszliśmy do drzwi wiodących z kurytarza na ogród... Niestety były również zamknięte.

Zych nie stracił przytomności, miał snąć dar oryentowania się w niebezpieczeństwie. Obejrzał się więc na wszystkie strony, a dostrzegłszy wśród cienia nocnego otwarte drzwi od drewnitni, której dach dosięgał galeryi pierwszego piętra, szepnął mi znowu do ucha:

— Leż za mną!

Zaczęło się karkołomne drapanie na galeryę, połączone wprost z niebezpieczeństwem śmiertelnego wypadku w razie najmniejszego poślizgnięcia się nogi.

Przewyciężyliśmy jednak i tę przeszkodę i z radością odkryliśmy, że drzwi z galeryi na kurytarze pierwszego piętra były otwarte. Weszliśmy na kurytarz i skradając się krok za krokiem, przeszliśmy schody na drugie piętro i weszli do ogromnej sali naukowej. Tam było trochę widniej, bo latarnia z ulicy oświecała w części tę pustą salę... W około panowała głucha cisza. Bez

przeszkody minęliśmy i drugą salę »rysunkową« i znaleźliśmy się w naszym pokoju, i tu panowała niczem nie zmacona cisza.

Zych przerwał ją pierwszy, wołając ledwie dosłyszalnym głosem:

— Pechuń! Pechuń!

Na to odezwał się szept Pechunia:

— Pst! cicho! chodźcie tu.

Zbliżyliśmy się do jego łóżka. Wówczas on szepnął:

— Chodźcie tu bliżej do mnie i cicho, cicho, na miłość boską!

— Co się stało takiego? — zapytał wzruszonym głosem Zych.

— Co?... Nic się jeszcze nie stało — odpowiedział Pechuń. — Tylko kanonik coś zwał. Dziś on ma kolację u arcybiskupa, a mimo to wpadł, w pięć minut po waszem wyjściu, do jadalni i zapytał gdzie wy jesteście... Ja byłem zgłupiał zupełnie i byłbym wydał, ale na mnie nie patrzył, a Józio, który nic nie wiedział, powiedział mu, że musicie być na górze... Kazał na was uważać i wyszedł, bo bał się spóźnić do arcybiskupa... Klucze od Wawrzyna zabrał i zakład zamknął od nadworu... Jestem prawie pewny, że za półgodziny spadnie tu i zrobi »nocny przegląd«... Wasze szczęście, żeście się nie spóźnili... A którzyście się dostali?

— Przez mur — odpowiedział wesoło Zych, który znowu nabrał animuszu i ze zwykłym u niego cynizmem dodał — teraz kanonik niech psa w nos całuje... Boję się tylko, żeby się nasza moskiewska rura ze strachu nie rozchorowała.

Tymczasem jużem się był rozebrał i udawałem że śpię snem kamiennym, choć serce biło we mnie jak młotem.

Po chwili i Zych był w łóżku i wszystko było w porządku.

Pechuń jednak nie omylił się w swych przypuszczeniach. Około godziny dwunastej dały się słyszeć ciche kroki i światło ręcznej latarki uderzyło mnie w oczy. Przez na wpół rozchylone powieki ujrzałem atletyczną postać kanonika, który oglądał wszystkie łóżka. Gdy się zbliżył do Zycha, ten udając zaspanego, zapytał z całą bezczelnością:

— A kto to?

— Spij! spij — odpowiedział kanonik.

A po chwili dodał:

— Dlaczegoście nie jedli wieczerzy?

Zych z najzimniejszą krwią odpowiedział:

— Nie byłem zupełnie głodny, a miałem dużo na jutro się uczyć.

Kanonik jeszcze go pochwalił za pilność i poszedł sobie dalej. — Tak minęło straszne niebezpieczeństwo, które jednak sprawiło, że stracił pociąg do robienia wycieczek na teatralne przedstawienia.

* * *

Chociaż za nic bym się już nie zdecydował na tak karkołomną ekspedycję, postanowiłem nigdy nie dać się Zychowi namówić na nową wycieczkę do teatru, jednakże po przeminięciu pierwszego strachu, wspomnienia, odniesione z teatru, budziły się w mej pamięci z niesłychaną siłą a wzmocnione wrodzoną mi bujną wyobraźnią, sprawiały w mej duszy niepokój i zaburzenia gwałtowne.

Często budziłem się oblały zimnym potem i chwyciłem gwałtownie powietrze do nadmiernie pracujących płuc. Było to wówczas, gdy miewałem senne widziadła, przedstawiające mi żywo piękną Helenę i greckie boginie w ich przezroczystych, powiewnych strojach...

Zazwyczaj w owych sennych widziadłach zdawało mi się, że biorę udział w jakichś nieznanym mi, a gwał-

townych tańcach... Kończyło się zwykle tem, że którąś z wyśnionych tancerek pocałowałem i w strachu przed zemstą »greckich mężów«, którzy w dziwaczny sposób miewali twarze ascetyczne i byli całkowicie podobni do kanonika, budziłem się zmęczony i zdenerwowany.

Jednem słowem »Piękna Helena« zrobiła swoje; przedstawienie to nie minęło dla mej wyobraźni niespos-
strzeżenie, obudziło w mej duszy drzemiące dotychczas gdzieś na dnie erotyczne żary i sprawiło, żem ciągle marzył i śnił o jakichś miłosnych przygodach. Nastrój ten doprowadził do pierwszego niemilego zajścia z kanonikiem.

Od pierwszego października zaczął cały nasz zakład uczęszczać na lekcy gimnastyki do dra Madejskiego. Chodziliśmy tam trzy razy na tydzień, zawsze o godzinie szóstej wieczorem. Wnet pierwszego dnia zwracający na wszystko uwagę Zych doszedł, że zaraz po nas odbywał lekcy gimnastyki paniński konwikt pani Zińkowskiej... Nie trudno zresztą było mu przyjść do tej wiadomości, bo za każdym razem wychodząc ze sali w przedsiönku spotykaliśmy się z kilkunastu panienkami, ubranymi w gimnastyczne stroje, które opuszczały ogólną garderobę wówczas, gdy myśmy tam wchodzili, żeby się tam znowu w swe zwykłe ubrania przyodziać.

Szczegół ten tak zajął myśl Zycha, że poprostu spać mu nie dawał.

Lekcy nasze przez kilka tygodni odbywały się całkiem spokojnie. Należałem do niezłych gimnastyków, choć było mi bardzo daleko do jakiegokolwiek wyszczególnienia w tym zawodzie, zato mój najmłodszy brat Ludwik wzbudzał podziw u nauczycieli i przepowiadali mu, że przy ćwiczeniu ciągiem może zostać znakomitym, europejskiej sławy gimnastykiem.

Zauważyłem, że Zychowi nie wsmak szły te męczące ćwiczenia, bo zwykle wymykał się w pół lekcyi

i nie zjawiał się już w sali, tylko zastawaliśmy go w garderobie zazwyczaj przebranego i gotowego już do wyjścia. Gdym go o przyczynę tych przedwczesnych zniknięć pytał, odpowiadał zazwyczaj, że go gimnastyka męczy i woli w przedśionku wypalić papierosa, niż wyłamywać kości dla dogodzenia doktorskiej fantazy.

Trwało to ze dwa tygodnie, aż pewnego popołudnia, gdyśmy znowu razem ze szkoły wracali, Zych zagadnął mnie niespodzianie:

— Hej ruro podolska, czy nie chciałbyś się przypadkiem przypatrzeć jak te panny od Zińkowskiej zbliżają się do siebie?

Przyznałem mu się, że miałem ku temu bardzo wielką ochotę.

— No, jeżeli chcesz, to wysuń się z sali zaraz po mnie, to ci coś ciekawego pokażę, tylko nikomu nic nie mów, nawet Pechuniowi.

Nienauczony dwukrotnem już doświadczeniem, że na spełnianiu rad Zycha zawsze źle wychodzę, usłuchałem go jeszcze i tym razem. Gdy skończyła się gimnastyka szwedzka, przy której staliśmy w szeregu i z łatwością można było poznać nieobecność każdego, dostrzegłem, że Zych mrugnął na mnie i ulotnił się niezauważalnie. Wyczekiwałem tej chwili, w której kanonik i doktor, wraz z nauczycielem gimnastyki ogromnie byli zajęci wykonywaniem jakiegoś nowego, a bardzo trudnego ćwiczenia przez brata mego Ludwika — wysunąłem się cichaczem z sali i pobiegłem szukać Zycha. Stał on w drzwiach garderoby i dawał mi nieme znaki, żebym się co rychlej do niego zbliżył.

Zaprowadził mnie do garderoby i wskazał jedną z szaf, w których były pozawieszane nasze ubrania codzienne i paltoty, i kazał tam wleźć, firanką mnie zasuwając. Sam uczynił to samo, nakazując mi jak najsurowiej, żebym pary z ust nie puścił. Stałem tak z zata-

mowanym oddechem nie dłużej jak pięć minut, gdy nagle rozległ się hałas jakiś w korytarzu... Do moich uszu dochodził śmiech i odgłosy jakiejś wesołej, szczebiotliwej rozmowy.

W końcu drzwi garderoby z hałasem się otworzyły i do garderoby wpadło kilkanaście wesołych pańienek, pod przewodnictwem jakiejś zeschniętej, żółtej, starej guwernantki, która napróżno wysilała się, żeby swe podkomendne w cichości i rygorze utrzymać.

Mogłem przysłuchać się najdokładniej rozmowie tych figlarnych dziewcząt... Po większej części jednak tego, co one mówiły, nie rozumiałem zupełnie. Uderzyło mnie to przedewszystkiem, że rozmawiały specjalnym jakimś językiem, przyczem zmiarkowałem, że polowa słów używanych przez nie w potocznej mowie ma zupełnie odmienne znaczenie. Prawdopodobnie musiały one ułożyć sobie własny żargon, coś w rodzaju »złodziejskiego języka«, żeby mogły rozmawiać swobodnie i głośno przy obecnej zawsze guwernantce, a nie być przez nią zrozumianemi.

Przez dziurkę w firance widziałem, jak jedna z dziewczynek zrzuciła swą granatową sukienkę i ubierała się w szarą gimnastyczną bluzę. Przyznam się, że moje pojęcia o erotyce, rozbudzone przedstawieniem »Pięknej Heleny«, inaczej przedstawiały sobie piękność kobiecą, jak tę biedną pensyonarkę... Ta miała żółtą, zapadniętą dekę piersiową, gładką jak deskę i czarne, cienkie, jak odnóża komara, ręce. Druga dziewczyna, widocznie zapóźniona w studyach, bo wcale już dobrze rozwinięta, ale brzydka, i przysadkowata, rozpięła stanik i podniósłszy ręce w górę, ubierała na włosy jakąś siatkę. Inne kręciły się, śmiały i figlowały.

Nagle jedna, różowa, o figlarnie zadartym nosku, błękitnych oczach i kędzierzawych włosach, mała ale znać rezolutna, zawołała:

— Ciekawam jak tam te niedzwiadki się gimnastykują... Zarazbym poszła popatrzeć się... Pan Szeteliński mnie mówił, na ostatniej lekcyi, że łatwiej nauczyć szwedzkiej gimnastyki pudła, niż chłopca.

Na ten koncept wszystkie zaczęły się śmiać serdecznie, tylko guwernantka mrużeniem jakimś zjadliwym, objawiła niezadowolenie z obecnego przedmiotu rozmowy. Nic to jednak nie pomogło, bo któraś z pańienek, starsza już widocznie i wyżej się nosząca skrzywiła ustami i rzekła:

— Fi!.. Jak znać zaraz, że Anette jeszcze »mała«... Komuby tam znowu przychodziła ochota patrzeć się na takich bursaków.

Na to, »mała Anette« zaperzyła się jak kogucik bojowy i stanąwszy przed starszą w wojowniczej postawie, zawołała:

— Czego się Bronia zawsze musi do mnie mieszać... Bardzo proszę nie pozwalać sobie, bo się poskarżę cioci hrabinie.

A widząc, że groźba odnosi dobry skutek, dała:

— Co do tych chłopców, to są tam bursaki, są i nie bursaki... Jak który co zbroi, to go rodzice tam na pokutę oddają do kanonika. Nawet mój kuzyn Edzio był tam tamtego roku... Ot widzi Bronia.

Bronia jednak widocznie nie chciała dać za wygranę, bo zaczęła perorować:

— A niech Bóg broni z takimi elegantami. Spotkałyśmy ich kiedyś na ulicy, sami oberwańcy... Ot tam w szafach masz ich ubrania, popatrz.

Mówiąc to, nagłym ruchem przystąpiła do szafy, w której stał Zych i odsłoniła frankę.

Nie pamiętam, co się ze mną wówczas działo, ze strachu byłem stracił zupełnie przytomność. Zapamiętałem zaledwie przeraźliwy okrzyk panny Broni: »Jezus Marya!« Później jakieś krzątania się, krzyki, wołania,

śmiej panienek, pomieszany z błagającym głosem Zycha... Wreszcie zapanował po nadtem wszystkim gromowy głos kanonika:

— Ha, psie duchy! lamparty, wszeteczniki! Ja wam dam za tę rozpustę.

Później dolatywały do moich uszu złagodzone słowa kanonika, pomieszane ze skrzeczącym i piskliwym głosem starej guwernantki. Widocznie przepraszał tę starą ropuchę za naszą zuchwałość.

Do przytomności dopiero doprowadził mnie znowu grzmiący rozkaz kanonika, który mi w ucho krzyknął:

— I ty tu także, aniołku... O Boże! Boże miłosierny! To się biedna matka i opiekunowie ucieszą... A no marsz lamparcie na środek!

Wyszedłem i stanąłem ze spuszczoną głową, jak skazaniec.

Na łajania i najokropniejsze przezwiska, nadawane mi przez kanonika, milczałem jak zakłęty. Nawet syczenie chudej guwernantki nie było w stanie wyprowadzić mnie z raz przyjętej roli.

Zych widocznie zrozumiał, że metoda milczenia jest najlepsza w tym wypadku, milczał również jak posąg... Wreszcie wprowadzono nas do przedsionka i nie czekając na koniec lekcji, pod strażą Józia i Pechunia wysłano do zakładu. Józio zrazu milczał. Nie długo to jednak trwało, widocznie żal mu się mnie zrobiło, bo mnie w ten sposób pocieszał:

— Kanonik mówił, że dziś poszle do pana Dratowskiego, żeby z Zychem sprawę zrobił... A ty, jak na początek, dostaniesz tylko pięć różeg i będziesz nadal na gimnastyce oddany Pechuniowi pod specjalny nadzór. Proszę was, nie zdradźcie się, że wiecie o tem.

Wiadomość ta ulżyła mi trochę.

— Pięć różeg, jest zawsze pięć różeg — rozmyślałem idąc ze spuszczoną głową — ale zawsze pięć różeg

wziąć, to lepiej niż jakby kanonik sprowadził tu stryja Józefa, lub co gorsza odsyłał mnie do niego, jako wykluczonego z zakładu.

Nagle wściekłość mnie jakaś ogarnęła na Zycha, w tej chwili jasno mi stanęło w umyśle, że wszelkie moje niepowodzenia i niebezpieczne przejścia, jakie miałem w zakładzie, były albo z jego porady, albo w jego towarzystwie. Stałem więc nagle na środku ulicy i przyciskając obie pięści do piersi, zawołałem:

— Słuchajcie Józiu i Pechuniu! Słuchaj i ty Zychu... Daję wam uroczyste słowo honoru, że więcej nie pójde z Zychem na żadną lampartkę, niech sobie sam chodzi i sam niech w skórę bierze. Skarżyć na niego nie będę, ale słuchać go także nie myślę... Skończona sprawa!

Czułem, że miałem łzy w oczach, gdym to mówił. Zych, który zazwyczaj kpił ze mnie, teraz milczał, prawdopodobnie moje słowa bardzo mało go obchodziły wobec groźby spotkania jutrzejszego ze starym Dratwowskim, który ponoś zupełnie nie pardonował.

Po powrocie reszty chłopców i kanonika, zapanaował w zakładzie sądny dzień. Wszyscy milczeli jak potruści, tylko kanonik biegał z sali do sali, łajał wszystkich, czterech »szkrabów« za nieporządek przeznaczył jutro do egzekucyi. Pisał list do papy Dratwowskiego, z którym posłał Wawrzyna, nakazując mu:

— Z tym listem idź do domu. Jak nie będzie w domu, idź do kantoru... Jak nie będzie w kantorze, idź do kasyna, do teatru, gdzie chcesz, ale list oddaj i koniecznie mi daj odpowiedź, rozumiesz? No idź, idź, idź.

Przestraszony Wawrzyn, cofając się tyłem do drzwi, wyszedł z pokoju. Po jego wyjściu kanonik wpadł do naszego pokoju, wołając:

— Ten dom grzechu i rozpusty rozpędzę na cztery wiatry... Rozumiecie? na cztery wiatry rozpędzę... Sodomą i Gomorą.

Nagle zwrócił się do mnie i grożąc mi cienkim długim palcem, mówił:

— Ja ci dam, lamparcie, podpatrywać, jak panny się rozbierają! Ja ci dam pensjonaty... Ja ci dam konwikty! Jutro z tobą się rozmówię... A dziś zabieraj mi wszystkie rzeczy i natychmiast przenoś mi się do Józiowego pokoju. Będiesz spać na łóżku Bełęja, a Bełej pójdzie tu. Niech ten panicz — tu wskazał na Zycha — spróbuje Bełęja na podglądy zaprowadzić.

Puch został także przeniesiony do pokoju, w którym mieszkał brat mój, Kazio, a na jego miejsce dano innego »funduszowego«, o którym kanonik miał przekonanie, że się nie da Zychowi do niczego złego pociągnąć.

Cały ten wieczór był niepokój i hałas w zakładzie, o porządnem uczeniu się lekcyi na jutro nikt nawet pomyśleć nie mógł, chociaż kanonik bezprzestannie wołał:

— Uczcie się! Uczcie się!... To do was nie należy.

Mimo to chłopaki siedziały na miejscach i kiwały się nad książkami tak długo, jak długo kanonik stał im nad głową; jak tylko wyszedł łając do drugiego pokoju, tak zaraz zbijali się w małe grupy i radzili i rozmawiali o ważnych wypadkach dnia. Naturalnie że imię Zycha i moje było na wszystkich ustach.

Strasznie niespokojnie spałem owej nocy na swem nowem łóżku. Śnił mi się kanonik z ogromną dyscypliną, o której mówił, że ją w spadku po św. Bazylim otrzymał. Tak mi się przynajmniej we śnie zdawało. Za kanonikiem stał stryj Józef z ogromną trzcina i wuj Ludwik z niesłychanie długim i giętkim reitpajczem. Wszyscy na mnie spoglądali bardzo groźnymi oczami i zapowiadali, że dostanę okrutne cięgi.

Rano gdym się zbudził, Józio z niepokojem na mnie spoglądał i pytał, czy czuję się zdrow, bo w nocy strasznie przez sen krzyczałem i miałem rozpaloną głowę jak w gorączce.

Przyznam się, że błysła mi w głowie myśl udania chorego, ale ją wkrótce odegnałem. Nasamprzód była to bardzo nie honorowa rzecz zasłaniać się przed cięgami udaną chorobą, a następnie wiedziałem dobrze, że u kanonika »co się odwlecze to nie uciecze«... Zresztą miałem najzupełniejsze przeświadczenie ogromu mojej winy i czułem, że kara spaść na mnie musi i spadnie całkiem słusznie. Czekałem więc na nią zupełnie spokojnie i z rezygnacją.

Idąc do szkoły rano, prosiłem po drodze Pucha, żeby w szkole nic nikomu nie rozpowiadał. On dotrzymał słowa i milczał, tylko ja sam nie mogłem i opowiedziałem o swoich przejściach wczorajszych Stalfowi i fizykowi. Obaj oni śmiali się z nas i zazdrościli nam pomysłowości. Co prawda, że nie przyznałem się do tego, że pomysł był wyłączną własnością Zycha, ale tak opowiadałem, że słuchacze mogli myśleć, że concept ten powstał wspólnie w obu naszych mądrych głowach i to równocześnie.

Przez wieczór, noc i godziny porannych lekcyj, tak się już byłem obył z myślą, że kara mnie nie minie, iż wracałem na obiad do zakładu w zupełnie spokojnym nastroju ducha. Gdym przyszedł do swego nowego pokoju, powiedział mi Józio smutnym głosem, żebym natychmiast szedł do »sztrafcymry«, która była obok umywalni powszechnej na pierwszym piętrze, bo kanonik i stary Dratwowski już tam są, a przed chwilą poszedł tam i Zych.

Nie było innej rady, spuściwszy nos na kwintę pociągnąłem i ja.

Oryginalny był widok tego pokoju: Kanonik smutny i widocznie złamany zgryzotą, siedział na drewnianym stołku, prawdopodobnie sił mu brakowało do stania... Po pokoju biegał, jak dzik postrzelony, olbrzymi, tłusty i czerwony jegomość, znać z wielkiej irytacji

mówić już nie mógł, tylko sapał jak miech kowalski. Na środku pokoju stał prosty, ciesielskiej roboty zydeł dębowy, a obok, w cebrze pełnym jakiegoś płynu, mokła potężna różga brzozowa. W kącie, ku drzwiom, ścisnęło się kilku chłopaków, najwidniejsi pośród nich byli: Zych, Pechuń, Bełej, poza nimi kryli się dwaj inni »funduszowcy«, którzy stanowili »straż pretoryańską« kanonika, i musieli z urzędu asystować przy każdej egzekucyi.

Kanonik nie zwrócił nawet uwagi na moje wejście, tylko siedząc ciągle z pochyloną głową mówił złamanym głosem:

— Widzisz pan dobrodziej, to pierwszy wypadek takiej rozpusty w naszym zakładzie. Zaręczam jegomości, że od trzydziestu lat, jak zawiaduję tym zakładem, nic podobnego się nie zdarzyło.

Tu zerwał się nagle, jakby go jakieś wspomnienie ukłuło w serce i zawołał z boleścią:

— Od tego strzegłem ich zawsze jak od ognia... On pierwszy wpadł na pomysł podglądania jak się przebierają panny.

Na te słowa gruby, czerwony jegomość stanął jak wryty i grożąc ręką Zychowi, zawołał:

— Dam ja mu panny!

I te słowa raz wyrzucone, jakby usunęły przeszkodę tamującą mu dotychczas jego wymowę, po nich posypały się gwałtowne słowa jak grad:

— Ja ci dam nicponiu spodnicę — wołał, wymachując rękoma. — Musicie wiedzieć, księżu kanoniku, że przez tę przeklętą spodnicę z domu go dać musiałem... A to dopiero paniczyk! To ja, hultaju po to pracuję, po to haruję całe życie, po to zbieram, żeby później panicz jedynak rozpuścił to na spodniczki... Ja ci takie lanie sprawię, że ci spodnica będzie śmierdzieć dziesięć lat... No, kładź się hultaju!

Rozkaz wydany był takim tonem, że o jakiegokolwiek opozycji nawet myśleć nie można było. Zych wystąpił milcząco z grupy i cicho położył się w poprzek na zydłu.

— Nic z tego! — wołał rozwścieczony Dratwowski — sukno kosztuje! płótno kosztuje... I sukno i płótno na dół; do skóry rodzonej dobioreę ci się, dobioreę hultaju!

Zych się wahał, wstydził się sam rozbierać. Lecz ze starym przemysłowcem nie było żartów, skinął na funduszowców i zawołał rozkazująco:

— Ściągnijcie mu p....., chłopcy!

Rozkaz został w mgnieniu oka wykonany.

Widziałem jak stary Dratwowski, z apoplektyczną twarzą, zasapany i ciężko dyszący stanął obok zydła, jak podniósł różgę w górę, jak się nią zamachnął... Ze strachu zamknąłem oczy, oparłem się o ścianę, żeby nie upaść, nie zemdleć.

Jak przez sen słyszałem, że różga kilkanaście razy świstała w powietrzu i spadała na skórę biednego Zycha... Aż wreszcie kanonik schwycił starego Dratwowskiego za ręce i zawołał:

— Dosyć tego, jegomość, dosyć... Karać trzeba, ale znęcać się nad dziećmi nie należy...

Słowa te znać oprzytomniły starego, bo przestał sapać i zmęczony, wyczerpany usiadł na drewnianym krzesełku. Zych tymczasem blady i milczący, spoglądając uważnie na ojca, porządkował swoje ubranie.

Chociaż drżałem ze strachu przed czekającą mnie taką samą operacją, mimo to z ciekawością patrzyłem na grę wrażeń na twarzy Zycha. I w jednej chwili odgadłem, że on swego ojca nienawidzi, a poddaje się jego woli tylko z obawy, żeby go ten nie wydziedziczył. Spostrzeżenie to sprawiło, że straciłem do Zycha serce zupełnie...

Gdy stary Dratwowski wysapał się już zupełnie, rzekł doń kanonik, lecz miększym już głosem:

— Jest tu jeszcze drugi delikwent, kompanion pańskiego syna.

— Który? — zawołał porywczo olbrzym i zerwał się z krzesła.

Funduszowcy wypchnęli mnie naprzód. I stałem przed tym olbrzymem śmiesznie mały, niby liliput.. Nikły i chudy. Patrzyłem na starego, zadzierając głowę niby na wieżę ratuszową. Stary spoglądał na mnie dość długo i widziałem, że nagle cały gniew jego topnieć zaczyna... Topniał, topniał, aż wreszcie w śmiech się rozplynął. Stary patrzył ciągle na mnie i śmiał się bezustannie, śmiał się całą duszą i całym ciałem. Wreszcie zawołał:

— Patrzajcie! Taki wróbel, a już i jemu spodniczka pachnie. Takie mizeractwo, taki chrząszcz!

I znowu śmiać się zaczął serdecznie. Nagle zwrócił się do kanonika i rzekł całkiem seryo:

— Za tym chłopcem śmiem się wstawić do waszej łaski, księże kanoniku... To mizeractwo!... Ręczę, że nie wiedział nawet o co tam chodzi... Ot, mój hultaj kazał mu iść za sobą, a on poszedł, bo nie śmiał mu odmówić... Niech mu kanonik tym razem cięgi daruje.

Widocznie egzekucya wykonana na Zychu niemiłe zostawiła wrażenie na kanoniku, bo bez opozycji zgodził się na prośbę pana Dratwowskiego. Kazał mi pocałować w rękę starego pana, podziękować mu za wstawnictwo i karę w zupełności darował. Nie potrzebuje dodawać, że ucałowałem z niebывałym zapałem dłoń i Dratwowskiego i kanonika i uciekłem do swego pokoju, szczęśliwy jakby mnie kto na sto koni wsadził.

W ten niespodziewanie szczęśliwy dla mnie sposób, zakończyła się awantura moja z konwiktem pani Zińkowskiej. Rezultat tego był taki, że już stanowczo

zerwałem wszelkie stosunki łączące mnie z Zychem i nigdy nie złamałem danego sobie przyrzeczenia.

Zaczęła się wówczas dla mnie inna epoka zakładowego życia.

* * *

Musiałem w owych latach mieć zawsze jakiegoś przyjaciela, przed którymbym mógł wywnętrzać się ze wszystkich moich myśli i marzeń. Zych takim przyjacielem nigdy nie był i być nim nie mógł, bo była to natura ognista, ja zaś miałem sentymentalną o lirycznym nastroju duszę i cynizm mroził mnie zawsze. Zacząłem więc szukać przyjaciela i znalazłem dwóch odrazu. Byli nimi Stalf i fizyk. Każdy z nich zaspakajał inną część potrzeb mej duszy.

Ze Stalfem rozmawiałem o koniach, o polowaniu i życiu światowym i rozumieliśmy się doskonale.

Fizyk zaś miał wywrzeć na mnie wpływ całkiem inny, który długi czas pozostawiał ślady w mej duszy i całej umysłowości. Jak wspomniałem poprzednio, był to chłopak, który z gorączkową namiętnością zajmował się studjami przyrodniczymi, żył niemi poprostu. To też, gdy już żyłem z nim w większej zażyłości, natychmiast zaczął mnie wtajemniczać w swe wątpliwości i pragnienia odkrycia szerszych horyzontów myślenia.

Dziwny to był chłopak ten fizyk. Uczeń w szkole zaledwie średni. Przyznawał się do tego otwarcie, że dla szkoły tyle się tylko uczył, żeby jako tako z klasy do klasy się przecisnąć; cały zaś swój czas poświęcał na czytanie książek, które mu — jak sam powiadał — »w głowie rozjaśniały«. Było w nim coś z uczonego i coś z maniaka. Lubił bardzo zaciekać się w badania i studia nie prowadzące do żadnego praktycznego celu. Takie zagadnienia, które uznane były przez wieki za nierozwiązalne, pociągały go ku sobie z nieprzepartą siłą.

Sam się przyznawał, że poświęcił już był bardzo wiele czasu na odkrycie »*perpetuum mobile*« i kwadratury koła. Nie znając nauk pomocniczych, potrzebnych do tych prac, zapoznawał się z niemi z żelazną cierpliwością i często sam odkrywał nowe drogi, prowadzące do celu, zupełnie inne, niż te, po których kroczyli jego poprzednicy.

W chwili, gdym wszedł z nim w bliższe stosunki był zajęty całą duszą badaniami »nad rzeczywistym początkiem wszechbytu« i mnie pociągnął do tego.

Pamiętam pierwszą naszą rozmowę na ten temat.

Fizyk przyniósł do szkoły jakąś niemiecką książkę i czytał ją z wielkiem zajęciem przez całą godzinę trwania lekcyi religii. Po skończeniu lekcyi zapytałem go, czem się tak zajmował i prosiłem, żeby mi tę książkę pokazał, myśląc, że to musi być jakaś bardzo zajmująca powieść. Jakież było moje zdumienie, gdy mi książkę podał a ja przeczytałem tytuł: »Carl Vogt, Physiologische Briefe«.

Słowa te były dla mnie czemś tak dziwnem a zarazem niespodziewanem, żem zrobił wielkie oczy i spytałem go:

— Czy ty się myślisz kierować na lekarza?

Pytanie to zresztą było całkiem naturalne, bo przecież tylko u stryja Józefa, który był lekarzem, spotykałem się między jego książkami ze słowem: »Fizjologia«, a prawdę powiedziawszy nawet nie znałem dokładnie znaczenia tego dziwnego wyrazu.

Fizyk uśmiechnął się na to pobłażliwie i melancholijnie zarazem i odpowiedział:

— Nie wiem jeszcze, może będę i lekarzem... Jestto praktyczny zawód, tak dobry jak inny... Wiem tylko to, że całe życie poświęcę naukom przyrodniczym.

Popatrzyłem na niego z nieukrywanem zdumieniem, pierwszy raz w mem życiu, ktoś do mnie w ten

sposób przemawiał. W tonie jego głosu było coś dla mnie tak dziwnego i tak nowego, że nie mogłem się z tem wprost oswoić. Nowość ta pociągała mnie ku niemu. Dziś wiem, co stanowiło ową atrakcję, było to po prostu tkwiące w nim ślepe przywiązanie fanatyka naukowego do badanego przez niego przedmiotu i fanatyzm ten imponował mi ogromnie.

Z tej pierwszej przyczyny rozpoczęły się między nami częstsze rozmowy na ten temat, które doprowadziły mnie powoli, w ciągu kilkunastu dni, do przeświadczenia, że wszystko na świecie jest głupstwem w porównaniu z przyrodniczo-filozoficznymi badaniami.

Pewnego dnia w szkole, na przerwie, zagadnął mnie fizyk niespodzianie:

— Czy ty masz pieniądze?

Zarumienił się przy tem ogromnie. Myślałem, że potrzebuje pieniędzy na zrobienie sobie jakiejś przyjemności, więc odpowiedziałem mu serdecznie:

— Wiele nie mam, ale jeżeli ci wystarczy ze trzy reńskie, to mogę ci dać.

Dostrzegłem niemiłe zdziwienie na jego twarzy, po chwili rozdrażnionym głosem rzekł do mnie:

— Pieniądzy sam nie potrzebuję, zresztą nie pożyczam, bo nie miałbym z czego oddawać.

— Dlaczego mnie o to pytałeś?

— Widzisz — rzekł na to — u starego Igla jest za reński do sprzedania polskie tłumaczenie Büchnera: »Siła i materya«, nie mam zaco kupić... Może byś ty tę książkę kupił, to sam będziesz miał znakomite dzieło i mnie dasz przeczytać. Ciekawym bardzo po polsku to przeczytać, były ustępy, których po niemiecku nie mogłem dokładnie zrozumieć.

Dałem mu zaraz tego guldena, żeby książkę kupić. Sam nie mogłem z nim pójść, bo bałem się spóźnić do zakładu i w ten sposób przypomnieć się kanonikowi.

Fizyk książkę kupił, nasamprzód sam ją przeczytał, a później, owiniętą starannie w biały papier, z wielką czcią przyniósł do szkoły i do rąk moich oddał, mówiąc:

— Śliczna książka... Zazdroszczę ci, że ją masz.

Chciałem mu ją podarować, nie zgodził się jednak na to pod żadnym warunkiem, twierdząc, że postanowił sobie od nikogo żadnych prezentów nie przyjmować.

— W ten sposób tylko może człowiek zachować w życiu niezawisłość swych myśli, przekonań i czynów.

Książkę wziętem i zacząłem ją czytać z zajęciem. W miarę czytania zajmowała ona mnie coraz bardziej, tak, że ostatnie rozdziały połykałem wprost z gorączkową żarliwością. Treść tej książki przeszła przez moją duszę ja burza, jak trzęsienie ziemi. Ze zwykłego chłopaka, marzącego o figlach dziecinnych lub czynach bohaterkich, stałem się istotą ludzką, przesiąkniętą pragnieniami odkrycia najzawikłańszych tajemnic istnienia świata. Trzy doby sprawiły, że się postarzałem o lat kilkanaście. Pierwszy raz doświadczałem wówczas napadów głębokich zadum i pesymistycznych rozmyślań. Z dziwną, trudną do zrozumienia łatwością pozwoliłem na zburzenie w mej duszy całego dawnego gmachu pojęć, a zapanowanie w zamian niego zupełnego chaosu.

Wówczas również poznałem, że w głębi mej istoty podniósł głowę duch buntu... Świat taki jakim był, zaczął mi się niepodobać, rodziły się zachcianki i pragnienia zupełnej reformy, zmiany ustroju społecznego.

Po Büchnerze poszli inni.

Od fizyka dowiedziałem się, że istnieje w mieście, nawet przy ulicy, którą codziennie przechodziłem, idąc do szkoły i ze szkoły, żydowska wypożyczalnia książek, w której złożywszy trzy reńskie kaucyi i płacąc po pięćdziesiąt centów miesięcznie, mogłem wypożyczać książki »przyrodnicze« we wszystkich językach. Naturalnie, że zostałem klientem tego żyda, którego z całą sprawie-

dliwością można było uważać za truciciela młodzieży szkolnej. Czytałem te książki w ten sposób: Zwykle do dziesiątej wieczorem uczyłem się pilnie wraz ze wszystkimi... Później, gdy już inni szli spać, oświadczałem Józiovi, że jeszcze lekcji nie umiem i zostawałem w sali naukowej. Gdym się znalazł sam, wówczas wyciągałem z szuflady gruby tom Darwina, Spencera lub Hekla i zaczytywałem się w nim do dwunastej lub pierwszej godziny w nocy.

System ten zaczął się fatalnie odbijać na mym organizmie, mizerniałem w przerażający sposób i dochodziłem do takiej drażliwości nerwowej, że ze wszystkimi doprowadzałem do sprzeczek i kłótni. Tylko szkolna nauka zyskała na tem, bo bądź co bądź zajmowałem się z konieczności szkolnymi książkami do godziny dziewiątej i poza ten czas, byłem w stanie lekcji, choćby z nudów, nauczyć się.

Rozdrażnienie to nerwowe doprowadzało mnie często do gwałtownych wybuchów. Jeden zaś z nich sprawił, że stosunek mój do kanonika pogorszył się zupełnie, że on prawie mnie znenawidził.

Stało się to w ten sposób:

Pewnej środy, gdy byłem bardzo zajęty w sali rysunkowej rysowaniem szkieletu ludzkiego, wpadł nagle do sali mały Dyrkun, kolega mego brata Ludwika i zawołał:

— Idź na pierwsze piętro! Gontowski bije twego brata Ludwika słownikiem po głowie... Idź prędzej, bo go jeszcze zabije.

Zerwałem się, jakby podsadzony dynamitem, czułem, że wściekłość mnie nagle ogarnęła. Tego Gontowskiego nie lubiłem od pierwszego spotkania, był on największym faworytem kanonika, uczniem ósmej klasy i korepetytorem kilku szkrabów z trzeciej klasy, między nimi i mego brata. Jak strzała przeleciałem z drugiego

piętra na pierwsze i zaraz na wstępie do naukowej sali zobaczyłem następującą scenę: brat mój, Ludwik, płacząc klęczał przed krzesłem, na którym siedział Gontowski i zabawiał się w ten sposób, że raz po raz uderzał brata mego po głowie ogromnym słownikiem, krzycząc w gniewie:

— A nauczysz ty się już raz robić »preparacye!«
A nauczysz się!...

Przyskoczyłem do Gontowskiego jak tygrys... Słownik w jednej chwili poleciał w jeden kąt, a Gontowski, pchnięty moją dłonią, zwałił się pod ścianę jak gruszka...

Wołałem przytem z całej mej siły:

— Ja ci dam, hyclu, znęcać się nad dziećmi... Idź na ulicę psy łapać, a nie nad »małymi« się znęcać!

Gontowski zebrał się z ziemi, popatrzył na mnie przestraszonym wzrokiem i wybiegł potem z pokoju. Poszedł szukać kanonika, żeby się mu poskarżyć. Przygotowany na wszystko stałem na miejscu jak tryumfator, rozkoszując się spojrzzeniami wszystkich »szkrabów«, które wyrażały mi wdzięczność i podziw dla mej odwagi.

Pomiędzy tymi chłopakami odzywały się szeptem:

— Dobrze mu tak!

— Niech niesprawiedliwie nie bije.

— Ależ machnął nim, jak gruszką!

— Mocny!

Kanonik nie długo kazał czekać na siebie. Przybiegł zadyszany i cały czerwony z irytacji. Biegł prosto do mnie i prawdopodobnie miał zamiar sprawę zakończyć »w krótkiej drodze«. Gdy nagle popatrzył na mnie i wstrzymał się. Stałem hardo, wyzywająco patrząc przed siebie... Miałem wyraz twarzy niewinnego człowieka, któremu stała się niesprawiedliwość. Postawa moja zdziwiła kanonika, zatrzymał się o kilka kroków o - de - mnie i zapytał:

— Co to za awantury znowu wyrabiasz?

Odpowiedziałem spokojnym lecz drżącym ze wzruszenia głosem:

— Ja żadnych awantur nie wyrabiam... Gontowski wyrabia awantury... Bił po głowie Ludwika, a przecież jemu nikogo bić nie wolno. Zresztą nie uderzyłem go nawet, tylko go odtrąciłem, broniąc brata.

Kanonik patrzył na mnie ze zdumieniem, w jego oczach spostrzegłem nie gniew, lecz wprost nienawiść. Patrzył tak długo, aż zdołał zupełnie opanować rozdrażnienie, dopiero wówczas przemówił:

— Ah-h! To ty taki adwokat... dobrze, dobrze! Mowca, adwokat! Marsz mi na górę, aby twoja noga na pierwszym piętrze nie powstała! Dwa dni obiadu jeść nie będziesz.

I zwracając się nagle do Gontowskiego dodał:

— A ty żebyś mi nie ważył się tknąć żadnego z tych szkrabów... Jak który co przewini, mnie powiedziec, już ja mu sprawiedliwość wyrządę.

Spostrzegłszy, że ja ciągle stoję i słucham co on mówi, zawołał znowu ze złością:

— Mówiłem, marsz na górę!

Na to odrzekłem z zawziętością upartego dzieciaka:

— Dobrze, ale Gontowski niema żadnego prawa bić Ludwika.

Zaznaczywszy w tak dobitny sposób moje stanowisko w tej sprawie, w czas się wycofałem i wróciłem do rozpoczętego rysunku.

Przymusowy post dał mi się tylko przykro uczuć, bo wszystkie już prawie pieniądze, jakie miałem, wydałem na różne książki i nie starczyło mi na kupienie sobie jakiegoś pożywienia zamiast obiadu. Uważałem to jednak za »bohaterstwo« i cieszyłem się nawet, wmaiwiając w siebie, że jestem »ofiara swych przekonań i obowiązków«.

Czytałem dalej z zapałem po kolei to Büchnera, to Darwina, to Moleschota, a w mej głowie powstawał coraz zawiększy chaos. Teorye materyalistów, łącząc się chemicznie z wrodzoną mi bujną fantazyą, tworzyły jakieś dziwne pokurcze umysłowe, które mi nie dawały spokoju ani dniami ani nocą. Puszczając niekiedy wodze fantazyi i wówczas roiłem, że stanę się w przyszłości »wielkim uczonym«, większym niż Darwin, większym niż Moleschot, nie zimnym, spokojnym przyrodnikiem, ale czemś w rodzaju Fausta... Jakimś tytanem, który wydrze bogom tajemnice stworzenia i odda je na usługi ludziom. W miarę, im częściej oddawałem się podobnym myślom, tem stawałem się dumniejszym i nieprzystępniejszym, bo przecież całkiem rzecz naturalna, że »przyszły tytan« nie może ze zwyczajnymi ludźmi rozmawiać tak, jak rozmawia pospolity zjadacz chleba powszedniego.

Czasami znowu, przychodziło mi na myśl, że moje przyszłe dzieła naukowe pisać będę w poetycznej formie i dorobię do nich grzmiącą muzykę, żeby w ten sposób silniej działały na umysły ludzkie. Po głębszem jednak zastanowieniu i po naradzie z fizykiem, przychodziłem do przekonania, że byłoby to anachronizmem, byłoby to użyciem »starego uczuciowego balastu« nie godnem dla apostoła, dla proroka nowej epoki świata.

Przypuszczam, że kanonik musiał zauważyć, że ze mną dzieją się jakieś nie zwyczajne rzeczy; kilka razy starał się ze mną w dobry sposób rozmawiać, ale odpowiedziałem mu hardo i opryskliwie. Machnął więc lekceważąco ręką i nie zwracał zupełnie na mnie uwagi, chociaż czułem, że nie lubił mnie coraz mocniej. Raz powiedział do Józia:

— Zobaczysz, że z tym chłopcem będziemy mieli nieprzyjemności... W nim jest duch buntu... To urodzony buntownik!

Józio ze śmiechem powtórzył mi to powiedzenie kanonika, radząc, żebym na przyszłość grzeczniej i pokorniej mu odpowiadał. Rada ta jednak wywarła przeciwny skutek; podobała mi się rola »buntownika«, cieszyłem się, żem sobie zarobił opinię »ducha buntu«, ani myślałem pokorniej odzywać się do kogokolwiek. Chodziłem sztywny i nadęty, musiałem być poprostu nieznośny. Nikogo nie uznawałem godnym mej rozmowy, oprócz jednego fizyka. Rozmawiałem również czasem ze Stalfem, ale to zdarzało się w »chwilach słabości«, jak »upadałem duchowo« i tęskniłem za rozmową o takich marnościach, jak konie i psy.

Fizyk traktował już mnie jak kolegę augura, Stalf, jak serdecznego przyjaciela, któremu się trochę w móżgu pomieszało.

Zych śmiał się wprost ze mnie i drwił mówiąc, że przeczuwał, iż »pomarnuję« wszystkie pieniądze na »głupstwa« i dojdę do tego, że nie będę miał zaco kupić bułki na śniadanie. Czasami w dobroćliwości swej proponował mi, żebym przyszedł na »przyjęcie«, które teraz z »funduszowcami« odbywało się w jego pokoju dość często i wyłącznie na jego koszt, ale propozycje te odrzucałem zawsze z całą stanowczością... W ogóle Zycha zawsze uważałem za indywidualium niegodne rozmowy z ludźmi wyższymi.

Tak minął pierwszy kurs i przy klasyfikacji zrobiłem kanonikowi niemiłą niespodziankę. Wiedząc, że przesiadywałem nad książką do północy, przypuszczał, że dostanę stopień celujący, tymczasem przyniosłem świadectwo ze stopniem zaledwie »dostatecznym«. Oburzył się tem kanonik okropnie i wprost mi powiedział, że dla takiego świadectwa nie warto było tyle nafty wypalać.

Na drugi kurs zaszyły pewne zmiany w zakładzie. Najważniejszą była ta, że Zych dostawszy stopień »za-

dawalniający», uzyskał przebaczenie starego Dratwowskiego i przeniósł się z powrotem do domu. Kilku szkrabów, którym nie udało się zyskać promocyi, wydalili kanonik z zakładu, a na ich miejsce przyjął innych. Józio zdał równocześnie kolokwia w uniwersytecie i egzamin na podoficera i chodził w mundurze sierżanta z dwiema posrebrzanymi gwiazdkami na kołnierzu. Był on zawsze największą chlubą zakładu. Nawet i my się nim chlubil, gdy chodził z nami na spacer, ubrany w swój mundur z długim bagnetem u boku.

Zimowe ferye, tak zwane małe wakacje, poświęciłem całe pilnemu czytaniu »Doboru płciowego« przez Darwina. Robiłem nawet notaty i byłem tem tak zmęczony, że spać prawie już całkiem nie mogłem.

Obiecywałem sobie, że na zapusty, które w tym roku wypadły w końcu lutego, dostanę jaki zasiłek od stryja i sprawię sobie dzieło Hekla, które właśnie wyszło było w polskim przekładzie i dopiero zażyję prawdziwych rozkoszy.

Tymczasem zima słabła z każdym dniem i zapowiadała się wczesna, piękna wiosna.

* * *

»Ostatki« zapust owego roku upamiętniły się na zawsze w mej pamięci, wówczas popełniłem czyn w zasadzie głupi i lekkomyślny, który jednak był pierwszym moim czynem samoistnym.

W niedzielę zapustną siedziałem na górze w sali naukowej, jak zwykle zajęty czytaniem jakiejś bredni naukowej, gdy nagle wpadł do sali Wawrzyn, czerwony, zasapany, wołając do mnie:

— Proszę panicza na dół!

— Co się stało?

— Proszę na dół, do parlatorni... Pani hrabina przyjechała!

Mówił to, spozierając na mnie z taką czołobitnością, że mnie śmiech pusty porywał. Swoją drogą nie byłem w stanie zrozumieć, poco on mnie woła i co to za »hrabina« mogła być. Spytałem go znowu:

— Co za hrabina?

— Nie mogę wiedzieć, proszę łaski... Ale jakaś wielga hrabina, z lokajem, co ma hrabskie guziki na mantli.

Jeszcze nic z tego nie mogłem zrozumieć, rozpytywałem go więc o bliższe szczegóły, a on pospiesznie recytował:

— Przyjechała karetą... Sam ksiądz kanonik wyszedł do niej, spytała się o panicza... Gada, że jest wam, to jest paniczowi ciocia... To ją zaprowadził kanonik do »parlatorni«, a mnie posłał panicza wołać... Oba mniejsze już poszli... Ta niech panicz zaraz idą, żeby się hrabina nie zagniewała.

Poszedłem, sam nie wiedząc do kogo mnie wołają.

Jakaż była moja uciecha, gdy w parlatoryum ujrzałem ciotkę Pomianową, blizką kuzynkę mej matki i sąsiadkę, z córką Jadwinią. Z zapałem ucałowałem jej obie ręce i zacząłem się gorączkowo rozpytywać o dom, o mamę, babunię i siostry.

Ciotka była dla nas bardzo łaskawa, przywiozła nam całe pudełko cukierków i rozmawiała całą godzinę, wreszcie zaprosiła nas, żebyśmy do niej przyszli po południu do hotelu.

Miałem wielką ochotę, żeby tę propozycję zrobiła sama kanonikowi, ale on już był gdzieś wyszedł z zakładu, a nie podobna było ciotkę zatrzymywać. Postanowiliśmy prośbę tę powtórzyć kanonikowi i uzyskać pozwolenie na wyjście. Zdawało mi się prawie niepodobieństwem, żebyśmy pozwolenia nie dostali.

Od początku naszego pobytu w zakładzie zdarzało się nam po raz pierwszy prosić o coś podobnego, zre-

szłą kondemnaty żadnej na nas nie było i wszyscy sprawowaliśmy się względnie dobrze. Od chwili wyjazdu ciotki Pomianowej aż do obiadu rozkoszowałem się tą myślą, jak ja będę opowiadał Stalfowi o mej wizycie u ciotki Pomianowej w hotelu »Georga«, w tem wymarzonem wówczas dla mnie eldorado szyku i elegancji, w tem szczycie mych marzeń światowych... Duch próżności znowu się we mnie zbudził gwałtownie i na razie pokonał całkowicie zamiłowanie do »studyów przyrodniczych«. Zdawało mi się nawet, że takie ślęczenie w książkach dla człowieka, który ma iść po południu z wizytą do swej ciotki, mieszkającej w hotelu »Georga«, jest co najmniej niestosownem.

Zamknąłem więc wszystkie książki pod klucz i zacząłem się ubierać. Wystroiłem się całkiem »na elegan-ta«. Ubrałem się w nową granatową marynarkę otwartą z przodu, krawat atlasowy błękitny z haftowanym bukietem i fontaziami, jasno - popielate »niegodne wspomnienia« i świeżo kupione, i bardzo pięknie wywiksowane trzewiki.

Żałowałem tylko, że w zakładzie nie ma dużego zwierciadła, żebym się mógł przypatrzeć mej wspaniałej figurze, ale obiecywałem sobie hojnie to powetować w hotelu, gdzie — jak przypuszczałem — lustra musiały być »od ziemi do sufitu«.

Tak wyelegantowany poszedłem na obiad.

W jadalni zastałem burzę. Kanonik łajał i kręcił za uszy małego Dyrkacza, na którego Komarowa zaniósła skargę, że »pociągnął kawałek mięsa z garnka, w którym się rosół gotował«.

Już na schodach słyszałem donośne wykrzykniki księdza kanonika:

— Psie duchy, lamparty, łakomcy!

Mróz po mnie przeszedł. Taki humor nie zwiastował nic dobrego. Postanowiłem jednak bądź co bądź

prośbę mą przedłożyć, czekać lepszego humoru było niebezpiecznie. Zaproszenie mieliśmy na dziś, więc może jutro lub pojutrze ciotka nie będzie w domu, może wyjedzie gdzie, i cała nadzieja świetnej wizyty w hotelu »Georgea« prysnie jak bańka mydlana.

Już przy obiedzie kanonik nie dobrem okiem na mnie spojrzął i zapytał pocom się tak wystroił.

Odpowiedziałem na to pytanie niezrozumiałem jakimś mruknięciem.

Po obiedzie wszyscy trzej, przystępując do ucałowania ręki kanonika, zanieśliśmy swą prośbę. Śmiałość ta wywołała straszną burzę. Cały zły humor kanonika, na który złożyło się Bóg wie ile przyczyn, wylał się teraz na nas. Głos jego brzmiał jak burza letnia, dostało się nam za wszystkie czasy. Przypomniał mi i Gontowskiego i zajście na gimnastyce i moją »mizerną« klasyfikację. Wreszcie zawołał w najwyższym gniewie:

— Stryj mi mówił, że majątku żadnego mieć nie będziecie i kazał przedewszystkiem zwracać uwagę i wykorzeniać w was pańskie zachcianki i próżność. Stosunków z taką wielką damą wam nie potrzeba... Zresztą zobaczyła was tu... Iść tam stanowczo nie pozwalam... Marsz na górę!

Poszliśmy jak zmyci.

Nie dałem jednak za wygranę. Nadzieja wizyty w hotelu George'a zanadto była pociągająca. Postanowiłem nie posłuchać kanonika i pójść koniecznie. Zresztą pierwiastek buntu znać dojrzał już zupełnie w mej duszy. — Zbuntowałem się całkowicie. Zaraz po wyjściu kanonika ubrałem się w paltot i nie mówiąc nic nikomu, niepostrzeżony wymknąłem się na dół. Tu odszukałem Wawrzyna, który powitał mnie dziś ze zdwojonem uszanowaniem, powiedziałem mu, że muszę pójść do ciotki, i że wrócę przed wieczorem, ale jeżeli bym się zapóźnił, to proszę go, żeby mi bramę cichaczem otworzył.

— Ma się wie. Ma się wiedzieć! — odpowiedział mi Wawrzyn, kłaniając się do ziemi — do takiej hrabiny warto pójść, mnie staremu dała »pięć szustek« za to, żem jej bramę otwierał. Wspaniała pani! Taka ciotka, to ale!

Nie słuchałem dalszych pochwał Wawrzyna, wypowiedzianych pod adresem »wspaniałej pani«! tylko nawsunawszy kapelusz na uszy, pomknąłem przed siebie, rozmyślając, którędy najbliżej do hotelu George'a. Pytać się przechodniów nie śmiałem, bo zdawało mi się, że byłoby to wprost śmiesznem, zdradzić się taką nieświadomością. Wsiąść do dorożki i kazać się wieść do George'a — wydawało mi się najłatwiejszem, bałem się jednak, czy dwa reńskie i sześćdziesiąt centów majątku, jakie posiadałem, wystarczą na tak luksusową przejażdżkę... Przypuszczałem, że za jazdę do tak wspaniałego hotelu, trzeba zapłacić conajmniej parę guldenów. Szedłem więc prosto przed siebie i oryentowałem się jak Arab na pustyni. Zaszedłem wreszcie na Wały Hetmańskie i stąd już z łatwością trafiłem do hotelu. Przy wejściu zmierzył mnie Szwajcar dość lekceważąco, ale gdym zapytał o panią Pomianową i wspomniałem mimochodem, że to moja ciotka, uśmiechnął się łaskawie, nawet wykonał jakiś ruch w rodzaju ukłonu i powiedział, że stoi ta pani na pierwszym piętrze w drugim numerze. A nawet uprzejmość jego posunęła się do tego stopnia, że skinął na jakiegoś chłopaka i zawołał:

— Zaprowadź pana pod drugi numer!

Postępowałem za tym chłopakiem z większą pewnością dumą, niż nie jeden król wstępuje na stopnie ołtarza przed swoją koronacją. Zdawało mi się, żem wreszcie dościsnął szczytu mych najgorętszych marzeń... Czułem, że wypadałoby posłać ciotce swą kartę wizytową przez tego chłopaka. Cóż, niestety, nie mogłem tego zrobić, nie miałem jeszcze kart wizytowych.

Zapukałem więc tylko do drzwi, a na przyzwalający znak wszedłem i znalazłem się w najserdecznieszem gronie rodzinnem. Była ciocia z Jadwinią i Anulą, był jej syn najstarszy Narcyz, był wuj Henryk, ciotka Idalia i najukochańsza kuzynka, śliczna Milunia.

W jednej chwili zapomniałem o całym uroczystem znaczeniu mojej wizyty w hotelu George'a, odleciały odemnie wszelkie pretensjonalne naleciałości, wszelka próżność, rozbawiłem się tak, jakby to było w Pomianówce w czasie wakacyi. Nawet nie ubodło mnie to boleśnie, że kuzynki zlekka podrwiwały z mego haftowanego krawatu. Wytlumaczyłem im to odrazu, że krawat musi być ładny i modny, kiedy mi go kupiła babunia u »Węgra« za całe ośm złotych polskich.

W tak miłym towarzystwie czas mi leciał jak pociąg błyskawiczny. Zabawialiśmy się to rozmową, to w gry dziecinne. Nawet pamiętam, że Milunia powiedziała mi, że teraz bardzo wyładniałem i zupełnie »interesująco« wyglądam. Słowa te utkwiły głęboko w mem sercu, i kto wie, czy gdyby okoliczności, które nastąpiły bezpośrednio po owym szczęśliwym i wesołym wieczorze, nie ułożyły się były dla mnie tak fatalnie, kto wie, czy Milunia nie byłaby została pierwszym ideałem mej duszy.

Byłbym tam siedział Bóg wie jak długo, gdyby ciocia sama nie zwróciła była mej uwagi, że już w pół do dziesiątej i może się kanonik będzie gniewać, że tak długo jestem poza domem. Na wspomnienie kanonika przeszły po mnie zimne prądy, poprostu dostałem dreszczów. Teraz dopiero przypomniałem sobie, o czem byłem wśród miłej zabawy zupełnie zapomniał, że znajdowałem się tu bez pozwolenia, że siedziałem tak długo i że pewnie kanonik powrócił i odkrył mą nieobecność.

Bezprytomny prawie pożegnałem się pospiesznie ze wszystkimi i jak szalony wybiegłem z hotelu. W cza-

sie mej popołudniowej pielgrzymki zapamiętałem dokładnie drogę, to też teraz nie zatrzymując się biegłem przed siebie i zastukałem do drzwi zakładu.

Wawrzyn otworzył mi głośno i z rozmachem, a gdym mu przerażony szepnął:

— Wawrzyn! Na miłość boską ciszej!

To burknął mi niechętnie:

— Niema co po cichu!... Już tyran wie wszystko... Złajał jeszcze i mnie od psów i sobaków, groził że napędzi ze służby. Niech napędzi, co mi za służba bez »szpery«... A paniczowi to już pewno jutro da w skórę.

Nie byłem w stanie nic mu na to odpowiedzieć, poszedłem na górę przez pół zemdlały ze strachu.

Gdym wszedł do naszego pokoju, Józio jeszcze nie spał, widocznie czekał na mnie i odrazu wpadł wołając:

— Co ty, na miłość boską, wyrabiasz?

— Nic — odpowiedziałem sucho — poszedłem do ciotki... Krokiem nigdzie indziej nie byłem. To przecież nie zbrodnia.

Józio patrzył na mnie ze strasznym zdumieniem.

— Co ty gadasz! — zawołał.

We mnie tymczasem duch buntu i przekory wzrastał z każdą chwilą. Czułem się zupełnie niewinnym i myśl, że mam być bity, gdym nic nie zrobił złego, stawała mi się wprost wstrętną. Wybuchnąłem więc z najwyższym oburzeniem:

— A ja ci powiadam, że bić się nie dam... Chyba mnie na kawałki posiekają.

— Chłopcze, zastanów się — perswadował przestraszony Józio.

— Nie potrzebuję się zastanawiać — wołałem coraz głośniej. — Jak wlażem z Zychem do panieńskiej garderoby, to byłem gotów brać w skórę, bom wiedział, zem winien... Dziś nic nie jestem winien i bić się nie dam! Nie dam! Nie dam!

Wpadłem w ten stan rozdrażnienia nerwowego, który graniczył prawie z szałem. Czułem, że mi tętna uderzają ze zdwojoną siłą i szybkością. Byłem przygotowany na wszystko.

Józio zobaczywszy, że rozmowa ze mną do żadnego celu nie prowadzi, położył się spać i mnie radził uczynić to samo. W ogóle widziałem, że on bolał ogromnie nad przypadkiem, który mi się zdarzył, ale zupełnie nie rozumiał mego stanu, przez długi pobyt w zakładzie tak zatracił wszelką samoistność i tak był zupełnie zrezygowany, tak poddany ciałem i duszą woli kanonika, że moje buntownicze słowa były dlań, nasamprzód niezrozumiałe, a następnie świętokradzkie. Czułem, że robiły mu one przykrość.

Przez całą noc oka nie zmróżyłem, miałem prawie ciągle gorączkę.

Tysiące projektów i marzeń przesunęło się owej nocy przez moją głowę. Wszystkie dążyły do tego, żeby się ochronić przed niesłuszną karą... Zamierzałem uciec »w świat za oczy«, dostać się gdzieś do miasta portowego i tam wsiąść na okręt jako chłopak okrętowy, pracować, zarabiać, dobić się znacznego majątku i później powrócić, jako bogaty i sławny człowiek.

To znowu roił mi się po głowie projekt wstąpienia do legii algierskiej, gdzie miałem dosłużyć się wysokiej rangi i olbrzymiej światowej sławy.

Wszystkie te jednak projekty upadły przy bliższem rozpatrzeniu ich praktycznych stron. Już wówczas rozumiałem doskonale, że bez pieniędzy nie dostanę się ani do portowego miasta, ani do Algieru. A mimo to z każdą chwilą nabierało więcej siły postanowienie, w jakikolwiek sposób uniknięcia kary.

Nie jestem wprost w stanie opisać dziś całego biegu tych gwałtownych myśli, które owej strasznej nocy przesunęły się przez mój umysł.

Pamiętam, że chory i zgorączkowany z radością powitałem pierwszy brzask dnia. Zerwałem się co rychlej i ubrawszy się z pospiechem, wybiegłem na dół na korytarz. Wawrzyn zamiatał go właśnie i wchodowa brama była otworzona. Nie mówiąc doń ani słowa, przeszedłem bramę i znalazłem się znowu na ulicy. Dlaczego moje kroki skierowałem wówczas do mieszkania Stalfa, tego sobie nigdy nie mogłem wytłumaczyć ani wówczas, ani później, dość, że po kilkunastu minutach przechadzki znalazłem się koło bramy kamienicy, w której mieszkał stary Francuz, dawny nauczyciel, u którego był ulokowany Stalf. — Już miałem wejść w bramę, gdy nagle przyszło mi na myśl, że tak rano do obcego domu nikt nie wchodzi. Cofnąłem się więc i łąziłem po ulicach do tego czasu, aż wybiła siódma godzina.

Gdym wszedł do pomieszkania Francuza przez kuchnię, to kucharka wypatrzyła się na mnie, jak na jakieś osobliwsze zjawisko, a na moje żądanie widzenia się ze Stalfem, oświadczyła kategorycznie, że panicz spi.

Wdałem się jednak w prośby i perswazyje, tłómaczyłem, że jestem najserdeczniejszym przyjacielem Stalfa i że mam taki interes, że chodzi o życie, i w ten sposób tak przekonałem poczciwą babinę, że wreszcie wpuściła mnie do pokoju mego kolegi. Również i tego nie mogłem sobie nigdy wytłómaczyć, dlaczego miałem taki nieprzemyślany pociąg zobaczenia się ze Stalfem.

Gdym go rozbudził, popatrzył na mnie zdziwionym wzrokiem i zapytał:

— Co się stało?

Zacząłem mu bezładnie opowiadać wszystkie zdarzenia dnia wczorajszego. Zrazu wprost tego nie mógł zrozumieć i dopytywał się mnie i przywoływał do porządku w opowiadaniu tak długo, aż opowieść moja przyoblekła się w jakiś możliwy do zrozumienia kształt, wreszcie zapytał:

— Cóż ty myślisz robić?

— Bić się nie dam!

— Masz słuszność... I ja bym się nie dał.

I znowu nastąpiła chwila milczenia, którą pierwszy przerwał Stalf, mówiąc:

— Ale, co zrobisz? Jak on weźmie do ciebie kilku naraz, to cię gwałtem położą i wybiją.

W tej chwili wzrok mój padł na jakąś staroświecką dubeltową krucicę, wiszącą na dywanie nad łóżkiem Stalfa; patrząc na nią, przemknęła mi przez mózg jak błyskawica myśl: gdybym miał tę krucicę tobym się obronił. I nie zastanawiając się nad tem głębiej zawołałem:

— Daj mi swoją krucicę. Jak który zbliży się do mnie, to mu w łeb strzelę jak psu.

Myśl ta podobała się rycerskiemu Stalfowi i zajął się nią z gorączkowym pospiechem. Wyskoczył natychmiast z łóżka, zdjął krucicę z dywanu, z kurzu ją poobcierał, przedmuchał i zaczął nabijać... Nie miał w domu kul, więc nabił grubym śrutem, mówiąc:

— Nawet lepiej śrutem, obronić się obronisz, bo pouciekają po strzale, a śrutem nie zabijesz żadnego.

Schwyciłem nabitą krucicę z gorączkowym pospiechem, schowałem ją do kieszeni, uściskałem Stalfa tak serdecznie jak nigdy i jak waryat wybiegłem z pokoju. Pędziłem co tchu z powrotem do zakładu.

Często później w życiu zastanawiałem się nad ówczesnym moim stanem i zupełnie zrozumieć go nie mogłem, było coś fatalistycznego w całym moim ówczesnym postępowaniu. Nie kierowała mną wówczas, ani rozważa, ani wola... Nic, nic oprócz jakiejś siły bezwiednej i ślepej, która pchała mnie, bez żadnego nawet oporu z mej strony, w przepaść. Byłem zawsze z natury łagodny i czuły, wówczas zrodziła się była w mej duszy zimna, spokojna zawziętość, która doprowadziła mnie do

tego, że byłbym w stanie najspokojniej w świecie strze-
lić do człowieka i uważałbym ten czyn za zupełnie na-
turalny i godziwy. Widocznie niesprawiliwość najgo-
rzej wpływa na młode, wrażliwe natury.

Do zakładu powróciłem tak zgrabnie, że oprócz
Józia nikt nawet nie zauważył mej nieobecności, a ten
widząc, że żadne słowa nie wpłyną na mnie uspakaja-
jąco, dał za wygraną i z rezygnacją czekał końca awan-
tury. Naturalnie, że nie podejrzewał nawet, że zaopa-
trzył się w krucicę i w ten sposób zamyślam bronić ca-
łości mej skóry.

Z powodu, że dziś lekcyi nie było, wszyscy chłopcy
nie wychodzili z zakładu. Głośno rozmawiać nie było
wolno, ale wszyscy szeptali ciągle i zajmowali się roz-
bieraniem mojej sprawy. Nie było już tajemnie, że ma być
»egzekucya«, chodziło więc tylko o to, wiele
mi kanonik różg przeznaczył i jak ja to przyjmę. W ka-
żdym razie »egzekucya« wykonana na »wielkim«, na
uczniu wyższego gimnazjum nie należała do rzeczy czę-
sto się zdarzających i budziła zawsze zainteresowanie
i rozciekawienie. Wszyscy naprzykład z góry już wie-
dzieli, że operacya ta ma się odbyć pomiędzy godziną
jedenastą a dwunastą i że kanonik kazał Wawrzynowi
sporządzić nową zupełnie różgę ciężkiego kalibru.

Nie mieszając się w tłum, siedziałem w sypialnym
pokoju i najspokojniej czytałem... Uspokoilem się na po-
zór zupełnie i z zimną krwią oczekiwałem nastąpić ma-
jących wypadków. Byłem już pewny, że w skórę dadzą.

Raz po raz wpadał do mnie jakiś ciekawy chło-
pak, przypatrywał mi się impertynencko i miał ochotę
zawiazania rozmowy, ale żadnemu ani słowa nie odpo-
wiedałem i wyganiałem ich coprędzej z mego pokoju.
Co chwila tylko szukałem ręką, czy mam w kieszeni
krucicę, jedyną kotwicę ratunku wśród tej nawałnicy,
w której pokładałem wszelką nadzieję. Równy z ude-

rzeniem jedenastej godziny usłyszałem w sali naukowej gwałtowne kroki kanonika i grzmiący jego głos, którym pytał:

— A gdzie on jest, ten nicpoń.

— W sypialnym pokoju — odpowiedział przełęcznionym głosem Józio.

— To źle, powinien być tu i uczyć się wraz z innymi... Że ktoś ma dostać w skórę, to nie uprawnia go jeszcze do leniuchowania.

Na dźwięk tych słów serce mi gwałtownie bić zaczęło, czułem, że krew z głowy spływa na dół i zbiera się obficie w piersiach i sercu. Machinalnym ruchem dotknąłem krucicy i czekałem. Za chwilę kanonik stał tuż przedemną. Patrzyłem mu hardo i wyzywająco w oczy i czułem, że to zuchwalstwo doprowadzało go do jeszcze większego gniewu. Przyznam się, że mnie to cieszyło niepomiernie. Kilka chwil tak patrzyliśmy sobie nawzajem w oczy milcząco. Wreszcie on zawołał:

— Gdzieś wczoraj był?

— U ciotki.

— Bez pozwolenia?

— Pozwolenie mi się należało.

Odpowiadałem zimno i spokojnie. Ale ton słów był tak przesiąknięty zuchwalstwem, że kanonik nie mógł przyjść w pierwszej chwili do przytomności z gniewu i zdumienia. Milczał znowu chwilę i mierzył mnie groźnym spojrzeniem. Wreszcie zirytowany nadzwyczaj wybuchnął z wściekłością:

— Cóż to bunt!... Patrzcie buntownik... A ja cię tu nauczę! Ja ci dam bunt!... Dostaniesz dwadzieścia pięć różg, to dopiero zagadasz innym językiem... Ja ci dam bunt! Różgi! Różgi!

— Ja się bić nie dam — odpowiedziałem drżącym głosem, pełnym wzruszenia, nad którym starałem się wszelkimi siłami zapanować.

To była ostatnia kropla, która przepełniła kielich rozdrażnienia biednego kanonika. Przyskoczył do mnie gwałtownie i chciał mnie schwycić za ucho. W oczach mi pociemniało, długo tłumiona wściekłość opanowała mnie z całą potęgą. Dziedziczna skłonność do napadów szalonego gniewu obudziła się. Odrąciłem kanonika od siebie z taką nadzwyczajną siłą, której niktby się w mojej nikłej istocie nie spodziewał, odrąciłem go tak, że się aż zatoczył i omal nie runął na podłogę i zawołałem dzikim głosem;

— Precz! Bić się nikomu nie dam... A kto przystąpi do mnie, temu śmierć zrobię..

— Zobaczmy — odpowiedział kanonik spokojniejszym już głosem i otwierając drzwi do sali naukowej, zawołał:

— Hej! Chodźcie tu... Pechuń, Bełej.. Chodźcie! Niech przyjdzie was czterech, sześciu. Wziąć tego robójnika, tego waryata... Wziąć...

Stanowcza chwila się zbliżała. Serce bić mi prawie przestało, czułem, że chłód mnie jakiś dziwny ogarnia. Wyciągnąłem z pozornym spokojem krucicę z kieszeni i trzymałem ją spuszczoną ku ziemi.

Z sali jadalnej dochodziły mych uszu ciężkie miarowe kroki. Funduszowcy zbliżali się jak straż więzienna... Pechuń i Bełej, najsilniejsi ukazali się we drzwiach pierwsi... Kanonik zrobił im miejsce i cofnął się do sali naukowej. Już mieli przestąpić próg, gdy ja podniosłem krucicę w górę i zawołałem:

— Który się do mnie zbliży, strzelę mu w łeb jak psu!

Na taką groźbę zatrzymali się w progu, jak wryci.

— Czegoż stoicie?

Usłyszałem głos kanonika w sali.

— Chce strzelać — odpowiedział Pechuń i rozważnie schował się po za drzwi.

— Co? — zawołał kanonik i spojrział przez drzwi do mego pokoju.

Podniosłem znowu krucicę w górę i znowu powiedziałem:

— Każdemu, kto próg przestąpi, w łeb strzelę.

I kanonik się cofnął. Słyszałem tylko głos jego jak wołał do Józia:

— Ach! śliczny kuzynek... Sześćdziesiąt lat żyję, ale jeszcze takiej awantury nigdy nie widziałem... Dać mu dwie godziny do namysłu, jak się nie upokorzy i nie podda sam karze, to posłać po policyę... To jest zbrodniarz!... Do takiej demoralizacji nie dopuszczę. Dla przykładu musi być ukarany.

I nagle usłyszałem, jak gwałtownie wybiegł z sali i jeszcze ze schodów dochodził mych uszów odgłos jego pospiesznych i nierównych kroków.

Zamknąłem drzwi, usiadłem na krześle i trzymając krucicę w dłoni, czekałem zdecydowany na wszystko.

Jakiś czas było zupełnie cicho w sali jadalnej, później usłyszałem, że ktoś ostrożnie się zbliża do zamkniętych drzwi. Ścisnąłem więc krucicę w dłoni i patrzyłem w drzwi. Nie otwierały się one tylko ktoś zapukał w nie cicho, trzy razy. Instynktem jakimś uczułem, że to nie jest nieprzyjaciel... Zapytałem więc pół głosem:

— Kto tam?

— To ja, Józio — ozwał się głos z za drzwi — a do mnie nie strzelisz!

— Jeżeli mi dasz słowo, że nie przychodzisz mnie wiązać — odpowiedziałem — to nie strzelę.

Zaczął się śmiać i wszedł.

Nie odzywałem się do niego ani słowa. On przestał się śmiać i zapytał:

— Co z tego będzie?

— Nic! Kto się do mnie zbliży, w łeb mu strzelę i koniec.

— A jak kanonik poszle po policyę?

— To policyantowi w łeb strzelę — odpowiadałem z zaślepioną wściekłością.

On widocznie zrozumiał dobrze, że żadna perswazyja mi nie pomoże, bo zamyślił się smutno i po chwili powiedział:

— Głupia sprawa! Wiesz, masz ty komu w łeb strzelać, żeby cię potem powiesili, to...

Przerwałem mu ze złością:

— Niech wieszają, mnie wszystko jedno! Bić się za darmo nie dam.

— Ależ słuchaj — przerwał niecierpliwie — powiadam, że masz się posunąć do takiej ostateczności, to lepiej uciekaj stąd... Pójdź do tej ciotki, u której byłeś wczoraj... To jakaś wielka pani, a kanonik szanuje wielkich panów... Rozpowiedz jej wszystko... Może ona na kanonika wpłynie... Tymczasem on się uspokoil.

Myśl proponowanej ucieczki podobała mi się nadzwyczajnie. Od pierwszej jednak chwili nie miałem zamiaru zgłaszać się do ciotki Pomianowej. Wstydziłem się poprostu pokazać przed nią i opowiadać jej o wszystkich tych szaleństwach, które od wczoraj popełniłem... Józiovi odpowiedziałem, że zgadzam się na ten projekt, ale w duszy postanowiłem uciekać w świat daleko, tam, gdzie mnie nogi poniosą.

Projekt ucieczki ułożyliśmy w jednej chwili. Józio poszedł zobaczyć, czy kanonik jest jeszcze w zakładzie. Ja tymczasem wdziałem grube buty i ciepłe odzienie, ubrałem się w watowany paltot i czekałem nań z niepokojem. Za chwilę powrócił z wieścią, że kanonik wyszedł gdzieś i zapowiedział, że wróci aż na obiad.

Przebiegłem przez salę naukową i znalazłem się na kurytarzu. Poczciwy Józio, pomimo niebezpieczeństwa, na jakie go to narażało, odprowadził mnie aż na dół. W bramie oddałem mu krucicę, prosząc, żeby ją

przez Pucha odesłał Stalfowi i pożegnałem się z nim serdecznie. Za chwilę utonałem w tłumie ulicznym.

Odetchnąłem! Nie miałem najmniejszego wyobrażenia, gdzie pójdę, w którą stronę się obrócę, ale wiedziałem, że nikt mnie nie przyjdzie brać do »strafcymbry«. Pomimo tego oglądałem się kilka razy po za siebie instynktowo, z obawy, czy mnie kto nie ściga.

Nie zdając sobie z tego sprawy, gdzie idę i poco, szedłem ciągle przed siebie i znalazłem się prawie zupełnie za miastem na jakimś placu, na którym żołnierze odbywali ćwiczenia. Do moich uszu dochodziły odgłosy komendy:

— *Eins, zwei, drei.*

To znowu na przemiany po polsku:

— Raz, dwa, trzy.

Kilku żydów, sprzedających wódkę, precle i bułki, ścisnęło się w jedną grupę i oczekiwało na koniec ćwiczeń, pewni widocznie, że swój towar rozsprzedadzą żołnierzom.

Przystąpiłem do tych żydków i kupiłem trzy bułki po dwa centy. Przy tej sposobności wdałem się z nimi w rozmowę, z której się dowiedziałem, że ten plac nazywał się »Ogrodem Jabłonowskich«, i że znajduje się na »Stryjskiem przedmieściu«.

— A panicz nie wie gdzie zaszedł? — spytał mnie poufale jeden z żydków.

— Teraz zapusty — odpowiedziałem — szkoły nie ma, więc sobie spaceruję, żeby poznać miasto.

— A ta droga dokąd prowadzi? — spytałem znowu, wskazując na szosę, która szła opodal.

— Do Stryja.

W tej chwili spostrzegłem kłęby dymu i usłyszałem turkot idącego pociągu, zadałem więc znowu żydkowi pytanie:

— A co to za kolej tam jedzie?

— No, ta kolej, co idzie do Bóbrki, do Stanisławowa, do Czerniowce... Ta nowa kolej.

Byłem nareszcie w domu. Znalazłem linię przewodnią, wiedziałem przynajmniej, gdzie się znajduje... Odszedłem kilkadziesiąt kroków od żydków, w kierunku linii kolejowej, usiadłem na jakimś pniaku i zacząłem najspokojniej zjadać kupione od żyda bułki

Później przerachowałem pieniądze, które przy sobie miałem; było tego wszystkiego dwa guldeny i sześćnaście centów. Szczupła zawartość sakiewki zrobiła na mnie smutne bardzo wrażenie, zacząłem rozmyślać nad tem, w jaki sposób mógłbym zwiększyć moje fundusze. Po raz pierwszy w mem życiu rozmyślałem nad tym tematem, chociaż później w życiu niejedną noc poświęciłem podobnym rozmyśleniom.

Przypomniałem sobie wówczas, że jeszcze w przeszłym roku, gdy mi było całkiem dobrze, pożyczyłem w Stanisławowie dwom kolegom po kilka reńskich. Jednym z nich był Mundek Poterski, syn starosty, któremu dałem trzy guldeny. Drugi zaś Franio Sobol, nasz »pierwszy celujący«, syn biednego mieszczanina z Łyśca, czy Bohorodczan. Mundek nawet pisał w tym już roku do mnie do dworu, żebym do niego przyjechał, bo on jest zagrożony chorobą serca i uczyć się dalej nie może, donosił, że ojciec jego jest obecnie starostą w Bóbrce.

W tej chwili przypomniałem sobie, że mi żyd mówił, iż kolej żelazna przechodzi przez Bóbrkę, postanowiłem więc w pierwszej linii pójść do Bóbrki, odwiedzić Mundka, zwiększyć swoje zasoby pieniężne odebranymi od niego trzema guldenami, a później puścić się do Stanisławowa, na egzekucję do Sobola. Z tym wiedziałem, że będzie trudno, bo był bardzo ubogi i z lekcyi się utrzymywał. Uczuwałem nawet pewien wstręt do takiego egzekwowania swych wierzytelności, lecz pomyślałem:

— W zwykłych warunkach, pewno żebym go nie dusił, ale wobec tego, że dziś sam nic nie mam i nie mam zapewnionego jutra, musi wybaczyć.

Ten frazes o »niezapewnionem jutrze« bardzo mi się nawet podobał i powtórzyłem go sobie w pamięci kilka razy, tak, żem już stale siebie uważał za człowieka o niepewnem jutrze.

Zrobiwszy w ten sposób postanowienie, przystąpiłem natychmiast do wprowadzenia go w czyn.

W ciągu kwadransa doszedłem do linii kolei żelaznej. Przy pierwszej budce wdałem się w rozmowę ze strażnikiem, z której dowiedziałem się, że miasteczko Bóbrka leży o kilka kilometrów od stacyi Bóbrki... Że do miasteczka jest bliższa droga wprost ze stacyi w Starem Siole, przez las sosnowy. Wreszcie, że jest teraz godzina w pół do drugiej.

Pożegnałem strażnika najpiękniejszym ukłonem, na jaki się tylko zdobyć mogłem, i zacząłem maszerować do Bóbrki tak szybko, jak tylko mogłem.

Jedynem mojem najgorętszem pragnieniem wówczas było dostać się koniecznie do Bóbrki; bałem się nocy i lasu sosnowego.

Pamiętam, że podczas tej pospiesznej peregrynacyi przechodziłem obok jakiegoś kościółka, przy którym było małe schludne probostwo. Otóż z kuchni owego probostwa zalatywał tak miły zapach świeżo pieczonego chleba, że stanąłem na chwilę i wciągałem nosem ten zapach, rozkoszując się. Głodny bo też byłem potężnie...

Za dnia jeszcze minąłem stacyę »Stare Sioło«. Dokładnie rozpytałem się o drogę i puściłem się do obcego straszego lasu sosnowego.

Uczuwałem małe dreszcze. Byłem zgorączkowany, zmęczony i głodny. Po głowie snuły mi się jakieś halucynacye i dziwne marzenia. Przypomniałem sobie wówczas, że w rodzinie mej była tradycya, że mój prapra-

dziad po konfederacyi barskiej pojechał był jako tłumacz z jakimś Potockim do Konstantynopola. Potockiego wysłała generalicya jako posła, tymczasem on ani po turecku nie umiał, ani pieniędzy na drogę nie miał; przodek mój miał trzos nabity i mówił doskonale kilku wschodnimi językami. Pożyczył więc panu Potockiemu pieniędzy i obaj wybrali się w podróż — z której nie powrócili do ojczyzny. — Gdzieś pod Warną zamordowali ich bułgarscy rabusie... Podanie to przypomniało mi się w owej chwili z całą siłą, a rozgorączkowana wyobraźnia skojarzyła je natychmiast z faktem, że »Stare Sioło« należało do rodziny Potockich. Ułożyłem sobie więc, że w tym strasznym sosnowym lesie spotkam się z jakimś młodym Potockim, że się poznam z nim, że on na dźwięk mego nazwiska przypomni sobie także stare podanie i powie mi, że za krzywdę, która się stała mojemu prapradziadowi, on potomek Potockich chce mnie wynagrodzić, że ofiaruje mi swą przyjaźń dożgonną... Później snuły się w mej wyobraźni fantastyczne obrazy naszych wspólnych wypraw myśliwskich i walk homerycznych gdzieś w dzikich krajach.

Marząc tak na jawie, zbliżałem się do lasu. Nagle do mych uszu doleciał głos jakiegoś śpiewu. Wyteżyłem oczy wśród zapadającego zmroku i ujrzałem na kilkadziesiąt kroków przed sobą człowieka, idącego pospiesznym krokiem i wymachującego jakimś przedmiotem nad głową... Byłem pewny, że to ten wymarzony Potocki i przyspieszyłem kroku.

W miarę naszego wzajemnego zbliżania się, słowa śpiewanej piosnki dochodziły do mych uszu coraz wyraźniej. Była ona co najmniej dziwna w ustach hetmańskiego potomka.

Przechodzień śpiewał z szynkowem zacięciem:

»Kutra nima kawalirza, kawalirza,

Niech do karczmy nie zazirza, nie zazirza.

Bo ni pije, ni tańcuje,
Tylko drugim przeskaduje!»

Usłyszawszy to, zmiarkowałem odrazu, że to nie Potocki, ale też zrozumiałem, że spotkanie z takim »we-sołym pasażerem« w czystym polu pod noc, nie jest bardzo bezpieczne, nie było już jednak sposobu skryć się, bez zwrócenia na siebie uwagi, szedłem więc, nadrabiając miną.

Nareszcie spotkaliśmy się. Spojrzałem na przecho-dnia, był to obdarty oberwaniec w poszarpanym kape-luszu i dziurawym surducie. Twarz miał czerwoną i był najwyraźniej pijany.

— Dobry wieczór, kolego! — zawołał — zatrzy-mując się.

— Dobry wieczór! — odpowiedziałem szorstko, i chciałem iść dalej.

— A poczekajno! — wołał. — Jakiego cechu i rze-miosła?... Co? Masz całe pludry, to już nie chcesz ga-dać ze mną. Poczekaj!... Ja tak tylko w podróży, a jak będę we Lwowie, to, panie dzieju, nowiusieńki cylinder na głowie, czarny »schlussrock« na grzbiecie, a »tra-buki« w pysku.

Pozwoliłem mu wygadać się, a tymczasem zasta-nawiałem się nad tem, co mu odpowiedzieć i jak się od niego wyswobodzić. On prawił dalej:

— Jestem szewc... To jest pierwszy majster obu-wia męskiego i damskiego, wojskowego i cywilnego... Po miasteczkach na takim się nie poznają... Żydy psie mordy konkurencyę robią. Idę do Lwowa, tam jak na-miestnikowi ekscelencyi i arcypasterzowi ekscelencyi buty na prezent zrobię, to mnie zaraz hofratem nazna-czą i najstarszym szewcem na całą Polskę i Austryę... Rozumiesz, kolego... No, a ty jakiego fachu?

Miałem już odpowiedź gotową, przez wzgląd na to, że popełniłem kilkadziesiąt rymów w mem życiu, powie-

działem mu, że jestem rymarzem, że robiłem w »skarbie« w Starem Siole i tam robota się skończyła, ale tam poznałem się z żandarmem, który nastreczył mi robotę u starosty w Bóbrce i właśnie wraz z nim idę się godzić.

— A gdzie ten żandarm? — zapytał z niepokojem przysły szewski hofrat.

Odpowiedziałem mu z najzimniejszą krwią:

— Poszedł ponad rzeczka, dołem. Szukać, czy nie spotka tam jakiego włóczykija... Ma na mnie czekać pod lasem...

Mój nowy kolega nie czekał końca mej wymyślonej powiastki, tylko skinął mi głową na pożegnanie, szepnął: »szczęśliwej drogi« i cicho, bez śpiewu i wymachiwania kijem poszedł w kierunku Starego Sioła.

Szczęśliwy, że się go pozbył, ruszyłem z nową energią przed siebie i przyszedłem do Bóbrki, gdy żydzi zapalali już świece po domostwach.

Do starosty dopytałem się z łatwością. Zastałem całą rodzinę przy wieczerzy. Mundek, blade i mizerny ucieszył się mną ogromnie i bardzo dziękował, że się doń wybrał i o nim, chorym, nie zapomniał. Rodzice, uszczęśliwieni radością syna, również mi z całą serdecznością dziękowali. Nawet nic kłamać nie potrzebowałem... Zataiłem tylko, że idę piechotą z samego Lwowa. Wszyscy myśleli, że przyjechałem koleją do Starego Sioła, a nie zastawszy tam żadnych koni, tych kilka kilometrów zrobiłem piechotą. To też troskliwa pani staroscina nakładała mi na talerze, a ja zjadałem wszystko z przerażającą szybkością... Później sen mnie tak zmorzył, że zasnąłem na kanapie w salonie i przy wesołym śmiechu całej rodziny, zostałem rozbudzony, przetransportowany do pokoju Mundka i tam mnie ulokowano na dziwnie wygodnej kanapie, na której w jednej chwili zasnąłem... Strudzony spałem wybornie na drugi dzień do godziny dziesiątej.

Obudziłem się wyspany i wesoły. Słońce padało przez duże okno wprost na moją głowę, ptaszki świergotały za oknem, na świetle robiła się zupełna wiosna, chociaż to było dopiero pierwszego marca. Piękna ta pogoda natchnęła mnie dziwną jakąś otuchą.

Mundek siedział obok mnie i z serdeczną troskliwością wpatrywał się we mnie. Obudziwszy się, zacząłem z nim rozmawiać i czerwieniąc się ze wstydu, powiedziałem mu, że byłbym mu bardzo wdzięczny, gdyby mi mógł oddać owe trzy guldeny, pożyczone w Stanisławowie. Nim jednak skończyłem, poczciwy chłopak wydobył zmięte trzy papierki z kieszonki od kamizelki i wcisnął mi je do ręki, mówiąc:

— Przepraszam cię jak najmocniej, żem ci tego nie odesłał do Lwowa. Wiem, że w szkole grosz się przyda... Na szczęście dostałem od mamy dziesięć reńskich na zapusty, to mogę ci natychmiast ten dług oddać.

Po tej rozmowie humor mój podniósł się do zenitu. Miałem w kasie pięć reńskich i szesnaście centów, здавало mi się, że z tym kapitałem mogę jechać do Ameryki. Ubrawszy się, oświadczyłem, że pragnę wracać do domu... a w rzeczy samej pędziło mnie w świat i nie wiedziałem jeszcze, gdzie się udam. Obrachowałem się, że do morza najbliżej przez Czerniowce, Jassy do Gala-czu i tam chciałem się dostać, naturalnie po odebraniu pięciu guldenów od Sobola w Stanisławowie.

Na serdeczne jednak zaprosiny Mundka, zgodziłem się zostać do jutra. Szczególniej, gdy mi sama pani powiedziała, że rano idzie pociąg do Lwowa o godzinie szóstej i na ten pociąg jeździ zawsze wózek pocztowy, którym bardzo łatwo dostać się do stacyi. Mówiąc o tem, wzięłem do ręki »rozkład jazdy« i zobaczyłem, że o godzinie szóstej rano krzyżują się na stacyi w Bóbrce pociągi, jeden idzie do Lwowa a drugi w stronę Stanisławowa i Czerniowiec. Zobaczyłem przy tem, że do

Stanisławowa bilet jazdy trzecią klasą kosztuje cztery reńskie i dwanaście centów. Miałem więc fundusze na odbycie tej drogi koleją.

Zgodziłem się więc na łaskawe zaproszenie i cały dzień przepędziłem wesoło w gościnnym domu starosty.

Z powodu ostatniego wtorku, po południu zaczęli się schodzić goście; przybyło kilku młodych ludzi, oraz kilka pań i panienek, nawet wieczorem trochę tańczono... Bałem się jednak z mym tańcem popisywać, bo zaraz w początkach w walcu nadeptałem pewnej małej blondynce tak na nogę, że rozpląkała się głośno... Żle to wpłynęło na moją opinię. Wkrótce jednak naprawiłem ją, rozmawiając bardzo do rzeczy ze starszemi paniami. Nawet jakiś już szpakowaty jegomość, który mi się bacznie przypatrywał, szepnął na ucho pani staroście, ale tak, że ja usłyszałem, że ze mnie może być albo niepospolity człowiek, albo hultaj... Jegomość ten był widocznie fizyonomistą i psychologiem i musiał dostrzedz, że już znajdowałem się na hultajskiej drodze.

Pomimo protestu księdza dziekana, zabawa ochocho przeciągnęła się prawie do godziny piątej rano, tak, że ja nie kładąc się, wsiadłem wprost na wózek pocztowy... Pożegnałem się serdecznie z Mundkiem i jego rodzicami, i obdarowany przez panią starościnę paczką »pączków na drogę« puściłem się odważnie w świat.

Przez drogę do dworca obrachowałem się, że niebezpiecznie wydawać prawie wszystkie pieniądze na bilet kolejowy, postanowiłem więc kupić bilet tylko do Halicza, a stamtąd dojść do Stanisławowa piechotą... Robiło to różnicę prawie o półtora reńskiego, a wiedziałem, że przyjechawszy o jedynastej do Halicza, będę mógł z łatwością dojść przed nocą do Stanisławowa. Zresztą z Jezupola znałem drogę do Stanisławowa dokładnie, bo w czwartej klasie z profesorem Łomnickim robiliśmy raz tę wycieczkę.

Z dobrą miną zszedłem z wózka, dałem nawet kilkanaście centów poczytliwemu napiwku i poszedłem kupić bilet trzeciej klasy do Halicza. Pamiętam, że z trzech reńskich, które mi oddał Mundek, zdał mi kasjer dwadzieścia kilka centów.

Wkrótce rozległ się turkot i świst na dworcu, oba pociągi prawie równocześnie nadeszły. Wyteżyłem całą uwagę, żeby się nie pomylić i na szczęście trafiłem do pociągu stanisławowskiego.

W przedziale, do którego wsiadłem, mieściło się kilku grubych, czerwonych jegomościów. Nie zwracałem zrazu na nich uwagi, tylko z rozczuleniem rozmyślałem o serdecznej gościnności, jakiej doznałem w zacnym domu starosty. Zastanawiałam się nad tem, że jak ruszę w szeroki świat, to już nigdy może tych ludzi nie zobaczę i uczulem nagle ból jakiś koło serca, i żal mi się zrobiło za tymi ludźmi... Zapanowałem jednak nad sobą i przestałem o tem myśleć. Miałem jednak dobre przecucia. Mundek w rok później umarł i nie widziałem go już przed śmiercią, z jego rodzicami także nigdy już w życiu nie spotkałem się.

Tymczasem ciekawość moją zwróciła rozmowa tych ludzi, którzy ze mną siedzieli w jednym *coupé*. Przedewszystkiem uderzyło mnie to, że choć byli ordynarnie poubierani i mieli zupełnie prostackie zachowanie, mimo to mówili ciągle o wielkich kwotach pieniędzy, a nawet jeden z nich wydobył olbrzymi założony pugilares i w moich oczach wypłacił drugiemu kilka setek, a ubytek ten nie zmniejszył ani trochę zawartości pugilaresu. Tyle pieniędzy razem nigdy nie widziałem i przyznam się, że wówczas uczulem po raz pierwszy a może i ostatni zazdrość. Zazdrościłem temu grubasowi jego pugilaresu. Myślałem, że gdybym miał tyle pieniędzy, to zjechałbym może choćby do Australii i nie zabrakłoby mi w drodze. Po kilku chwilach zawód tych ludzi prze-

stał być dla mnie zagadką, zaczęli rozmawiać o — świniach i wychwalać się jeden przed drugim, gdzie i jak tanio stworzenia te kupowali.

Najgrubszy z nich mówił:

— Ja z chłopem handlować nie lubię... Psuj sobie gardło godzinę i wytargujesz guldena.

Na to rzekł drugi.

— Zato nikogo tak nie otumanisz jak chłopca... Na niego nakrzyycz, to ci zaraz ze strachu opuści... A na wadze i cenie to się nie zna, zwyczajnie ślepa bestya...

— Ślepa bestya już przewidzieć zaczyna — dorzucił z ironią trzeci.

— A ja wam powiadam — zagał znowu pierwszy, najpoważniejszy z nich — że najlepszy handel z młodymi paniczami... A jeszcze jak go człowiek umie zająć z mańki, to bierze towar za pół darmo.

— Pomądrzały już i panice! — wtrącił znowu poprzedni pesymista.

— Jedni pomądrzeli, inni nie pomądrzeli — ciągnął pierwszy, nierad widocznie, że mu ktoś przerywa przygotowane opowiadanie. — Ja mam naprzykład takiego panicza, co to jest skarb... Wiem kiedy u niego kupować. Ma on ekonoma... Szelma złodziej. Nazywam go zawsze »panie dyrektorze«. Bywało zawsze na jarmarku zapłacę mu flaszkę wina... To on mi zato powie czasem: »oj, panie Kasprze, pofatygujcie się do nas, jest dziesięć wieprzków, jak smyki, a teraz pieniędzy potrzebujemy« i uśmiechnie się przy tem jednym okiem po szelmosku... Rozumiem, co to znaczy. Płacę dwie flaszkę, a zaraz na drugi dzień idę do dworu.

Jak zaczną mu gadać a »jaśnie panie«, a »panie hrabio«, jak nie zaczną narzekać na ciężkie czasy i na to, że żadnego handlu niema, tak kupię wieprzki po dwadzieścia papierków, choć one między braćmi warte po czterdzieści pięć... Ot, co to handel z paniczami...

Zrób taki interes z chłopem. — I popatrzył dumnie po zebranych słuchaczach, rozkoszując się wyrazem zachwyty i uznania, jakie jego opowiadanie na ich oblicza wywołało.

Opowiadał tak dość długo ten w rzeczy samej zdolny narator, wreszcie musiał się znudzić oklepanym tematem, bo nagle wrócił wzrok na mnie i zapytał:

— A czemu to panicz tak z boku siedzi... Co to ze świniarzami nie łaska pogadać?

Odpowiedziałem mu grzecznie, że nie śmiałem się do nich zbliżyć, nie znając nikogo. W gruncie rzeczy nawet rad byłem, że do mnie przemówił, bo mnie już było znudziło takie milczące siedzenie.

Odpowiedź moja rozradowała starego handlarza, bo uśmiechnął się życzliwie i skinąwszy na mnie rzekł:

— Proszę się nas nie brzydzić. Proszę bliżej... Ot mam tu porcyę szynki i trochę wina, może panicz pokosztuje z nami.

Zapomniałem, że to popielec i zacząłem z apetytem zajadać. Później pociągnąłem ze dwa hausty wina, które mi się wydało tak doskonałem, jak żadne inne w życiu. Posiłek ten dobrze wpłynął na moje usposobienie, wdałem się z handlarzami w rozmowę.

— A dokąd Bóg prowadzi? — spytał mnie pierwszy, gruby.

— Tymczasem do Halicza — odpowiedziałem — a potem do Stanisławowa.

— A my do Bursztyna na jarmark, po towar.

— A panicz ze szkół? — zapytał drugi.

— Ze szkół — odpowiedziałem cicho i zarumieniłem się.

— Ale szkoła bokiem lezie — wtrącił pesymista i zaczął się śmiać i rumienić. — Och! pamiętam ja tę szkołę. Mózgi człowiekowi wysuszają, a wszystko daremnie. Te ludzie, co z tych górnych szkół powychodzą,

to są durniejsze, niż chłop nieuczony, i pewno mózgi wysuszą jak suchą śliwkę i później w głowie samo termicie zamiast rozumu.

— Ma Mikołaj recht! Ma recht! — zawyrokował pierwszy. — Nie powiadam nauczyć człowieka pisać, czytać i rachować, ale te wszystkie jakieś »logije«, to błazeństwo... Moje chłopcy, chwalić Boga, żaden dalej jak do czwartej normalnej nie poszli, a potem zaraz do interesu... Ale mam dziewczynę, tej się w głowie przewróciło, chce być guwernantką... Chodzi, uczy się po nocach... Jak przeczytałem jej świadectwo ze szkoły, tom się zdumiał. Nigdy o takich naukach nie słyszałem... Ot faszeruje sobie głowę głupstwami, a jak pójdzie za męża, to barszczu nie będzie umiała zgotować...

Zadumał się głęboko po wypowiedzeniu ostatniego zdania i wreszcie machnąwszy ze złością ręką, zawołał:

— To każdy musi przyznać, że za dużo nauki szkodzi do interesu.

Zachęcony tak filozoficznym poglądem na naukę zacnego handlarza nierogaczyny, oświadczyłem mu nieśmiało, że ja podobnież mam mniej więcej takie same poglądy na naukę szkolną, tylko nie miałem sposobności jeszcze spotkać się z ludźmi, którzyby mi wskazali, jakąś realną pracę, aby mi mogła utrzymanie zapewnić.

— To przystań do nas — zawołał wesoło handlarz. — Czytać i pisać musisz umieć doskonale... Listy pisać potrafisz... a to nam potrzebne. Po niemiecku napisać umiesz, i we Wiedniu się rozmówić.

I nagle sięgnął do owego grubego pugilaresu i wydobywszy zeń czystą karteczkę, dodał:

— Jak zechcesz, to zgłoś się z tą kartką do Jackowskiego, świniarza w Stanisławowie, to on z tobą pogada i ugodzi... My wszyscy w kompanii, ale on najstarszy... My zapłacimy odrazu więcej niż bierze pisarz w sądzie.

Ton, jakim to mówił i ta nagła poufałość znanego świniarza, zrobiły na mnie bardzo niemiłe wrażenie. Nie zdradzałem jednak swego niezadowolenia, tylko ukłoniwszy się grzecznie handlarzowi, schowałem kartkę do kieszeni. Myślałem, kto wie, czy mi się ona nie przyda wobec niepewności, co chowa dla mnie najbliższa przyszłość. Szepnąłem nawet:

— Dziękuję panu.

I zacząłem się dalej przysłuchiwać rozmowie »kupców«, nie biorąc w niej już żadnego udziału. Wkrótce dojechaliśmy do stacji Bursztyn i moi przygodni znajomi wysiedli, ściskając mnie protekcyjonalnie za rękę.

Po ich wyjściu, chciałem się śmiać z propozycji mi zrobionej, jednak nie miałem odwagi. Przypomniałem sobie słowa ś. p. mego ojca, który mi groził, gdym był malcem i uczyć się nie chciałem, że »będę świnie pasał«... Kto wie, czy nie zbliżała się dla mnie ta smutna ostateczność.

Niepokój mnie ogarniał, nie wiedziałem zupełnie, jak wybrnę z tego fatalnego położenia, a jednak ani przez chwilę nie żałowałem tego, com zrobił, i nikt nie byłby był w stanie nakłonić mnie do dobrowolnego powrotu do zakładu i poddania się woli księdza kanonika. Bunt trwał.

O jedenastej wysiadłem w Haliczu. Ciepło było jak w lecie. Rozpytawszy się robotników o drogę do Jezupola, ruszyłem w podróż prosto z dworca i szło mi zupełnie dobrze. Na przewozie zapłaciłem cztery centy. W Jezupolu u żyda w karczmie zjadłem bułkę i dwa jaja, a chociaż ucuwałem coraz gorsze znużenie, jednak szedłem przed siebie bez przestanku. Przed zachodem słońca ujrzałem ratusz stanisławowski i ten widok dodał mi sił do ukończenia tej forsownej podróży.

*

*

*

Lubiłem zawsze bardzo Stanisławów, wiązała mnie z tem miastem tradycya rodzinna. Parę pokoleń naszego rodu żyło lub umierało w tem mieście. Mój ojciec, dziad i pradziad kończyli nauki w stanisławowskiem gimnazyum, lub dawniej tu istniejącem kolegium jezuickiem. Z radością więc wchodziłem do tego miasta, w którem znałem każdy dom, każdego prawie człowieka.

Gdym mijał roгатkę miejską, uczułem takie znużenie, że musiałem wyteżyć wszystkie siły woli, żeby nie usiąść na ławce przy domku mytniczym i nie zasnąć tam na dobre. Krzepiłem się jednak jak mogłem, bo jeszcze spory kawał drogi miałem przed sobą. Od rogatki halickiej, prawie aż na koniec »ulicy Brukowanej«, bo aż tam, pod samym szpitalem miejskim mieszkał Sobol u jakiejś wdowy po bednarzu, która »trzymała biednych studentów«.

Zwyciężyłem jednak i tę przeszkodę.

Wchodziłem do niskiego, w ziemię zapadłego domu w tej chwili, gdy Sobol wychodził gdzieś na lekcję. Zobaczywszy mnie, nie poznał odrazu. Dopiero gdym do niego przemówił, zrozumiał z kim ma do czynienia. Z wielkiego zdziwienia przeżegnał się lewą ręką i zawołał:

— Wszelki duch Pana Boga chwali! A ty się tu skąd wzięłeś?

Odpowiedziałem mu, że długo by o tem gadać i prosiłem, aby tymczasem dał mi się gdzie przespać a później będziemy rozmawiać.

— Jak chcesz spać, to dobrze się składa. Jest sofa wolna. Mały Kopeć, syn ruskiego księdza z Choiny, pojechał na zapusty do domu i tam zachorował na ospę. Jego sofa wolna... Poczekaj. Powiem pani Antoniowej, że ty »swój«, to ci pokaże gdzie masz spać. A ja muszę iść na lekcję, choć to u żydów, ale dają mi ośm papierków na miesiąc i kolację, to trzeba szanować.

Zapoznał mnie z wyschniętą jak szczepa, starą panią Antoniową i poszedł. Skorzystałem z tego, rzuciłem się ubrany na sofę i zaśnąłem snem kamiennym.

Obudziłem się dopiero na drugi dzień, było już zupełnie jasno, o ile mogło być jasno w tej izdebce, mającej dwa malusieńkie okienka po cztery szyby. Przetarłem oczy i spostrzegłem »panią Antoniową« zamiatającą izbę. Izba ta miała dno wylepione gliną, która miała zastępować podłogę. Miotła z jakiegoś zielska służyła pani Antoniowej za szczotkę. Kobieta ta spostrzegłszy, że już nie śpię, zbliżyła się do mnie i z pewnym szacunkiem spytała:

— Panicz już nie śpi?

Odpowiedziałem jej życzeniem »dobrego dnia«.

Kurtoazya ta dobre sprawiła wrażenie na babinie, bo wdała się ze mną w rozmowę. Z początku zapytała:

— Ale gdzie się tak panicz zmęczył, że spał jak z niemocy. Zrazu patrzę śpi, myślę sobie, pewno musi być chory albo co... Ot, myślę sobie, kłopot. Przychodzę bliżej, słucham, oddycha dobrze, równo, no myślę sobie, chwała Bogu nic złego. Aż patrzę na buty i spodnie, a tam i kurzu i błota jak z wielkiej drogi. No, myślę sobie, biedniatko musiało daleko iść, to niech sobie pośpi... Jak ja po paniczu widzę, to panicz nie musi być z prostego stanu, zapewne z państwa... Zaraz można poznać pańskie dziecko po rękach, po nogach... U mnie to panicze studenci sami z prostego stanu, z chłopskiego, z mieszczańskiego. Jeden był księdza synek i ten zachorował, żeby mu Bóg dał podnieść się z tej niemocy, bo z niego największy profit miałam i masła i słoniny i kartofli i jeszcze sześć reńskich na miesiąc dopłacali, a co sama imość czasem tu nazwoziła, raz nawet cały worek mąki.

Babina gadała tak wiele i z takim zapałem, że jej wymowy i wytrwałości mógł pozazdrościć niejeden par-

lamentarny mowca, należący do jakiejś obstrukcyjnej partii. Dałem się jej wygadać do woli, a później opowiedziałem jej bajeczkę na prędcie wymyśloną. Opowiedziałem jej mianowicie, że jestem »prywatystą«, że daję lekcyę u pewnego rządu, kilka mil od miasta, a przyszedłem do Sobola, mego kolegi, ażeby się dowiedzieć, co się teraz w szkole ucza, bo będę musiał z tego zdać egzamin.

Bajeczka była tak prawdopodobną, że starej nawet na myśl nie przyszło wątpić w jej prawdziwość. Spytała mnie tylko, gdzie się będę wiktował przez czas pobytu w Stanisławowie, i była zupełnie zadowoloną, gdym ją poprosił, żeby mnie jeść dawała razem ze swymi studentami, a za to jej zapłacę. Dałem jej nawet trzydzieści centów na zadatek, to uspokoiło jej wszelkie obawy i uwiadomiła mnie, że za wikt dziennie będzie mi rachować po piętnaście centów... Kończyła mówiąc:

— Nie wiem tylko, czy panicz będzie z tego wikt u kontent. U nas to tak: to groch, to kapusta ze szperką, to fasola gotowana, to kasza ze słoniną... Gospodarski wikt, smaczny, ale żadnej delikatności niema... Jak paniczowi nie posmakuje, to można pójść do Stroma, tam dostanie wszystkich doskonałości, na codzien jak na Wielkanoc... Zawsze jest i polędwica wieprzowa, i kiszka, i kiełbasa smarzona z jajecznicą, ale to kosztuje. Każda porcyca co najmniej dwanaście grajcarów, a jak kto przy apetycie, to zje i cztery porcyce... Pomiędzy mieszczanami są takie zbereźniki, że jak tam zajdzie, to przeje pięć szóstek, a piwa napije za pięć szóstek i całego guldena djabli wezmą... A co się to człowiek musi napracować, nim takiego guldena zarobi... Strach! Strach!

Byłem poprostu zagłuszony taką wymową szanownej pani Antoniowej, na moje szczęście piesek jakiś zaczął w sieniach szczekać, więc babina bojąc się »czy

kto tam nie zakrada się do kapusty», wybiegła popatrzyć, ja tymczasem obróciłem się do ściany i na nowo zasnąłem.

O jedenastej zbudził mnie wracający ze szkoły Sobol. Z nim przyszedł dawny mój kolega i przyjaciel Staś Duniński, który, dowiedziawszy się o mem przybyciu, pospieszył ze mną się przywitać. Przed nimi nie robiłem już żadnej tajemnicy; opowiedziałem im rzecz całą z najdrobniejszymi szczegółami. Całe moje zachowanie się z kanonikiem zaimponowało im ogromnie, szczególnie Staś był mną zachwycony i mówił, że mi wprost zazdrości, iż znalazłem dobrą sposobność do tak dzielnej obrony »zagrożonego honoru«.

Gdy jednak powiedział Sobolowi, że potrzebuję, żeby mi oddał owe pięć reńskich, które odemnie pożyczył w roku przeszłym, to biedny chłopczyśko zmartwił się ogromnie i odpowiedział całkiem otwarcie:

— Nie mam ani grosza i do drugiego miesiąca nie będę mieć... Teraz pozabierałem za lekcye kilka dni napród, ale zaraz sprawiłem sobie buty, zapłaciłem ratę krawcowi za płaszcz, a resztę z dwunastu guldenów dałem Antoniowej za stancję. Żeby nie wiem jak się starał, to oddać ci nie mogę i nie obiecuję.

Sprawa była jasno postawiona i słowa Sobola nie pozostawiały mi żadnej illuzji. Zresztą wówczas dopiero zrozumiałem dokładnie i to, że nawet w razie odebrania tych nieszczęsnych pięciu guldenów, nic bym z niemi nie zrobił, dowiedziałem się bowiem na dworcu, że bilet trzeciej klasy do Galaczu kosztuje czternaście guldenów z centami, więc na przeprowadzenie onego projektu dostania się do morza, zupełnie funduszów nie miałem. Próbować zaś dostać się piechotą, nie miałem najmniejszego zamiaru, bo spróbowałem już w drodze z Halicza do Stanisławowa, na odległości niespełna sześciu mil, że mi siły nie wystarczą na tak wielkie przedsięwzięcie.

Ogarnęła mnie zupełna bezradność. Duch buntu wprawdzie szeptał mi do uszu, żeby pójść z kartką handlarza świń do pana Jackowskiego i tam przyjąć miejsce, nie byłem jednak w stanie uczynić tego; uczuwałem fałszywy wstyd przed tego rodzaju końcem kariery.

Coraz większa apatya zagnieżdżała się we mnie, przejadałem co dnia piętnaście centów i starałem się nie myśleć, co później będzie, gdy nawet piętnastu centów nie stanie.

Te wszystkie kapusty, grochy, kartofle i fasole, które doskonale służyły stałym pensjonaryuszom pani Antoniowej, już po trzech dniach wzbudzały we mnie nieprzezwyciężony wstręt... Trawić tego nie mogłem, do ust wprost brać nie mogłem, przestawałem jeść zupełnie. A wskutek tego nocami trapiła mnie gorączka jakaś i co rana budziłem się obłany zimnym potem, miewałem rozpaloną głowę, a zimne jak lód ręce i nogi.

Wprawdzie pocziwy Stach Duniński prosił mnie, żebym do jego rodziców na obiad przychodził, jednakże odrzuciłem tę propozycję stanowczo, a nawet błagałem go na wszystko, żeby nikomu o mej obecności w Stanisławowie nie wspominał, przedewszystkiem zaś jego ojcu, staremu rotmistrzowi Dunińskiemu. Robiłem zaś to z obawy, żeby wieść o moim pobycie w mieście nie doszła do uszu mej ciotki, stale tu mieszkającej. Była to rodzona siostra mego ojca, starsza osoba, niezamężna, zupełnie dewocyi i praktykom religijnym oddana, tak, że świat cały, a nawet najbliżsi krewni, już ją bardzo mało obchodzili. Zachowywała tylko pewną łączność z rodzicami Dunińskiego, którzy mieli dom tuż obok domu ciotki i z którymi łączyły ciotkę dawne stosunki...

Tak pograżony w zupełnej bezczynności, o głodzie i chłodzie wysiedziałem dni ośm. Wówczas dopiero zrozumiałem co znaczy bieda... Kuchnia, na którą narzekałem w zakładzie księdza kanonika, była jeszcze szczy-

tem kulinarnej doskonałości, w porównaniu z tą nędzną strawą, którą pani Antoniowa żywiła swych »paniczów«. A jednak dowiedziałem się i to, że są ludzie, którzy i takiej strawy nie jedzą, a żywią się odpadkami najnędzniejszej kuchni, lub zgoła regularnie nie jedzą, czyhają tylko, żeby coś przypadkiem uchwycić... Pobyt mój u pani Antoniowej, jak w ogóle cała ta wycieczka karkołomna, nie zostały bez wpływu na rozwój mych pojęć i na moralniejsze zapatrywanie się na stosunki, panujące na świecie. Jeżeli wówczas zyskał duchowo, to fizycznie zacząłem podupadać w przestraszający sposób. Czułem się z dnia na dzień, coraz słabszy. Aż wreszcie dziesiątego dnia pobytu doszło do tego, że poprostu z łóżka podnieść się rano nie byłem w stanie.

Czułem, że mi się w głowie zaczyna mięszać rzeczywistość z fantastycznymi widziadłami. Chwilami chciałem się zrywać i biedz gdzieś »w świat«, gdzieś w jakieś miejsce, którego nawet nie byłbym w stanie dokładnie oznaczyć. Ogarniał mnie wówczas straszny lęk, przed jakąś wielką chorobą i połączona z nim obawa, co ci biedni ludzie zrobią ze mną. To znowu nagle opanowywał mnie jakiś szal i zdawało mi się, że wprost jestem rad temu, że się to wszystko skończy nagle, że stracę samowiedzę i nie będę potrzebował myśleć o sobie.

Pamiętam, że tego samego dnia rano doleciała do moich uszu rozmowa, bardzo ostra rozmowa, sprzeczka prawie pomiędzy Sobolem a panią Antoniową.

Ta poczciwa kobieta zatrzymała go w drzwiach przemocą, gdy już wychodził do szkoły i zapytała:

— A co pan Sobol myśli robić z tym paniczem?

— Niech leży — odpowiedział opryskliwie.

— Dobrze, niech leży, albo ja bronię... Ja pewno chorego nie opuszczę, ale to może być tyfus... To co to z tego będzie?... A pan Sobol wie, że on ma tylko ośm szóstek całego majątku?

— To ja zapłacę za niego... Zresztą on ma bogatych krewnych, to niema się czego pani Antoniowa bać...

— Oh! na rany Chrystusa! — zawołała oburzona babina — ta kto tu o jakim banii się gada, ale jak niema, to z próżnego i sam Salamon nie naleje... Taki chory, zdałoby mu się rosołu zgotować, albo co... Ja tam nie wiem, co się pańskim dzieciom na chorobę gotuje... Ot lepiej, panie Sobol, jak wiecie gdzie to państwo mieszka, to dajcie zaraz znać, bo tu w poniewierku i w nędzy mogłoby dziecko jeszcze umrzeć, a potem zgryzota z tego i wyrzuty sumienia.

Sobol mruknął na to niechętnie:

— Niech się pani Antoniowa tem tak bardzo nie interesuje.

I wyszedł, zatrzasknąwszy drzwi za sobą...

— A kto się ma tem interesować — kończyła kobiecina swój monolog, sama już do siebie. — Ciekawam, kto się ma tem interesować... Ten pan Sobol, choć pierwszy premiant, ale sobie coś zanadto rozbiera... Niech się pani Antoniowa tem nie interesuje.

— Dobrze, dobrze! Niech się pani Antoniowa tem nie interesuje! Owa! jaki mi hrabia... Szkoda, że mi nie powiedział »stul pysk pani Antoniowa«, ale jeszcze i do tego by doszło, jakbym go króciej nie wzięła... *Foj, nie daj Boże z Iwana pana*, dobrze chłopcy mówią. Wielka mi osoba — pan Sobol... Co za pan?... Prosty Sobol... Sobolisko... Ojciec kozuchy naprawia. Ot co.

I tak się swym despektem rozczuliła, że łyzy jej grochem po twarzy spływać zaczęły.

Obróciłem się wówczas na łóżku, bo mnie już boki od leżenia zaczynały boleć. Kobięcina usłyszała ten ruch i wnet zbliżyła się do mnie, pytając:

— A jak tam paniczowi?

I położyła mi rękę na czole, próbując, czy nie jest gorące. — Po jej oczach poznałem, że mój stan sprawiał

jej prawdziwy niepokój. Nic bowiem nie mówiła, tylko patrzyła na mnie z trudnym do opisanego niepokojem. Jakoś w tej chwili jaśniej mi się w głowie zrobiło, tak, że byłem w stanie zadać jej pytanie:

— A co, pani Antoniowo, źle ze mną?

— Bóg to raczy wiedzieć — odrzekła babina. — Możeby doktora sprowadzić. Mieszka tu niedaleko jeden młody, za pięć szóstek przyjdzie. Może panicz dać pięć szóstek?

— Nie mogę — odrzekłem — mam tylko ośm... Pani Antoniowa przecież wie.

Coś mi się majaczyć w głowie zaczynało, ale zrobiłem nadludzki wysiłek i zebrałem znowu całą mą przytomność. Skorzystałem z tego mówiąc:

— Niech pani Antoniowa nie robi ze mną żadnej ceremonii... Ja nie mam żadnych bogatych krewnych. Nikt za mnie płacić nie będzie... Proszę mnie poprostu odesłać do szpitala.

Na te słowa babina aż odskoczyła odemnie ze zdziwienia i przerażenia.

— Oh! la Boga — zawołała — jeszcze się to po Antoniowej nie pokazało, żeby kogo ze swego domu, jak psa, do szpitala odsyłała... Co nie, to nie! Czy mnie kto zapłaci, czy nie, to mniejsza o to... Pan Bóg mnie zapłaci... A, żebym ja miała pańskie dziecko do szpitala dawać, to tego nie będzie... nie będzie!

Nie byłem w stanie rozumieć dalszych słów rozżalonej kobiety, bo widocznie wskutek wysiłku, opuściła mnie przytomność całkowicie... Przed oczami snuły mi się najcudowniejsze obrazy... Zdawało mi się, że siedzę na przodzie okrętu z długim batem i popędzam przed sobą olbrzymie stado świń, które płyną przed okrętem po morzu wzburzonym... To znowu w jednym mgnieniu oka zmieniał mi się przed oczami krajobraz, i zdawało mi się, że znajduję się wśród pierwotnej puszczy... Obok

mnie ze strzelbą w ręku kroczy jakiś młody człowiek, to miał być Potocki, towarzysz mych wymarzonych wypraw łowieckich... I ten obraz znikał. I znowu zdawało mi się, że jestem w wirze jakiejś bitwy, że słyszę strzały armatnie i szczęk pałaszy... Rzucałem się w najgorętszy wir, szukałem niebezpieczeństwa, byle okryć się chwałą lub zginać.

Wśród takich męczących halucynacji zasnąłem, czy straciłem do reszty przytomność.

Obudził mnie szmer jakiejś cichej, bardzo ostrożnej rozmowy. Podniosłem oczy. Pierwsza osoba, którą zobaczyłem tuż obok siebie, był dawny mój znajomy i kochany przezemnie bardzo doktor Rumpf. Poza nim stał stary Duniński, wspaniale wyprostowany, poważny i surowy, nigdy nie zapominający o tem, że przez lat dwadzieścia kilka był oficerem jednego z najświetniejszych pułków kawaleryi. W cieniu tych dwóch wielkoludów kryła się drobniutka postać ciotki Cesi.

Zrazu nie mogłem się zmiarkować, czy to rzeczywistość, czy znowu halucynacja. Dopiero jak okazała figura doktora Rumpfa nachyliła się nademną i uczułem, że bierze mnie za puls, przekonałem się, że to nie jest żadne przewidzenie, ale prawdziwa, najprawdziwsza rzeczywistość.

Doktor zbadał mnie najdokładniej w świetle, kazał język pokazać, opukał, ostukał i zdecydował:

— Nic mu nie będzie.

Później zawołał panią Antoniową i zaczął ją badać szczegółowo, co mi jeść dawała; po tem przesłuchaniu rzekł do ciotki i Dunińskiego:

— Nic innego, tylko mocna niestrawność, połączona z rozdrażnieniem nerwowem wywołały objawy gorączkowe.

Nie odzywałem się ani słowem, tylko zastanawiałem się, co to z tego będzie. Cieszyło mnie to, że zna-

leżli mnie chorym, chociaż wolałbym, żeby mój stan był groźniejszym. Gdybym był mocniej chory, to wzbudzałbym większą sympatyę i uzyskałbym łatwiej zupełne przebaczenie. Teraz »na dwoje jeszcze babka wróżyła«, co mnie od opiekunów czekało.

Tymczasem doktor zwróciwszy się do ciotki komenderował:

— Panicza zaraz zabrać do domu, ulokować go w jasnym pokoju, na wygodnem łóżku... Damy mu doskonały »purgens«, kompres na żołądek... Później — jak poprosi — rosołu lub kleiku; a ręczę, że za dwa dni będzie mógł piechotą do Lwowa z powrotem maszerować. Oto zgryzota z temi dzieciskami!

Z tych słów wywnioskowałem, że już nawet i kochany doktor był dokładnie poinformowany o moich czynach bohaterskich. Dziwiło mnie to tylko, że ciotka dotychczas nie przemówiła do mnie ani słowa. Widocznie jednak nie pochodziło to ani z gniewu, ani z obojętności, tylko z nadzwyczaj silnego wzruszenia, bo gdy nareszcie zbliżyła się do mnie i kładąc mi swą wychudłą rękę na czole, zapytała:

— Jak ty się czujesz, niegrzeczny chłopcze?

Tu nagle popłynęły jej obficie łzy z ocz i długo z płaczu uspokoić się nie mogła.

Wreszcie kazano mi wstać. Sobol dopomógł mi do tego i przeprowadził do stojącej już przed furtką drożki. W drodze od łóżka do furtki, usprawiedliwiając się, szepnął mi:

— Bałem się, żebyś się nie rozchorował na seryo, i z braku wygod nie umarł, poszedłem poradzić się starego pana Dunińskiego, a on dopiero sprowadził twoją ciotkę i doktora.

Odpowiedziałem mu, że żadnego żalu do niego nie czuję zato, bo ostatecznie nie pozostawało mi nic innego do zrobienia.

Przepowiednia doktora sprawdziła się co do joty, po trzech dniach troskliwej kuracyi u cioci Cesi, czułem się zupełnie zdrow, a nawet wróciły mi na twarz rumieńce.

W czasie mojej choroby wyprano moją bieliznę, która miała się znajdować w stanie opłakanym i »podzelowano« buty.

Również w tym czasie nadszedł list od stryja Józefa, który został przez ciotkę telegraficznie zawiadomiony o mem odnalezieniu i wezwany, żeby przyjechał »zrobić co ze mną«... List ten schowałem sobie na pamiętkę i każde jego słowo wyryło się w mej duszy.

Brzmiał on:

Kochana Cesi!

Nie wielką radość wzbudziła we mnie wiadomość o odszukaniu tego niepocziwego chłopca, który wybrykami swoimi gotów do grobu wpędzić swą najzaczniejszą matkę.

Czuję się za słabym do dalszego kierowania tym zuchwalcem... Ludwik jest surowszy i energiczniejszy niż ja, może on sobie z nim da radę. Wypraw go natychmiast dyliżansem do Buczacza, a stamtąd go zabiorą konie Ludwika. Na koszt dyliżansu przesyłam 5 reńskich.

Sciskam cię serdecznie.

Twój brat

Józef.

Ciotka zakłopotana się tym listem bardzo, najmocniej truchlała o całość mej skóry. W strapieniu pograżona mówiła:

— Ten pan Ludwik, to wielki raptus, jeszcze dziecko skatuje.

— A później już wprost do mnie:

— A toś mi się wybrał nieboże, z pod dyscypliny księdza kanonika pod harap wujaszka.

Nie było jednak wyboru. Dowiedziałem się, że dyliżans do Buczacza odchodzi o ósmej godzinie wieczorem i staje na miejscu o siódmej rano. Zapisałem się nawet w urzędzie pocztowym i po obfitej kolacyi, pożegnawszy się serdecznie z ciotką i p. Dunińskim, ruszyłem w towarzystwie kolegów Dunińskiego i Sobola na pocztę.

W kwadrans po tem, pocztylion trąbił, pocztowe »wymustrowańce« podrygiwały truchtem, a dyliżans toczył się z hukiem po równej jak stół drodze ze Stanisławowa do Tyśmienicy. Oprócz konduktora nie miałem innych towarzyszy podróży, a ten widząc miejsce wolne we wnętrzu pocztowej karety, zapakował się do środka i podkurzał mnie dymem okropnego jakiegoś żołnierskiego tytoniu. Miałem wielką ochotę powiedzieć mu, że niema prawa po pierwsze w karecie siedzieć, powtóre perfumować jej zapachem bakuniu; ale nie zdołałem zebrać się na odwagę. Poprzestałem na tem, że na jego kilkakrotne grzeczne pytania, nie odpowiadałem zupełnie.

Zresztą moje myśli wnet zajęły się zupełnie czem innym, zastanawiałem się bardzo głęboko nad tem, jakiego przyjęcia doznam u wuja. Wuja Ludwika instynktownie kochałem bardzo, ale prawdę powiedziawszy, mało go znałem. Czy był on kiedy u nas, czy myśmy znowu ze Stanisławowa jeździli do wujostwa na święta, to on zawsze przemawiał do nas żartami. Stąd wnosiłem, że musi być bardzo wesoły i łagodny. Od dzieciństwa prawie był on moim ideałem; kiedykolwiek marzyłem o przyszłym życiu w »świecie«, to zawsze sobie układałem, że będę robił podobną figurę do wuja Ludwika. Nieraz śniło mi się nawet, że jechałem konno, na gniadej łysej kłaczy angielskiej, takiej samej na jakiej jeździł zawsze wuj Ludwik, że miałem takie same jak on żółte łosiowe rękawiczki i kamasze a popiałaty cylinder na głowie.

Wuj Ludwik bywał dla mnie zawsze tak dobrym, tak dobrym, że już lepszym być chyba nikt nie mógł. Był najwyrozumialszy dotychczas na wszystkie moje wybryki szkolne, i pamiętam, że gdy mu *post festum* opowiadał stryj Józef o awanturze z Szajgickim, to śmiał się wesoło i ani słowem mnie nie złażał. Wnioskując z tego, miałem nadzieję, że jutrzejsze spotkanie nie będzie dla mnie bardzo przykre.

Z drugiej strony znowu, coś mi szeptało, że dotychczasowe moje wybryki, były niczem w porównaniu z tem, com teraz urządził, więc bałem się, żeby wuj nie wpadł w gniew. Wprawdzie miałem nadzieję, że znajdę obrońcę w osobie ciotki Eweliny, zachodziła jednak ta obawa, że jeżeli się wuj na prawdę rozgniewa, to nie pomoże nawet wszechwładna w zwykłych warunkach interwencya ciotki.

Myśli moje krążyły ciągle, jak koń w deptaku, po jednej i tej samej drodze. Zadawałem sobie pytania:

— Da się prześlągać?... Nie da się?

Szybkowóz tymczasem na przekór swej nazwie toczył się powoli, jakby go nie konie, ale schorowane woły ciągnęły. Stacye mijały po stacyach... Ostatnią zapamiętałem: »Niżniów«. Tam musiałem widocznie zasnąć, bo obudziłem się aż w Buczaczu.

Stróż na poczcie zapytany, czy są konie od wuja, odpowiedział mi, że nie widział żadnych koni. Zeszedłem na dół do miasteczka, rozpytywałem się kelnerów po zajezdnych domach, nikt takich koni nie widział. Nie pozostawało nic innego jak ruszyć piechotą. Odległość była niedaleka, bo zaledwie pięć ćwierci mili, droga dobrze mi znana, ja wreszcie byłem już przyzwyczajony do tego rodzaju wypraw, więc nie odczuwałem przed tą żadnej obawy.

Szedłem pospiesznie, nawet poświstywałem sobie, dla dodania animuszu; mimo to ucuwałem koło serca

jakieś dziwne ściskanie, a łydki chwilami drżały mi gorączkowo. Gdym zobaczył nareszcie biały wysoki dwór i budynki gospodarskie, gdym sobie w głowie obrachował, że najdalej za pół godziny stanę przed groźnym obliczem wuja, taki uczułem strach, że aż nogi zatrzęsły się podemną i musiałem usiąść na kamieniu przy drodze. Wodząc bezmyślnie oczami po rozłożonej przedemną wsi, nagle spostrzegłem wśród drzew mały domek; przypomniałem sobie wówczas, że to jest ruska plebania i tu w niej mieszka mój stary przyjaciel ksiądz Klemens. W jednej chwili zrodziło się w mym umyśle postanowienie użycia księdza Klemensa za pośrednika do wuja i protektora.

Powstałem pospiesznie i ruszyłem z zapalem przed siebie. Wkrótce potem byłem u księdza Klemensa.

Ucieszył się mną jak synem marnotrawnym. Wyprawił natychmiast i diaka i pałamara, z którymi załatwiał właśnie jakiś parafialny interes i zwracając się do mnie zawołał:

— Kiepsko! kiepsko! serce. Kolator *fuchtig*, jak dzik postrzelony... Wczoraj jak otrzymał list od doktora, to zaczął krzyczeć, że kolatorka aż się rozplakała... Koni nie posłał... Powiada: »mógł hultaj drałować ze Lwowa do Stanisławowa, może sobie podrałować z Buczacza tu«. Com się go naprosił, ani rusz przebłagać... Powiadam mu: »Panie kolatorze poszłę swoje chabety«, a on mi na to: »jak ksiądz chcesz, to posyłaj, ale pamiętaj, że ani ziarnka owsa na przednowku nie dam«. No zrozumiesz, że nie posłałem, bo by mi koniska bez pańskiego owsa pozdychały... A on co powie, to z pewnością dotrzyma.

Stałem milczący i przybity temi wieściami. Ksiądz z litością mi się przypatrywał, wreszcie rzekł:

— Jeszcze raz pójdę, pogadam. Tobie imość da zaraz kawy, poczekaj tu aż powrócę. Jeżeli jesteś zmę-

czony z drogi, to możesz się przespać na sofczynie, ot tam w kącie.

Mówiąc to, wziął czapkę z kołka i wyszedł.

Kawę z ochotą wypilem, ale z imością nie byłem w stanie rozmawiać, siedziałem ciągle milczący, tylko nadśluchiwałem, czy nie idzie kto od strony dworu, a na każdy szelest, czułem, że aż podrzucało coś całym mojem ciałem.

Czekałem tak długo, długo, pewno ze trzy godziny. W końcu nadszedł ksiądz Klemens, z miną rzadką i szepnął do mnie cicho:

— Chodź! — a po chwili dodał: — Ale trzymaj język za zębami, i pary z ust nie puść, bo kolator taki zły, że jeszcze go takim nie widziałem.

Więcej już ani słowa nie mówiliśmy ze sobą aż do samego dworu. — Weszliśmy tylnem wejściem przez kurytarz wprost do kancelaryi wuja, w pokoju tym nie było nikogo, instynktem jednak przeczułem, że wujostwo znajdują się w sąsiednim gabinecie, tak zwanym »karcianym pokoju«. Ja sam zostałem w kancelaryi, a ksiądz poszedł do gabinetu. Doskonale słyszałem każde słowo rozmowy, która się tam toczyła.

Proboszcz przemówił pierwszy:

— No, panie kolatorze, przyprowadziłem zbiega.

— Toś jegomość głupstwo zrobił — odrzekł mu wuj porywczy — wiesz przecie, że mój dom nie jest przytułkiem dla włóczęgów.

— Ależ, Ludwiczku, uspokój się — odezwał się strwożony głos ciotki.

No to wuj wybuchnął większym jeszcze gniewem.

— Tak! tak... Ludwiczku uspokój się! Mam się czego uspokoić. Może mam kazać zabić tuczonego cielaka na przyjęcie marnotrawnego.

Głos jego drżał wzrastającym gniewem, a mówił tak głośno, że pewno aż za bramę było słyhać:

— Wybyście potrafiły wychowywać ludzi... Co ja mam takiego hultaja, jak on, przyjmować. Co z niego będzie, jak on z konwiktu dziś ucieka. Ucieknie zawsze i wszędzie... Co mam z nim robić? Napiszę list do pułkownika, niech go jego protektor, ksiądz proboszcz, zawiezie do Monasterzysk i odda do ułanów. Tam go nauczą słuchać. Już ja sam z pułkownikiem pogadam, jak on ma go do subordynacyi przyprowadzić.

Ciotka zaczęła głośno płakać i przez łzy mówiła:

— Ludwiczku, co ty wygadujesz!... Taż to dziecko, gdzie jego można do wojska oddawać, nie skończył jeszcze szesnastu lat.

We mnie w tej chwili otucha jakaś wstąpiła, nic nie miałem przeciw temu, żeby ubrać się w szafirowy mundur i jeździć na ładnym koniu. Myśl ta jednak gościła w mej głowie zaledwie mgnienie oka, po chwili wróciły znowu wyrzuty sumienia i wielka skrucha. Doznawałem takich wrażeń, jakich doznaje człowiek, wierzący i żałujący za grzech przy spowiedzi. W tej chwili, słuchając grzmiących słów wuja, zaczynałem rozumieć całą doniosłość mego lekkomyślnego kroku. Pierwszy raz od ucieczki z zakładu, uczułem, że zrobiłbym największą ofiarę, byleby zatrzeć wszelkie ślady mego postępowania i uzyskać zupełne przebaczenie krewnych.

Tymczasem wuj mówił dalej do ciotki:

— Płacz! płacz! Masz nad kim płakać... To dopiero jego matka będzie płakać, jak się dowie, jak się ten gagatek sprawuje... Pasy z takiego hultaja drzeć... To matka tam pracuje, jak wyrobница, sama całe gospodarstwo prowadzi, a ten lampart z konwiktu ucieka. Pasy drzeć z takiego!...

— Ludwiczku, jak mnie kochasz, uspokój się — szepnęła znowu ciotka błagającym głosem. — Uspokój się! Zawołaj go tu, wytłumacz mu, co zrobił, to dzieciak, on się jeszcze poprawi...

Słyszałem gwałtowne kroki wuja, który chodził po pokoju, jak wzburzony lew po klatce. Sapał z gniewu, kichnął kilka razy. Nagle ukazał się w drzwiach, wiodących z gabinetu do kancelaryi i patrząc groźnie na mnie, zawołał:

— No, chodźże tu paniczu!

Gdy się zbliżyłem doń drżącymi krokami i chciałem go w rękę pocałować, to cofnął rękę porywczo i krzyknął:

— Nie dam!... Nie pozwolę... Nie wart jesteś mnie w rękę pocałować.

Stałem jak skamieniały, zdawało mi się, że wrastam w ziemię, nie śmiałem ze wstydu oderwać oczu od posadzki.

Wuj przeszedł się kilka razy po pokoju i wreszcie stanął tuż przedemną i zaczął mówić, głosem spokojniejszym już, ale drżącym i zdradzającym silne wzruszenie!

— Jesteś szlachcicem — mówił — nosisz uczciwe, nigdy nie zhańbione nazwisko. Twój ojciec, twój dziad byli ludźmi czystymi jak łąza, jak kryształ... Ci nie uciekali z posterunku, na którym ich los i Pan Bóg postawił... Czy ty wiesz, że niema na świecie gorszej hańby dla szlachcica, dla każdego porządnego człowieka, jak ucieczka. To hańba, to tchórzostwo, to łajdactwo! Przez to łajdactwo straciliśmy ojczyznę.

Przerwał na chwilę, a mnie żal się zrobiło, że nie słucham dłużej tych słów natchnionych... Od tej chwili pokochałem wuja Ludwika jeszcze więcej. W tej pamiętnej dla mnie chwili zrozumiałem dopiero, że ten elegancki światowy szlachcic jest przede wszystkim prawym obywatelem kraju... Byłem gotów wówczas na największą ofiarę. Stałem milczący, a łzy płynęły mi z oczu strumieniem.

Po chwili milczenia wuj zaczął mówić, ale już znacznie łagodniejszym tonem:

— Byłbym w stanie przebaczyć ci i zapomnieć o tej hańbie, ale pod warunkiem, że mi dasz najuroczystsze słowo honoru, że nic podobnego już się nigdy nie powtórzy... Że zaraz ze mną wrócisz do konwiktu, że bez szemrania poddasz się karze, którą ci kanonik wymierzy, i do końca roku zostaniesz tam, i będziesz słu-chał i uczył się tak, jak kanonik rozkaże.

Mówiąc to, wyciągnął do mnie rękę. Chwyciłem ją chciwie i zacząłem namiętnie całować. Słowami odpowiedzieć nie byłem w stanie, bo łkałem tak gwałtownie, że mi tchu w piersiach brakować zaczynało.

Ciotka wzruszona, przyniosła mi szklankę zimnej wody i dopiero po wypiciu tejże, przemówiłem, przez cisnące się łzy:

— Przymierzam... wu-jo-wi... wszy-st-ko... Niech mi ka-no-nik da już raz... w skó-rę... tylko niech wuj się na mnie nie gniewa.

Gniew wuja już minął, to też wnet twarz jego przybrała zwykły, łagodny, trochę jowialny wyraz. Nie zartował jednak ani razu do mnie i silił się widocznie, żeby ciągle mieć pozór surowego człowieka. Tymczasem podano obiad, a wuj kazał służącemu, żeby zaraz po obiedzie konie były przed gankiem.

Tak się spłakałem wówczas, że jeść prawie nic nie mogłem, chociaż ciotka mnie do tego po kilkakroć zachęcała, zato poczciwy ksiądz Klemens, rad, że mu się udała misya, jadł za siebie i za mnie, i jeszcze za kilku takich jak ja i mnie podobni.

Nim obiad się skończył, cztery lotne jak wiatr, okazałe podolskie jukiery, stały już zaprzężone przed gankiem.

Po czarnej kawie wuj się do mnie odezwał:

— Teraz żegnaj się z ciotką... Na długie czułości niema czasu... Będzie ci rada, dopiero jak naprawisz to, co nabroiłeś.

Ciotka pocałowała mnie w czoło. Ksiądz Klemens uściskał. I za chwilę sunął powóz z szaloną szybkością do Stanisławowa. W przeciągu pięciu godzin ujechaliśmy dziesięć mil. Nocnym pociągiem dostaliśmy się do Lwowa.

I miałem satysfakcję — zajechaliśmy do Żorża.

Wuj po kilkogodzinnym śnie wyszedł z »numeru« i nakazał mi, żebym się krokiem z pokoju nie ruszał. Wrócił w dwie godziny później. Stał tylko w drzwiach i zawołał:

— Chodź!

Wiedziałem, co to znaczy... duch buntu jednak już zupełnie we mnie wygasł, ubrałem się spokojnie w pal-tot i kapelusz, poszedłem za wujem. Szliśmy znaną mi dobrze drogą, z hotelu Żorża do zakładu. Kanonik na nas czekał w parlatoryum. — Gdy zobaczyłem kanonika, znikła zupełnie wszelka obawa... Miałem przed sobą całkiem innego człowieka; nie groźny, zagniewany zwier-zchnik, lecz zasmucony, zbolały człowiek.

Wszedłszy do parlatoryum, stanąłem nieśmiało przy drzwiach, wstydziłem się wzroku kanonika. On pierwszy przystąpił do mnie i położywszy mi rękę na głowie przemówił:

— Twój wuj wszystko mi opowiedział... Dziękuj Bogu, że ci dał takiego opiekuna... Szanowny twój opie-kun żądał, żebym cię ukarał różgami... Przebaczę tym razem, myśląc, że z tobą lepiej łagodnie postępować. Łagodnością może doprowadzę do tego, że poczujesz na-reszcie, co jest twoim obowiązkiem... Idź na górę i ucz się pilnie, koniecznie, koniecznie trzeba poprawić to, coś zaniechał przez te trzy tygodnie nieobecności.

Znowu płakać zacząłem, dopiero uśmiechnąłem się, gdy wuj zrobił do mnie śmieszny minę, mrugnął lewym okiem i lewym wąsem i szepnął tak, że tylko ja mogłem dosłyszeć:

— O to straszny smok ten kanonik i ty przed nim uciekałeś... To rycerz!

Później dodał głośno:

— Idź na górę i staraj się, żebym był z ciebie zadowolony.

Pożegnałem wuja, pocałowałem kanonika w rękę, i uczyłem się później całkiem dobrze, aż do końca roku.

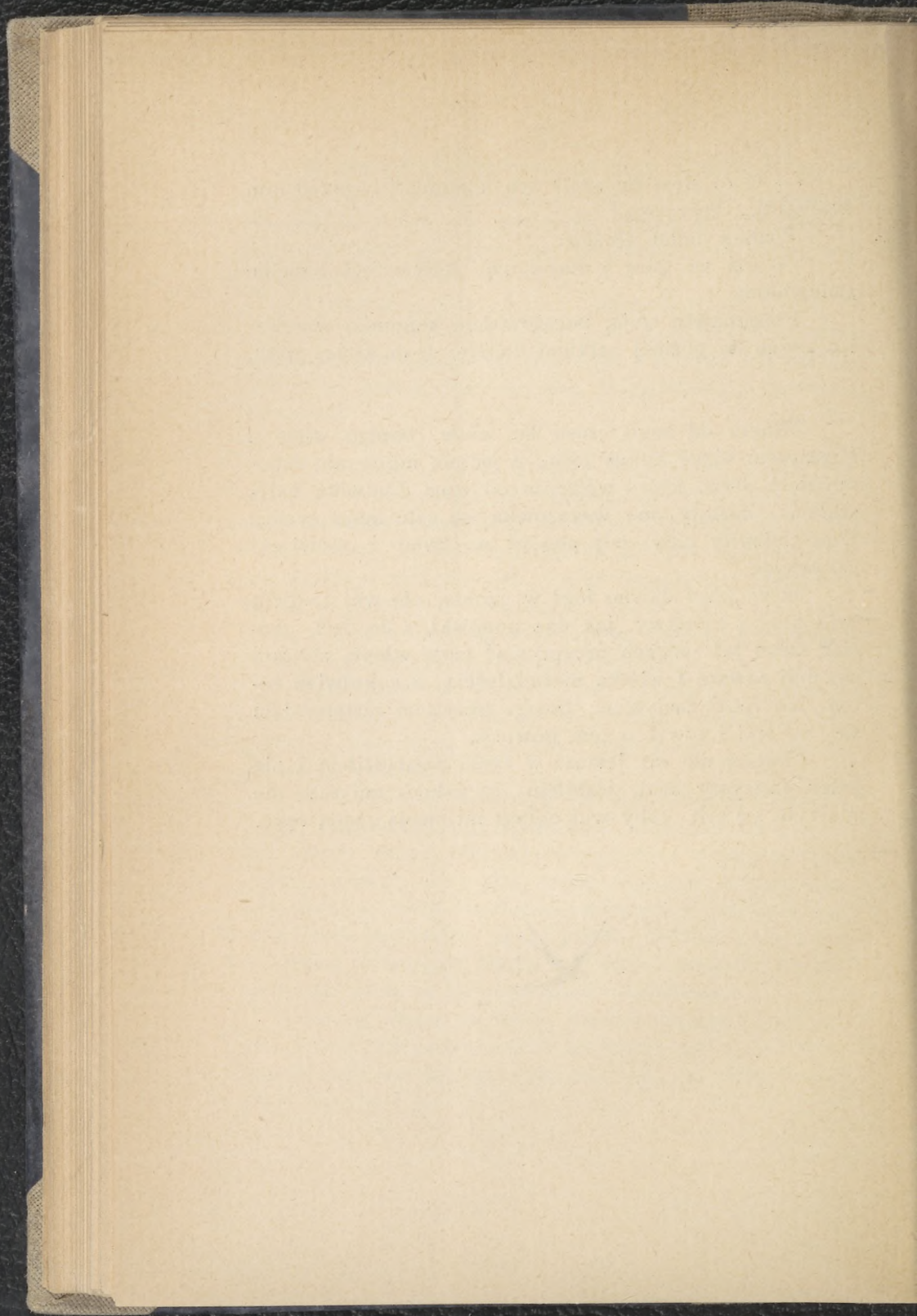
* * *

Minęło od tego czasu lat wiele, bardzo wiele... Przeżyłem różne koleje losu, a jednak nigdy nie zapomniałem słów, które wówczas od wuja Ludwika usłyszałem... Zostały one wskazówką na całe moje życie... One zmieniły cały mój pogląd na świat i obowiązki człowieka.

Stryj Józef dawno leży w grobie, ale wuj Ludwik żyje silny i czerstwy, jak dąb podolski, i do dziś, chociaż szron już zaczyna przypruszać moje włosy, zbliżam się doń zawsze z wielką nieśmiałością, a cokolwiek robię, lub robić zamyślam, zawsze przedtem zastanawiam się, co wuj Ludwik o tem powie?...

Chociaż nie raz jeszcze w życiu pobłądziłem i nie jeden fałszywy krok zrobiłem, to jednak ani razu nie zdarzyło się tak, żeby wuj cofnął mi swoją zacną rękę.






7

DZIKIE GOŁĘBIE

(WSPOMNIENIE Z MŁODOŚCI)

THE
GENTLE
GENTLE

»Ja, ileż wam winienem, o domowe drzewa!
Błahy strzelec, uchodząc szyderstw towarzyszy,
Za chybioną zwierzynę, ileż w waszej ciszy
Upolowałem dumań, gdy w dzikim ustępie,
Zapomniawszy o łowach usiadłem na kępie,
Zlany granatem czarnej, zgniecionej jagody«...

ysiące razy w mem życiu powtarzałem sobie te słowa Mickiewicza i pocieszałem się nimi po każdym chybionym strzale... Mimo to strzelałem z większym lub mniejszym powodzeniem, ale strzelałem ciągle. Jest utarte przekonanie w naszym społeczeństwie, że »żyłka myśliwska« nie chodzi w parze z zajęciami literackimi. Jeżeliby ktoś chciał na tej podstawie wróżyć o mej przyszłości, to z największą pewnością nie byłby mi przepowiedział autorskiego zawodu; poddawałem się z rozkoszą wrażeniom myśliwskiej namiętności, daleko wcześniej, zanim się nauczyłem zupełnie poprawnie pisać po polsku.

Dziwnie głęboko wryły się w mą pamięć pierwsze wrażenia myśliwskie... Zdaje mi się, że jeszcze dziś uderza mi pospiesznie serce z dziecinnego przestרחu, który mnie ogarnął wskutek hałasu sprawionego porwaniem się pierwszej słonki, z którą się w mem życiu spotkałem; z przerażenia opuściłem z rąk strzelbę i stałem się przedmiotem szyderstwa starszych myśliwych. Tak samo tkwi wyraźnie w mej pamięci pogoń za pierwszym postrzelonym zajęcem; pognałem za nim w nieruszony miot, nabijałem strzelbę i strzelałem ze sześć

razy, aż gdzieś w trzecim miocie dobiłem go ostatecznie. Jakież było moje rozczarowanie, gdy, wracając z upolowaną zwierzyną pełen dumy i radości, zamiast uznania i podziwu spotkałem się z polajanką wujaszka, starego myśliwego, nie znoszącego wykroczeń przeciw regulaminowi myśliwskiemu. Wróciwszy owego dnia do domu spłakałem się siarczyście i zdawało mi się, że mi wuj wyrządził wielką krzywdę i był względem mnie bardzo niesprawiedliwy. Kiedyż to było?... Jak się wszystko zmieniło... dziś sam się już strasznie irytuję, gdy który z młodych zapaleńców zejdzie ze stanowiska, żeby podnieść upolowaną zdobycz.

Wszystkie te jednak wspomnienia błędą wobec obrazu wyrytego na płycie mej pamięci, przedstawiającego epizod myśliwski, w którym po raz pierwszy była w niebezpieczeństwie całość mych członków, a nawet samo życie. Zdarzenie to kojarzy się w mej pamięci ze wspomnieniami tak miłymi, pełnymi uroku rozkwitającej młodości, że z prawdziwą rozkoszą wracam do nich, pograżam się w nich i jakiś czas żyję w zaczarowanym świecie — młodzieńczych rojeń. Wspomnienie to natchnęło mnie do skreślenia tego obrazka.

* * *

Mając lat siedmnaście zapoznałem się był z Kaziem Kondratowiczem, synem ś. p. Syrokomli, rzetelnego lirnika litewskiego. Znajomość nasza w kilku godzinach zmieniła się w sercu na przyjaźń, która przetrwała przez cztery tygodnie letnich feryj; później rozdzieliły nas losy i nigdy już więcej nie spotkaliśmy się w życiu. Nawet nie wiem, co się z nim dzieje, i czy żyje jeszcze. Była to epoka mych pierwszych sentymentów, przedmiotem których była pewna bliska sąsiadka, panna Jądwiga, panienka o aksamitnych, fiołkowych oczach, sentymentalnem usposobieniu, niepomiernie wysokim wzro-

ście i niezgrabnych, nieestetycznie dużych rękach i nogach. Pisywałem do niej wiersze, przechowywane później tak skrętnie, żeby się nikt o tych elukubracyach nie dowiedział, i miałem w duszy pragnienie działania jakiegoś wielkiego czynu, któryby skłonił pannę Jadwigę do wyznania mi swej miłości... Czułem bowiem, że sam na tak heroiczny krok nie zdobędę się nigdy. W ogóle duchowa część mej istoty była wówczas silnie pobudzona i zdolna do bardzo gorących uczuć, to też przyjaźń z Kaziem Kondratowiczem odrazu przybrała żywsze, gorętsze odcienia, niż zwykłe przyjaźni młodych chłopaków. Nie mając odwagi opowiedzieć pannie Jadwidze o mej miłości ku niej, wynagradzałem to sobie wynurzeniami mej przyjaźni Kaziowi. I naturalnie w najkrótszym czasie uczyniłem go powiernikiem mych uczuć. Śmiał się on jednak z nich, bo był młody cynik i swe afekta lokował w sferach ludowych, ciesząc się zazwyczaj bezgraniczną wzajemnością.

Poznałem go w domu mej ciotki w Pomianówce. Przyjechał z Rygi na wakacje z mym krewnym Andrzejem Pomianem, jako »niezamożny kolega« i niemożliwie nudził się w pomianowieckim zamku... Czuł się tam zupełnie obcym; dziecię niskich dworców szlacheckich i litewskiej prostoty było onieśmiałone ogromem magnackiego pałacu, strzelającego w niebiosy ciosowemi wieżami, basztami, otoczonego misternie rzeźbionymi krążgankami. Kamerdynerzy, lokaje, kozacy, cały ten przepych niezmiernie bogaty rodziny pańskiej robił nań przykre wrażenie. Jedynie liczny fraucymer z garderoby ciotki Pomianowej, ulokowany w suterrenach zamkowych, przyciągał Kazia ku sobie; najczęściej też umykał tam i zabawiał się rozmową z wesolutkami pannami.

Wskutek bliskiego pokrewieństwa z rodziną Pomianów, był w naszym domu zwyczaj, że powróciwszy do domu na wakacje, jeździliśmy pod opieką babuni na

kilka dni do Pomianówki, dla złożenia uszanowania, zajmującej wysokie społeczne stanowisko i bogatej ciotce. Wizyty te lubiłem bardzo, bo Pomianowie byli dobrymi krewnymi, nie wynosili się nigdy po nad nas swym majątkiem i kochaliśmy się jak najbliżsi. Zresztą bywając w Pomianówce od dziecka, przyzwyczailem się już był do tego wielkopańskiego splendoru, który mnie już zupełnie nie olśniewał. Była to rodzina ogromnie liczna; braci było trzech, z których Andrzej był moim rówieśnikiem i serdecznym przyjacielem, oprócz braci były cztery siostry, w różnym wieku, do których trzymano cały sztab różnojęzycznych nauczycielek, z muzyką i bez muzyki. Najstarsza panna miała lat dwadzieścia, więc zjeżdżali się już młodzi ludzie w roli konkurentów i głośno bywało w ogromnym zamku.

Owego roku, w którym Kondratowicz przyjechał z Andrzejem do Pomianówki wybraliśmy się tam w wilią św. Anny, na imieniny czternastoletniej podówczas Anuli Pomianówny, rówieśnicy i przyjaciółki mej najstarszej siostrzyczki Maryni. Anulka ta była nad wyraz zacnem i kochanem stworzeniem i wiedziałem o tem doskonale, iż mama i babunia układały sobie, że mnie kiedyś w przyszłości z nią ożenią — nie chciałem jednak słyszeć o podobnych projektach, młoda moja dusza buntowała się gwałtownie przeciw tego rodzaju rozporządzeniu mą przyszłością. Chociaż wiedziałem, że Anula jest najpocziwszą dziewczyną pod słońcem, w żaden jednak sposób nie byłem w stanie nakazać sobie gorętszego uczucia względem niej, lubiłem ją jak rodzoną siostrę, była nie ładna i słabowita — wolałem więc długoręką Jadwigę. Biedna Anula w półtora roku później umarła przed czasem na czarną ospę. Zawsze o niej z rozczuleniem wspominam.

Święta Anna, jako dzień patronki mej babki, miał być uroczyście obchodzony w Pomianówce. Wszyscy

krewni i znajomi nasi, którzy mieli w tym dniu zjechać do nas, przyjechali do Pomianówki, ażeby obchodzić uroczystość dwóch solenizacyi. Już w przeddzień imienin zastaliśmy kilka osób z bliższej rodziny.

Co prawda, nie miałem bardzo tęgiej miny, wysiadając ze staroświeckiej babuninej karety przed zwodzonym mostem pomianowskiego zamku... Sumienie miałem trochę nieczyste, a opinię zupełnie zaszarganą. Przed rokiem, z powodu awantury z profesorem Szajgickim, zabrano mnie z gimnazyum w Stanisławowie i oddano do konwiktu we Lwowie, lecz i tam rygor mi się nie był podobał, więc z trzema guldenami w kieszeni drapnąłem do wujaszka o dwadzieścia mil od Lwowa mieszkającego, a stamtąd zostałem haniebnie odtransportowany z powrotem do zakładu wychowawczego... Przypuszczałem, że wszyscy zebrani w Pomianówce krewni dokładnie wiedzieli o mych czynach heroicznym, to też ze spuszczonei oczyma i z bijącym sercem wchodziłem do olbrzymiego przedsionku, kryjąc się poza szerokie suknie babuni i mamy. Nic to nie pomogło, bystre oko marszałka, wuja Zygmunta, odkryło mnie od razu, kiwnął na mnie, a gdym przystąpił do ucałowania jego zacnej ręki, sypnął mi burę przy wszystkich, której nie mogłem mu długo przebaczyć. Dziś, czuję dlań wdzięczność za te słowa i pamiętam je dokładnie. Było w niej wszystko, i o szacunku należnym dla pocziwego nazwiska, i o uciekaniu z posterunku, na którym raz postanowiony szlachcic winien stać do końca, i o zmartwieniu, jakie sprawiam swoim złem postępowaniem mej matce i babuni.

— Żeby nie taka uroczystość — kończył rozgniewany marszałek — to bym ci taką łaźnię sprawił, że popamiętałbyś ruski miesiąc!...

— Już od wuja Ludwika dostałem! — szepnąłem cichym zawstydzonym głosem.

— No to chwała Bogu! — zawołał rozweselony wujaszek. — Podziękuj Panu Bogu, że ci dał takiego opiekuna, może on co z ciebie wyrobi... Zawsze mówiłem, że Ludwik ma najwięcej rozumu z nas wszystkich... Cóż, a ciotka nie płakała przy tej operacji? — zapytał, śmiejąc się wesoło.

— Płakała! — odparłem ledwie dosłyszalnym głosem i spuściłem oczy ku ziemi tak, żeby nikogo nie widzieć; czułem, że mi nabiegają ze wstydu łzy do oczu.

Ogólna rozmowa zwróciła się w inną stronę; za chwilę wszyscy przeszli do sąsiedniej sali jadalnej, gdzie już czekała na nas zastawiona suta herbata; ja zostałem niby skamieniały w przedpokoju, nie wiedząc co z sobą począć. Wstyd, gniew i jakaś straszna rozpacz ogarnęły mnie z szaloną wściekłością. Czułem się zhańbionym, wyklętym, wyrzuconym ze społeczeństwa. Pragnąłem zapaść się w ziemię, w morze, zginąć raz na zawsze.

Z osłupienia tego wyrwało mnie dotknięcie jakiejś ręki do mego ramienia. Spojrzałem przed siebie; obok mnie stał Andrzej Pomian i jakiś drugi chłopak długi, kościsty, o suchej, inteligentnej twarzy i poczciwie patrzących oczach.

— Czegoż tu stoisz? — przemówił Andrzej — chodź na herbatę.

Odskoczyłem od niego jak od zapowietrzonego wołając:

— Daj mi pokój z herbatą!... Co mi po herbacie!... Niczego już nie potrzebuję! Niczego! Niczego! Ucieknę w lasy, na puszczy, chcę zginąć z oczu ludzkości... Wuj Zygmunt zhańbił mnie publicznie, ja tego przeżyć nie potrafię.

Na wyrazistej twarzy Andrzeja w tej chwili zjawił się marsowy wyraz, a na jego wysokim czole zarysował się wyraźny poprzeczny fałd, taki sam, jaki był na

czole kasztelana Stefana, na portrecie, ozdabiającym ścianę sali jadalnej. Z ust jego wydętych lekceważąco padły gniewne słowa.

— Nie masz się czego smucić, to już taka maniera kochanego marszałka... Dziś rano obrobił i mnie i Narcyza... Dziwną mu jakąś satysfakcyę robi dokuczanie... Ktoś potrzebuje jego morałów... No, chodź!

Perswazye te nie trafiły mi jakoś do przekonania, stałem milczący i niezdecydowany, co począć z sobą.

Wówczas przystąpił do mnie ów drugi nieznany mi chłopak i położywszy swą ciężką, kościstą rękę na mem ramieniu, rzekł:

— Tęgi z ciebie bub!... Pluń na te perory i chodź na herbatę, bo tam tymczasem guwernantki powybie-
rają wszystkim czerwony agrest.

Mówiąc to rozśmiał się tak serdecznie, że mnie wszelka rozpacz opuściła i sam śmiać się zacząłem, przypomniawszy sobie w tej chwili łączywość, z którą stara Angielka wybierała czerwone jagody agrestu z podanych półmisków. Po chwili jednak przestałem się śmiać i zacząłem się zastanawiać nad tem, czy przypadkiem ten do suchej wierzby podobny chłopak nie ubliżył mej godności kawalerskiej, owem klepaniem mnie po ramieniu i bezceremonialnem mówieniem mi »ty«... Wyprostowałem się i zmuszając się do dumnego wyrazu twarzy rzekłem:

— Z kim właśnie mam przyjemność?

Chłopak roześmiał się jeszcze weselej i zawołał:

— Myślałem, żeś doprawdy tęgi bub, a tyś... ah! lepiej nie kończyć... Wiesz, nazywam się Kondratowicz, a na imię Kazio. Jeżeli chcesz to ci będę gadał — panie dobrodzieju, alem tego się po tobie nie spodziewał... No chodź na herbatę, a później opowiesz nam jak drałowałeś ze Lwowa *per pedes* do owego straszego wujaszka... To ci ciekawa historia.

Wyraz jego twarzy i uśmiech rozbroiły mnie już zupełnie, powiedziałem mu moje nazwisko, uściśniętem serdecznie i wzięwszy go pod rękę poprowadziłem do sali jadalnej przedstawić go mej matce i babuni.

W sali wszyscy już zapomnieli zupełnie o despekcie, który mnie spotkał od wuja Zygmunta; rozmowa toczyła się o polityce i pan Poraj-Rosen, stary kawaler i niefortunny konkurent do najstarszej Pomianówny, głośno rozprawiał o rozruchach podówczas panujących w Bułgarii i Macedonii, grożąc, że zaciągnie się jako wolontaryusz do armii czarnogórskiej... Było to w przededniu ostatniej wielkiej wojny pomiędzy Rosją a Turcją.

— Jedyne lekarstwem na wszelkie zwątpienia, na wszelkie bóle duszy — prawił wyszwarcowany Poraj-Rosen — są trudy wojenne, jest niepewność jutra i niebezpieczeństwo grożące życiu na każdym kroku.

Tu Kondratowicz uśmiechnął się zjadliwie i o tyle głośno szepnął, że wszyscy prawie usłyszeli:

— I te dokuczliwe owady, co to gryzą żołnierzy w czasie wojny.

Młodszy koniec stołu wybuchnął śmiechem homeerycznym, a i starsi musieli się przymuszać, żeby tego samego nie uczynić. Jedyne moja babunia, strasznie wymagająca na punkcie konwenansów, zmarszczyła brwi i groźnie spojrzała na śmiałka... Lecz on wnet zrobił tak potulną i naiwną minę, jak gdyby nawet nie mógł się domyślić za jaką winę spadło nań to groźne spojrzenie... Tem rozśmieszył babkę, a wszystkich pobudził znowu do śmiechu. Kuzynki Pomianówny nazywały go »Kondrasikiem«, lubiły ogromnie i śmiały się bezustannie z jego pociesznych conceptów.

Szyderstwem Kondraszka zmrożony Poraj-Rosen zamilkł uroczyście i rzucał w naszą stronę nienawistne spojrzenia.

— Nieznośna małpa! — szepnął mi do ucha Kazik — ale poczekaj, ja mu urządzę konkury... Po kiego dyabła ta mumia się tu pcha?... Przecież nawet każdy kozak wie, że panna Jadwiga znieść go nie może.

— Co tam panicze szepczą pomiędzy sobą? — spytała kuzynka Jadwiga, widocznie dosłyszawszy wymówione swe imię.

Kondraszek zrobił dziwnie zabawną a przytem tajemniczą minę i nachylając się w stronę Jadwini, a zasłaniając usta dłonią od strony Anuli, szepnął:

— Układamy wielką niespodziankę dla panny Anny... Coś hipopotamicznie niebotycznego...

Tymczasem guwernantki dojadły z pospiechem resztek ciast i owoców, a babunia Honorata, matka ciotki Pomianowej, a siostra rodzona naszej babki dała znak do powstania. Zrobił się ruch i hałas, gwar trudny do opisania, wszyscy zaczęli głośno mówić, układając projekta zabawy po herbacie, odsuwano krzesła, brzęczały poruszone sztuce i talerze. Stara Angielka pakowała pozostały agrest do worka.

Wśród powstałego nagle ścisku posuwaliśmy się powoli ku naczelnej stronie stołu, ażeby dawnym obyczajem ucałować ręce starszych pań. Szło to powoli, bo gdy wszyscy powstali ze swych miejsc zrobiło się strasznie rojno. Kazik trzymał się blisko mnie, a gdyśmy odbyli ceremonię »dziękowania« szepnął, chwytając mnie za rękę:

— Chodź ze mną, popłyniemy łódką po stawie. Tu nie mamy co robić, oni zaczną się bawić zaraz w jakąś idiotyczną grę towarzyską, a ja tego nie znoszę... Nie masz wyobrażenia, co za przyjemność pływać po stawie.

Uczułem ogromną ochotę do tego pływania, ale miałem skrupuły, czy wypada mi tak odrazu znikać z towarzystwa i oddawać się osobistym przyjemnościom. Przedewszystkiem bałem się obu babek, które były bar-

dzo wymagające pod względem spełniania towarzyskich przepisów. Jednak perspektywa pływania łódką po stawie i rozmowy z Kaziem, który mnie coraz więcej rozciekawiał, sprawiły, że poszedłem za jego namową. Ci chaczem wykradliśmy się do suterenu. Kazik przeprowadził mnie przez cały szereg wąskich, krytych kurytarzy, w ciągu tej wędrówki po ciemnych zaułkach spotkaliśmy kilka dziewcząt garderobianych, a każdą z nich mój towarzysz bez ceremonii uścisnął i pocałował, wywołując tem przyciszone okrzyki udanego przestachu. Wreszcie labirynt się skończył, ujrzelśmy światło dzienne, przez wąskie, ciasne drzwi wydostaliśmy się do ogrodu.

Odetchnąłem, z rozkoszą wciągnąłem świeże powietrze do płuc i opuścił mnie zupełnie strach, którego doświadczałem podczas owych objawów czułości, jakimi obsypywał Kazik spotkane dziewczęta. Byłem chowany we wielkim rygorze i włosy mi ze strachu na głowie dębem stawały na samą myśl, coby powiedziała moja babka, gdyby się dowiedziała, że byłem świadkiem takich scen. Mimo to uczułem wielki respekt dla Kazika za jego odwagę i gdy znaleźliśmy się już na wolnem powietrzu zapytałem go:

— Przyznaj się... I ty się naprawdę nie boisz żadnej awantury z temi dziewczętami?

Nie odpowiedział mi zrazu na moje pytanie, tylko śmiał się, patrząc na mnie ironicznie. Zgniewało mnie to trochę, więc mówiłem doń dalej podrażnionym już trochę głosem.

— Niemasz się czego śmiać! a gdyby taka dziewczyna narobiła krzyku, gdyby stara Gołęcka dowiedziała się i doniosła ciotce Pomianowej... To cobyś zrobił, ze wstydu chybabyś umarł, albo się utopił.

Kazik śmiał się ciągle, swym wesołym, swobodnym, nieopatrznym śmiechem. Śmiech ten brzmiący niczem niezmaconą wesołością, dźwięczy mi jeszcze dziś

w uszach. Wreszcie śmiech ten rozpląnął się w dźwięcznych, harmonijnych kaskadach w powietrzu, odbijając się wesołym echem od szarych murów zamku, i skończył. W tejże chwili mój nowy przyjaciel schwycił mnie nagle za szyję, przycisnął serdecznie, pocałował w czoło i zawołał:

— Oh! ty święta, dziewicza niewinności i ty myślisz, że która z tych dziewcząt mogłaby się poskarżyć zato, że ją całuję... Jedna drugiej zazdrości.

— A przecież krzyczą — szepnąłem.

— Cha, cha, cha! Nieoceniony jesteś — śmiał się znowu, mówiąc to — toś nie zauważył, że one wydają jakieś przyciszone odgłosy, mające oznaczać przestraszony jęk, jedynie dla konwenansu, ale tak ciche, że nikt o trzy kroki nie usłyszałby tego.

— A jakby usłyszał?

To przypieranie go do muru najwidoczniej rozdrażniło go bardzo, bo twarz mu poczerwieniała i zawołał porywczo:

— Cicho bądź! Nie nudź mnie morałami, zostaw to babuniom i starym guwernantkom... Zresztą co poczną, ja muszę całować, bez całowania żyć nie mogę... Jeżeli by nie było dziewcząt, tobym całował starą Angielkę, psy, koty, a nawet kamienie... Rozumiesz!

I jakby na dowód prawdziwości swych słów, ponownie schwycił mnie w swe objęcia i zaczął całować serdecznie. Nagle odskoczył odemnie i idąc pospiesznie naprzód zawołał:

— Chodź! Chodź prędzej! Tu jeszcze gotowi nas spostrzedz i zaciągnąć do »pastora« lub »pierścionka«, a ja tego nie znoszę... Nie masz pojęcia, co to za rozkosz pływać po tym stawie... Zapłyniemy pomiędzy szuwary, położymy się w łódce, słońce będzie nam w nos świecić, ryby będą się do nas z wody wyrzucać i kaczki wabić dziwnymi głosami. Chodź! chodź!

Dziedzicznie znać w nim tkwiło poetyczne usposobienie, bo oczy mu się śmiały, gdy to mówił, a na suchej twarzy rozlewał się wyraz bezgranicznego szczęścia na samo wspomnienie tego poetycznego *far niente*. Szedłem więc za nim po cienistych uliczkach wspaniałego parku.

Ileż wspomnień mam z tego cudownego, zaczarowanego ogrodu! Ileż wspomnień z dzieciństwa i pierwszej młodości wiąże mnie z tym kilkudziesięciu-morgowym kawałkiem ziemi, na którym przyroda i praca ludzka połączyły się, ażeby stworzyć dzieło wspaniałe. Wokoło zamku rozciągały się pagórki i jary podolskie, obrosłe olbrzymiami, starymi drzewami. Tu i owdzie sterczały potężne odłamy zwietrzałych skał wapiennych, na które rzucała się uboga roślinność, zdobywając się zaledwie na karłowate drzewiny. Wprost przed zamkiem o jakie pięćset kroków poniżej roztaczało się olbrzymie zwierciadło powierzchni parkowego stawu, równe, ciche, niezmacone. Ogromna ta przestrzeń wodna odbijająca w swem dnie szare kontury baszt i wieżyc zamkowych, wyniosłe mury oranżeryi i cieplarni, sąsiednie drzewa i zieloność kłębów krzewowych, miała jakiś fantastyczny urok dla mnie, działała zawsze upajająco, magnetycznie, pogrążała mnie w dziwne jakieś upojenie, prawie w rodzaj snu magnetycznego.

Któż teraz po tobie pływa, kto się w twych przeżyciach przegląda, ukochana wodo? Wielu to z tych, którzy cię kochali i twą pięknnością się upajali niema już wśród żyjących, a inni, chociaż żywi, ale w innych warunkach istnienia, z ciężkiem westchnieniem ciągną taczkę życiową, a wspomnienie o tobie, o przedudna toni, łączy żalu za utraconą swobodą z ich oczu wyciska.

Myśli te dziś dopiero po latach dwudziestu kilku zjawiają się w mym umyśle; a swobodny i szczęśliwy z żalem myślę o tych krewnych i przyjaciółach mego

dzieciństwa i młodości, którzy ulegli w walce życiowej, padli i zmuszeni byli ugiąć dumne karki w jarzmo zawiślej egzystencji, zmienili się z panów w helotów. Wówczas daleki byłem od takich rozmyślań, pędziłem za Kazimierzem Kondratowiczem, kryjąc się w najciemniejsze uliczki, bo nęciła mnie ogromna, wioślarska wycieczka po modrej powierzchni stawu, a najmniejszej ochoty nie uczuwałem do nudnych gier towarzyskich, odbywających się pod argusowym nadzorem obu babuń.

Kazik szedł pospiesznie naprzód i świstał zawzięcie. Postępowałem za nim, ale nadążyć nie mogłem, tak wielkie kroki robił swymi długimi i cienkimi nogami. Chwilami musiałem podbiegać, żeby nie zostać zupełnie z tyłu. Ta wyższość fizyczna sprawiła, że mimowolnie poddałem się pod komendę mego nowego przyjaciela, imponował mi. Wyobrażałem sobie, że traperzy amerykańscy, ci dzicy myśliwcy, narażający dzień w dzień życie swe w niezliczonych przygodach, muszą tak wyglądać jak Kazio, tak pospiesznie chodzić nie tracąc przytem oddechu i tak brać życie z wesołej strony nie martwiąc się nigdy i niczem.

Po stromej ścieżynie zeszlśmy do znanej mi groty, położonej nad samym już brzegiem stawu, która była przez pół napełniona wodą i stanowiła przystań dla kilku gondol i czółenek, używanych do przejazdów po stawie. Zgrzany i zasapany, gdy się znalazłem nagle w chłodnej i wilgotnej atmosferze tej groty, zakaszałem dosyć silnie i równocześnie zawstydziłem się bardzo tym objawem mej niższości wobec Kazia. On uśmiechnął się lekceważąco i szepnął przez zęby:

— Zasapałeś się i kaszlesz jak panna Polstorff, nauczycielka mowy Goetego, najnudniejsza z tutejszych guwernantek... Ale chodź tu, pomóż mi tę wspaniałą gondolę odsunąć, która zdaje się być chyba na to, żeby nią obwozić biskupa w pontyfikalnych szatach...

Pospieszyłem więc wykonać jego rozkaz. On zrędził dalej:

— Zawsze mi tę moją łódkę zapchają w sam koniec... No masz tu sznur, ciągnij go ku sobie i idź brzegiem do otwartej wody, a ja przepcham moją łódkę pomiędzy te stare graty.

Wskoczył do łodzi i z niezwykłą zręcznością przeprowadził ją pomiędzy kilku większymi statkami, nie stuknąwszy nią nawet ani razu. Ciągnąłem powierzony mi sznur z olbrzymim wysiłkiem i pracując jak murzyn na plantacyi, rad jednak byłem ogromnie, że spełniam jego rozkazy.

Za chwilę wypchaliśmy łódkę z groty i zakołysała się wesoło na czystej przestrzeni wodnej.

Kondratowicz, stojąc na rozstawionych szeroko nogach pośrodku łodzi, z wiosłem w rękę i z miną zdobywcy świata, wydawał mi się w owej chwili jakimś mitycznym Kunigasem normandzkim, wyruszającym na zdobycie nowych krajów. Głosem też godnym takiego dzikiego wodza zawołał na mnie:

— Bierz wiosło i siadaj! Niema co czasu tracić. Przepłyniemy lewą stroną, zakryci od zamku jaworowym klombem, a jak się raz do trzciny dostaniemy, to już nas nikt, nawet i góry nie zobaczą.

Nie mówiąc słowa, spełniłem jego rozkaz. Uwielbienie moje dla tego dziwnego chłopaka rosło z każdą chwilą. Nie śmiałem nawet dotknąć wody mem wiosłem, patrzyłem tylko, jak kawał ciężkiego, płasko ostruganego drewna błyskał w jego dłoni, jak ostrze pałasza w rękę doskonałego szermierza. Łódź puła wodę z szaloną gwałtownością, pędziła przed siebie jak strzała, a poza nią widniała biała smuga spienionej wody. Wiosłarz upajał się swym kunsztem, nie rzucił nawet okiem na mnie, ani na otaczające przedmioty, ale wzrok miał utkwiony w jeden punkt. Widocznie musiało tam być

wejście do labiryntu przesmyków i kanałów, znajdujących się w tej stronie górnego stawu, która była gęsto trzciniami, szuwarem i sitowiem zarośnięta. W ciągu zaledwie kilku minut przebyliśmy szeroką przestrzeń czystej powierzchni wody i znaleźliśmy się tuż obok wysokiej ściany, utworzonej przez bujnie rosnącą trzcinę. Kondratowicz zwolnił szybkość pędu i zwolna, rozważnie skierował się we wąski otwór, ukryty zupełnie dla niewprawnego oka. Nagle otoczył nas inny świat. Skryci wśród wyniosłego lasu trzciniowego przed ludzkim wzrokiem, uczuliśmy obaj niezwykłą jakąś swobodę; zdawało się nam, żeśmy się znaleźli nagle wśród puszczy nieprzebytej, o setki mil od ludzi.

Towarzysz mój podniósł wiosło w górę, łódź stanęła w miejscu. Wówczas przemówił on do mnie pierwsze słowo od chwili, gdy wziął wiosło do ręki; przemówił krótko:

— A co?!

Lecz w tych dwu zgłoskach potrafił zamknąć to, na co inny człowiek musiałby użyć kilkaset wyrazów. W wykrzykniku tym dźwięczała rozkosz, odczuwana przez niego, duma, spowodowana jego biegłością wiosłowania, ciekawość, czy go podziwiam i czy dla mnie ta szalona żegluga nie była taką samą przyjemnością, jak dla niego.

Odpowiedziałem mu jednym słowem:

— Dobrze!

I zrozumieliśmy się wybornie.

Łódź wpłynęła powoli w małą przestrzeń wolną od trzcini, tam Kazik wbił wiosło w niebardzo oddalone od nas dno stawu, w ten sposób, że przeszło ono przez kółko znajdujące się w tyle łodzi... Statek stanął na kotwicy. Wówczas on, z niedbałością ludzi dzikich, prawdziwych dzieci przyrody, rzucił się na dno łodzi u moich stóp i zawołał:

— To mi rozkosz! Kto mi tu potrafi co zrobić? Chybaby trzciny zapalił, ale teraz zielone i mokre, paliłby się nie chciały.

Później zaczął się mnie rozpytywać, jak jest u nas w domu, jaki sposób życia, jaka służba i wszelkie zwyczaje. Znać mu się to podobało, com mu opowiadał, bo podnosząc się trochę i spoglądając mi w oczy rzekł:

— To już potrzeba mego psiego szczęścia, żeby się wybrać na ferye tak daleko i trafić na taki pański dwór... Ja tu nie mam co robić. Z lokajami nie chce mi się rozmawiać, a z państwem nie mam o czym. Ten nawet nasz Pomian w Rydze był całkiem inny... Ot! był dobry chłopak, zwykły student, kolega. A tu musi być »jaśnie panem«, bo go od świtu do północy tem jaśnie państwem karmią... Wiesz z tego, co mówisz, zdaje mi się, żeby mi się u was bardzo podobało.

— To jedź z nami — przerwałem mu pospiesznie — mama moja będzie bardzo rada powitać cię w naszym domu. Twego ojca ogromnie ceniła, mamy u nas wszystkie jego książki.

— Nie wiem, namyślę się — odrzekł i znowu opuścił się na dno łodzi.

Nie traciłem na darmo czasu. Kułem żelazo póki było gorące. Wszystkimi możliwymi sposobami starałem się namówić go, żeby do nas na jakiś czas przyjechał. Słuchał słów moich na pozór obojętnie i świszcząc przy tem jakąś dziwną aryę. Gdym wyczerpał już zupełnie cały zasób mych namów, odrzekł z pewną leniwą niedbałością:

— Ty mnie nie namawiaj, bo mnie namawiać nie potrzeba, chce mi się gwałtem stąd wyrwać, ale boję się, że nie wypada... Widzisz: Pomian zabrał mnie tu z Rygi, przywiózł kilkaset mil, zapłacił za mnie drogę... Może chce, żebym go bawił przez wakacje, może chce, żebym się z nim uczył; jak pojedę do was, to gotów

się rozgniewać i nie zapłaci mi drogi z powrotem, a co ja później zrobię?... My jesteśmy bardzo ubodzy.

Zacząłem mu znowu przedstawiać, że tego rodzaju obawy nie mają sensu, że robi niemi wielką krzywdę Andrzejowi, który jest dobry i serdeczny chłopak i niczem nie zasłużył na takie posądzenie.

Nagle furknęło coś w trzcinie tuż obok i wnet z pluskiem wpadło znowu do wody. Kazik zerwał się ze swego legowiska, jakby go prąd elektryczny przeszedł: oczy zaświeciły mu jakimś niezwykłym blaskiem, ręce trząść się zaczęły, a dolna warga drżała mu bezprzestannie jak w febrze i oddychał pospiesznie, słyszałem nierówne, gwałtowne uderzenia jego serca.

— Słyszałeś, podlot się zerwał i znowu zapadł — rzekł do mnie przyciszonym głosem: Ich tu jest masa, może kilkaset, wieczorem po kilkadziesiąt kaczek stadami leci na ściernie... Nastrzelałbym ich bez liku, cóż, kiedy nie wolno. Zrazu mi gadali, że strzelby niema... Zacząłem się rozpytywać, powiada mi Eliaszko, kozak, że mi strzelbę da. Tymczasem dowiedział się o tem ten utrapiony kamerdyner Dobrowolski i zapowiada mi ta orangutańska dusza: »proszę panicza, muszę przestrzedz, że u nas w parku nie można strzelać, bo jakby starsza jaśnie pani strzał usłyszała, toby z pewnością umarła«. Niech mu będzie i tak, trudno strzelać, jeżeli od samego hukku ma jaśnie pani umierać, żeby to taką dobrą naturę zwierzyna miała.

Machnął ręką i znowu leniwie i z rezygnacją położył się na dno czółna.

— A ty strzelbę masz? — spytał po chwili.

Odpowiedziałem mu, że wprawdzie strzelby nie miałem, bo u nas nikt nie miał wskutek zakazu policyi, ale po przeciwnej stronie Dniestru mieszkał »odstawny« kapitan Gawlikowski, plantujący tytoń turecki, a ten ma kilka strzelb i zawsze gotów mi pożyczyc.

Myśl o polowaniu i sukcesach myśliwskich ogromnie mi się uśmiechała. Przypomniałem sobie teraz dokładnie, że panna Jadwiga ostatniej niedzieli na prośbostwie z uwielbieniem opowiadała o jakiejś książce, w której były opisane przygody myśliwskie w dalekich podzwrotnikowych krajach pewnego angielskiego lorda... Z opowiadania tego wywnioskowałem, że muszę koniecznie zdobyć sławę myśliwską, potem zdobycie serca panny Jadwigi będzie poprostu drobiazgiem. Zapaliłem się przeto ogromnie do zamiarów Kazika i oświadczyłem mu stanowczo, że musi jechać do nas, że dostanę dlań strzelbę od kapitana i będziemy strzelali od rana do wieczora. Zagłębiwszy się we własnych myślach rzekłem prawie do siebie.

— Pierwszą upolowaną zwierzynę zawiozę w prezencie dla panny Jadwigi.

— Wiwat! — krzyknął Kondratowicz — to masz już pannę Jadwigę... Niech żyje panna Jadwiga! Jakaż to sentymentalna ziemia to Podole, każdy z was tu musi mieć jakiś ideał, do którego wzdycha i wyje jak pies do księżyca.

— Proszę cię! — zawołałem porywczo.

— Nie masz o co prosić... Nie rozumiem po co się masz obciążać niepotrzebnym sentymentem, z którego nic nie może być... Masz lat siedemnaście, twoja Jadwiga ma pewno ze szesnaście... Będiesz do niej wzdychał i wiersze pisał ze cztery lata, a później ona pójdzie za mąż, a ty będziesz rozpaczał... Ja zaś wolę dziewczęta i strzelbę, przynajmniej zawodu nie doznam żadnego.

Ten sposób pojmowania życia gniewał mnie wówczas niesłychanie, lecz nie miałem odwagi sprzeciwić się słowom chłopaka, który w tak krótkim czasie potrafił mnie opanować zupełnie. Wreszcie jego dowodzenie tak było logiczne, że nie mogłem mu żadnego zarzutu uczynić, zagryzłem tylko wargi i zamilkłem rozgniewany.

Dzień tymczasem miał się ku schyłkowi. Jaskrawe lipcowe słońce chowało się pospiesznie za olbrzymie drzewa parku; zamek świecił olśniewająco setkami wysokich, gęstych okien, a jego szare mury przybierały rumiane jakieś odcienia; na wschodzie z pośród niebotycznych topoli wyłaniał się księżyc na pełni, ogromny, czerwony, opasły, niby Niemiec piwowar. Żaby grały hejnał wieczorny, aż powietrze drżało od siły ich głosów. Z pośród trzcin i szuwarów porywały się małemi stadkami kaczki i ciągnęły gdzieś w dół ku polom.

Obaj milcząc rozkoszowaliśmy się tą uroczą pięknnością letniego wieczoru. W tej chwili zapomniałem zupełnie o słowach Kazika, które niedelikatnie me rozmarzone serce dotknęły, a tylko czułem dlań wdzięczność, że mnie namówił do tej wycieczki.

— No, czas wracać — zawołał nagle mój towarzysz, wieczór się zbliża, najdalej za kwadrans będą pierwszy raz dzwonić, a starsza pani nie lubi jak się kto spóźni... Dostałoby się tobie i mnie... W drogę!

Zerwał się ze swego legowiska, niezwykle zgrabnym ruchem wyrwał wiosło z dna i za chwilę wydostaliśmy się na czystą powierzchnię stawu. Tu, jakby chcąc się popisać swą wprawą wiosłowania, zamiast płynięcia wprost do groty, skierował się w stronę przeciwną i z szybkością strzały dążył do grobli, nie opodał od niej zawrócił i opłynawszy w przeciagu kwadransa cały olbrzymi staw, dobił szczęśliwie do przystani, w tej chwili właśnie, w której dzwonek z wieży zamkowej wszystkim ogłaszał, że za dziesięć minut będzie podana wieczerza.

Gdyśmy się zbliżyli do zamku, całe młode towarzystwo zebrane było na dużym tarasie i zabawiało się grą w wolanta. Wmieszaliśmy się tak zgrabnie, że nawet moja babka nie dostrzegła tego, iż dłuższy czas nie należeliśmy do towarzystwa. Ze zjawieniem się Kondra-

towicza zapanowała odrazu weselsza atmosfera i rozlegać się zaczęły wesołe śmiechy panienek... Nieporównanie umiał udawać cudackie podrygi Poraj-Rosena, który dla przypodobania się pannie Jadwidze Pomianównie brał udział w grze, udawał młodego, chciał swe stwardniałe ruchy uczynić zgrabnymi i elastycznymi, stając się poprostu zupełnie śmiesznym.

Jadwinia nie gniewała się za te żarty, tylko Aniela, która miała dobre serce i litościwą duszę, zbliżyła się do Kazika i grożąc mu nieznacznie palcem, szepnęła:

— Ej panie Kondraszku, tak się nie godzi, dlaczego się pan tak wyśmiewa z pana Poraja.

Lecz on nagle zrobił swą zwykłą, potulną minę niewinnego baranka i odpowiedział także szeptem:

— Proszę pani, nie wiem co mi się stało, boję się, czy nie dostanę podagry, nóg w kolanach zupełnie zginać nie mogę. Oj! oj! oj!

I złapał się za kolano.

Panienka wybuchnęła wesołym śmiechem, spojrzawszy w tej chwili na Poraj-Rosena, który także trzymał się za kolano, doznawszy widocznie jakiegoś niemiłego strzykania.

Drugi dzwonek, wzywający do kolacyi, przerwał zabawę. Wróciliśmy do zamku uroczyście, przez główne drzwi i wspaniały przedsionek. Wuj Zygmunt już mnie nie łąjał, bo nadjechał tymczasem nasz krewny Oleś Topolski, sławny elegant, z lokajem, na którym narachował marszałek sto cztery herbowe guziki. Lokaj ten stał się przedmiotem uwag marszałka na cały wieczór. Zresztą po kolacyi nie długo już siedzieliśmy, bo z uderzeniem dziesiątej godziny, babunia Honorata dała znak do rozejścia się. Po zwykłej ceremonii ucałowania rąk, zabraliśmy się do spania. Gdym na dobranoc całował wuja Zygmunta w ramię, przycisnął mnie serdecznie do piersi i gładząc po głowie, rzekł:

— Może jeszcze co z ciebie i będzie... Pamiętaj tylko, żebyś nigdy nie miał lokaja ze sto czterema guzikami, bo to głupio i śmiesznie.

Andrzej, Kazio i ja staliśmy w jednym pokoju. Wesolo tam było. Oleś Topolski, nie mając dziś jeszcze stosownego dla siebie towarzystwa, a ulokowany w pokoju tuż obok, przyszedł do nas na gawędę.

Fagas jego wygalonowany, z głupią miną, stał we drzwiach, czekając rozkazów pańskich. Zabrał się wnet do niego Kazik i począł sprawdzać rachunek marszałka. Ku wielkiej swej uciesze skonstatował, że się marszałek o jeden guzik pomylił, ponieważ w drodze chłopczysko stracił jeden guzik przy kamaszach. Odkrycie to wprawiło Olesia w szalenie zły humor. Złajał chłopaka co się zmieściło, wykrzykując raz po raz:

— Wolałeś durniu zgubić swą pustą głowę, niż ten guzik... Takiego nigdzie tu nie dostanie, choć ze Lwowa sprowadzaj jeden guzik dla bałwana.

Na to Andrzej Pomian, sławny flegmatyk i sensat, powiedział:

— To już nie jego wina, że zapasu nie masz, jak się sprawia takie guziki, jakich nigdzie blisko dostać nie można, to się zawsze coś na zapas zostawia.

— Herbowe patrony mam — zawołał zrozpaczony swem olbrzymiem nieszczęściem Oleś — ale kto mi to potrafi odlać z takiego mosiądzu... Czekaj, czekaj, gałganie — zwrócił się do chłopaka, prawdziwej ofiary mody — odbiję ja ci ten guzik z procentem. Dam ja ci guziki tracić... Ach! gdzież, łazisz jak niedzwiedź, jak małpa, lepiej ci w czuchaju chodzić.

— Ta ja, proszę jaśnie pana, nie napraszał się tej »lubery!« Sto razy lepiej chodzić w czuhaju, człowiek może zrobić co zechce.

— Milcz, gałganie! — zawołał doprowadzony do ostateczności elegant, i bojąc się snąć dalszej rozmowy

z chłopakiem, wyniósł się milczkiem do przeznaczonego dla siebie pokoju...

Za dziesięć minut usłyszeliśmy równe, głośne chrapanie eleganckiego Olesia.

— To ci dopiero lala! — szepnął do nas Kazik. — Czy wy takich dużo macie? Niechby jemu marszałek garbował skórę, choćby co tygodnia, możeby się to na co zdało.

Byliśmy we trzech tylko, uznałem więc, że będzie to najstosowniejsza chwila rozmówienia się z Andrzejem w kwestyi przyjazdu do nas Kazika... Pomian, jak tego zresztą spodziewałem się, nietylko nie robił żadnych zgoła trudności; przeciwnie obiecał najsolennie, że sam przywiezie Kondraszka, w tydzień po imieninach Anuli, że go zostawi u nas parę tygodni, a sam wybierze się z wizytami daleko, bo aż do mieszkających na Ukrainie krewnych.

Sprawa była w kilku słowach załatwiona. Usypiałem szczęśliwy, marząc co prawda więcej o rozkoszy, z jaką będę podawał pannie Jadwidze mą pierwszą upolowaną zwierzynę, niż o przyjemnościach dłuższego obcowania z Kondraszkim. Trudno, nikt nie jest w stanie zmienić serc młodzieńczych.

* * *

Dzień imienin babuni, od wczesnego poranka zapowiadał się bardzo uroczyście. Małe Pomianowskie odrazu wystąpiły w białych, tiulowych sukienkach z barwnymi wstążkami. Anula sama wyrecytowała długie, wierszowane powinszowanie po francusku, pełne górnotnych wyrazów i niemieckiego sentymentalizmu, nie licującego zupełnie z trzeźwą mową Galów. Dowiedzieliśmy się przytem, że to był utwór owej panny Polstorff, która tak działała na nerwy Kondraszkowe. Sztuywna Niemka, przez cały czas trwania deklamacyi stała tuż

obok swej uczenicy i mierzyła ją wzrokiem, pilnując, żeby biedna Anula ani słowa nie opuściła z tego wspa-
niałego utworu.

— Żal mi było wówczas Anuli okrutnie.

Najmłodsza Brońcia nie chciała się wdawać w de-
klamacye, oświadczając stanowczo, że »życzy babuni
ścienia, zdrowia i pociechi z wnuków« i przytem od-
dała ozdobny arkusik papieru, obwiązany błękitną wstą-
żeczką, na którym były wypisane jej wymęczoną rą-
czką długie rymy wyduszone z głowy panny Adeli Ró-
wnik, reprezentantki polskiej narodowości wśród różno-
języcznego tłumu pedagogicznych sił pomianowskiego
zamku.

My wszyscy starsi składaliśmy życzenia bez po-
przedniego przygotowania. Najbardziej kwieciście wy-
padło powinszowanie pana Poraj-Rosena, który chciał
w ten sposób zjednać sobie protekcyę babuni. Podczas
tej wspańskiej przemowy, Kondraszek stojący tuż obok
mnie, szczyptał mnie dwa razy w bok i ciągle szeptał
do ucha:

— Niech ta mumia już raz skończy, bo słuchać
nie mogę.

Po chwili zaś dodał:

— Poradz mu, żeby się ożenił ze starą Polstorff...
Oboje mają talent do wzniosłości... Tuby dopiero wznio-
słe rzeczy razem stworzyli.

Bałem się, że słowa Kazika do śmiechu mnie po-
budzą, a czułem, że toby było zupełnie nie na miejscu,
więc szepnąłem mu do ucha:

— Na miłość boską, nie śmiesz mnie, bo jak się
rozśmieję, to będzie znowu bura od marszałka.

Na to on do mnie:

— Patrz tylko, jak ten Oleś Topolski szeroko gębę
otwiera, słuchając słów tego adoratora od siedmiu bo-
leści... Ręczę ci, że zazdrości i Porajowi i Rosenowi

i obu razem w jednej osobie, że on nie potrafi takiej mowy wygadać.

Uciekłem poprostu od mego przyjaciela, żeby dłużej nie słuchać jego konceptów i nie popsuć uroczystej chwili swem niestosownym zachowaniem. Zauważyłem z drugiego końca salonu, że Kondraszek zbliżył się po mem odejściu do panny Polstorff i coś z nią rozmawiał z wielkiem ożywieniem: zapewne unosił się nad wspianą treścią i artystyczną formą poetyckiego utworu, skomponowanego przez nią na cześć solenizantki. Wnio-skowałem z miny Niemki, że Kondraszek podbił ją zupełnie i że stała się żarliwą jego stroniczką i przyjaciółką. Miał on dziwny, niebywały talent zjednywania sobie ludzi, kpiąc z nich w żywe oczy.

Około godziny dwunastej zaczęli się zjeżdżać bliźsi sąsiedzi i ci z krewnych, którzy albo wczoraj nie dojechali, albo tak blisko mieszkali, że mogli tego samego dnia z Pomianówki do domu wrócić.

Przyjechały więc dwie prześliczne panny Rawiczanki, siostry cioteczne mej matki, ze swą babką panią Daszkowską, starszą znacznie i od mej babki i od babuni Honoraty. Przyjechała dalsza ciotka pani Korcoszewska, ze swą córką, panną Emilią i jej narzeczonym Jasiem Owczyńskim. Zjawił się i nudny sąsiad Pomianówki pan Bolesław Jankiewicz, a tuż za nim nadjechał jego wieczny prześladowca, a ukochany przyjaciel nasz, młodych chłopaków — pan rotmistrz Białogrodzki.

Powóz zajeżdżał za powozem, wózek bałagulski za europejskim kuryklem... Ogromne pokoje wypełniały się z błyskawiczną szybkością. O pierwszej do śniadania zasiadło już około ośmdziesięciu osób. Stoły ustawiono w podkowy, a najstarszy Pomian — Narcyz, który powrócił w nocy z jakiejś romantycznej wycieczki i ukazał się dopiero do śniadania, z ogromną gościnnością i serdecznością zapraszał do obfitego używania dosko-

nałych win pomianowieckich i odwiecznych miodów... Mężczyźni nie dawali się długo prosić, butelki wypróżniały się nadzwyczajnie szybko, a odbijało się to z geometrycznym postępem na humorze biesiadników. Poraj-Rosen wzdychał jak krokodyl w piasku i robił nudnie słodkie oczy do Jadwini. Pan Bolesław Jankiewicz tak się rozczulił, że publicznie przy stole chciał ścisnąć rotmistrza Białogrodzkiego, kpiącego zeń niemiłosiernie, i twierdził głośno, że lepszego przyjaciela niż rotmistrz, nie miał jeszcze w życiu.

Rotmistrza Białogrodzkiego już wówczas lubiłem ogromnie, później miał się on stać kierownikiem i mentorem mej gorącej, burzliwej młodości. To też już wówczas z zajęciem przysłuchiwałem się jego żartom i cała moja sympatya była po stronie wesołego i eleganckiego rotmistrza a nie nudnego Jankiewicza.

Drugim człowiekiem, którego widziałem wówczas po raz pierwszy, a który zwrócił na siebie mą baczniejszą uwagę, był ów Jaś Owczyński, narzeczony kuzynki mej, Emilki Korkoszewskiej. Był on niezwykle piękny, ogromnie miły i tak ujmujący, że nikt się zgoła nie dziwił, iż Emilka, mająca trzykroć sto tysięcy rubli posagu, zdecydowała się wyjść za niego, chociaż oprócz wściekle chodzącej czwórki bałagulskiej, niezapłaconej dzierżawy na dwustu morgowym folwarku i sławnych chartów, nic zgoła nie posiadał... W tym Jasiu imponowało mi to, że z nikogo sobie nic nie robił, zachowywał się zupełnie tak, jak gdyby on, jakiś królewicz zaczarowany, zniżał się ze swych bajecznych królestw do zwykłej, pospolitej ziemianki, Milki Korkoszewskiej, i raczył przyjmować w dodatku do niej i te marne kilkakroć sto tysięcy rubli, których właściwie zupełnie nie potrzebował i bez nich się mógł doskonale obchodzić... Czy był on w niej zakochany? Tego nikt dojść nie mógł. Starsze panie stanowczo utrzymywały, że nie. Chociaż

później, gdy został jej mężem, złożył niezbite dowody swego przywiązania i... cierpliwości. Owego dnia w Pomianówce, ściągnął na siebie gromy wszystkich starszych pań swem »beztaktownem« zachowaniem się... Zobaczywszy Marcię Rawiczankę, która mimochodem powiedziawszy, cudownie tego dnia wyglądała, zapomniał zupełnie o swej narzeczonej i tak demonstracyjnie zaczął Marci nadskakiwać, że obie babunie i pani Daszkowska w gniewie swym nie mogły się uspokoić. Biedna Marcia dostawała burę po burze, ale nic to nie pomagało, Jaś od niej nie odstępował ani na krok. Od śniadania do obiadu, przy obiedzie i z początkiem tańców Jaś był ciągle w najbliższym sąsiedztwie różowej sukienki, zdobiącej wyniosłą i gibką kibić ciemnookiej Rawiczanki...

Zazdrośna Emilka była jak struta i zaczęła robić awantury zazdrości. Przestraszona babunia Honorata, obawiająca się wprost skandalu, zawezwała swego wnuka Narcyza i poleciła mu przestrzedz Owczyńskiego, żeby głupstw nie robił i nie drażnił niepotrzebnie narzeczonej, bo ona gotowa rozgniewać się na prawdę i zerwać ułożone małżeństwo, które jest dla Owczyńskiego olbrzymim losem, wygranym na życiowej loteryi.

Narczyż znał zanadto dobrze Jasia i wiedział, że podobna perswazyja musi wywołać przeciwny skutek, postanowił więc w inny sposób zrobić go nieszkodliwym... Wraz z rotmistrzem Białogrodzkim zwerbowali Jasia do małej salki jadalnej, gdzie ustawione były całe baterye butelek i tam próbowali spoić go do tego stopnia, żeby poszedł spać.

Projekt był dobry. Jaś miał się za tęgą głowę, a w rzeczywistości dużo pić nie mógł, bo wkrótce wpadał w dziwny stan rozczulenia i zupełnej niepoczytalności, przeciwnie zaś rotmistrz Białogrodzki i Narcyż nie pijali prawie nigdy, ale w danym razie obaj byli w sta-

nie wypić niezmierzone ilości rozmaitych trunków, bez żadnego widocznego skutku.

Ja z Kondraszkciem przypatrywaliśmy się z ogromnem zajęciem tym pijackim zapasom.

Zrazu szło wszystko dobrze, pijatyka zaczęła się podczas przestanku po polce, a przed mazurem. Jaś pobudzony żartami rotmistrza, pił jak smok, a pił stare, niebezpieczne wino, które niejednego zuchwałego szlachcica z nóg już zwaliło... Tego samego skutku byłyby się i Jaś doczekał, tymczasem muzyka zaczęła grać skoczego mazura... Z pośpiechem dopił kielicha, szkłem rzucił o ziemię i mazurowym krokiem pośpieszył do sąsiedniego salonu, nie zwracając najmniejszej uwagi na zatrzymujących go rotmistrza i Narcyza. Wszedłszy do salonu nawpół przytomny zaczął szukać wzrokiem Marci, która tymczasem, zgromiona przez babunię, wyplakiwała się jeszcze w gościnnym pokoju. Nie spostrzegłszy wnuczki, Jaś posunął do jej babki. I wówczas byłem świadkiem najkomiczniejszej sceny, jaką mi się kiedykolwiek w życiu zdarzyło widzieć..

Nawpół nieprzytomny, długonogi Jaś z wyrazem najwyższego rozczulenia na twarzy i łzami w swych pochciwych oczach, padł na kolana przed panią Daszkowską i zaczął przestraszoną staruszkę z ogromnym zapamiętem całować po rękach.

W salonie zapanowała grobowa cisza. Moja babunia i babka Honorata siedziały martwe jak dwa klasyczne posągi. Emilka zawisła na ramieniu swej matki i przygotowywała się do efektownego zemdlenia. Wszyscy byli pewni, że podpity Jaś publicznie oświadczy się pani Daszkowskiej o rękę jej wnuczki, Marci. Tymczasem stało się coś zupełnie niespodziewanego. Jaś całując namiętnie ręce staruszki, szepnął nad wszelki wyraz czułym głosem:

— Babuniu! Ja babunię kocham!

— Co? — zawołała staruszka i gwałtownie starała się wyrwać swą rękę z tych dziwnych uścisków.

Nic nie pomagało. Jaś mówił coraz głośniej:

— Ja babunię kocham nad życie... Ja się babuni oświadczam... Ja się muszę z babunią ożenić.

— Co ten człowiek plecie! — wołała rozbawiona już śmiesznością swego położenia staruszka.

— Nic nie plotę... To wszystko prawda... Ja bez babuni żyć nie mogę... Ja muszę się z babunią ożenić... Ja babunię kocham... kocham nad życie.

W ślad za Jasiem wbiegli do salonu Narcyz i rotmistrz, lecz wobec tej dziwacznej sytuacji stali nieradni, nie wiedząc zupełnie, co mają robić... W oczach jeszcze dziś stoi mi sucha i piękna twarz rotmistrza, spoglądająca ironicznie na kłęczącego u stóp siedmdziesięcioletniej staruszki Jasia; w rękę trzymał rotmistrz duży puhar kryształowy starego węgryna, który przez zapomnienie przyniósł z sobą ze sąsiedniego pokoju... Nagle błysnęło coś figlarnie w czarnych oczach rotmistrza, zbliżył się do Jasia i dotykając wolną ręką jego ramienia, szepnął:

— Jasiu! Ty doprawdy tak kochasz babunię?

Jaś z oburzeniem odpowiedział:

— Jeżeli nie wierzysz temu, to jutro rozmówimy się.

— Uwierzę — przerwał mu Białogrodzki — jeżeli dasz dowód tej miłości... Wypij na kłęczkach zdrowie babuni.

I podsunął mu puhar wina. Owczyński chwycił go i z chciwością, jednym haustem, do dna wychylił... Puhar byłby upadł na ziemię, ale Narcyz w czas go pochwycił z bezwładnych rąk Jasia... Głowa serdecznego chłopca opadła bezwładnie na kolana, teraz już naprawdę przestraszonej staruszki, a z zaciśniętych ust wyrwały się słowa:

— Kocham babunię! Z babunią się ożenię!

Rotmistrz i Narcyz chwycili go za ręce i mimo słabego oporu wyprowadzili do gościnnego pokoju.

Po tym tragi-komicznym epizodzie zabawa potoczyła się z szalonym ożywieniem. Wszyscy byli rozbawieni do najwyższego stopnia, a sama pani Daszkowska cieszyła się ogromnie i opowiadała ze śmiechem wszystkim paniom, że nie spodziewała się, by w tak późnym wieku i po czterdziestu latach wdowieństwa, znalazła tak młodego, pięknego pretendenta, który się jej publicznie, głośno w salonie oświadczył... Jedna tylko Emilka Korkoszewska nie miała zupełnie humoru, tańczyła jak struta i przy pierwszym brzasku dnia zmusiła matkę, że bez pożegnania wyjechała cichaczem z Pomianówki... Jaś tymczasem syt sławy i... starego wina, spał w Narcyzowym pawilonie i śniło mu się, że się ubiera do ślubu z Marcją Rawiczanką...

Epizod ten omal że nie spowodował zerwania małżeństwa lekkomyślnego Jasia z posażną Emilką, nawet przez kilka tygodni narzeczona nie chciała go widzieć... Przez wpływy jednak życzliwych przyjaciół, Jaś potrafił zatrzeć niemile wspomnienia z wieczoru pomianowieckiego w umyśle swej narzeczonej i pogodzili się ci państwo z tem jednak, że Emilka wymogła na Jasiu przyrzeczenie, iż na wieczorach nigdy już wina pić nie będzie.

Słowa jednak nie dotrzymał nieborak i na każdym wieczorze, już nawet później, żonaty, zawsze przebierał trochę miarkę... A oświadczenie się starym ciotkom po pianemu, przeszło u niego wprost w nałóg.

Wszystko musi się na świecie skończyć, to też skończyła się nasza wesoła zabawa w Pomianówce. My odjechaliśmy ostatni, przesiedziawszy wszystkich gości. Przed wyjazdem jeszcze spłataliśmy do spółki z Narcyzem figla panu Poraj-Rosenowi, za który ja specjalnie dostałem wielką burę od babuni... Ów stary kawaler,

a utracony konkurent Jadwini, za którą przepadaliliśmy wszyscy, nie cieszył się taksamo sympatią Narcyza, jak i moją, a Kondraszek od pierwszej chwili spotkania się z nim, czuł doń wstręt nieprzewyciężony... Zrobiliśmy więc we trzech naradę jeneralną i wymyśliliśmy nieomylny sposób wypłoszenia go z Pomianówki raz na zawsze... Techniczne wykonanie tego projektu, wziął na siebie Kondraszek. Wszystko było trzymane w jak największej tajemnicy.

Gdy na trzeci dzień po balu wszyscy domowi byli zebrani na moście zwodzonym dla żegnania odjeżdżających pań i zachodziły powozy jedne po drugich, zajechał i powóz Poraj-Rosena. Mężczyźni obznajomieni z turkotem powozów byli wprost zdumieni hukiem jakimś dziwnym, jaki ekwipaż niepocznego konkurenta wydawał, huk ten przypominał zupełnie odgłosy, jakie wydaje próżna beczka, toczona pospiesznie po twardej, nierównej ziemi. Zdumienie to rozplynęło się wnet w homerycznym śmiechu, gdy powóz stanął przed gankiem, a pan Poraj-Rosen podniósł fartuch, ażeby usiąść, okazało się wówczas, że na dnie powozu spoczywały cztery ogromne dynie, które bijąc o siebie i o drzwiczki wydawały te głuche odgłosy... Poraj-Rosen zaciął zęby z gniewu, wskoczył czempredziej do powozu, zakrył pospiesznie fartuch i przy akompaniamencie ponurej muzyki arbużowej i wesołego śmiechu zebranych gości, ruszył za bramę...

Naturalnie, że babunia domyśliła się, że i ja musiałem brać czynny udział w tym psim figlu, to też wysłuchałem reprimendę należyłą, nie przyznałem się jednak do niczego i ani Narcyza, ani też Kondraszka nie zdradziłem.

Później w życiu żałowałem nieraz tego kroku. Zawzięty Poraj-Rosen także domyślił się, kto był sprawcą tego despektu i mścił się na mnie przez długie lata.

Po obiedzie tego dnia i babunia kazała zaprzęgać. Pożegnaliśmy się z krewnymi serdecznie; ja specyjalnie żegnałem się najserdeczniej z Kondraszkim, którego szczerze i głęboko pokochałem. Rozstanie nasze miało być nie długiem, bo Andrzej stanowczo obiecał przyjechać za tydzień i przywieźć Kazika na dłuższy czas.

Pamiętam, że siadłszy do babuninej karetki, zapadłem w głęboką zadumę, podczas której snuły mi się przed oczyma przeważnie widziadła, dziwne jakies halucynacje, których naczelne miejsce zajmowała naturalnie panna Jadwiga, tuż okok niej Kondraszek i cała masa okropnych bestyi apokaliptycznych, smoków i potworów; dziwadła te zabijaliśmy obaj do spółki z Kondraszkim i zwlekaliśmy do stóp przerażonej pani mych myśli, a ona darzyła mnie uśmiechem i podzięką... Ale tylko mnie, wyłącznie mnie... Kazik nawet nie dziwił się temu — mało mu spać na tem zależało...

* * *

Bujne te marzenia skończyły się w bramie naszego domu.

Michał stuknął niemiłosiernie o próg bramy, jak to zwykł był robić zawsze... Babunia krzyknęła z przestraszu. Okrzyk ten jednak został zagłuszony siarczystem paleniem z bata poczciwego, starego Michała, niedowidzającego już trochę pod starość — i wnet karetka stanęła jak wryta u podjazdu.

Któż z was, czytelnicy, mili bracia z pod Nemrodowego znaku, nie wspomina z rozczuleniem rodzicielskiego domu, domowego ogniska? Każdy, czy w pałacu się rodził, czy na świat przyszedł w niskim domku o słomianej strzesze, westchnie z rozczulenia i nieraz łąza spłynie po ogorzałem obliczu na pamięć tych dni szczęśliwych i rozkosznych, które się przepędziło w gronie rodzeństwa pod ojczystym dachem.

W owym czasie byłem już prawie gospodarzem w domu; ojciec mój nie żył już od lat kilku, a matka, kochająca nas nad życie, była dość słabą dla mnie i pozwalała mi robić, co mi się żywnie podobało. Porąłem się też po domu i gospodarstwie jak szara gęś. Wyśiadłszy też z powozu, nie śpieszyłem się pójść przywitać pannę Zofię, nauczycielkę mych sióstr, z którą prowadziłem ustawiczną wojnę, ani też pomyślałem o starej pannie Annie, rezydentce, a mej opiekunce i zagorzałej stronniczce — tylko pobiegłem galopem do stajni. Miałem już wówczas angielskiego konia półkrwi po Riwerze, którego dostałem od mego wuja ś. p. Stanisława Pieńczykowskiego i z tej przyczyny nazwałem go »Staszek«. Koń ten dotychczas był jedyną moją nadzieją; myślałem, że on podbije twarde serce panny Jadwigi. Tymczasem ze »Staszkiem« nie tego mi szło; koń był silny, potężny i zuchwały, a ja niesłychanie lekki i nie bardzo jeszcze silny, wskutek tego Riwerzak robił ze mną co chciał i nieraz stał się powodem kompromitacji wobec mego przedwczesnego ideału... W stajni zastałem wszystko w porządku, tylko chłopak Mykita, którego z »poganiacza« awansowałem na *grooma*, skarżył mi się, że nie może nosić butów, które mu darowałem przed wyjazdem do Pomianówki, bo są za ciasne i pieką go szalenie... Była to straszna klęska dla mnie, chciałem bowiem jutro przy niedzieli konno w asystencji Mykity, odzianego w nowy drelich i moje stare buty, pojechać do parafialnego kościoła. Skonstatowana niepomiarowa wielkość Mykitowych »pedałów« stawała temu na przeszkodzie — bosi przecież w żaden sposób nie mogłem, bo nietylko mnie, ale i staremu dońcowi, który zazwyczaj pocztę i mięso woził, a teraz został nagle awansowany na wierzchowca dla improwizowanego *grooma* — zrobiłby tą pedałową nagością wstyd okropny.

Mimo tak wrogo kształtujących się okoliczności, nie dałem za wygraną: kazałem Mykicie ubrać się w buty, co mu w rzeczy samej dość trudno poszło, i wyper-swadowałem mu, że właśnie powinien w nich od czasu do czasu chodzić, to mu te niepomierne wielkie nogi zmaleją i przybiorą kształt nóg cywilizowanego człowieka, że nawet więcej będzie się płci pięknej podobał obuty w pańskie lakiery, niż z bosemi nogami.. Musiałem mówić bardzo przekonująco, bo chłopak, choć krzywił się i stękał, przyznał mi w zupełności rację... Jutrzejsza eskapada była już zapewniona — wszystko inne potrzebne do skutecznienia mego rycerskiego zamiaru, było zupełnie w porządku.

Wieczorem przy kolacyi ogłosiłem *urbi et orbi*, że mam wspaniały projekt jechania jutro do kościoła na koniu... Wszyscy przyjęli tę wiadomość z uznaniem, a nawet pewną dumą, siostry moje i ja sam nawet mieliśmy »Staszka« za ósmy cud świata, za osobistość końską dorównywującą Eklipsowi lub Herodowi; miło więc wszystkim było, że popiszę się w parafii tak pięknym i doskonałym koniem....

Jedna tylko panna Zofia, która nie wiem dlaczego, występowała zawsze w opozycji, kiedykolwiek domyślała się w mych czynach pierwiastku sentymentalnego, zaczęła sobie żartować z mego zamiaru i nazwała go bez ceremonii — donkiszoteryą. Z tego powodu wynikła zaciekle sprzeczka pomiędzy nią a panną Anną, która znowu twierdziła, że mój zamiar jest świetny, że zgadza się zupełnie z całą naszą tradycją rodzinną i że mój ojciec i mój dziad bardzo wiele konno jeździli, więc i ja powinienem dużo na koniu jeździć. Wreszcie zakonkludowała:

— Tak, tak! I nieboszyk pan do śmierci na koniu jeździł... I nieboszyk starszy jeszcze pan na tydzień przed śmiercią kazał sobie konia siodłać, to niech

i panicz to samo robi... I cobym się wtrącała do nie-swoich rzeczy...

Panna Zofia przygryzła z gniewu usta, ale opanowała się w porę i nie odpowiadając na zaczepkę wprost do niej skierowaną, szepnęła tylko niby sama do siebie:

— Tamci panowie musieli znakomicie jeździć... A nasz Benjaminek — tak mnie nazywała, gdy była w złym humorze — nie posiada tego kunsztu w wysokim stopniu... Dziwię się, że mu pozwalają na dużych i rącznych koniach jeździć... Wiele razy na tego waryata siada, to truchleję, że mu się co stanie.

Przerwała na chwilę... We mnie krew zakipiała; ścisnęłam nóż serwisowy w dłoni i miałem niekłamano ochotę cisnąć nim w dokuczliwą przeciwniczkę... Nie śmiałem jednak ani słowa odpowiedzieć na jej ironiczne przycinki, bo już raz za kłótnię z nią dostałem był potężną burę od babuni.

Panna Zofia po krótkim odpoczynku prawiała dalej:

— No i może być dekonfitura... A nuż kawaler z konia spadnie przed panną Jadwigą... To dopiero będzie się śmiać.

Nie mogłem tego dłużej znosić. Czułem, że jeszcze jedno takie dokuczliwe słowo, to wybuchnę wściekłym gniewem i stracę zupełnie panowanie nad sobą. Zerwałem się więc od stołu, niedopiwszy herbaty i jak szalony wyleciałem z pokoju.

Biegałem po ogrodzie, chwytając gwałtownie powietrze w płuca; w oczach miałem piekące łzy... Tak, tak! czułem, że ona, ta nieznośna panna Zofia, miała słusność, ja jeszcze nie umiałem tak jeździć, jak jeździł ongiś mój ojciec i mój dziad... Czułem to doskonale... Czułem, że wskutek mej złej jazdy »Staszek« nie chodził tak, jakby chodzić powinien. Doskonale to rozumiałem, że mój wierzchowiec ma »zaciągnięty pysk« i najczęściej tam idzie, gdzie jemu, a nie mnie się za-

chciewa... Przyznawałem i to, że wiele razy chciał mnie unieść to i uniósł, a ja mu w tem przeszkodzić w żaden sposób nie mogłem.

— Tak! prawda! — rozumowałem w duchu — wszystko prawda! Ale dlaczego ona mamie i babuni powiedziała, że ja mam z konia spaść przed panną Jadwigą... Czy po to, żeby się mama i babunia domyśliły, że mnie tak bardzo na pannie Jadwidze zależy?

Zacisnąłem z wściekłości pięści i czułem, że palące łzy spływają mi po twarzy. Nienawidziłem w tej chwili pannę Zofię całym sercem, sarkazmem swym dotknęła mnie była w najboleśniejsze miejsce, a takie dotknięcie długo się pamięta i nie łatwo zapomina.

Chodziłem długo po cienistych alejach, starając się napróżno wrócić do zupełnej równowagi. Po jakiej półgodzinie takiego błędzenia usłyszałem po za sobą ciche, skradające się kroki; zatrzymałem się na chwilę i wnet ujrzałem tuż obok mnie moją siostrzyczkę Andzię, drugą z rzędu po Maryni, która przybiegłszy do mnie, schwyła mnie za szyję i zaczęła gwałtownie po czole i twarzy całować, wspinając się do tego nadzwyczaj zabawnie na palce.

— Dobrze jej tak — wołała pospiesznie — słyszałam wszyscyuteńko... Ty poszedłeś, a my zaraz wstaaliśmy od stołu. Miałam grać po herbacie na tym nieznośnym fortepianie... Zasiadłam też sobie w najlepsze, a panny Zofii niema... Co to może być, myślę sobie, żeby się ona do fortepianu spóźniła, to niemożliwe... Aż tu nagle słyszę z babuncinego pokoju... Wiesz, prosto burę... Powiedziała jej babuńcia: »Poco takie myśli podsuwać chłopcu«... Co to znaczy nie wiem. A później mówiła: »Pani jest bez taktu... Tak chłopca drażnić nie można, a gdyby się był uniósł i pani coś niegrzecznego powiedziała«... Tak długo jej babuńcia nagadała... Przyszła taka zła, że aż strach, zobaczyła mnie

przy fortepianie, siadła, kazała mi grać z kwadrans, potem powiedziała, że osioł kwadratowy, że ja powinna się uczyć grać na cymbałach i kazała iść spać... A ja przyszedłam tu, żeby to wszystko tobie powiedzieć... Nie smuć się braciszku!... Dostała ona za swoje; babuńcia bardzo się na nią gniewała.

Pocałowałem kochaną Andzię w usta i uczułem, że mi się w rzeczy samej łżej zrobiło. Najwięcej mnie pocieszyło to, że przekonałem się, iż mam w Andzi stronniczkę tak pewną, że nie bała się wśród ciemności panującej w ogrodzie szukać mnie po alejach, aby mnie uwiadomić o pogromie mego nieprześląganego przeciwnika.

Nazajutrz rano, nie czekając na spotkanie z panną Zofią, wybrałem się do kościoła. Wskutek tego, że babunia po podróży z Pomianówki i wczorajszej irytacji, nie czuła się dobrze, nikt więcej od nas na mszę świętą nie wybrał się. Szczegół ten dogadzał mym zamiarom, w obecności bowiem mamy i babuni traciłem zupełnie kontenans i stawałem się niepomiernie nieśmiały.

Wszedłszy do kościoła odrazu ujrzałem pannę Jadwigę, siedzącą obok swych rodziców w kolatorskiej ławce; ulokowałem się tuż obok i rzucałem na nią sentymentalne spojrzenia. Sentymentalizm ten jednak połączony był z pensyonarską wprost nieśmiałością, bo jak tylko panienka ta oderwała oczy od książki, z której się modliła, i spojrzała w mą stronę, tom natychmiast oczy spuszczał do ziemi i z dziwną zaciętością badałem wzrokiem w jaki sposób stykają się na kościelnej posadzce białe płytki piaskowca z czerwonymi.

Do Pana Boga mało się tego dnia modliłem, ale zato za dużo do wyśnionego, upragnionego całą duszą ideału kobiecego, który podówczas wcielił się dla mnie w przesadnie wysoką i należycie niezgrabną postać panny Jadwigi.

Gdy msza się skończyła, stałem w drzwiach zakryty tak długo, aż panna Jadwiga w towarzystwie rodziców nie przeszła obok mnie... Skłoniłem się wówczas, ale bardzo niezgrabnie, lecz straciłem zupełnie przytomność dopiero wtenczas, gdy pani mej wyobraźni, głosem cichym i przytłumionym spytała mnie wprost:

— A siostr pańskich niema dziś?...

— Niema... Babunia trochę niezdrowa — odpowiedziałem, wysilając się na odwagę.

Pamiętam, że rozmowa ta wówczas nie sprawiła mi nadzwyczajnej rozkoszy, dopiero później, gdy zaczął kombinować i rozbierać każde jej słowo i każdy ruch, tom z tej rozmowy wyciągał wnioski bardzo daleko idące i wiele obiecujące. Była ona wreszcie nadzwyczajnie krótka, bo panna spytała mnie jeszcze:

— A będzie pan u księdza proboszcza?

Chciałem jej odpowiedzieć, że po to, aby ją zobaczyć, tobym przebył Karpaty, Alpy, Kordyliery i Himalaje, przeszedłbym ogień i wodę, a w rzeczywistości odpowiedziałem:

— A naturalnie!... przecież...

I ugryzłem się w język nie dokończywszy: »przecież pani tam będzie«... bo popatrzyła w tej chwili na mnie i wszelka odwaga zupełnie mnie odpadła.

Wyszli więc nasamprzód państwo Okrzewscy z córką, panną Jadwigą, później pani Lisowska z dwiema córkami, ciekawemi i bardzo fertycznemi pannami. Dalej z trudnością włączył nogami stary kawaler Przytoski, zwany powszechnie »stryjaszkiem«, a obok niego podskakiwał zabawnie drugi stary kawaler, pan Seweryn Stawery, powszechnie nazywany majorem. Ja zamykałem pochód... Szedłem strasznie zadumany; miałem zamiar opowiedzieć pannie Jadwidze moje zapoznanie się z Kondraszkiem, rozognić jej dziewiczą wyobraźnię zapowiedzią naszych przygód myśliwskich i obiecać jej

w zgrabny sposób, że wszystko, co położę z mej lufy, to złożę u jej stóp jako hołd należny królowej mego serca. Układałem w myśli tę przemowę i kombinowałem okoliczności, jakie jej będą towarzyszyć... »Majora« ani »stryjaszka« nie bałem się ani krzty, ale żenował mnie trochę udział w rozmowie panien Lisowskich, a już przed samą panią Lisowską truchlałem w całym tego słowa znaczeniu... Była słuszna, dziwnie wysuszona, a uśmiech miała tak ironiczny i jadowity, że się jej wszyscy w naszym sąsiedztwie bali, jak zarazy.

Rozmyślania te niedługo trwały, bo plebania od kościoła leżała o jakie dwieście kroków... W progu plebanii dodał mi animuszu ksiądz proboszcz, uściskawszy mnie kordyalnie i wołając na powitanie:

— A, witam, witam! Cóż tam nasz kawaler porabia? Z balu na bal... Słyszałem, słyszałem od księdza kapucyna z Ilkowiec, jakeś to tam wywijał pannami senatorskimi, hrabiankami i marszałkownemi, jak jakimi pomiotłami... He! co? zuch nasz kawaler!

Rozczulony taką pochwałą, pocałowałem proboszcza z dubeltówki w ramię i odrazu postanowiłem wpaść w samochwalczy zapał.

— Ot tańczyłem jak umiałem — odrzekłem z udaną skromnością — a że nie wiele się uczyłem, więc nie wiem jak to wypadło.

— E... he, he! Zbytek skromności — pycha największa... czyli grzech śmiertelny — przerwał mi ksiądz, śmiejąc się serdecznie. — Już mi tam ksiądz kapucyn doskonale opowiadał.

Choćbym z ochotą był słucał powtórzenia pochwał księdza proboszcza, jednak uznałem za stosowne przerwać je, mówiąc:

— Księżę proboszczu, oprócz zabawy zdobyłem coś ważniejszego...

W tem miejscu zrobiłem umyślną pauzę i rzuciłem okiem po pannach, jakie te słowa zrobią wrażenie: — wszystkie były rozciekawione, ale panna Jadwiga ani odrobiny więcej niż obie Lisowskie... Pocięzyłem się przypuszczeniem, że musi umyślnie nakazywać sobie obojętność, i po przerwie, trwającej zaledwie kilka sekund, mówiłem dalej:

— Zdobyłem przyjaciela... Jedyne, prawdziwego, nieocenionego przyjaciela.

Proboszcz, który miał mnie za jakąś osobliwość i zawsze wróżył mi nadzwyczajnie świetną przyszłość, zaciekawiony nadzwyczajnie moim wyborem przyjaciela, zapytał:

— He, jakże to? I kto to niby ten przyjaciel?

Wyprostowałem się wówczas dumnie, wzniosłem głowę o ile to się dało zrobić i dwa razy głośniej, niż wypadalo i tego była potrzeba, zawołałem:

— Mój przyjaciel, księże proboszczu, nazywa się Kazimierz Kondratowicz i jest synem sławnego poety Syrokomli.

Gdym spojrział po tych słowach na obecnych, tom zdziwił się okrutnie wrażeniu, jakie wywarły moje słowa. Wszyscy byli jakby pomieszani, jakby zawstydzeni, a patrzyli na mnie tak, jak się spoziera na człowieka, który wielkie głupstwo, coś straszliwie niestosownego powiedział w przyzwoitem towarzystwie. Jakiś czas panowało głucho milczenie. Pierwszy odezwał się »stryjaszek«, uśmiechając się z ironiczną pobłażliwością:

— Jakoś, panie serce, dobrze zrozumieć tego nie mogę... Hm! hm! to ten pański przyjaciel nazywa się Kondratowicz, a jego ojciec nazywa się... Syrokomla... Całkiem, panie serce, nieczysty interes... I to niby tego pana poznał pan w Pomianówce... Dziwne czasy.

Słowa te oburzyły mnie, ale równocześnie czułem się tak zdekoncertowanym, że nie mógł słowa prze-

mówić. Na szczęście wyratował mnie proboczczyk, który wpadł nagle w stan niezwykłego rozgniewania i spoglądając surowo na »stryjaszka«, zawołał:

— E... he, he! Tak to panie dobrodzieju zwykle bywa wszetecznikowi, wszeteczeństwo zawsze na myśli... Co pan ma tu paskudne myśli podsuwać... Nieboszczyk Kondratowicz to był szlachcic z antenatów i mój kolega ze szkół, obajśmy Litwini... Pisywał cudne wiersze czyli poezye i te dzieła podpisywał nazwiskiem swego klejnotu. E... he! he! Syrokomlą się nieboszczyk pieczętował, pamiętam, choć biedny studencina sygnet... tego... herbowy na palcu nosił po antenatach... E... he! he! rozumiesz pan, panie Sewerynie...

Proboszcz zasapawszy się przerwał. Odetchnąłem swobodniej, uczułem znowu grunt pod nogami.

W czasie tej rozmowy przeszliśmy z ganku przez dość ciemną sień do bawialni księdza proboszcza. Tam całe towarzystwo podzieliło się na grupy... Major, stryjaszek, pan Okszyński i ksiądz proboszcz przystąpili do stolika, gdzie stały napitki i przekąski, i tam politykując »zalewali robaka«. Panna Aniela, siostra księdza proboszcza, stara, szkaradna Litwinka, zabawiała panie Okszyńską i Lisowską... Ja rozmawiałem z trzema pannami i szło mi już całkiem dobrze.

Puściwszy wodze bujnej, młodzieńczej fantazyi, szymbowałem z brawurą wielką po wezbranych falach nadzwyczajnych przygód myśliwskich. Z zapalem opowiadałem o cudownych, nadzwyczajnych wypadkach, jakie zdarzały się memu przyjacielowi Kondraszkowi, naturalnie nie żałując zupełnie liczb, w obliczeniu jego trofeów myśliwskich. Mimochodem dałem do zrozumienia, że i ja nie jestem nowicyuszem w nemrodowym fachu i wtrąciłem nieznacznie skromną wzmiankę o jakich tam »kilku dzikach« i młodym niedźwiedziu, zabitych przezemnie... naturalnie w Galicyi.... Czułem, że opowia-

danie to robi na pannach wielkie wrażenie, zaczynały mi się przypatrywać z większą ciekawością. W chwili, gdy przerwałem moje opowiadania, dla nabrania nowego konceptu, odezwała się panna Helena Lisowska:

— Oh! polowanie to śliczna rzecz!... Widziałam raz jak nasz kuzyn Antoni zastrzelił zająca... Oh! do tego można się roznamiętnić.

— Co, zająca? — zawołałem z lekceważeniem — cóż to za zwierzyzna zając... Mój wuj Ludwik już do zająca nie strzela i ja jak jestem u niego, to do zająca nie strzelam... Zając to kuchenne polowanie.

Kłamałem jak najęty, bo po pierwsze wuj mój bardzo lubił strzelać do zająca, po drugie i ja sam paliłem się ogromnie do tych strzałów i strzelałem do każdego szaraka, któregom tylko zobaczył, bez względu na odalenie, wskutek tego zaledwie na dwadzieścia strzałów udawało mi się jednego uśmiercić... Panny jednak nie poznały się na mojem kłamstwie i z uznaniem pełnem szacunku przyjęły moje przechwałki. Zresztą nic w tem nie było dziwnego. Podole wówczas nie miało broni myśliwskiej, polowania należały do wielkich rzadkości, a ktoś, kto miał stosunki w Galicyi i bywał w tym kraju, mógł bezkarnie opowiadać w sąsiedniej prowincyi niebywałe cuda, a wszyscy w to wierzyli. Korzystając z tego, opowiadałem paniąkom, że Kondratowicz przyjedzie wkrótce do nas, że mam zamiar na jego cześć wyprawić wielką obławę na wilki i na dziki... Mówiąc to zwróciłem się do panny Jadwigi i szepnąłem do niej półgłosem:

— Pani pozwoli, że co upoluję, to ośmielę się do Chełmówki przysłać i złożę te trofea pani w ofierze.

Słowa te powiedziane były z wielkim sentymentem, bo paniąka zarumieniła się jak piwonja i takie ją opanowało wzruszenie, że nie mogła nawet mówić, tylko z trudnością wielką wyszeptęła:

— Dziękuję!

Nie wiem, czy rumieniec i zaambarasowanie się córki, czy znany apetyt pani Okszyńskiej, którego szczupłe przekąski proboszczowskie nie zdołały zaspokoić i który domagał się obfitego obiadu, skłoniły matkę panny Jadwigi do powstania i oświadczenia, że »już czas jechać do domu«.

Rozpoczęły się pożegnania, które tak samo długo trwały, jak przywitania i były przyczyną wypowiedzenia całej masy ceremonialnych i zdawkowych grzeczności. Nie brałem zresztą długo udziału w tych szablonowych zwyczajach, tylko pożegnawszy się, czemp prędzej popędziłem do brzezinki, rosnącej za kościołem, gdzie zostawiłem mego chłopaka z końmi. Na szczęście zastałem wszystko w porządku, co rychlej wskoczyłem na konia i nim powóz państwa Okszyńskich z bramy plebanii wyjechał, już byłem tuż obok... Konia zebrałem, że aż przysiadł zadniemi nogami do ziemi i żuł wędzidło tak zajadle, że mu odrazu kawałki białej piany z pyska padać zaczęły. Dostrzegłem wówczas, że panna Jadwiga bardzo mile na mnie spoziera, ale zato mama Okszyńska, korpulentna niewiasta, ze złością odwracała odemnie swe zarośnięte tłuszczem, małe zielone oczy... Dziwiła mnie wówczas ta niechęć pani Okszyńskiej — zdawało mi się, że niema żadnego powodu, dla którego ona miałaby mnie nie lubić. Byłem chłopakiem grzecznym, dobrze ułożonym, przystojnym, mieliśmy krewnych i przyjaciół daleko świetniejszych niż państwo Okszyńscy... Jednym słowem nie mogłem odgadnąć powodu niechęci troskliwej mamy panny Jadwigi do mej osoby. Poźniej dopiero doświadczenie życiowe nauczyło mnie, dlaczego mama Okszyńska nie była rada z tego, jeżeli panna Jadwiga zanadto się zajmowała moją osobą... Rzecz bardzo prosta: Pannie Jadwidze rodzice dawali krągłych sto tysięcy posagu i pragnęli ją wydać

koniecznie za bardzo bogatego choć podstarzałego pana Mekietyńskiego... Doświadczona więc mama bała się, żeby pomiędzy jej jedynaczką, a mną, nie zawiązała się zanadto serdeczna przyjaźń, mogąca pokrzyżować plany małżeństwa z brzydkim, do lisa podobnym i ciężko podstarzałym Mekietyńskim... Nie wiedziałem jeszcze wówczas, że byłem mniej niż zerem w tabuli matrymonialnej. Było nas sześcioro, a interesa były w najopłakańszym stanie... O tem jednak nie myślałem, nic mnie to zresztą wówczas nie obchodziło... Siedząc na dzielnym koniu i patrząc siarczyście w oczy zarumienionej panienki, czułem się tysiąc razy lepszym niż stu Mekietyńskich.

Miałem wielką nadzieję, że mnie pani Okszyńska zaprosi na obiad do Chełmówki... Nadzieja ta okazała się zupełnie płonną. Ze dwie wiorsty od miasteczka jechaliśmy jedną drogą, bawiłem pannę rozmową i galopowałem koło powozu, wówczas mama udawała, że drzemie, na kilkadziesiąt jednak kroków, przed krzyżem, gdzie drogi się rozchodziły, obudziła się nagle, źle spojrzała na mnie swemi zielonemi oczkami, lecz uśmiechnąwszy się nad wyraz uprzejmie, rzekła głośno:

— Do widzenia panu... Proszę babuni i mamie nasze ukłony oświadczyć!

Wstrzymałem konia tak gwałtownie, że aż zarył tylnymi kopytami w grudowatą ziemię, ukloniłem się machinalnie kapeluszem, lecz gdy powóz oddalił się o jakie piętnaście kroków, mimowolnie szepnąłem:

— Jędrna baba!... Niech ją dyabli porwą!

Wiem, że to nie było ani elegancko, ani po rycersku, ale cóż? Bóg mi świadkiem, że nie byłem w stanie powstrzymać się od tego okrzyku, tak bardzo ubliżającego matce mego ówczesnego ideału... Zresztą nie mogę sobie wytłómaczyć zupełnie tego fenomenu psychologicznego, daczego ja, wychowany w zasadach bezwzględnej wiary w dziedziczność krwi i usposobień, co

do pani Okszyńskiej, nie miałem najmniejszych złudzeń i miałem ją za babę lichą, nędznego charakteru i nędznych popędów, a jej córka wydawała mi się najdoskonalszą istotą pod słońcem... Do dziś dnia tego zrozumieć nie mogę.

Stałem tak na rozstajnych drogach chwilę, wreszcie splunąłem ze złością i stępo zawróciłem do domu.

* * *

Andrzej Pomian dotrzymał słowa. W tydzień po naszym odjeździe z Pomianówki, przyjechał z Kaziem Kondratowiczem do nas. Ucieszyłem się nimi ogromnie. Kazio był odrazu jak u siebie w domu; do wieczora znał już wszystkich, żartował ze wszystkimi, a nawet umiał zyskać przyjaźń panny Zofii pomimo, że jej od pierwszej chwili zaczął wyrzucać jej wrogie usposobienie względem mnie. Broniła się jak mogła, musiała jednak kapitulować przed Kondraszkową wymową i logiką... Cóż z tego?... Jak długo Kondraszek bawił u nas, tak długo był pozorny pokój z panną Zofią. Wnet jednak po jego wyjeździe rozpoczęły się znowu działania wojenne.

Andrzej na drugi dzień równo ze świtem wyjechał. Wnet po jego wyjeździe Kazik zwrócił się wprost do mnie z zapytaniem:

— No, pokaż mi te instrumenta, z którymi to polować mamy. Nic nie było przygotowanego; wiedziałem, że u jednego pobereźnika Ilka jest jakiś stary samopał i że syn leśniczego Petio Pielawski w dziuple dębu przechowuje starą dubeltówkę. Posłałem więc do obu tych szczęśliwców z prośbą, żeby się do mnie pofatygowali. Nie długośmy na nich czekali, ale za to rozpoczęły się długie pertraktacye, zanim udało się Kondraszkowi skłonić ich, żeby wydobyli z ukrycia te straszne bronie.

Rozpacz mnie chwyciła, gdym te »oreże« zobaczył: Dubeltówka Pielawskiego, była to ongiś bardzo świetna broń w Anglii robiona, którą odebrano w sześćdziesiątym trzecim roku od jakiegoś magnata; strzelbę tę »wyszachrował« stary Pielawski od sekretarza »stanowego« i z obawy, żeby nie wpaść w podejrzenie »nieblagonadziejności«, trzymał przez blisko piętnaście lat w dziuple. Wskutek tego tak była zardzewiała, że była zupełnie niemożliwa do strzelania.

Kondraszek przypatrywał się jej z wielką uwagą, wówczas kilka razy szepnął sam do siebie »szkoda! szkoda!« później nagle zwrócił się do młodego Pielawskiego i z hultajskim uśmiechem rzekł:

— No, strzelać z tego nie można. Ale pan ma skarb... To warte tysiące... Niech pan poszle tę strzelbę do Kijowa, a zapłacą panu w muzeum archeologicznem kilka tysięcy... Wie pan, że to jest strzelba króla Salomona... Tak jest! samego nieboszczyka króla Salomona... To nawet grzech z tego strzelać...

Tu podsunął mu strzelbę do oczu i wskazując palcem na jakieś resztki srebrnej inkrustacji, mówił:

— Patrz pan tylko! Tu jest napis hebrajski... pisze »nasz król Szlomko z tego gweru strzelał«, a to dalej, to żydowskie numera i liczby co zabił... Ma pan. Słoniów trzysta osmdziesiąt, lwów tysiąc osmset dwa, tygrysów trzy tysiące czterdzieści pięć... Panie, niech pan to szanuje, to majątek... Że też żydzi jej panu nie ukradli... Niech pan pilnuje, oni jak się dowiedzą, to będą się starali ukraść, a jak nie potrafią, to dadzą panu, co pan zechce... Co pan myśli? Co to dla żydów za pamiątka, strzelba króla Salomona?... Pan wie przecież, że za jedną nitkę z jego, z przeproszeniem, szarawarów, to oni płacą po dziesięć dukatów, to co oni panu dadzą za strzelbę!

Głupi Petio Pielawski spoglądał na Kondraszka ostupiałemi oczyma i badał, czy on zeń kpi, czy pra-

wdę mówi... Wyraz twarzy jednak Kazia był tak poważny, w jego oczach przebijało tak prawdziwe zainteresowanie się »cudownym zabytkiem«, że znikła odrazu wszelka wątpliwość z umysłu pana Petia; głupia twarz jego zaczęła się zwolna niezwykle uszczęśliwieniem rozpromieniać, wreszcie niespodzianie schwycił Kondraszka rękę i począł ją gwałtownie całować.

— Panie dobrodzieju — wołał — zaraz posyłam Moszka do zińkowskiego rabina, niech przyjadą, niech zobaczą... Sprzedam, jak Boga kocham sprzedam, za nic, za marne pięć tysięcy karbowañców i kupię folwark na Besarabii... I ożenię się, ożenię!

I schwycił nagle drogocenny zabytek archeologiczny i wyleciał z nim jak oparzony.

Niewinny ten żart Kondraszka sprawił, że Petio Pielawski włóczył się przez lat kilka z zardzewiałą dubeltówką po wszystkich miasteczkach, gdzie mieszkali rabini chasydów... i proponował im nabycie starożytnej strzelby króla Salomona... Gdy jednak nie znalazł chętnego nabywcy, zgorzkniał zupełnie, znieawidził żydów śmiertelnie i przed wszystkimi narzekał, że go żydzi niszczyli, zrujnowali doszczętnie:

— Bo to, panie dobrodzieju — mawiał — potrzeba na to żyda... Trafia się gałganowi prawdziwa strzelba króla Salomona, jak Boga kocham, prawdziwa, czysty antyk, warta dziesięć tysięcy dukatów... Ale co, biedny szlachcic potrzebuje grosza, myślę ja sobie, niech choć za marne pieniądze kupią, zawsze to niby im się należy po tym Salomonie, królu żydowskim. Powiadam: dajcie marnych pięć tysiacyków karbowanych... No i co pan dobrodziej myśli?... Dali co?... Gdzież tam! On głupi mi powiada, że król Salomon ze strzelby nie strzelał... Co za oszust, myśli, że mnie otumani, a któżby strzelał ze strzelby, jeżeli taki Salomon nie strzelał, najmędrszy król... Ciekawym z czego strzelał? Taki dureń, przepa-

szam honor pański, może myśli, że Salomon z bzinowej pukawki strzelał, albo z czego?... Ot, skapcianieli żydzi ze wszystkim i koniec.

Po nagłym jednak wyjściu Petia, Kondraszek zrobił bardzo rzadką minę, zrozpaczonem okiem rzucił na zniszczony, powiązany sznurkami samopał i łamiąc ręce, zawołał:

— Z tej kolubryny będziemy chyba we dwóch strzelali... A może to i dobrze, bo jeden z trudnością by ją dźwigał... Jeżeli tamta, tego waryata, pochodzi od króla Salomona, to z tym samopałem chyba sam Nemrod nieboszczyk na Nosorożce chadzał...

Nagle zwrócił się do zadumanego Ilka, pobereźnika, i uderzając go po przyjacielsku w ramię, zawołał:

— Hej Ilku, wrażyj synu, »mental« ci od cesarza dostanę, a może i »krest«, jeżeli wystarasz się dla nas gdzie o dwie dobre strzelby.

Ilko milczał jak słup, choć oczy śmiały mu się do »kresta«.

— Słuchaj Ilku, kupię ci tyle prochu i gładkiego, fabrycznego śrutu, że ci na trzy lata wystarczy, tylko dostań dla nas dwie strzelby.

Ilko poskrobał się w głowę, chrząknął parę razy, ale głosu ludzkiego nie wydał. Kondraszek uznał za stosowne podnieść cenę, więc rzekł, uderzając trzcinką po sutych, juchtowych cholewach, zdobiących jego długie nogi:

— Patrz, te buty, te sławne buty, ze skóry psa morskiego, daruję ci, jak będę stąd wyjeżdżał, tylko dostań dla nas dwie strzelby.

Pokusa była tak namacalna, że Ilko nie mógł jej nie uledez; poskrobał się jeszcze raz w głowę i szepnął:

— Nie dwie, ale trzy doskonałe rusznice ma pan kapitan za Dniestrem... Tylko ja nie śmiał gadać.

— A to czemu? — wmięszałem się ja do rozmowy.

— A, bom się bał — odrzekł ciągle zakłopotany Ilko — panicz nie pozwalają cudzym polować, a on czasem na nasz brzeg przypłylnie, taj sobie sojki strzela, tak ponad wodę...

— Tylko sojki? — spytałem z udanym gniewem.

— No, taj turkawki, taj gołęby... te dzikie, co po skałach siedzą, te grzywacze.

— A zajęcy, kozłów, dzików nie strzela?

Indagowałem dalej ku wielkiemu memu zgorzeniu. Ilko nietylko nie przestraszył się mych słów, lecz przeciwnie, zabawiły go one bardzo, bo zaczął się śmiać serdecznie.

— Czego się śmiejesz, błaznie? — wybuchnąłem.

Lecz i to nie zbiło z tropu zuchwałego Ilka. Śmiał się dalej i śmiejąc się odpowiadał:

— Ta, jak się tu nie śmiać, kiedy panicz za takie dzikie zwierzęta opowiadają... He! he!... Dzikie kozy, dzikie świny. Ta to ono kiedyś było, ale kiedy? kiedy?... Zając?... To on się czasam i trafi, ale rzadko... Zimą wilczyska, to się ciągnają... Jaki zwierz jest, to lis, ale on mnie starego i to w zimie znądruje, a cóż dopiero paniczów i w lecie, bez tropu... Ta, bo jeszcze i to, co lisa w lecie szkoda strzelać, bo skóra i dwa złote nie warta.

Praktyczny Kondraszek, zrozumiawszy widocznie, że cały ten dyskurs z Ilkiem do celu nie prowadzi, zwrócił rozmowę odrazu na praktyczniejsze tory, zapytując:

— A powiedz nam, jak się ten kapitan nazywa i jak od niego można strzelby dostać?...

Ilko znowu poskrobał się w głowę i namyślał się długo, zanim odpowiedział:

— Ta jakby się nazywał?... Kapitan taj koniec... A jak on się pisze, to ja jego nie śmiał pytać... On jest carski kapitan, ma chresty i mentale... On od pana Rogacza z Gruszowiec, na tureckim, to jest niby na besa-

SPLENDIDA
HOTEL MEUBLE

PROPRIETARI
D. DAGNINO e G. GUENZI
PIAZZA DE' FERRARI
GENOVA

UT. WILD & C. MILANO - 25245

COSTRUZIONE
SPECIALE PER HÔTEL
100 CAMERE
POSIZIONE LA PIÙ
TRANQUILLA E LA PIÙ
CENTRALE DELLA
CITTÀ - MOBILIAMENTI
ALL' INGLESE
BAGNI - DOCCE

LUCE ELETTRICA e
CALORIFERI IN TUTTE
LE CAMERE
VENTILATORI
ASCENSEUR
BIANCHERIA STERILIZZATA
OMNIBUS
+ AUTOMOBILI +
APERTURA GEN. 1904

ziemi
o ja-

Kon-

zadał
lział:
ugiej
nad

nu.
tano-

Ilka
zecz,
nie...

ę do

rado-

oada,
przy-
i żą-
gorą-
ć do

elusz

ciela

wy-
ani

SPLENDIDA

HÔTEL MEMBLE



PROPRIETARI
D. DAGNINO E G. GUENZI
 PIAZZA DE FERRARI

GENOVA

UT. WILD & C. MILANO - 23053

COSTRUZIONE
 SPECIALE PER HÔTEL
 100 CAMERE
 POSIZIONE LA PIÙ
 TRANQUILLA E LA PIÙ
 CENTRALE DELLA
 CITTÀ - MOBILIAMENTI
 ALL' INGLESE
 BAGNI - DOCCE

LUCE ELETTRICA E
 CALORIFERI IN TUTTE
 LE CAMERE
 VENTILATORI
 ASCENSUR
 BIANCHERIA STERILIZZATA
 OMNIBUS
 + AUTOMOBILI +
 APERTURA GEN. 1904

Ilko
sem
tak p

skała

niu.
przec
serde

się da

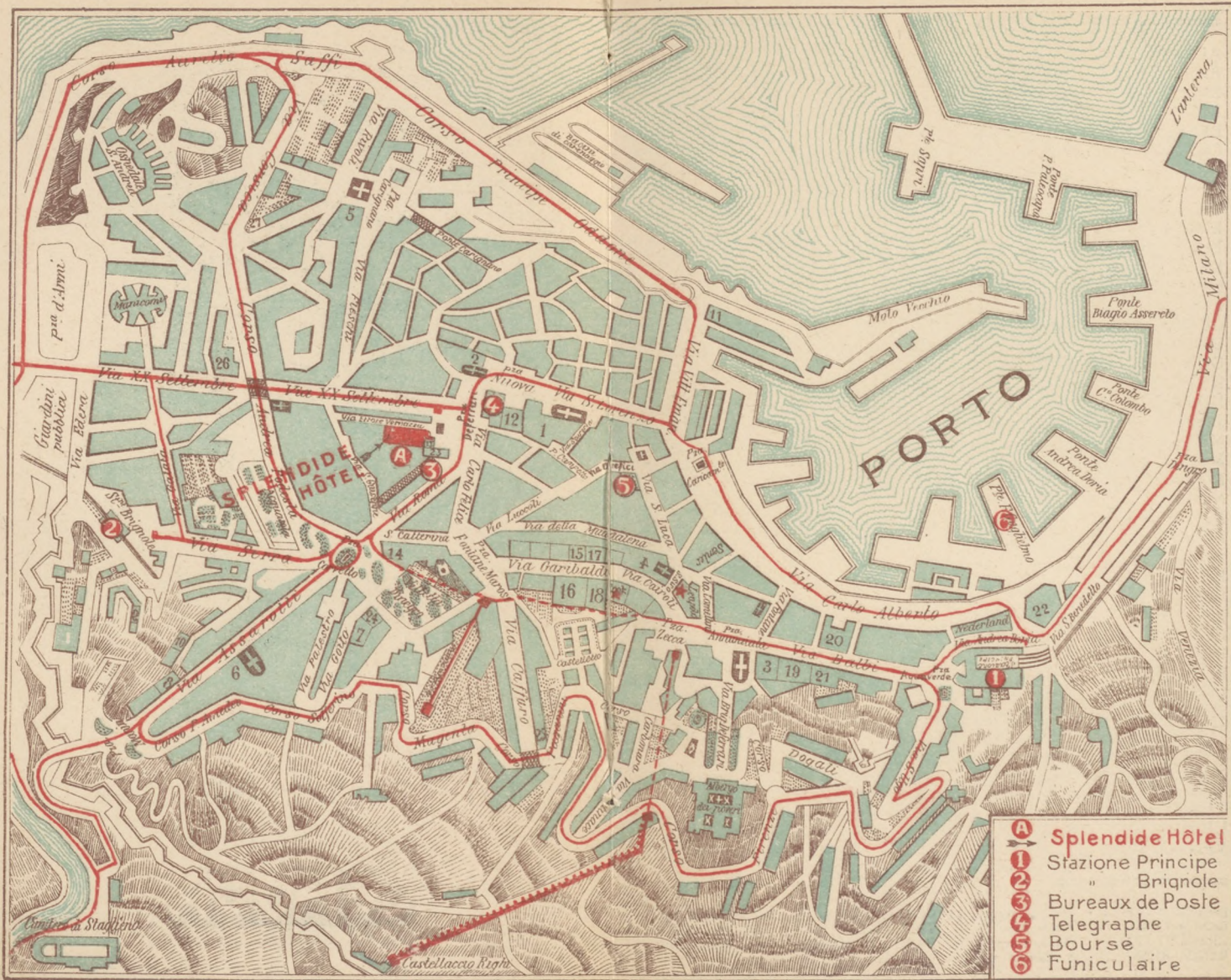
dzikie
dzikie
dy?...
Zimą
ale or
piero
i to,
złote

że cał
cił ro

i jak

długo

A jak
carski
gacza



ziemi
o ja

Kon-

zadał
lział:
ugiej
nad

nu.
tano-

Ilka
zecz,
nie...

ę do

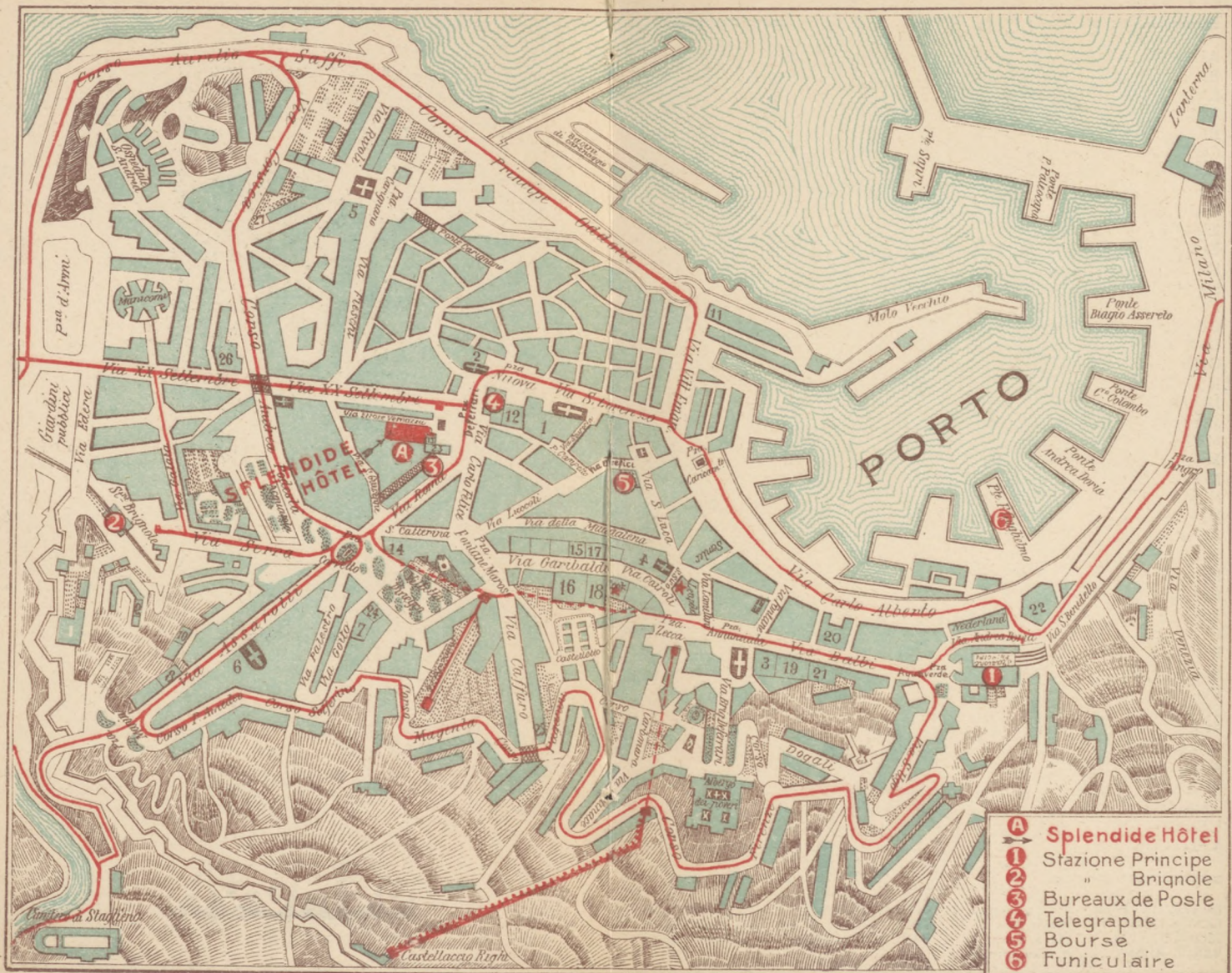
rado-

ada,
przy-
i ża-
gorą-
ć do

elusz

ciela

wy-
ani



- A** Splendide Hôtel
- 1** Stazione Principe Brignole
- 2** Bureau de Poste
- 3** Telegraphe
- 4** Bourse
- 5** Funiculaire

		===== CONSULATS =====	
Ilko		AUTRICHE	Via Roma, 10
sem		BAVIERE	Piazza Pinelli
tak p		BELGIQUE	Via XX Settembre, 5-6
		BOLIVIE	" Roma, 10
		BRESIL	" Assarotti, 16
skala		CENTRE AMERIQUE	Via S. Lorenzo, 14
		CHILI	" XX Settembre, 4-5
		COSTA RICA	" Peschiera, 10
		DANEMARCK	Vico Vena, 4
niu.		EMPIRE GERMANIQUE	Piazza Fontane Marose, 17
przec		EQUATEUR	Via Assarotti, 17
serde		ESPAGNE	" XX Settembre, 5
		ETATS UNIS	" Assarotti, 36
		FRANCE	" Serra, 3
		GRANDE BRETAGNE	" Palestro, 18
		GRECIE	Portici Vitt. Em., 4-3
się da		GUATEMALA	Via Roma, 10
		HAITI	" " 10
		HONDURAS	Piazza del Serriglio, 2
dzikie		JAPON	Via Orefici, 7
dzikie		MEXIQUE	" XX Settembre, 37
dy?...		MONTENEGRO	Piazza Campetto, 5
Zimą		NICARAGUA	Via XX Settembre, 33
ale or		NORVEGE	" Mameli, 36-2
piero		NOUVELLE GRENAD	" Caffaro
i to,		PAYS BAS	" Assarotti, 36
złote		PARAGUAY	" Orefici, 7
		PERSE	Piazza Campetto, 5
		PEROU	Via Caffaro, 5
		PORTUGAL	" Roma, 9
		REPUBLIQUE ARGENTINE	" Palestro, 14
		REPUBLIQUE DE LIBERIA	" Porta Vecchia, 14
że cał		ROUMANIE	" Balbi, 1
cił ro		RUSSIE	" Assarotti, 37
		S. DOMINIGUE	" Peschiera, 13
		SERBIE	" Roma, 10
		SEBBARINO	Salita S. Brigida 4 B
i jak		SUEDE-NORVEGIA	Piazza Portello, 2
		SUISSE	Salita S. Gerolamo, 4
długo		TURQUIE	Piazza Marsala, 3-6
		URAGUAI	Via Assarotti, 44
		VENEZUELA	" Davide Chiossone, 7
A jak		===== BANQUES =====	
carski		BANCA D'ITALIA	Via S. Lorenzo, 12
gacza		BANCA COMM. IT.	Piazza Banchi
		CREDITO ITAL.	Via S. Luca, 4
		BANCA RUSSA	P. Campetto, 8
		GRANET BROW & C.	Via Garibaldi 7, int. I
		THOS COOK & SON P.	della Meridiana, 17
		BANCO DI NAPOLI	Via Garibaldi, 18

rabskim brzegu zakupił sobie dwadzieścia falcz ziemi ponad rzeką i sadzi tütüun... Ma ze sobą czarnego jakiegoś charaba, czy tataryna. I tak sobie żyje.

— Czy daleko do niego? — indagował dalej Kondraszek.

Ilko znowu roześmiał się tak, jakby mu kto zadał bardzo głupie pytanie i z lekceważeniem odpowiedział:

— Jakie tam ma być daleko... Ot zaraz na drugiej stronie rzeki... Jak panicz wyjdą w nasz ogród nad skały, to i kapitańską chałupę widać.

— A on będzie dziś w domu?

— Czemu by nie miał być? On zawsze w domu.

Kondraszek zwrócił się ku mnie i rzekł tak stanowczo, że nie mogłem nawet myśleć o opozycji:

— Niema się nad czem zastanawiać... Zabieraj Ilka i niech nas wiedzie do tego kapitana... Moja już rzecz, że wyproszę od niego dwie strzelby na dwa tygodnie... Proch, śrut i kapiszony mam.

Potem zwrócił się do Ilka i rzekł:

— No, Ilku, a przewieziesz nas przez rzekę do kapitana?

— Czemu by nie? — brzmiała odpowiedź rozradowanego pobereźnika.

Chciałem przedstawić Kazikowi, że nie wypada, byśmy tak niespodzianie, bez żadnej racjonalnej przyczyny nachodzili nieznanego człowieka i od razu żądali, żeby nam wypożyczył swoje strzelby. Rozgorączkowany jednak Kazik nie dał mi nawet przyjść do słowa, tylko despotycznie zakomenderował:

— No, niema co tracić czasu. Bierz kapelusz i marsz za mną!...

Zamilkłem i usłuchałem komendy mego przyjaciela bez dalszej opozycji.

Za pięć minut ruszyliśmy na tę awanturniczą wyprawę, nie powiedziawszy o niej nikomu w domu ani

CONSULATS

AUTRICHE	Via Roma, 10
BAVIERE	Piazza Pinelli
BELGIQUE	Via XX Settembre, 5-6
BOLIVIE	" Roma, 10
BRESIL	" Assarotti, 16
CENTRE AMERIQUE	Via S. Lorenzo, 14
CHILI	" XX Settembre, 4-5
COSTA RICA	" Peschiera, 10
DANEMARCK	Vico Vena, 4
EMPIRE GERMANIQUE	Piazza Fontane Marose, 17
EQUATEUR	Via Assarotti, 17
ESPAGNE	" XX Settembre, 5
ETATS UNIS	" Assarotti, 36
FRANCE	" Serra, 3
GRANDE BRETAGNE	" Palestro, 18
GRECIE	Portici Vitt. Em., 4-3
GUATEMALA	Via Roma, 10
HAITI	" " 10
HONDURAS	Piazza del Serriglio, 2
JAPON	Via Orefici, 7
MEXIQUE	" XX Settembre, 37
MONTENEGRO	Piazza Campetto, 5
NICARAGUA	Via XX Settembre, 33
NORVEGE	" Mameli, 36-2
NOUVELLE GRENAD	" Caffaro
PAYS BAS	" Assarotti, 36
PARAGUAY	" Orefici, 7
PERSE	Piazza Campetto, 5
PEROU	Via Caffaro, 5
PORTUGAL	" Roma, 9
REPUBLIQUE ARGENTINE	" Palestro, 14
REPUBLIQUE DE LIBERIA	" Porta Vecchia, 14
ROUMANIE	" Balbi, 1
RUSSIE	" Assarotti, 37
S. DOMINIGUE	" Peschiera, 13
SERBIE	" Roma, 10
SEBBARINO	Salita S. Brigida 4 B
SUEDE-NORVEGIA	Piazza Portello, 2
SUISSE	Salita S. Gerolamo, 4
TURQUIE	Piazza Marsala, 3-6
URAGUAI	Via Assarotti, 44
VENEZUELA	" Davide Chiossone, 7

BANQUES

BANCA D'ITALIA	Via S. Lorenzo, 12	GRANET BROW & C.	Via Garibaldi 7, int. 1
BANCA COMM. IT.	Piazza Banchi	THOS COOK & SON	P. della Meridiana, 17
CREDITO ITAL.	Via S. Luca, 4	BANCO DI NAPOLI	Via Garibaldi, 18
BANCA RUSSA	P. Campetto, 8		

pół słowa. Ilko szedł przodem, tuż za nim Kazik, ja zamykałem pochód i rozmyślałem, co z tego może wypaść. Wiedziałem, że mama nie będzie bardzo rada z zawarcia znajomości z jakimś tam kapitanem, może po prostu awanturnikiem... Czułem jednak, że przebaczenie mamy uda mi się z łatwością uzyskać. Większy strach uczuwałem na myśl, że panna Zofia zaraz się dowie o tej eskapadzie i z tą wiadomością poleci do babuni... No, to dopiero będzie bal — myślałem w duchu — jak ona to po swojemu babuni przedstawi... Strach mnie zaczął ogarniać, lecz mimo to szedłem dalej milcząc; nie miałem wprost śmiałości powiedzieć Kondraszkowi, że robi głupstwo, prowadząc mnie na tę egzotyczną wizytę.

Milcząc, przeszliśmy cały ogród, pełen olbrzymich, starych drzew, minęliśmy myśliwski dworek, położony na urwisku skały, wiszącej już nad samym brzegiem Dniestru, weszliśmy do winnicy, która roztaczała się na spadzistości ku rzece... Kondraszek milczał ciągle... Aż gdy stanęliśmy nad samem urwiskiem, a tuż pod naszymi stopami, tylko o jakie tysiąc stóp pod nami ukazała się wspaniała wstęga rzeki, tu Kondraszek stanął, schwycił mnie niespodzianie za szyję i całując serdecznie zawołał:

— Dziękuję ci serdecznie, żeś mnie tu przywiózł... Co za wspaniały widok!... Co za urwiska!... Tu człowiek dopiero czuje prawdziwie, że świat stworzył Pan Bóg... Wielki, wszechmocny Bóg, a nie żadna głupia natura... Głupie Niemcy ze swoją naturą! Głupie! Głupie!... Głupie Niemcy!

Wołał całą siłą swej potężnej piersi, a stokrotne echo od szarych sylurskich skał i od białych, wapiennych szczytów i z rozpadlin głębokich odpowiadało zawzięcie!

— Głupie! Głupie!... Głupie Niemcy!

A później, coraz szerzej, coraz to dalej odzywały się odgłosy:

— Głupie! Głupie!... Głupie Niemcy!

Jakiś czas Ilko słuchał z nabożeństwem i słów Kondraszka i echa jego głosu, wkrótce jednak uznał, że to zatrzymanie i ta rozmowa ze skałami jest wyraźną i niepotrzebną stratą czasu, bo przerwał nam nasze zachwyty, mówiąc:

— Niech sobie będą te Niemcy i głupie, a my chodźmy, bo będzie późno z powrotem przeprować się przez wodę... Proszę paniczów za mną iść krok w krok i nie patrzeć się pod siebie, żeby się jeszcze głowa nie zakreśliła.

Rozpoczął się karkołomny pochód po ścieżynce wąskiej, nad wszelki wyraz stromej a wijącej się ustawicznie po nad niezgłębione przepaści. Wydeptana ona była stopą ludzką tuż obok straszego jaru, którym od wieków spływała woda z wysokich równin w dół ku rzece, po każdej nawałnicy i burzy. Pochód ten dla mnie nie był zupełnie nowością, od lat pierwszego dzieciństwa nauczyłem się łązić po tych skałach i ścieżkach, a żadna przepaść, choćby najgłębsza, nie sprawiała mi wcale zawrotu głowy... Spuszczałem się więc z zimną krwią i z gęstą miną... Kondraszek widocznie nie był przyzwyczajony do takich pochodów, bo szedł bez zwykłej u niego brawury, klnąc z cicha:

— A niech go dyabli porwą z takimi drogami!

Nie było to miejsce stosowne do dłuższej rozmowy, więc ani słowem nie odpowiedziałem na te jego narzekania, w głębi duszy zaś uczuwałem wielką dumę, że wreszcie znalazło się ćwiczenie cielesne, w którym ja prześcignąłem niezrównanego Kondraszka.

Po jakichś dziesięciu minutach spuszczenia się w dół po owej stromej ścieżynie znaleźliśmy się na pochyłym nasypie, utworzonym z grubego szutru, który nawałnice wytroczyły ze skał i tu niby stopień, niby podnóże skał ułożyły. Spadzistość była już daleko mniejsza, a scho-

dzenie w dół nie przedstawiało wcale żadnego trudu ani też niebezpieczeństwa, bo nasyp był tak szeroki, że mogliśmy już iść obok siebie wygodnie. Teraz dopiero Kazik odetchnął pełną piersią, spojrzął na mnie serdecznie swemi dużemi, dobrymi oczami i nie ukrywając swego zachwytu zawołał:

— A niechże cię wszyscy dyabli!... Toś mi dopiero zaimponował... Taż ty po górach łazisz jak alpejska kozica... Mogę za tobą torby nosić!

Nie pamiętam, żeby jaka pochwała w całym mem życiu zrobiła mi była tak wielką radość, jak te proste słowa serdecznego chłopaka... Uczułem, że kocham go jeszcze bardziej, że jego dzielność nie przygnębia mnie tak strasznie, że jest pewien zakres tężyzny, w którym go przewyższam. To mnie najwięcej ujęło, że mi tak niepytany oddał zupełną sprawiedliwość.

Za chwilę stanęliśmy nad samym brzegiem wody. Dniestr był spokojny. Rzeka szeroko rozlana ścieliła się u naszych stóp, jak jakieś olbrzymie, trudne do zmierzania okiem, wspaniałe zwierciadło. Promienie słoneczne, padające teraz prawie prostopadle na nasze głowy, porozpiekały nadbrzeżne skały tak, iż zdawało się nam żeśmy weszli do jakiegoś rozpalonego pieca. Cisza w przyrodzie panowała taka, że brzęczenie nadbrzeżnych komarów słyszeliśmy z taką dokładnością, jak się słyzy w mieście muzykę kapeli wojskowej. Ogromna rzeka zdawało się, że oddycha ciężko w tym upale i z tego oddechu szła na nas jakaś orzeźwiająca wilgoć.

Ilko, którego upał zgoła nie męczył, zakrzętał się i wnet znalazł łódź rybacką, którą postanowił przeprowadzić nas na »turecki« brzeg. Kondratowicz nie dał mu jednak popisować się biegłością w wiosłowaniu, odebrał mu wiosło, usadowił nas na dnie łodzi, a sam, stanąwszy na tyle, zaczął wiosłować z wprawą fachowego gondoliera... Talent ten wywołał okrzyki podziwu z ust

milczącego zazwyczaj Ilka. Kazik nie zwracał nawet uwagi na te pochwały, oczy swe owiane mgłą jakiejś dziwnej melancholii utkwiał w przeciwny brzeg, a z ust jego niby mimowolnie popłynęły słowa i nuta smutnej, strasznej pieśni rosyjskich studentów:

W dol pa Wołgie, pa matuszkie...

Smutna, zjadliwa, buntownicza nuta płynęła nad cichemi falami Dniestru, rozpływała się i łamała kaskadami potężnego głosu po załamach i szczelinach skał, drżała długo i tęskno nad modrą powierzchnią wód. Pieśń ta czar jakiś na mnie rzuciła, siedziałem oniemiały, zadumany, zapatrzony przed siebie i niewidzący nic a nic, tylko mgły i jakieś fantastyczne zamki zaczarowane. Silne stuknięcie łodzi przywróciło mnie do rzeczywistości.

Byliśmy po przeciwnym brzegu. Domek kapitana widniał o jakie trzysta kroków od brzegu na pagórku.

* * *

Pan kapitan Gawlikowski nie często musiał mieć gości, bo najwyraźniej nasze niespodziewane zjawienie się wywołało straszny zamęt i zakłopotanie. Zanim doszliśmy do drzwi słomą pokrytego domku, dostrzegłem, że już zauważono nasze przybycie. Nasamprzód na obserwacye wybiegła jedna dziewczka, po niej druga, za niemi wysunęło się kilka psów, które nas przywitały radosnem szczekaniem i biegły naprzeciw, łasząc się i kręcąc ogonami... Wreszcie ukazał się na progu sam pan kapitan, zapinając pospiesznie białą »kitkę« mundurową na złocone guziki... Uśmiechnął się bardzo mile i przywitał nas:

— Mam honor odrekomendować się... Dnieprowskiego piechotnego pułku, sztabs kapitan w zapasie... A z kim mam zaszczyt i przyjemność?

»Odrekomendowaliśmy się« i my po formie panu kapitanowi.

Zacząła się rozmowa, którą Kondraszek dzięki swemu specjalnemu talentowi sprowadził do poziomu serdecznej pogadanki ludzi znających się od niepamiętnych czasów... Z punktu zaczął mu opowiadać, jak się bardzo ucieszył, gdy się odemnie i od genialnego Petia Pielawskiego dowiedział, że tak blisko mieszka tak osobliwy i tak ciekawy człowiek, jak pan kapitan Gawlikowski.

— Pan podobno z samym Szamilem wojował? — zapytał nagle, z wyrazem najwyższego zainteresowania.

— Ha, wojowało się za młodu — odpowiedział kapitan, ale tak ogólnikowo, że co do mnie to nie mogłem nabrać dokładnego pojęcia, czy te boje kapitańskie odbywały się z samym Szamilem, czy tylko z jakimiś Szamilentami.

Ogromnie ciekawy byłem jak się Kondraszek weźmie do głównej sprawy i jedynej przyczyny naszego tu przybycia, to jest do uproszenia kapitana, by nam pożyczył jakich strzelb.

Tymczasem weszliśmy do wnętrza domku, a raczej obszernej chałupy, w której kapitan rozłożył się po obozowemu. Z biciem serca dostrzegłem, że na dziwnej indyjskiej, czy kaukazkiej rogoży, okrywającej całą prawie jedną ścianę chałupy, wisiało kilka strzelb, czystych, świeżących, wypolerowanych. Kazik dojrzał je również odrazu i spojrzął wnet na mnie, dając mi wzrokiem do poznania, że rad jest, żeśmy tu daremnie nie przyjechali.

Pan kapitan tymczasem pomyślał o przyjęciu gości. Obie dziewczki, czy kobiety wiejskie, które tak ciekawie obserwowały nasze przejście od rzeki do domu kapitana, stały teraz w sieniach i przez szparę w odchylonych drzwiach ciekawie się nam przypatrywały.

— Hej! Horpyna! — zawołał nagle pan kapitan głosem komendy. — Czego stoisz tam i zęby do pani-

czów szczerzysz... Marsz mi zaraz, zarzniesz troje kurcząt i na rożen... Wiesz jak przyjeżdżają panowie z polskiego boku, to są inni goście, niż jakiś tam żyd, niechrest z Lipkan po pateruchę... A no wio!... Piorunem żeby mi było gotowe.

Nawoływana Horpyna przestąpiła próg, a zasłoniwszy usta czerwoną wełnianą fotą, która zwyczajem naddniestrzańskim zastępowała jej spodnicę, i rzucając nieznacznie ciekawe spojrzenia na nas obydwu, spytała głosem, który bardzo kunsztownie udawał zmieszanie i zakłopotanie:

— Ja bo ne znaju, które kurczęta zarznąć!

— A to ci baba! *czortowa newistka* — huknął kapitan. — Rznij jakie chcesz, byle były tłuste.

Kobieta nagle wyprostowała się, puściła z rąk fotę i spojrzała śmiało, zalotnie na Kondraszka. Zobaczyłem ją i ja w tej chwili całkiem dokładnie, miała twarz śliczną matowego odcienia, krucze włosy i czarne jak węgiel, palące oczy...

Kondraszek cmoknął jak handlarz koński na jarmarku i oblizał końce palców na znak podziwu... Kapitanowi widocznie te objawy uznania dla piękności Horpyny zrobiły przyjemność, bo uśmiechnął się milutko i nie dając jeszcze za wygrane, zawołał po raz drugi:

— A no, hej!... Charitono, jakiego dyabła chowasz się poza drzwiami, ktoby pomyślał, żeś taka bogomolna i przed paniczami się chowasz. A no chodź tu.

I powtórzyła się znowu poprzednia scena, z tą tylko różnicą, że Charitona nie była czarnowłosą, ale miała włosy jasno-popielate, złotawego odcienia, była trochę niższa od swej towarzyszki i jej kształty były trochę pulchniejsze.

— Biegaj, babo do więcierza — rzekł kapitan — i zobacz, czy niema tam ryby, jak jest zabierz ze dwie i zaraz mi usmażyć... Panowie zjedzą po kawałku.

Charitona pochyliła się do głębokiego ukłonu, a oczy jej tak szelmosko spojrzały na Kondraszka, że ten nie mógł się powstrzymać i zawołał:

— Kapitanie! cud świata, gdzieś takie kobiety znalazł?... Czy z Kaukazu za panem tu przywędrowały?

— Tutejsze! — odparł kapitan poważnie. — Takich kobiet, jak nad Dniestrem, niema nigdzie na świecie... Jest to rasa słowiańska skrzyżowana z mołdawską... Ja ładniejszych nigdzie nie zdybywałem... Dlatego tu siedzę i ten śmierdzący bakun uprawiam.

Na te słowa młoda kobieta zarumieniła się w ten sposób, że przysięgaćby było można, że jest niewiną jak nowonarodzone dziecko i przez zasznurowane usta szepnęła:

— Ot nie wiedzieć co pan kapitan gadają.

Wychodząc jednak, w drzwiach rzuciła tak wyzywające spojrzenie na Kondraszka, że zrozumiałem, iż musiał użyć całej siły woli, żeby nie skoczyć za nią w celu pomagania jej przy poszukiwaniu ryb. Chęć zdobycia na jakiś czas strzelb kapitanowych powstrzymała go jednak na miejscu. Westchnął tylko ciężko, coś zaklął z cicha i dalej zaczął pochlebiać naszemu nowemu znajomemu. Sposób był widocznie doskonały, bo nasz gospodarz zaczynał się »miodem rozplęwać« i topnieć jak śnieg pod wpływem wiosennych promieni słońca.

— Dobrze z was panicze! — zawołał nagle — o! z wami to byłoby i żyć przyjemnie... Napiłbym się coś z wami... Ale co?... Prostej wódki śmierdziuchy wy pić nie będziecie... A dobrej ja znowu nie mam... Od wina besarabskiego zaczynać, to bardzo niepolitycznie... Ot mam jeszcze butelkę nalewki, na kijowski sposób robionej... Dereniówka, prawdziwa dereniówka, sam ją nalewałem na alembikowany spirytus... Napijecie się?

— Napijemy się, kapitanie! — zawołał rozweselony Kazik.

Gospodarz wyciągnął ze szafy dużą butelkę tej nalewki i ponalewał nam do kieliszków czerwonego jakiegoś płynu.

Kondraszek golnął odrazu całą lampkę i ani się zakrztusił... Ja wciągnąłem dobry haust do ust i zrobiło mi się jakoś — niewyraźnie. Płyn ten czuć było mocno niedogonem... Obejrzałem się czyby nie można gdzie wypłuć ten specyał, lecz Kondraszek śnać odgadł mą myśl i tak się ostro na mnie popatrzył, żem w mgnieniu oka połknął to, com miał w ustach i dopił resztę zawartości lampki. — Nudzić mię to zaczęło i nie dałem się namówić kapitanowi na powtórzenie tej porcyi.

— He, he! Pytlowany nasz panicz! — szepnął niedyskretnie kapitan i zwrócił się ponownie do Kondraszka: — A pan to nasz brat, maładiec! Panu tylko w wojenną służbę iść... Z pana dziś by już był »obracowcy junkier«... Co, nie powtórzymy?

Kazik przyoblekł swą twarz w wyraz najserdeczniejszej kordyalności i najśłodszy głosem, na jaki się mógł zdobyć, odpowiedział:

— Z tobą kapitanie, napiłbym się i dziegciu, a cóż dopiero takiej doskonałej nalewki... No, daj nam Boże!

Nalał więc kapitan drugi raz i stuknął się z Kondraszkiem aż szkło zadzwoniło.

Nalewka nań widocznie działała bardzo dobrze, bo wnet zapomniał o urazie do mnie i rozmawiał z nami obydwoma bardzo po przyjacielsku.

— Bardzo już kiepsko człowiekowi — mówił poważnie — jak niema do kogo wypić kieliszka wódki... Dobry człowiek lgnie do człowieka, a tylko niegodziwy ucieka od ludzi... Tylko moja sałdacka, burłacka dola taka, że muszę tu siedzieć całe lato z temi babami i na kawałek chleba pracować... Mam tam sto kilkadziesiąt rubli rocznie »pensionu«, ale z tego człowiek nie żyje... ot zebrałem sobie, zasłużyłem przez długie lata

kilkaset rubli, to i obracam nimi. Od kompaniona Rogaczewa, co był majorem w naszym pułku, ale choć sztabsoficier, ale dusza nie człowiek, nająłem sobie tu dwadzieścia falcz pobereżyny, to i sadzę tytoń, składam, sortuję, a jak sprzedam, to jadę sobie na kilka tygodni do miasta, do Chocimia, a czasem nawet do Kamieńca... Człowiek wtenczas spotka znajomą duszę, pohula trochę, pogra w karty i przypomni dawne czasy wojenne... i powraca tu znowu na pustynię... Baby tymczasem chałupy pilnują i psom jeść dają...

— A cóż pan w lecie robi? — zapytał Kondraszek. — Oprócz tego tytoniu nie ma pan innego zabawniejszego zajęcia? Nie poluje pan?

Zaczarowane słowo padło i Kondraszek dyplomatycznie zbliżał się do celu swych marzeń. Kapitan usłyszawszy to pytanie, skrzywił się strasznie, twarz jego przybrała wyraz tak straszego lekceważenia, że była prawie nie do poznania... Milczał chwilę, aż wreszcie zawołał syczącym od gniewu głosem:

— Ta, na co tu polować! chyba na gołębie, po skałach!

Był widocznie wzburzony bardzo, bo jakiś czas odychał pospiesznie jakby starał się więcej powietrza do płuc wprowadzić i w ten sposób uspokoić się. Myśmy obaj także milczeli, a Kondraszek miał minę zmaltretowaną, prawdopodobnie obawiał się, czy z wielkiej chytrości nie palnął jakiego głupstwa... Tymczasem kapitan zasapał się i zwracając się do Kazika zawołał:

— Jakie tu panie dla mnie polowanie? Jakie?... Co ja mam tu strzelać?... Jak ja był na Kaukazie, to bywało zbierze się nas ze sześciu samych oficerów... a bierzemy ze sobą ze trzydzieści żołnierzy, a czepi się do nas z dziesięciu panie tych Czerkiesów — takich ich mużułmańskich kniaziuków, czy rycerzy... Chłopy na schwał, a już myśliwi to zawołani. Jedziemy i nie wra-

camy nigdy bez jednego, bez dwu jeleni, bez czterech, pięciu dzikich wieprzów. A tu co? Do czego tu mam strzelać!...

— No a ptactwa niema? — szepnął nieśmiało Kazik.

— Jakie tu ptactwo? — huczał rozogniony kapitan dalej. — Tam bywało, nudzi się człowiekowi z południa. Służbę odrobił... kolegi, kompaniona na sztos nie widać... Zabiera człowiek prostą sobaczkę, ot takiego psinka podwozowego i wali w las... I co panowie myślą, że na darmo? Gdzie tam. Sobaczka podlizie pod krzak i zaczyna łąjać... Hau! hau! hau! Idźże człowiecze zaraz do niej, bo ona darmo nie hauka... Podchodzisz, a tu ci fasan z krzaku brrr!... Jak indyk ci zleci, pociągniesz za cyngiel, a on buch na ziemię, a sobaczka się cieszy i ogonkiem kręci i leci drugiego szukać... Niech tu idzie szukać... co znajdzie?... Srokę!... A jak dobrze pójdzie to i sroki nie znajdzie, bo tu pustki.

— A kuropatw niema? — pytał dalej Kazik.

— A skąd mają być — odburknął niechętnie kapitan. — Właściwie one tu powinnyby być, żyć skąd mają, i pięć lat temu, jak sprowadziłem się na tą pustynię, to jeszcze było ich mnóstwo, ale co z ludźmi poradzisz. Rogaczew jak zaczął z wyżłem i podjazdem chodzić, wybrał co do jednej — teraz zjadłby czasem, a tu ani srodu.

— A cóż tu jest właściwie? — rzucił rozpaczliwe pytanie Kazik.

Kapitan przybrał poważną minę i rzekł:

— Głodne wilki... Oblazłe lisy i... gołębie.

— No, to wilki, lisy można strzelać.

— Nie głupi ci lis lub wilk leść pod lufę... No, a na gołębie wolno po skałach polować.

Tu Kazik z wielką nieśmiałością wystąpił z prośbą, że my mamy wielką ochotę zapolować ale strzelb nie mamy i umyślnie przyjechaliśmy prosić kapitana o pożyczanie nam broni...

Kapitan skręcił się na razie, lecz jakoś widocznie dobry to był u niego dzień, bo uśmiechnął się przyjacielsko i rzekł:

— Chociaż to przysłowie uczy, że »zony, strzelby i brzytwy nie pożyczaj nikomu«, ale że to dla takich przyjemnych sąsiadów i paniczów, to już wam dwie strzelby pożyczę... Ale pod warunkiem...

Zaczęliśmy pytać o warunki.

— Powiem poprostu — odpowiedział kapitan — człowiek żyje jak pies, jak sobaka na łańcuchu, tygodniami drugiego człowieka nie zobaczy... A lubi zagrać w karty, oh! lubi... Otóż, jeżeli panowie zrobią ze mną partyjkę preferansa to dam strzelby... Ja gram tanio, po niczemu, po groszu punkt, marna *deniaszka*, pół kopiejki.

Nie wypadało odmawiać. Zasiadliśmy do owego preferansa, którego nie umiałem grać, ale wstydziłem się do tego przyznać... Zjawiło się i białe mołdawskie wino słodkawe i aromatyczne, które rozlewała złoto-włosa Charitona, po dokumentnem skonstatowaniu, że ryby we więcierzach już nie było, i że je pewno musiał wyciągnąć w nocy Petro Kupiec, sławny złodziej na ryby i drób.

Jak ta gra szła, o tem dobrego pojęcia nie nabrałem nigdy, tem bardziej nie miałem wówczas, oszołomiony mocnem winem i ognistemi spojrzeniami ślicznej Charitony... Zastanawiałem się wówczas nad jedną tylko rzeczą, a mianowicie nad tem, że Kondraszek, o którego słabości do płci niewieściej tak dobrze wiedziałem, i którego Charitona tak zrazu zachwycała, był pochłonięty grą do tego stopnia, że nawet okiem nie rzucił na to cudne zjawisko — był cały grą zajęty i wszystkie władze umysłowe wyteżył w tym kierunku.

Pula ta trwała ze trzy godziny, pociłem się przy niej okropnie i pamiętam, że kilka gier znacznych przegrałem, Kondraszek zaś wygrywał bez ustanku i sam

coś zapisywał i mazał i z kapitanem się sprzeczał. Co do mnie, nie miałem najmniejszego pojęcia co znaczyły te liczby, trójkąty, plusy, minusy i te wszystkie kabalistyczne znaki, które zapisywali kredą na zielonem suknie moi obaj towarzysze i mnie takie same kazali kreślić. Co prawda, nigdy nie miałem najmniejszego pojęcia do gry w karty, w pierwszej młodości dałem się wskutek fałszywej ambicyi zaciągnąć do gry, ale amatorstwa do niej nie nabrałem, zawsze i wszędzie przegrywając; wreszcie zajęcie to nudziło mnie zawsze okropnie. Owa pula z Kondraszkiem i kapitanem zmęczyła mnie była więcej, niż każda inna.

Kapitan milczał i grał z takim zajęciem, jakby tu o losy świata chodziło. Kondraszek choć żartował trochę, ale nie był w swym zwykłym humorze i widocznie także natężał umysł znacznie, żeby dobrze grać pokierować, ja klapałem kartami jak mi się wydało lepiej i myślałem, że to ostatecznie nie robi żadnej różnicy, bo jeżeli się gra po groszu punkt, to dużo przegrać nie można. Zresztą miałem w pugilaresie tych dziesięć rubli, które dostałem za sprzedanego wieprzka karmionego na moją korzyść, więc miałem nadzieję, że więcej przegrać nie mogę.

Wreszcie pula się skończyła. Wstaliśmy.

— Niech pan sprawdzi, ile pan przegrał — zwrócił się do mnie kapitan.

— Proszę zliczyć, ja sam nie potrafię — odpowiedziałem obojętnie i wspaniałym gestem sięgnąłem do portmonetki po swe kapitały. Sądziłem, że są one tak potężne, iż mogą przetrwać nie wiem jak hazardowną grę. Kapitan liczył, i liczył, i liczył; przypatrywałem się tym cyfrom i zaczęło mi się robić jakoś niewyraźnie; zsumowywał on setki, dziesiątki, a suma rosła bezustannie... Wreszcie kapitan podniósł głowę i patrząc mi drwiąco w oczy, rzekł:

— Sześć tysięcy czterysta punktów!... Oh! Takiej grubej przegranej dawno już nie widziałem, szczęście dla pana, że graliśmy po groszu, żebyśmy tak grali po dziesięć kopiejek, jak się gra w Chocimiu w klubie, to byś pan był beknął na sześćset czterdzieści rubli, a teraz tylko trzydzieści dwa ruble musi pan zapłacić. Zrobiło mi się naraz zimno i gorąco... Drżącą ręką wyciągnąłem owe nieszczęsne dziesięć rubli i podałem je kapitanowi szepcząc:

— Proszę dziesięć rubli... Resztę jutro odeszlę.

— Przepraszam — odparł porywco kapitan, który jeszcze raz zliczał w tej chwili swe zapiski — mnie się należy tylko ośm rubli dwadzieścia sześć kopiejek — resztę winien pan swemu koledze.

Odetchnąłem, z dobrą miną schowałem do kieszeni resztę, którą mi wydał kapitan z mego czerwonego banknotu i w zupełnie dobrym humorze zasiadłem do pieczonych kurcząt i gorącej herbaty, znowu przez czarownołą Horpynę podawanych.

Słońce poczęło się chylić do zachodu więc zacząłem nalegać na Kazika, żeby pić pospiesznie tę herbatę i za dnia przeprowić się przez Dniestr... Humor też jakoś znikł w towarzystwie i kapitan choć niby zapraszał na drugą pułę, ale jakoś miękko, i czuliśmy, że radby się już nas pozbyć... Dla mnie był bardzo uprzejmy i nadskakujący, a dla Kondraszka ochłódł nagle i był z nim na ceremonialnej stopie.

Po herbacie wybrał nam dwie strzelby, co prawda nie najlepsze ale zawsze możliwe. Jedna była dubeltówka do kapsli, wyrób krajowej fabryki, co można było poznać po napisie świecącym pysznie na szynie pomiędzy lufami »Tuła«. — Druga była pojedynka, wspaniała broń czerkieska z długą lufą pewno na półtora metra i ślicznie inkrustowanem łożem. Strzelba ta widocznie zdobyta gdzieś na kaukaskim dżigicie nosiła ślady prze-

rabiania, zapewne kapitan kazał odrzucić dawny kurek prawdopodobnie do krzemienia sporządzony, a chociaż nowy, zastosowany do kapsli, był jedyną przeróbką, szpeciła ona bardzo tę cudowną broń.

Kazikowi aż oczy się roziskrzyły, gdy zobaczył tę prześliczną gwintówkę.

— Gdzieś ją kapitanie zdobył?... Pewno ją nosił jakiś sławny dżigit.

— Bóg ją tam wie, kto ją przedtem tam nosił, i kto z niej strzelał... Ja wiem, zem ją kupił od uradnika tureckich kozaków, Sobierajewa. Zdarł szelma ze mnie za tę gwintówkę czerkieską kulbakę i dziesięć karbowanych w srebrze... Poganin, na bumażkę nawet patrzeć się nie chciał.

Chociaż w innym dniu Kazik godzinami by gadał, o dżigitach i Szamilu, wówczas jednak przerwał rozmowę i obiecawszy, że strzelby za tydzień odwieziemy i przyjedziemy znowu na preferansa, co prędzej zabierał się do naszej łodzi.

Ilko spał w nadbrzeżnej łozinie i zrobił ogromne oczy, kiedy nas zobaczył, uzbrojonych w połyskujące, nowiusieńkie na oko strzelby, do takiej broni on nie przywykł... w jego wyobraźni strzelba myśliwska powinna być zardzewiała, powiązana sznurkami, o nadszczerbionem, popękanem łożu...

Kapitan odprowadził nas aż do brzegu i serdecznie zapraszał, żebyśmy do niego częściej przyjeżdżali.

Obiecaliśmy solennie i Ilko odbił łódź od brzegu. Kazik nie chciał tym razem sam wiosłować, usiadł na przyłęczu naprzeciw mnie, widocznie chciał mi coś powiedzieć...

Mrok już padał zupełny, Ilko pędził łódź ze zdwojoną szybkością. Na pagórku, nad brzegiem widać było słuszną postać kapitana jak machał białą czapką i wołał co mu głosu stało:

— Do widzenia! A w niedzielę, w południe, proszę na pulkę.

— Haka ci dam pieczonego na rewanż — mruknął sam do siebie Kazik — a to kanalia morska.

— Cóż on ci winien? — spytałem zdziwiony tym wybuchem.

Na to Kazik podniósł się na nogi, rozkrzyżował ręce jak do błogosławieństwa i w najwyższym stopniu komicznym głosem zawołał.

— O ty rozmarzona niewinności, o ty nowonarodzone dziecko, kwiatku niezapominajki, to ty ośle nie wiesz, żeby nie ja, to on ciebie byłby ograł, przy pomocy tej czarownicy Charitony, na jakie kilkaset rubli... I ty byłbyś mu oddał... Oh, bo ja znam twoje szlacheckie fantazyze... Byłbyś poleciał do Narcyza Pomiana i bylibyście gdzieś u żyda pumpnęli, aby napchać kapitańską kabzę... Ale niema głupich, Kondraszek także nie darmo grał w preferansa. Zębami chciał kapitanisko gryźć, ale nie ugryzł. Nic z tego, grałem jak drapieżny żyd i jakoś obronną ręką wyszliśmy z tego.

— Winien ci jestem dwadzieścia kilka rubli — odpowiedziałem smutnym głosem, zastanawiając się, skąd wydobędę te pieniądze.

Kazik zerwał się znowu ze swej ławeczki i porywczym głosem zawołał:

— Nie bądźże idyotą!

Wnet jednak znowu usiadł, bo łódka przybiła do brzegu raptownie i tak się wstrząsnęła, że niepodobna było na niej ustać na nogach.

Ilko zaraz wskoczył w wodę i zapomocą sznurów starał się dociągnąć łódź do suchego miejsca, to mu się nie udawało zrazu, wskutek tego Kondraszek rozgniewał się do reszty i zaczął nam wszystkim wymyślać od idyotów i niedołęgów, i nagle jednym susem tak wyskoczył z łodzi, że znalazł się odrazu na suchym brzegu.

Później chwycił z rąk Ilka sznur, i w kilka chwil mnie z łodzią dociągnął do siebie. To nadzwyczajne bohaterstwo wprowadziło go w doskonały humor. Swoim zwyczajem schwycił mnie za szyję i całując mówił:

— Wiesz, że nie spodziewałem się, żeś ty takie kolosalne, niebotyczne, piramidalne oślisko... Toś ty koniu Chrystusowy myślał, że ja zabiorę ci pieniądze tak jak ten kapitanisko, który musi być szuler z powołania i zajmuje się zapewne specjalnie ogrywaniem takich panieńskich natur, jaką ty, z przeproszeniem, jesteś?... Ależ bo ty jesteś rura! Ty nie masz najmniejszego pojęcia o grze, a siadasz.

— Przecież się nic tak straszego nie stało — przerwałem mu, trochę rozdrażnionym głosem, nie rad, że mi tak dokuczają moją nieudolnością w preferansowym kunszcie.

— Powiadasz, że się nic nie stało! — wybuchnął Kazik. — Pewno, że ci głowy nikt nie uciał, ale kilkadziesiąt rubli przegrałeś tam, gdzie się ma przegrać dwa lub trzy. Gadasz, że ci się nic nie stało... Dobrze ci mówić, jak ja grałem od początku do końca na to żeby ciebie ratować i ten muzułmanin to zobaczył... Ho, ho! Gdyby on był znalazł drugiego takiego jak on, to byliby cię wyczesali... Rachuj tylko, że wyszedłeś na wszystkie mizerki, choć wszystkie były łapane, ale mnie się łapać takiego tumana, jak ty, nie chciało... Pamiętaj, żebyś mi do kart nigdy nie siadał. Nie masz do tego zdolności.

Ale już mnie nudzić zaczęła ta reprimenda, więc zwróciłem naszą rozmowę na temat kobiet widzianych u kapitana.

— Śliczne one obydwie, ale takie same cyganki jak ich pan... Po oczach jednej i drugiej poznaję, że za rubla dałaby się szelma powiesić... To już taki gatunek... Wszystkie dojarki i ogrodowe dziewczki u was to inny gatunek, mają charakter i serce, a te to takie

same, jak miejskie małpiony... No, chodź do domu, bo ciemno i późno.

Poszliśmy inną, dalszą drogą, którą zwożono drzewo materyałowe do spławu na Dniestr... Droga była szeroka i bezpieczną baryerą odgradzona od przepaści, na dnie której szumiał wartki strumień i w kilku miejscach tworzył wodospady, wydające wśród nocy, dziwnie smutne, jednostajne i monotonne odgłosy. Gwiazdy jaskrawo świeciły na ciemnym, szafirowym, letniem niebie i mrugały do nas zalotnie. — Szliśmy obok siebie w milczeniu, zamyśleni. Pamiętam, że wieczoru tego snułem marzenia o mej przyszłości. Były one zupełnie inne, niż późniejsza rzeczywistość. O czym wówczas myślał Kondratowicz tego mi nigdy nie powiedział.

Powrót nasz do domu był też tryumfem nie lada. Wprawdzie umówiliśmy się z Kazikiem, że o smutnie zakończonej grze w preferansa nic nie będziemy wspominać, lecz zato pyszniliśmy się przed pannami zdobytemi strzelbami i zapowiadaliśmy olbrzymie tryumfy myśliwskie.

Zaraz po wieczerzy poszliśmy do oficyny zorganizować jutrzejsze polowanie. Ilko najadłszy się do woli w piekarni, czekał naszego przybycia i był głównym członkiem narady.

Po różnych egzotycznych projektach podawanych przez nas obydwu, a oblewanych zimną wodą racjonalnej krytyki przez skeptycznego gajowego, stanęło na tem, że wybierzemy się jutro przed świtem łódką pod skały babczyńskie w celu strzelania skalnych gołębi.

Projekt ten Ilko popierał w ten sposób:

— Kuropatwy na Murdzewie albo są, albo ich niema, a choć i są, to bez psa nic panicze nie zrobią, można chodzić i cały dzień, a nic nie spotkać... Taki sam interes i z przepiórkami... A gołębie są, bo ich co dnia widać stadami.

Stanęło więc na gołębiach.

Poszliśmy spać marząc o celnych strzałach. Ilko miał nas zbudzić rano o trzeciej godzinie, pospiech ten w wyruszeniu na wyprawę zdawał się nam być częścią integralną poważnego polowania.

* * *

Pamiętam, że mi się wściekle nie chciało owego poranka wstawać.

Po wczorajszej pieszej podróży i emocjach preferansowych zasnąłem snem kamiennym. W marzeniach sennych widziałem pannę Jadwigę na krużganku jakiegoś fantastycznego, średniowiecznego kastelu, siedziała w cudnej szacie z purpury i złotogłowiu, niby królowna zaczarowana; w rękę trzymała wieniec z dębowych liści... W koło niej tłum pięknych dam i walecznych rycerzy... Patrząc w nią jak w tęczę, podjeżdżałem do stóp krużganka na wspinającym się »Staszku«, a na środku zamkowego podwórca leżał zemdłały Poraj-Rosen, którego pokonałem w zawziętym turnieju.

Już miałem wziąć *dank* z rąk pięknej królownej, gdy nagle obudził mnie ze snu głos Kazika:

— No wstawaj u licha... Targam cię od pięciu minut i rozbudzić nie mogę... Ano! *auf!*

Marzenia przysły jak bańka mydlana. Bańką też mydlaną były. Przetarłem oczy, ziewnąłem ze dwa razy rozpaczliwie i spojrzałem błagalnym wzrokiem na Kondraszka. Wzrok ten mówił, »daj mi się przespać choć kwadransik« — słowami jednak tego nie powiedziałem, bom się bardzo wstydził zdradzić przed Kondraszkiem jakąkolwiek miękkością.

Na nic moje błagania, mój z granitu kuty towarzysz odpowiedział stanowczo:

— Wstawaj! Ani chwili nie mamy do stracenia.

Westchnąłem ciężko i jednym susem wyskoczyłem z łóżka na podłogę.

Przygotowania do wymarszu trwały zaledwie pięć minut. Nawiasem mówiąc obydwaj staraliśmy się pozować na traperów amerykańskich, na łowców nieustraszonych, o których mieliśmy utrwalone pojęcia z lektury amerykańskich powieści Coopera. Do starej borsuczej torby wypożyczonej od Ilka włożyłem kawałek suchej kiełbasy i dwa zaschnięte półgąski z dwoma kawałkami chleba razowego... Co prawda, że panna Anna proponowała mi świeżą szynkę i doskonałe butersznity, ale odrzuciłem tę propozycję, uważając ją za niegodną »starych zabijaczy niedźwiedzi«.

Głód nasz miały zaspokoić zapasy, które niosłem w torbie borsuczej.

Na zaspokojenie zaś pragnienia wziął Kondraszek z karczmy od Moszka flaszkę wódki, którą zlał w jakąś odwieczną manierkę znalezionej na strychu... Specyał ten skonsumował później Ilko, bo tak czuć go było niedogonem, że żaden z nas pomimo silenia się na brawurę, jednego haustu tej wódki nie mógł przełknąć...

Tak uprowidowani ruszyliśmy jeszcze przed wschodem słońca w pochód.

Świat był owego poranku cudowny. Szary świt budzącego się dnia otulał wszystkie widziane przedmioty fantastycznym jakimś mrokiem, mgłą czarodziejską, i sprawiał, że wszystko wydawało się daleko piękniejsze, doskonalsze, wspanialsze... Drzewa były także większe i zieleńsze, budynki wyższe i bielsze; nawet chwasty i bodyaki przydrożne robiły wrażenie jakichś krzewów cieplarnianych.

Cisza panowała głucha, tylko świerszcze polne z bohaterskiem zacięciem odgrywały swój zwykły koncert poranny.

Szliśmy milcząc i podziwiając.

Zbliżaliśmy się do Dniestru tą samą drogą, którą przebywaliśmy wczoraj, a jednak jak inne wrażenie wywierał ten krajobraz dziś, otulony mgłą przedświt, jak wczoraj oświetlony jarzącymi promieniami południowego słońca.

Stanęliśmy nad skrajem stromej skały, iść musieliśmy dziś o wiele uważniej, bo obfita rosa sprawiała niemiłą ślizgotę, i schodząc w dół trzeba było uważać pilnie, żeby noga nie usunęła się ze ścieżki. Spojrzałem w dół, pod nogi. Dolina Dniestru wydała mi się wówczas jakąś bezdenną otchłanią, wypełnioną dziwacznymi kłębami mgły, splatanymi w oryginalne kontury i pasma, które tam w głębi przewracały się, mieszały między sobą, rwały, szarpały i niby walki jakieś okrutne staczały. A działo się to tak cicho, że nawet szmer najlżejszy tych walk nie zdradzał. Nagle z tej ciasnej otchłani, huknął głos jeden potężny i odbił się echem stokrotnem po szarych sylurskich załomach, po lasach i debrach nadbrzeżnych.

— Hej! Hej! Ruszaj!

Wołał widocznie starszy flisak na swych podkomendnych.

W ślad za tym głosem rozległ się plusk wiosel licznych i dalsze nawoływania:

— Ruszaj! Ruszaj!

— Kieruj się na prawo.

— Hej! pierwszy spław zawracaj na lewo!

— Odbijaj!

Głosy te wydobywały się z tego mglistego waru i w tem otoczeniu dziwacznem wydawały mi się wówczas jakimiś fantastycznymi, tajemniczości pełnemi nawoływaniami z poza świata rzeczywistego płynąciami.

Odgłosy te zatrzymały nas na jakiś czas nad spadzistością w milczeniu i głębokiem zadumaniu. Po grze uczuć na twarzy Ilka zrozumiałem, że i na tem dziecku

przyrody ta wspaniała chwila, pełna dziwnego niewy tłumaczonego uroku, robiła równie silne wrażenie jak i na nas. Pierwszy otrząsł się z tej zadumy Kondratowicz, machnął ręką, jakby odpędzając jakiś czar, otaczający go ze wszech stron i przygryzając usta szepnął:

— To ci widok psiakość... Niechże mi go jaki bazgracz opisze, lub odmaluje...

Wnet później zwrócił się do nas i zawołał:

— A my chodźmy, bo czas uchodzi i wkrótce później zacznie się znowu upał nie do zniesienia.

I począł zbiegać po stromej niebezpiecznej ścieżce daleko lepiej niż robił to wczoraj. Patrzący mógłby myśleć, że wyrósł tu i od dzieciństwa przyzwyczał się chodzić po tych karkołomnych urwiskach.

Nad rzeką czółno i wiosła czekały na nas. Wsiadliśmy pospiesznie i zaczęła się tu czarowna żegluga. Mało poranków miałem w życiu, którychby piękno przyrody tak jasno i wyraźnie przemawiało do mej duszy, jak ów, w którym wybraliśmy się na te nieszczęśliwe gołębie. Wszyscy trzej chłoniliśmy poprostu w duszę owe cudowne wrażenia wszystkimi porami, a każdy w swój własny sposób, wskutek tego nie mówiliśmy prawie nic z sobą, tylkośmy patrzyli w około i nad słuchiwali tajemniczych oddechów potężnej rzeki.

Dniestr zdawał się budzić ze snu głębokiego... Odychał powoli, bujnie. Zwolna wyswobadzał się z mgieł białych, które jak powijaki, jak puchowe okrycia, do snu go miękkiego upowiły. Mgła ta unosiła się już miejscami w górę, miejscami znowu muskała jeszcze powierzchni wód, jakby z żalem rozstając się z Dniestrem, niepewna swych dalszych losów w powietrznych przestworach.

Nagle od »tureckiego brzegu« jaskrawy promień słońca przedarł skłębione tumany mgły i pierwszy odblask czerwonego, jaskrawego światła drasnął uśpione,

ciche głębiny. Dniestr się nagle zbudził... Resztki mgły uniosły się w powietrze, prąd wody raźniej ruszył i zaczął wydawać ów szmer tajemniczy, który rybacy i fliścy nazywają »oddechem rzeki«. Dniestr zrazu odechnął smutno i tęskno; wnet jednak poweselał i z zaspianego starca stał się ochoczym młodzieńcem.

I nas nagle opuściła zaduma, zapanowało wesołe usposobienie, a Kondraszek z przesadnym sentymentalizmem począł śpiewać:

Na kamieniu stoi kamień,
Podolanka siedzi na nim.
Przyszedł do niej Podoleniec,
Mościa panno, daj mi wieniec.

— Hu! ha! Daj mi wieniec! — zawołał wesoło, aż echo się zaśmiało i rozradowało od tej wesołości... Potem zwrócił się do mnie i zapytał: — Więc co będzie? Jak nastrzelamy tych gołębi, to pojedziemy z nimi jak żydówki z synogarlicami do świątyni... do panny Jadwigi, a ona rozczuli się tem pieczysem i po obiedzie padnie ci w ramiona i szepnie czule: »Kocham cię pogromco dzikich gołębi«.

Tak mi było jakoś swobodnie i wesoło w owej chwili, że nie rozgniewały mnie nawet drwiny Kondraszka. Patrzyłem szczęśliwy w koło i świat się cały do mnie uśmiechał. Śmiało się słońce jasne i brzegi okoliczne... Śmiały się fale przeźrocze... Śmiał się cały, stary, kochany Dniestr.

Zdawało mi się, że uśmiechał się on pocziwie, dobrodusznie i szeptał z cicha: — »Kochaj mnie chłopcze, a i ja ciebie wiernie miłować będę zawsze, do śmierci«. I przyjaźń ta nasza nie ochłodziła przez lata ani trochę, i dziś jeszcze raduje się moja dusza, gdy znajdę się czasem nad brzegiem ukochanej rzeki, z rozkoszą wciągając w znużone piersi rozkoszny oddech tych wód wspania-

łych i marzeniem mem jest usłać sobie gniazdo trwałe na jego skalistych brzegach i w niem doczekać się spokojnej starości.

Czołno płynęło szybko; poszarpane urwiska i skaliste nadbrzeżne szczyty znikały jedno po drugim. Po godzinie pospiesznej żeglugi, minęliśmy ostry zakręt dniestrowy i ujrzelśmy nagle olbrzymie, nagie, babczyńskie skały, które miały być ową błogosławioną ojczyzną milionów skalnych gołębi. Wskazówki kapitana były prawdziwe... Już zdała dostrzegliśmy całe stada tych lotnych ptaków, krążących w około skalnych rozpadlin... Serce mi bić zaczęło, myśliwy obudził się we mnie; patrzyłem na te ptaki szybujące pod niebem, nie już jak na sposób zdobycia wzajemności panny Jadwigi, tylko jak na zdobycz myśliwską, którą wkrótce będę mógł się poszczycić.

Łódka pod gorączkowemi uderzeniami wiosła Kazyka i Ilka coraz bliżej podpływała ku onym upragnionym miejscom.

Wkrótce znaleźliśmy się tuż pod skałami, obok których gołębie krążyły. Cóż, kiedy radość nasza była przedwczesna. Pierwszy Ilko skonstatował fakt, że gołębie krążą tak straszliwie wysoko, że żadna strzelba do nich nie dosięgnie. Ja zrazu oponowałem, ale Kondraszek z niechęcią przyznawał słusność twierdzeniu Ilka... Nie chciałem za nic zgodzić się na to; schwyciłem długą gwintówkę kapitańską, nabitą dość grubym śrutem, i zmierzwszy się w górę strzeliłem. Huk się rozległ okrutny, echo stokrotne rozniosło go na milę w około, ale żaden gołąb nie zachwiał się nawet. Ten był tylko skutek, że zamiast kilkunastu srebrno-szarych ptaków, krążących przed chwilą nad naszymi głowami, zjawiło się ich nagle kilkaset, była ich tak gęsta kupa, że aż cień padł na rzekę, poprostu niby chmura jaka przesłoniły słońce. Wzburzenie to jednak nie trwało

długo, polatały kilka minut i znowu zapadły w swe skalne gniazda, tylko kilkanaście znowu zostało i od-
dawały się dalej bez przeszkody ćwiczeniom w lataniu...

Kondraszek przygryzł usta i zawołał z gniewem:

— Nic z tego nie będzie! kpią sobie z nas.

Nie odpowiedzieliśmy nawet na ten rozpaczliwy okrzyk, nie mogliśmy znaleźć sposobu zbliżenia się do upragnionej zwierzyny. Milczenie trwało kilka chwil, aż wreszcie znowu Kondraszek go przerwał, mówiąc:

— Niema innego sposobu, musimy drapać się po tej skale, ażeby zbliżyć się na strzał. Inaczej daremny zachód.

Popatrzyłem na te skały, dla oka wydawały się zupełnie pionowe i przeraźliwie gładkie, prawie ślizgie. Zaprotestowałem więc stanowczo i pod żadnym warunkiem nie pozwoliłem Kondraszkowi, który nie był zupełnie oswojony z drapaniem się po skałach, puszczać się na to karkołomne przedsięwzięcie. Tłumaczyłem mu, że jest moim gościem, że ja odpowiadam za jego zdrowie i całość jego członków i błagałem na wszystko, żeby się nie narażał.

— Ja co innego — kończyłem z brawurą — ja od dziecka po tych skałach łązę, polezę i dziś i zobaczysz, że nie nadarmo.

Sprzeczailiśmy się o to jeszcze kilka minut, żaden z nas nie chciał ustąpić, ale ostatecznie dzięki rozsądnej interwencji Ilka, który stanowczo zadecydował, że Kazik niema odpowiednich kwalifikacji do wspinania się po tak stromych skałach, stanęło na tem, że ja jeden spróbuję szczęścia.

Nabiłem kapitański garłacz silną porcją prochu, »żeby daleko niósł«, wpakowałem podwójny może nabój śrutu i puściłem się z dobrą fantazyą na niebezpieczną wyprawę... Szło mi to wcale nieźle, po szarych, chropowatych łupkach sylurskich wdrapywałem się wy-

żej i wyżej, miałem ten instykt że nie spozierał po za siebie w dół, tylko wzrok miałem utkwiony w krążące u szczytu góry gołębie, które nawet nie przypuszczając ze strony ludzkiej takiej zuchwałości, krążyły swobodnie dalej, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi. Dość ciężką strzelbę, co prawda, miałem zawieszoną na szyi i piersiach tak jakoś wygodnie, że mi zupełnie nie zawadzała... Jak długo się wdrapywałem, tego nie wiem dokładnie, nie byłem w stanie zdawać sobie dokładnie sprawy z upływu czasu. Wdrapywanie nie szło mi nawet zbyt trudno; skała na pozór tylko była tak równa i gładka, w rzeczywistości jednak miała bardzo wiele załomów i nierówności, po których jak po szczeblach drabiny można się było wspinać wyżej i wyżej. Dokuczały mi tylko strasznie takie załomy, które pod działaniem powietrza zwietrzały zupełnie, choć na pozór zdawały się być twardą skałą, jednak pod ciężarem mego ciała rozsypywały się w proch prawie i zsuwały się na dół, pociągając za sobą inne kamienie tak, że powstawały z tego powodu istne lawiny kamieni, które ze strasznym hukiem i łoskotem staczały się w przepaść i wpadały do Dniestru.

Wkrótce wydało mi się, że jestem już w połowie wysokości góry. Widziałem cały tłum gołębi nad swą głową, postanowiłem strzelać. Rozejrzawszy się w koło siebie, spostrzegłem o jakie kilka metrów powyżej na prawo kawałek skały wystającej jak balkon z gładkiej ściany, na którym rosły mchy, porosty i kilka chwastów liściastych. Po pewnym wysiłku udało mi się dostać do tej, jak sądziłem — bezpiecznej przystani. Usiadłem tam zupełnie wygodnie i z zimną krwią, rozważnie wycelowałem strzelbę w grupę krążących tłumnie ponad moją głową gołębi... Rozległ się huk strzału... I z największą radością ujrzałem, że aż dwa ptaki zachwiały się, opuściły skrzydła i zaczęły spadać na dół. Zrazu spadały

wolno, poniżej coraz szybciej. Przeleciały tuż obok mnie tak, że mi się zdawało, iż mogłem wyciągnąwszy do-
brze rękę, pochwycić je w powietrzu... W tej chwili
opuściła mnie rozwaga, radość moja była tak wielka,
żem zupełnie zapomniał o możliwości istnienia jakiego-
kolwiek niebezpieczeństwa. Byłem ogromnie ciekawy,
co się z zastrzelonemi ptakami stanie, czy spadną je-
szcze na brzeg, czy już do wody? I czy w takim razie
Kondraszek i Ilko potrafią je wyłowić z wody?

Spojrzałem po raz pierwszy w dół pod siebie i --
wszystko się skończyło... Widocznie musiałem dostać
zawrotu głowy, bo pociemniało mi całkiem w oczach
i straciłem pamięć. Ostatnim błyskiem samowiedzy była
myśl o strzelbie, pożyczonej od kapitana. Pamiętałem,
że spadając w dół, koniecznie muszę połamać strzelbę
w drobne kawałki; zdobyłem się więc na tyle jeszcze
przytomności, żem ten czerkieski zabytek bardzo ostro-
żnie złożył na przyłęczu pod samą ścianą. W tej chwili
uczulem, że cały »balkon« zaczyna się pod mym cięża-
rem usuwać. Poleciałem duszę Bogu, zamknąłem oczy
i trzymając się bezwiednie, bezmyślnie rękami i nogami
ściany, chwytając się instynktowo każdej nierówności,
począłem się wraz z mym »balkonem« osuwać pospie-
sznie w dół... Wrażenie z tej niemiłej jazdy nie pamiętam
zupełnie, bom nie miał najmniejszej samowiedzy, co się
ze mną dzieje... — Przyszedłem dopiero do przytomno-
ści pod wpływem bardzo miłego ochłodzenia... Otwo-
rzyłem oczy i spostrzegłem, żem był w wodzie. Kon-
draszek trzymał mnie na rękach i w ten sposób utrzymy-
wał na powierzchni. Szarpnąłem się i stanąłem na dnie
swemi nogami o własnych siłach. Zanurzyłem głowę
w wodę i wydobywszy się stamtąd, wróciłem zupełnie
do przytomności... Spostrzegłem wówczas, że Kondra-
szek taki zimny i rozważny, spoziera na mnie z niepo-
kojem... Spytałem go, śmiejąc się:

— Czegóż patrzysz na mnie jak wystraszona baba?

— Bodajby cię wszyscy dyabli porwali — zawołał porywczy — jakiegoś mnie strachu nabawił.. Sunałeś się stamtąd z takim impetem, żem myślał, że się rozbijesz na drobne kawałeczki.. Tymczasem, chwała Bogu, jesteś względnie cały, ale zato z twego ubrania zostały poprostu strzępki.. z rękawów nici.. a to, co osłania kolana prawie zupełnie znikło z tego świata.

Spojrzałem na moje ręce, od dłoni do łokci i wyżej nie miały zupełnie skóry, były strasznie czerwone i krew się z nich obficie sączyła. Dopiero wówczas uczułem ból dotkliwy. Z ciekawości wyszedłem z wody na płytkie miejsce, ta sama historia była i z nogami, które miały zdartą całkowicie skórę od stóp aż do kolana i były haniebnie okrwawione. Przyznam się, że mi się żal mej skóry zrobiło i miałem przez chwilę bardzo kwaśną minę. Wnet jednak zrozumiałem, że to właściwie jest prawdziwym bohaterstwem zdobyć zwierzynę dla swej bohdanki z narażeniem własnego życia. Poszukałem wzrokiem tę zdobycz, trzymał ją w ręku Ilko i śmiał się ironicznie. Gdy dostrzegł, że patrzę nań i na gołębie, przemówił niby do mnie, niby do siebie samego:

— Te dwa gołębie warte złotówkę, a surdut, spodnie i koszula panicza pewno kosztowały kilka rubli... *Ot tobi harazd!* Tęgi profit z polowania!

Nie chciałem mu tłumaczyć, że właściwy »profit« mego polowania będzie czysto duchowej, idealnej natury, a byłem pewny, że będzie on wielki, ogromny.

Ilko zrozumiał, że lekceważę jego słowa i jakby mszcząc się na mnie zapytał:

— *A kto znese rusznyciu?*

Prawda! Dopiero w tej chwili przypomnieliśmy sobie, że to mordercze narzędzie, z którego uśmierciłem te dwa nieszczęśliwe grzywacze, zostało zawieszona między niebem a ziemią, w połowie skały. Przyszło więc nam

na myśl, że strzelba ta należy do kapitana, który może kazać sobie Bóg wie ile za nią zapłacić. Spojrzałem błagalnym wzrokiem na Ilka i nieśmiało szeptałem:

Ilko, spróbuj może ją zniesiesz.

Lecz Ilko nie miał widocznie najmniejszej ochoty do wystawiania swych rękawów i... na niebezpieczeństwo zniknięcia z powierzchni ziemi. Zaczął mi coś niewyraźnie opowiadać o żonie i dzieciach, o niebezpieczeństwie i paniczowskiej lekkomyślności, a ostatecznie sens tego był taki, że zupełnie nie zamyślał drapać się na skałę po strzelbę. Rozpacz zaczęła nas ogarniać. Kondraszek wiedział, że nie potrafi nawet tam doleźć, ja z obdartemi rękoma i nogami nie miałem ochoty narażać się powtórnie na taką miłą jazdę. Zresztą czułem, że to przekracza moje siły... Odwaga mnie opuściła zupełnie. Pospuszczaliśmy głowy i zamyśliliśmy się obaj głęboko w jaki sposób wybrnąć z tego trudnego położenia. Przychodziło mi także na myśl, że jeden z nas musi tu zostać i wzrokiem pilnować strzelby, a inni muszą wrócić do wsi i znaleźć tam amatora, który za pewne wynagrodzenie podejmie się tej karkołomnej ekspedycji.

W tej chwili do mych uszu doleciał odgłos piosnki ludowej, nuconej na szczycie skały. Spojrzałem w górę, nie mogłem nic dojrzeć, skała była prostopadłą. Usiedliśmy więc na łódkę i odpłynawszy od brzegu, badaliśmy wzrokiem szczyt góry. Na wierzchołkowej pochyłości zarosłej trawą i rzadkimi krzakami dereniu i tarniny, pasło się kilkadziesiąt owiec i uwijali się pomiędzy nimi wiejscy chłopacy. Zaczęliśmy na nich wołać, aż dopiero głos Ilka zwrócił ich uwagę na nas. Upłynęło dobre pół godziny, zanim udało się Ilkowi wytłumaczyć chłopakom, o co nam chodzi i skłonić jednego z nich, żeby za cenę jednego rubla zdecydował się spuścić na dół, zabrać w pół góry strzelbę i znieść ją do nas nad rzekę.

Nie potrzebuję opisywać naszej uciechy, gdy nareszcie ta transakcja stanęła i mały pastuszek besarabski wziął się do dzieła. Nie pamiętam, żeby co w życiu tak bardzo mi zaimponowało, jak owa wyprawa kilkuletniego chłopaka. Zaczął od tego, że zrobił sobie z gałązek dereniu zupełnie prymitywny krzyżyk i wziął go w zęby. Wnet potem zaczął się spuszczać na dół. Spuszczanie to odbywało się zupełnie nie w ludzki sposób... Nie widziałem żadnego człowieka, żeby to mógł z taką zręcznością i swobodą wykonywać. Lazł jak kot, jak żbik, może jak małpka, to przełaził, to przeskakiwał z załomu na załom, z przyłęczu na przyłęcz, a robił to tak lekko, tak zgrabnie, że nawet żaden kamyk z pod nóg mu się nie usunął... Podziwiałem go i zazdrościłem mu tej niezwykłej zręczności. W przeciągu kilku minut zszedł ze szczytu do pół góry i wzięwszy strzelbę w ręce, z tą samą łatwością spuścił się do nas.

Z radości uściskałem chłopaka. Zamiast rubla dałem mu trzy i uradowanego puściliśmy w górę do owiec. Z tą samą łatwością, co spuszczał się, powracał w górę, a z wielkiej radości nucił sobie przez całą drogę jakąś piosenkę, o dziwnie tęsknej, żalostnej nucie.

Załatwiwszy w tak szczęśliwy sposób tę sprawę, postanowiliśmy nie próbować dalej myśliwskiego szczęścia, ale wracać do domu. Zadanie to również nie było łatwym. Zrozumiałem po przedstawieniach Kazika, że jeżeli zjawię się w domu w takim stanie: okrwawiony, pokaleczony, na wpół nagi, to mimo największej wyrozumiałości i pobłażliwości mej kochanej matki, koniecznie wywołam zakaz dalszych myśliwskich wycieczek.

Wyglądasz jak potępieniec, wypuszczony z piekielnego przedsionku — mówił, żartując wesoło — i jeżeli liby cię w tym stanie zobaczyła panna Zofia, to już jej rzecz, żeby wymódl na twej matce oddanie cię pod jej własną kuratelę.

Możliwość dostania się pod kuratelę panny Zofii sprawiła, że poddałem się całkowicie woli mego przyjaciela i robiłem bez wahania to, co on kazał.

Usiadłem więc do łodzi w stroju adamowym i ze skóry odarte członki wystawiłem na promienie słońca, pilnując tylko uważnie, żeby na nie muchy nie siadały. Zdrowe ciało wnet zaczęło się zastrupiać. Krew przestała się sączyć, rany w przeciągu pół godziny przyschły. Tylko zastrupione miejsca przy najdrobniejszym ruchu bolały mnie dotkliwie, tak, że się z trudnością ruszać mogłem.

Żegluga z powrotem, przeciw biegowi rzeki, szła wolno, tak, że upłynęły dobre trzy godziny, zanim wyładowaliśmy na własnym brzegu.

Tu dopiero położenie stało się zupełnie dramatycznym, prawie tragicznym. W jaki to sposób w tak pierwotnym stroju wyleźć na brzeg? Stało więc na tem, że ja i Kazik ukryliśmy się w kukurudzy leśnego Kilańskiego, rosnącej nad samym Dniestrem, a Ilka wyprawiliśmy z kartką do panny Anny, żeby mi przysłała jakie ubranie, w którym mógłbym się dostać do domu... Musiałem przedstawiać szalenie komiczny widok, zupełnie nagi, okrwawiony, z pozasychanami, czarnymi plamami krwi, i z dwoma dzikimi gołębiami, które miałem zawieszzone na szyi... Ze zdobyczą mą nie chciałem się w żaden sposób rozłączyć, obawiałem się, żeby mi jej kto nie skradł. Troskliwość ta owym gołębiom nie wyszła na dobre i pociągnęła za sobą fatalną dekonfiturę, która zostawiła w mej pamięci najsmutniejsze wspomnienie i finał mych awantur myśliwskich, doświadczonych w towarzystwie Kazia Kondratowicza.

Pamiętam, że czas oczekiwania na Ilka wydał mi się okropnie długim. Zjedliśmy tymczasem zaschniętą kiełbasę i półgaski do ostatniego płatka, spróbowałem napić się wódki z manierki, ale ta wywołała we mnie

takie obrzydzenie, żem wypluł cały haust i czułem go jeszcze pewnie ze trzy doby. Ostatecznie na godzinę przed wieczorem zjawił się Ilko. Sprawił się bardzo dobrze, przyniósł wszystko, co mi było potrzebne, i równo z zachodem słońca, ze zdobyczą myśliwską i dobrą miną wróciliśmy do domu.

Siostry poprostu podziwiały nas, tylko panna Zofia dość sceptycznie zapatrywała się na naszą wyprawę i na jej rezultat.

— Takie same, albo i lepsze dwa gołębie przyniesie Franek »z pod kucharza«, za dwie minuty ze strychu — mówiła, uśmiechając się drwiąco — nie rozumiem więc celu, żeby na to cały dzień tracić i niszczyć ubranie...

Zrozumiałem niestety, że już była uwiadomiona o tajemniczej misji Ilka pobereźnika.

Przycinki panny Zofii puściłem obojętnie mimo uszu... Cała myśl moja zajęta była układaniem sposobu przesłania mej zdobyczy pannie Jadwidze. Pod pozorem więc zmęczenia pożegnaliśmy dość wcześnie panie i wynieśliśmy się do oficyny.

* * *

Po długiej naradzie z podrwiwającym z mego zapła K Kondraszkiem, stanęło na tem, że nazajutrz rano Ilko odniesie gołębie do pani Okszyńskiej i odda je wraz z listem, który ja muszę napisać i opisać w nim w jaki tragiczny sposób doszliśmy do tej zdobyczy.

Zasiadłem do pisania listu. Podarłem pewno ze dwadzieścia ćwiartek papieru, wreszcie skończyłem. Nie mogłem go dać do przeczytania Kazikowi, bo spał już od dwu godzin snem kamiennym... Żałuję bardzo, że nie pamiętam słów tego listu... Pisany był stylem górnołotnym i politycznym, a to pod wpływem czytanych wówczas powieści Czajkowskiego, »Agaj-Hana« i listów z Włoch Kremera... Samo polowanie opisane było

z łatwą do wytłumaczenia młodzieńczą przesadą, a cały musiał sprawiać arcykomiczne wrażenie... Z komizmu tego nie mogłem jednak wówczas zdać sobie sprawy, sądziłem, że list mój jest wprost arcydziełem stylu i poetycznego polotu. Była tam wpleciona i przejrzysta aluzja, z której pani Okszyńska jasno zrozumieć mogła, że narażałem moje życie wyłącznie w tym celu, aby tem przypodobać się pannie Jadwidze i niesmaczny dodatek, skierowany wprost już prawie do panny, wzywający ją, żeby zajadając te gołębie pomyślała o tym, który nie żałował trudu, żeby je zdobyć. Jednym słowem, list był głupi kolosalnie, ale ostatecznie rad byłem, że go nareszcie skończył. Wezwałem śpiącego w sieniach Ilka, wręczyłem mu te drogocenne gołębie i ów przemądry list i kazałem wybrać się przed świtem w drogę, żeby jak tylko państwo powstają, mógł zaraz wręczyć posyłkę. Poradziłem mu przytem, żeby się postarał posyłkę tę oddać pannie... Położyłem się spać rad z siebie... i spałem do siódmej snem sprawiedliwego i zmęczonego młodzieńca.

Pamiętam, iż tego dnia od rana aż do powrotu Ilka, który przyszedł aż koło czwartej godziny, miotał mną straszny niepokój. Nie mogłem się niczem zająć, nigdzie na miejscu usiedzieć... Był to mój pierwszy atak nerwowy, krew mi biła do głowy, w rękach uczuwałem chłód niemiły, byłem cały rozgorączkowany, zdawało mi się ciągle, że mnie spotka jakieś wielkie nieszczęście... Ileż to razy później w życiu doznawałem takiego niepokoju? Iluż miałem przyjaciół, którzy tej samej niemocy podlegali? Z całą słusnością powiedzieć można, że ten dziwny nerwowy stan podrażnienia jest najstraszniejszą »chorobą wieku«, jest utrapieniem najuczuliwszem, nękającym nasze społeczeństwo.

Godzinami czatowałem przed bramą na powrót Ilka, zgniewałem się po prostu, gdym go ujrzał idącego po-

woli, noga za nogą, bez najmniejszego pośpiechu, idącego tak, jakby odbywał codzienny obchód powierzzonego jego opiece kawałka lasu...

Podbiegłem do niego i porywczo, nerwowo go zapytałem:

— A co?

On popatrzył na mnie zdziwionym wzrokiem i naj-
obojętniej w świecie odpowiedział:

— Ta nic!

— Masz odpis?

— Niema żadnego.

— Komuś list oddał? — pytałem dalej.

— Samej pani.

— No gadajże — zawołałem porywczo — co mówiła?

— Ta nic nie gadała, tylko te gołębie powąchała i powiedziała, że śmierdzą... To prawda, że je już było trochę czuć, bo wczoraj i dziś na gorącu wielkiem były.

— A list czytała? — pytałem wprost z rozpaczą.

— A jakże — czytały obie z panną.

— I co?

— Ta śmiały się obydwie na całe gardło... coś tam panicz musiał śmiesznego popisać, bo bardzo się cieszyły i śmiały.

— A co z gołębiami zrobiły?

— Kazały psom wyrzucić — odpowiedział ze spokojem Turka, filozof Ilko.

Ciemno mi się w oczach zrobiło, zacząłem pojmo-
wać, żem się okrył śmiesznością w oczach mego ideału,
że stanę się pośmiewiskiem całej okolicy. W myśli osta-
tniej deski ratunku się chwytalem, spytałem Ilka, czy
ma odpis.

Odpowiedział, jak mi się zdawało, z pewnym od-
cieniem ironii w głosie:

— Ta jaki tam odpis... Prosiłem samej pani, żeby
mi odpisali, a to po tej przyczynie, żeby panicz wiedział,

zem gołębie oddał, a nie zjadł po drodze... Ta co mi powiedziała: — »Ot idź człowiecze do domu, odpisywać niema co — a paniczowi powiedz, żeś zjeść gołębi nie mógł, bo już śmierdziały, a śmierdzących gołębi nikt nie je«... Oh, to jakaś ostra pani!

Nie wdawałem się w dalszą rozmowę z Ilkiem; wiedziałem dość na to, ażeby się pogrążyć w bezgranicznym zwątpieniu. Poszedłem ze zwieszoną głową do oficyny i pozapuszczawszy stopy, siedziałem w ciemności, snując rozpaczliwe projekty. Świat cały wydawał mi się tak szalenie szkaradny i obrzydliwy, że pragnąłem go opuścić jak najprędzej. Co prawda, nawet nie przychodziła mi wtenczas myśl samobójstwa, od tej słabości współczesnych mi ludzi byłem zawsze zupełnie wolny... Roiłem tylko o jakichś niezwykłych wyprawach wojennych czy myśliwskich; pragnąłem wówczas rzucić się w wir bitew co najkrwawszych, lub przedierać się ze strzelbą w rękę i kordelasem u boku przez nieznane ludziom cywilizowanym pustynie... W tych zapasach bohaterskich chciałem zdobyć sławę ogromną, sławę światową, a później złożyć gdzieś głowę wstawioną na krwawym pobojuwisku lub spalonym piasku pustyni.

— Później dopiero zrozumie ona — myślałem z goryczą — jakie wielkie serce oddawało się jej... jaka dusza pragnęła zjednoczyć się z jej duszą.

Tymczasem Jasiak z kredensu przyszedł mnie prosić na herbatę. Odpowiedziałem, że nie pójdę, bo czuję się niezdrowym. Wydało mi się świętokradztwem, ażeby »wielkie, zbolałe serce« piło herbatę, jadło owoce, tak, jak to czynili inni, zwykli ludzie. Na szczęście nikt nie przyszedł się dowiadywać o moje zdrowie i mogłem bez przeszkody oddawać się rozpaczom aż do dziesiątej godziny.

O dziesiątej jak huragan wpadł do pokoju Kazik.

— Co ty waryacie wyrabiasz! — zawołał zaraz z progu. — Czyś się grzybów trujących objadł, czyś stracił rozsądek do reszty? Mów! co ci jest, z jakiego powodu te awantury wyrabiasz?

Obróciłem się na drugą stronę i milczałem jak zakłęty.

On przyszedł po ciemku aż do sofy, na której leżałem i trącając mnie w ramię zaczął mówić powoli i bardzo serdecznym tonem:

— Nie masz się czego kryć przedemną... Wiem już wszystko. Ilko opowiedział mi całą historię... Niech ich tam gęś kopnie, co ci może na tem zależeć. I ta twoja promienista Jadwiga głupia i ta jej matka głupia i oni wszyscy, co do nogi są głupi. A ty naucz się rozumu i pluń na to wszystko... Rozumiesz!

Choć gniewało mnie to bezceremonialne wmięszanie się Kondraszka w me najtajniejsze sercowe sprawy, jednak w miarę słów jego lżej mi się zrobiło na sercu i na duszy; położenie moje zaczęło mi się wydawać mniej rozpaczliwem... Podniosłem z wolna głowę, później usiadłem na sofie. On tymczasem zapalił lampę i chodził dużymi, miarowymi krokami po ogromnej izbie, która była naszą wakacyjną kwaterą.

Sprawa moja widocznie leżała mu bardzo na sercu, bo ciągle o niej myślał i mówił, ale mówił tak, że nie mogłem wiedzieć, czy słowa te odnoszą się do mnie, czy są pro prostu głośnemi myślami mego przyjaciela.

— Niechże djabli porwą te wszystkie romanse — mówił wymachując rękoma. — Czart by mi kazał włożyć w takie głupie amory... Ładny interes, niema co mówić! Szarawary podarł na strzępki, skórę obdarł tak dokładnie, żeby mu tego lepiej nie zrobił żaden oprawca... Posłał kozie dwa gołębie, a ona nimi psy karmi... Oto masz romans! Masz miłość idealną! Masz wzniosłe uczucie!

Nagle stanął przedemną i wprost już do mnie zaczął mówić podniesionym, zirytowanym głosem:

— Słuchaj! Niech ci to będzie nauką na później. Niech ci to będzie nauką, bo jej potrzebujesz, bo masz babskie, mazgajowate serce. — Nigdy już się nie zakochaj w żadnej pannie, bo każda cię na durnia wykiekuje... Wolisz kochać psa, bo on choć się wdzięcznie na ciebie za to popatrzy, a taka gęś parafialna fochy ci stroić będzie... Pluń, pluń na to! To jest ostatnie głupstwo. Ja jutro zastrzelę cztery sroki i poszlę tej gęsi w prezencie... Niech się naje sroczego mięsa, lepszego nie warta.

Mówił tak bez końca, a tak był zabawny w swem uniesieniu, że wkońcu zacząłem się śmiać. I w śmiechu rozszedł się ból mój sercowy. Kondraszek perorował tak długo, aż skłonił mnie do porządnego rozebrania się, położył do łóżka i gadał jeszcze, aż ogłuszony jego słowami zasnąłem snem sprawiedliwych.

* * *

Niefortunna awantura z posyłką wonnych gołębi stała się w piątek, a w niedzielę cały nasz dom wybierał się na sumę do parafii. Miałem jakieś złe przeczucie co do tej wycieczki, ale rozważywszy głęboko i naradziwszy się z Kondraszkim, przyszedłem do przekonania, że zawsze bezpieczniej, żeby się pani Okszyńska spotkała z mamą i babunią w mej obecności, niżby to miało się stać bezemnie.

— Może ta utrapiona baba — tłómaczył swoim sposobem Kazik — będzie miała większy mores, jak zobaczy ciebie i mnie i nie puści języka na pytel.

Zdecydowałem się więc jechać i stawić czoło niebezpieczeństwu.

Dziwna jest jednak natura ludzka, nie miałem najmniejszej obawy przed wdzieraniem się na prostopadłą

skąłę, choć wdzieranie to było połączone wprost z niebezpieczeństwem życia, a poprostu trząsałem się cały ze strachu na myśl spotkania się z panią Okszyńską i rozmowy, która była prawie nieuniknioną. Najbardziej to mnie niepokoiło, że panna Zofia będzie tę rozmowę słyszeć i później będzie długo, długo drwiła z mych przesadnych afektów... Czas jednak nie stanął, wskazówki na zegarach posuwały się ze zwyczajną szybkością, minęła sobota, zabłysnął wreszcie niedzielny poranek... Miałem co prawda, słabą nadzieję, że będzie deszcz i przeszkodzi pojechaniu na mszę świętą, niestety od wczesnego ranka słońce jasno świeciło i nie było najmniejszej obawy deszczu nawet chwilowego. Zaraz przy śniadaniu została postanowiona jazda i babunia zadysponowała w jaki sposób mamy jechać, kto ma należeć i jakimi ekwipażami ma się to odbyć. Była to decyzja, od której nie było możliwej apelacji... Mama, babunia i dwie młodsze siostry miały jechać karetką czterema końmi. Panna Zofia z Marynią dorożką parą końmi, a ja z Kondraszkiem wózkiem, wroniakami.

Przyznaję się, że w ostatniej chwili odwaga opuściła mnie zupełnie, i gdyby nie to, że wstydzilem się zdradzić przed Kondraszkiem z mem tchórzostwem, byłbym z pewnością znalazł jakąś przyczynę do wykręcania się od tej niebezpiecznej jazdy. Kazik jednak odgadł me myśli i znalazł czas szepnąć mi:

— Musisz jechać! nasamprzód grubo zaimponujesz tamtym babom jak zobaczą, że sobie z nich nic nie robisz, a powtóre, jeżeli ciebie nie będzie, to rozpuszczą swój pytel tak, że się z tego i w święconej wodzie nie umyjesz.

Raz rzucone kości! Pojechałem.

Kościół był pełniusieńki; cała parafia z najdalszych nawet krańców zjechała się, dzięki stałej, cudownej pogodzie i doskonałej drodze. Kłamałem w duchu

taką niezwykłą pobożność mych współparafian i obliczałem, o ile głośniejszą będzie moja dekonfitura.

Staliśmy z Kondraszkiem w zakrystyi, nie pokazując się zupełnie w presbiterium. Wiedziałem jednak doskonale, że Okszyńscy są w kościele, bo gdyśmy podjeżdżali do bramy kościelnej, to widziałem ich powóz odjeżdżający stempem do zajezdnego domu w miasteczku. Znając dobrze parafialne zwyczaje, z łatwością odgadłem, że mają zamiar być po mszy u proboszcza, bo jeżeliby mieli zaraz po mszy jechać do domu, to konie byłyby czekały przed kościołem.

Przyznam się otwarcie, że bardzo mało modliłem się tego dnia, tylko rozmyślałem głęboko: »co z tego będzie«.

Wreszcie i msza się skończyła. Wszyscy wychodząc z kościoła, witali się mniej lub więcej serdecznie, a wnet potem zaczęło się ceremoniowanie u furty, prowadzącej z cmentarza na księży dziedziniec. Skończyło się tak, jak bywało od lat kilkunastu, że moja babka podała rękę pani Konczewskiej, najstarszej z kobiet w całej parafii i obie weszły pierwsze, za niemi poszła moja matka z panią Okszyńską, a później już inni bez ceremonii i nawet z lekka się rozpychając.

Zaniepokoiło mnie to, że pani Okszyńska była jakaś dziwnie dziś słodko uprzejma. Do mnie uśmiechnęła się tak słodko, jak nigdy przedtem i ze zwyczajną u niej przesadą podała mi rękę mówiąc:

— Witam, witam pana!... Bardzo się cieszę, że pana widzę.

Ja się nie cieszyłem z tego, taka serdeczność wydała mi się strasznie niebezpieczną.

Kondraszek, który to widział i słyszał, mruknął mi do ucha:

— Djabelska baba! Bierze na kieł, musimy się trzymać i miny nie tracić.

Pierwszą czynność, którą musiałem spełnić po wejściu na plebanię, było »odrekomendowanie« Kazika wszystkim zgromadzonym.

Zacząłem więc od proboszcza i staruszki jego siostry, a później przyprowadzałem go do każdej osoby, której on się kłaniał bardzo głęboko, a ja jak herold ogłaszałem:

— Kazimierz Kondratowicz, syn naszego lirnika litewskiego.

Chociaż po każdym »lirniku«, Kazik szczypał mnie niemiłosiernie w łokieć, mimo to nie opuściłem tego dodatku ani razu.

Poczcivi ludziska serdecznie go przyjmowali. Proboszcz wyściskał go na wszystkie strony i wycałował z dubeltówki. Pani Okszyńska nie omieszkała mu powiedzieć, że »słyszała już tak wiele o nim od jego serdecznego przyjaciela — tu wskazała na mnie — i wie, jak go wysoko cenić należy«.

Ostatecznie skończyłem uciążliwą prezentację i zrobiło się na chwilę cicho. Spojrzałem szukając wzrokiem pani Okszyńskiej; siedziała na kanapie obok mej babki. Gdy nasze oczy spotkały się na chwilę, pani ta skinęła łaskawie na mnie, a gdym się zbliżył, zaczęła mówić słodkim, jak bakalie wschodnie, głosem:

— Serdecznie dziękuję łaskawemu panu, że raczył nie zapomnieć o nas... o nas zdomowanych parafianach!

Po mnie zaczęły chodzić zimne ciarki od pięt aż do głowy, a w pokoju zrobiło się cicho, jak w kościele przy podniesieniu. Pani Okszyńska mówiła dalej:

— Doprawdy, że nie warci byliśmy tak wspaniałego daru... Mój Boże, czyż my się rozumiemy na takich specyałach... To była taka pańska, arystokratyczna zwierzyna... Miała taki silny zadecydowany zapach... dziczyny... Jakaż szkoda, że my na tem się nie znamy... Byłam poprostu zmuszona dać te gołąbki »Foxowi«,

pieskowi mego kuzyna, on jest od polowania, to może odczuć całą znakomitą wartość tej zwierzyny...

Stałem jak ofiara na śmierć prowadzona, język mi w ustach zdrewniał, krew z twarzy uciekła, na dobitkę usłyszałem, że w koło mnie zaczęły się odzywać uśmiechy i drwinki, ciekawe zapytania i drwiące odpowiedzi. Pani Okszyńska nie dała jednak jeszcze za wygrane, chciała, żebym wypił nawarzone piwo aż do dna. Po chwili milczenia prawiała dalej:

— A jaki cudownie piękny, jaki pełen poetycznego polotu, pełen niewyczerpanego wdzięku list pana... Schowałam go sobie na pamiątkę. Doprawdy, ja mam przekonanie, że pan będzie chyba sławnym autorem, jakimś Kraszewskim lub Korzeniowskim... Tak! Tak napewne! pan będzie wielkim człowiekiem... A później kiedyś, gdy się spotkamy, to panu o tem przypomnę i oddam panu jego list.

Położenie moje stawało się wprost nieznośnem. Wyratowała mnie zeń moja babka, która z wielkim taktem zwróciła się do pani Okszyńskiej mówiąc:

— Pewno już mój wnuk jakieś głupstwo zmalował? Niech mu pani przebaczy, on taki bardzo młody... A przecież i starszym zdarza się głupstwo zrobić.

Temi słowami mej babki skończoną została dalsza dyskusya o gołębiach i moim sławnym liście. Rozmowa skierowana przez moją babkę przeszła na inne przedmioty. Ja usunąłem się w kąć do drugiego pokoju. Byłem sam, zawstydzony, zapomniany, wyśmiany, było mi bardzo gorzko, bardzo boleśnie — pragnąłem umrzeć. Nagle szelest zwrócił moją uwagę. Osłupiałem ze zdziwienia i radości. Tuż przedemną stała panna Jadwiga, zarumieniona i zawstydzona, w ręku trzymała gałązkę niezapominajki, widocznie wyrwaną z bukiecika, który miała wpięty na piersiach przy swej białej, muślinowej sukience. Patrzyłem na nią zastraszonemi oczami i czu-

łem, że nie potrafię zdobyć się na żadne słowo. Ona przemówiła pierwsza:

— Niech się pan na mnie nie gniewa... Ja panu nie chciałam dokuczać... To mama... To mama taka niegodziwa...

Wcisnęła mi gałązkę niezapominajki w rękę i nie mówiąc już ani słowa, pośpiesznie wróciła do pierwszego pokoju.

Sceny tej nikt nie dostrzegł... wyryła się tylko na długo w mej pamięci.

Oh! panna Jadwiga była... »majster«... Była doskonałym myśliwym, daleko lepszym, niż ja nim kiedykolwiek miałem zostać. Tych kilka słów, to jej spojrzenie i ta gałązka niezapominajki stały się »przynętą«, która sprawiła, że lat kilka zostawałam pod jej władzą, byłam jej sługą i niewolnikiem... aż wreszcie znudziła się mną i poszła za milionowego szlachcica i została wielką panią, jeżdżącą kareta zaprzęzoną w trzy pary koni i strojącą się w jedwabie i koronki. Przynęta ta panny Jadwigi sprawiła, że zapisałam pewno kilkanaście libr papieru, nieudolnymi, erotycznymi wierszami... lecz wskutek tych wierszy wziąłem się do pisania i rozsądniejszych rzeczy.

Z przyjemnością wspominam dziś o panie Jadwidze, bo choć sama w gruncie rzeczy zgoła nie idealna, stała się ideałem mej pierwszej młodości i sprawiła to, że tych ideałów nie szukałam na dnie mętów społecznych.

Po jej zniknięciu schowałam darowaną mi gałązkę w najbliższą kieszeń i stałam zadumana, nie mogąc zebrać myśli; zdawało mi się, że niebo się przedemną otworzyło... A to był dopiero początek czyśca.

W tym stanie znalazł mnie Kondraszek i oznajmił, że babunia już się zegna, a nasze konie stoją przed gankiem.

Jak lunatyk pożegnałem się ze wszystkimi i be-
myślnie siadłem na wózek... Kondraszek tak odczuł
moją przykrość, że nie dokuczał mi więcej.

* * *

Sceny, która nastąpiła po powrocie do domu, nie
będę opisywał. Dostałem od babuni i mamy burę, która
jednak tak była osłodzoną serdeczną pobłażliwością, że
nie bolała mnie nawet. Panna Zofia zato kpiła ze mnie
bez miłosierdzia, ale robiła to tylko wówczas, gdy nie
było ani mamy, ani babuni.

W tydzień potem powrócił ze swej wycieczki An-
drzej Pomian i zabrał Kondraszka ze sobą. Nawet nie
starałem się zatrzymać go dłużej, pomimo, że pokocha-
łem go serdecznie, obecność jego i ciągle z nim obco-
wanie stawało się dla mnie uciążliwym... Pomiędzy nami
tkwiła owa gałązka niezapominajki, o której on nic nie
wiedział, i dzieliła nas. Przyznać mu się do tego nie
mogłem, a jakakolwiekbaż tajemnica niszczy przyjaźń
zupełnie.

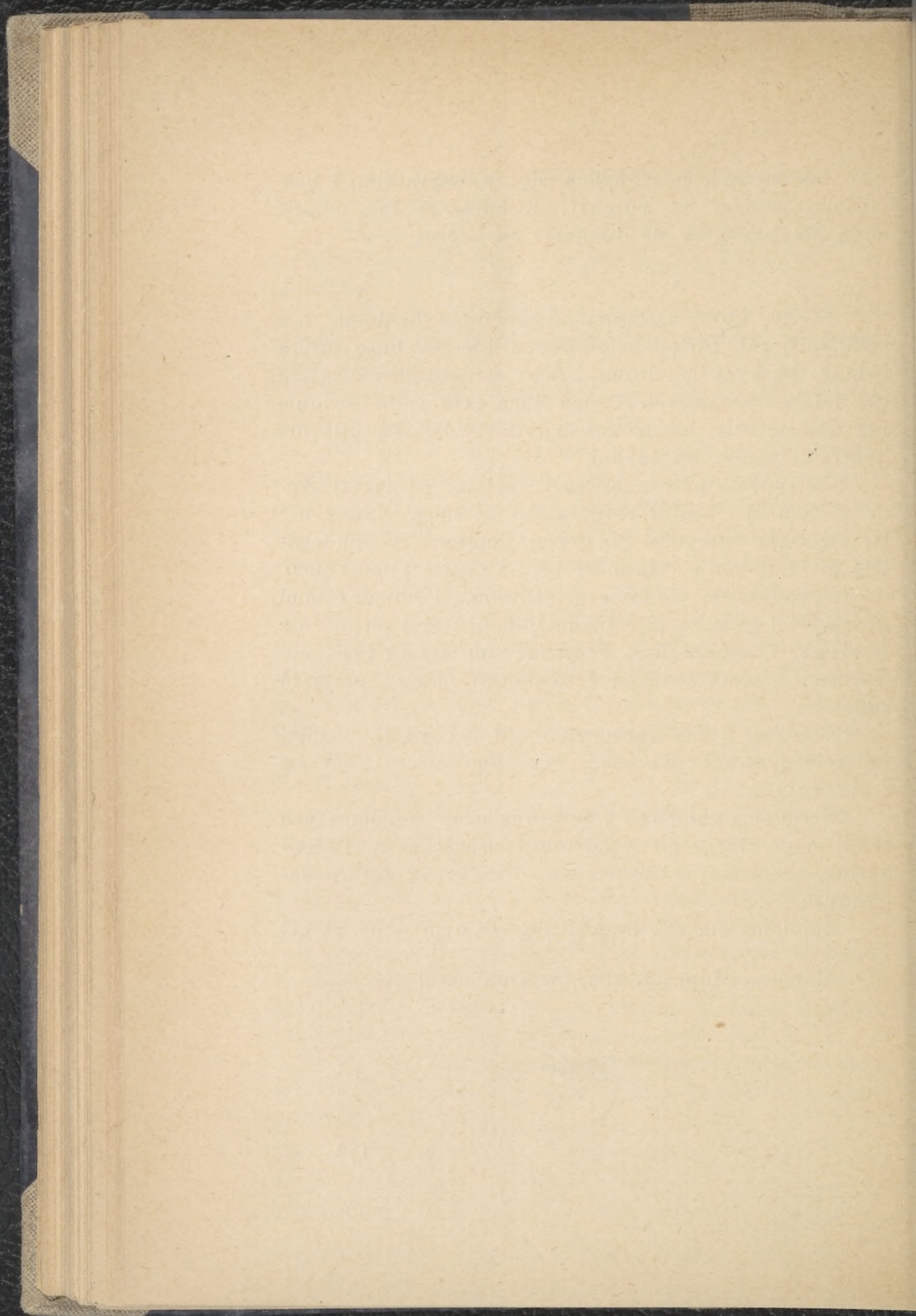
Pojechał i nie zobaczyłem go już nigdy później
w życiu i nawet nie wiem czy żyje jeszcze i co się
z nim dzieje.

Serdeczny chłopaku i mój przyjacielu z najmilszych
chwil mego ubiegłego życia, tobie poświęcam tych kilka
kartek, nie zimnym atramentem, lecz krwią gorącą na-
pisanych.

Zginione, zmarłe kształty żegnajcie mi — na wieki!

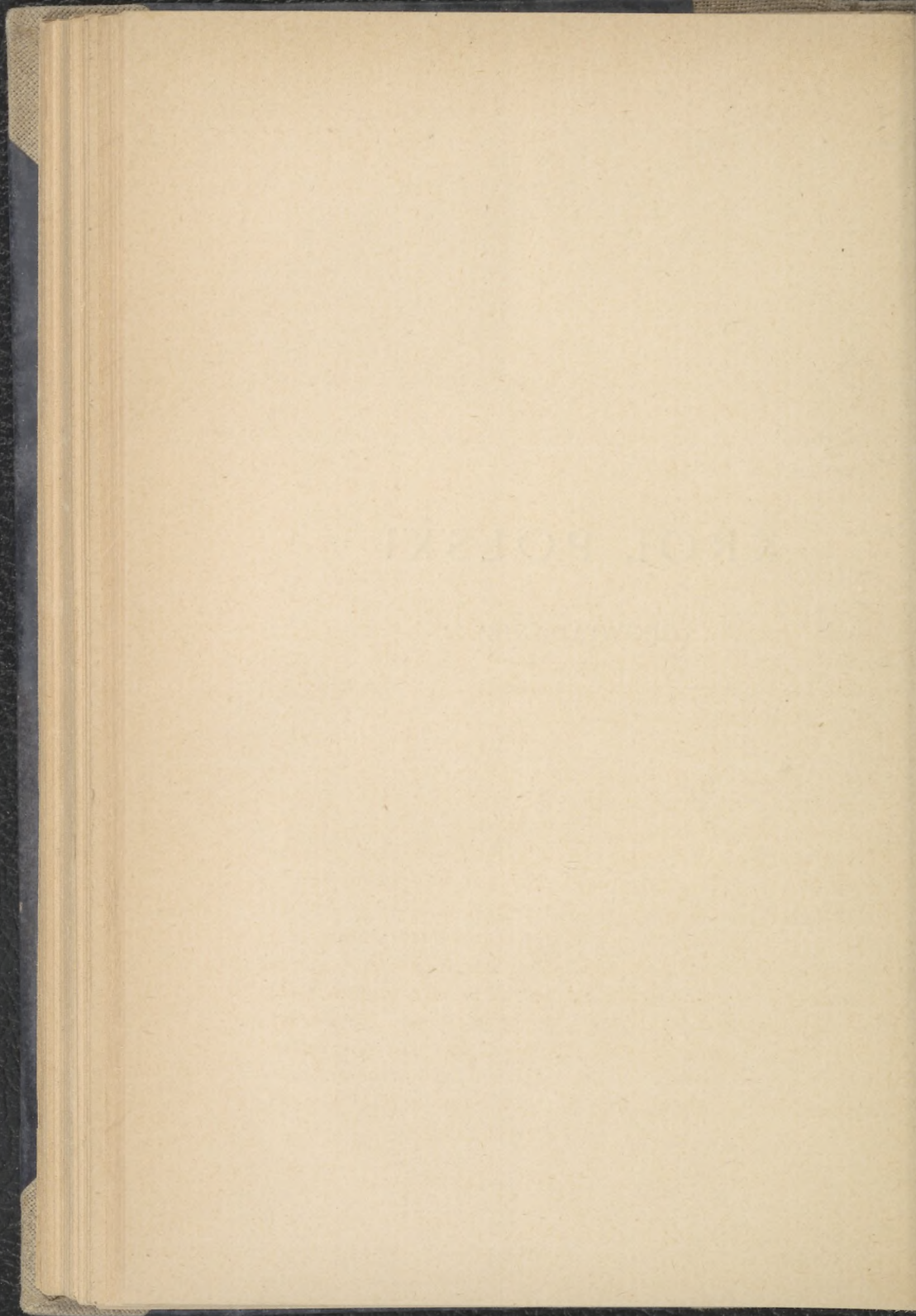
Marzec — Lipca r. 1897, w Dubienku.





KRÓL POLSKI

(OPOWIADANIE)



Pan Teodor Tuhanowicz, Bodziem powszechnie zwany, był ormianinem dawnej daty i starego typu. I fizycznie i umysłowo różnił się zasadniczo od całego otaczającego go społeczeństwa, mimo to miał miłość ludzką i poważanie w całej, bardzo szerokiej okolicy.

Średniego wzrostu tęgo zbudowany, o śniadej, prawie oliwkowej cerze, oczy miał czarne, ale białko w nich tak białe, że aż w niebieskawy odcień wpadały, zęby równe i tak zachowane, że mogły w swej białości iść o lepsze z kłami dzika, brwi gęste i czarne, trochę nastrzępione i zrosnięte nad potężnym orlim nosem. Wogóle robił wrażenie przystojnego człowieka, tylko głowa jego była stosunkowo do korpusu trochę za wielka.

Pan Bodzio miał charakter bardzo łagodny, zwykle bywał w doskonałym humorze, zwady unikał, ale gdy się kiedy rozgniewał, to był w gniewie wprost straszny. Ze szlachtą polską w okolicy żył w przyjaźni i w gruncie rzeczy lubił swych sąsiadów bardzo, chociaż miał zwyczaj bezprzestannie wytykać im polskie wady. Publicznie, każdy choćby najświeższy klejnocik szlachecki, umiał uszanować, ale w głębi duszy wszystkich monarchów europejskich miał za parweniuszów i synom swoim po cichu szeptał, że pochodzą z możnego ongiś panującego rodu Tuhanów, że mają 2.000 lat historii i są krwią i rodem lepsi, niż najwięksi panowie polscy i niemieccy. Rumunów nie miał za boże stworzenie, a żydami wprost się brzydził... Najgorzej jednak nienawi-

dził ludzi pochodzących z ormiańskich rodzin, którzy się swego pochodzenia zapierali, lub się z niem ukrywali.

* * *

Pana Bodzia poznałem przypadkiem na jarmarku w Kossowie, w górach galicyjskich. Mieszkałem wówczas na Podolu w proskirowskim powiecie i zapędziłem się aż tak daleko, w zamiarze nabycia czwórki koni huculskich.

Tuhanowicz był ogromnym miłośnikiem koni, była to jedyna może jego namiętność, i nie opuszczał prawie żadnego jarmarku. Zaraz po moim przyjeździe, jego oryginalna głowa i charakterystyczna postać zwróciły na się moją uwagę, nie mieliśmy jednak nawzajem żadnej przyczyny do zawierania znajomości. Dopiero koło południa zesłiliśmy się przy karym hucule, rzeczywiście wyjątkowo dobrze zbudowanym. On go gwałtownie chciał nabyć, a i mnie się przedziwnie nadawał do dyszła na prawo. Urządziliśmy wprost licytację, podnosząc cenę coraz więcej. Wreszcie Bodzio zniecierpliwiony tym handlem, przystąpił do mnie i zawołał:

— Jestem Tuhanowicz. — Mnie tu ludzie znają i wiedzą, że jak mi się szkapa podoba, to o cenę nie dbam... Ale poco mamy się licytować i temu żydowi, Judce, napędzać pieniędzy do kabzy... Pogódźmy się... mnie ten kary potrzebny, ale ja panu znajdę takiego samego tylko bułanego.

Zagłuszony potokiem słów Tuhanowicza, nie mogłem mu się nawzajem przedstawić, aż po skończeniu przez niego ostatniego zdania.

Gdy usłyszał moje nazwisko, to nasamprzód popatrzył na mnie z olbrzymim zdziwieniem i pewnem niedowierzaniem, a później nieśmiało zapytał:

— Ormianin?

Odpowiedziałem mu potakująco.

Na to twarz mu się dziwnie rozradowała, w czarnych oczach błysnął wyraz rozczenia i wyciągając do mnie dłoń z powitaniem, zapytał:

— I nie zapierasz się swej nacyi?

— Czegożbym się miał zapierać, nikt w mej rodzinie brudu nie zrobił.

W tej chwili spostrzegłem na jego twarzy wyraz nieklamane go zachwyty. Najniespodzianie chwycił mnie w objęcia i zaczął ścisnąć, wołając:

— Bierz karego hucuła. Sam ci go nad wieczorem kupię za pół pieniędzy.

Nagle cofnął się i zaczął mi się z nieufnością przypatrywać:

— Tfu! — szeptał tak głośno, że każde słowo słyszał — gęba biała i czerwona, włosy blond, nos kucy, oczy siwe, i to ma być Abgar. Tfu! ta pek! ta cur! Toś ty kalika nieboże, ale prawda matka Polka, babka Polka, i tak dalej, i tak dalej, wszystko Polki, musiała wreszcie rasa zaginać, żeby najmocniejsza była.

Wreszcie skończył ten półgłosem prowadzony monolog, zbliżył się do mnie i uderzając mnie z siłą po ramieniu, zawołał:

— Takiś ty do dawnych Abgarów podobny, jak ja do biskupa, ale podobasz mi się, bo nie zapierasz się ormiańszczyzny... A ty wiesz, że tam u nas w Azyi to nasze pradziady, prapradziady sąsiadowali ze sobą... Abgary siedzieli poniżej nad samym Eufratem i ciągle musieli z Persami wojować, a Tuhany trochę wyżej pod górami i Abgarom na pomoc chodzili. A ty wiesz, że jak się Abgar czarny ochrzcił, to zaraz wyprawił tego samego apostoła do Tuhana i także chrzcić mu się kazał, a nawet do chrztu go trzymał... Więc rozumiesz, że my jesteśmy pokumani jeszcze od Chrystusowych czasów... To jakim Tuhanowicz, to daję ci słowo, że karego hucuła kupię ci za sto papierków, choć tyś po

głupiemu dawał żydowi sto ośmdziesiąt. Teraz chodź do mego woza napić się wódki i zakąsić koziną, której pewno w ustach nigdy nie miałeś.

Naturalnie, że skorzystałem z zaproszenia.

Tuhanowicz się we mnie poprostu zakochał. Przez cały dzień na krok mnie od siebie nie puścił. Za pieniądze, które przeznaczyłem na czwórkę hucułów, kupił mi nasamprzód doskonałe cztery koniki, a prócz tego, trzy kłacze ze źrebiętami, tak, żem z całym stadem koni musiał do domu wracać.

Gdy konie były już kupione a dzień letni miał się ku końcowi, zapytał mnie:

— A którąś ty do granicy pojedziesz?

Odpowiedziałem, że przez Okopy św. Trójcy i Żwaniec muszę iść do domu.

— No to zabierajmy się zaraz, nocować będziemy w Kutach u mojej ciotki, jutro zaś na noc dojedziemy do mojej Hreczanki, tam dzień z końmi przestoisz, a odesznie do granicy w Okopach masz małe trzy godziny.

Wszystko to powiedziane było z takim jakimś dziwnym despotyzmem, że mi na myśl nawet nie przyszło protestować. Zresztą marszruta była doskonale obmyślana i lepszej wynaleść nie było można.

Pojechałem z Tuhanowiczem i nocowaliśmy u jego ciotki, pani Barbary Derkułowiczowej w Kutach.

Nigdy nie zapomnę tej podróży z Tuhanowiczem. Cały nasz pochód na tle wspaniałej górskiej okolicy robił wrażenie jakiejś karawany z przed dwustu lat. Promienie zachodzącego słońca oświecały dalekie szczyty Czarnohorskiego pasma, a na ziemię padał już mrok zupełny. W tym mroku posuwał się wolno cały nasz tabor, szły przodem moje konie a przy nich mój Maksym w kozackiej kurtce i szerokich hajdawarach. Maksymowi dopomagał najęty w Kossowie hucuł, chłop jak dąb, w futrzanej czapie, kieptarze założonym i w czarnej

zadziegconej koszuli, otwartej na piersiach. Dalej szły owce i woły zakupione przez Tuhanowicza, a przy nich ludzie na wół nadzy, ogorzali od słońca, zawędzeni na wiatrach, istne stepowe widziadła. Cały pochód zamykał wóz Tuhanowicza, olbrzymi, naładowany paszą i przeróżnymi wiktuałami, zaprzężony w cztery prześliczne orientalne konie, które, nudząc się wolnym pochodem, brykały bezustannie i wyrzucały nieciepliwie głowami, żując wędzidła.

Już była zapadła noc zupełna, gdyśmy zajechali przed mały, skromny dworek pani Barbary. Staruszka znać była już uprzedzona o przyjeździe siostrzeńca, bo czekała nas w ganku. Była to wysoka, sześćdziesięcio kilku letnia kobieta, która zachowała była jeszcze ślady dawnej piękności, figurę miała szczupłą i zgrabną a ruchy dwudziestoletniej dziewczyny. — W całym domku, pomimo jego skromności, panowała czystość holenderska i najwidoczniej ład nadzwyczajny. Wnet po przyjeździe zasiedliśmy do wieczerzy, do której podano nam jakieś potrawy dziwne, jakich nigdy w życiu nie jadłem, które jednak nadzwyczajnie mi smakowały.

Widocznie wieść o przybyciu Tuhanowicza z jakimś obcym dalekim gościem, rozeszła się z błyskawiczną szybkością po miasteczku, bo wkrótce zaczęli się schodzić starsi mężczyźni, którzy witali się serdecznie z Tuhanowiczem i zapoznawali ze mną, przypatrując mi się ciekawie. Naturalnie, że Tuhanowicz każdemu z osobna powtarzał dokładną historję mego ormiańskiego pochodzenia i mityczne legendy »pokumania się« w czasach Chrystusowych. Szczegóły te podnosiły znać mą wartość w oczach tych zacnych prostych ludzi, bo traktowali mnie z ogromnym szacunkiem.

Po wieczerzy zasiedliśmy na drewnianym ganeczku o czterech słupkach i popijając doskonały miód, sycenia pani Barbary, rozkoszowaliśmy się cudnym blaskiem

księżyca, górskiem powietrzem i poetycznym szmerem Czeremosza. Ormianie bardzo niewiele mówili, z boleścią tylko opowiadali o dawnych dobrych czasach, w których trudnili się wypasem bydła i owiec po połoninach i sprzedają tych zwierząt.

— Dziś — twierdzili — ani Ormianie, ani Hucuły już nie mają co w tych górach robić, żydzi wykupili wszystkie połoniny, a my do nich na parobków chyba pójdziemy.

Staruszka ożywiona, opowiadała z dziwnym wdziękiem różne mało znaczące zdarzenia w jej rodzinie, jakieś stare tradycje i wspomnienia rodzinne.

Wszystko to razem było dla mnie tak nowe, tak niezwykłe, że ja, który już prawie nie miałem w sobie ani jednego węzła, łączącego mnie z narodowością moich przodków, uczuwałem nagle jakieś rozczulenie, jakieś rodzące się przywiązanie do tych ludzi, których pierwszy raz w życiu widziałem i których widzieć nie miałem nadziei już nigdy.

Przed rozejściem się na spoczynek, panna Julcia wnuczka pani Barbary, umyślnie dla mnie zaśpiewała jakąś piosnkę w ormiańskim narzeczu. Pieśń była smętna, trochę monotonna, ale ta nuta dziwna wprost do duszy mi szła, tak, że omal nie zakochałem się w smągłej, zgrabnej, czarnookiej dziewczynie, którą widziałem wówczas po raz pierwszy w życiu.

Gdym się położył spać w wygodnym łóżku na puszystych poduszkach, to musiałem przyznać, że takiego noclegu nie miałem nigdy w domu choćby najzamożniejszego szlachcica podolskiego. Cóż, kiedy spać nie mogłem. Duszę moją opanowały niezwykle jakieś marzenia, jakieś szeptki krwi niezrozumiałe dla mego umysłu.

Obudziłem się nazajutrz zgorączkowany.

* * *

Równy ze świtem, po doskonałej kawie i pożegnaniu gospodyni, ruszyliśmy w dalszy pochód. Tuhanowicz kazał wyprzedzić cały tabor i pędziliśmy z ogromną szybkością przez nadpruciańskie równiny w kierunku Śniatyna.

W drodze opowiadał mi o swoich majątkowych stosunkach, o swem powodzeniu w gospodarstwie.

— Musisz wiedzieć — mówił — że od lat pięciu już mam swoje własne dziedzictwo. Hreczanka już moja. Człowiek się dorobił. Nasamprzód trzymałem od hrabiny Moczalskiej Hreczankę, później, jakem się ożenił, tom wziął cały klucz, no, a jak hrabina umarła i zięciaszek klucz rozsprzedawał, tom już Hreczankę sobie kupił, bo mi żal było, żeby taka ziemia szła w żydowskie ręce... Było trochę długów, alem się już wypłacił, a jak Bóg da doczekać to i Olchowice od żydów odkupię, bo mam trochę grosza, a oni nie po bożemu gospodarują i zaleźli w wielkie długi.

Na dwie godziny przed wieczorem, w dali ujrzeliśmy dużą wieś nad stawem i wyniosłe, smukłe topole i białe ściany obszernego dworu. Na ten widok Tuhanowicz zawołał:

— Patrz, to już moja Hreczanka!

I kazał konie popędzać szybciej, bo mu śnać było spieszno do domu.

Nim dojechaliśmy do bramy, wybiegło na nasze spotkanie dwóch chłopaków kilkunastoletnich, czarnych i opalonych, ale ładnych i bardzo zgrabnych. Biegli, witaając ojca głośnymi okrzykami, lecz spostrzegłszy mnie, umilkli nagle i skonfundowali się widocznie. Tuhanowicz kazał furmanowi stanąć, chłopców zabrał na wóz, uściłkał ich serdecznie i zwracając się do mnie, rzekł:

— Oto moje chłopcy, dobre dzieci, uczą się, bo w skórę biję, ale teraz wakacye, to już sobie nie żałują, latają od rana do nocy i poosmalane to jak cyganiuki.

Na spotkanie męża wyszła i pani Tuhanowiczowa, ładna kobieta, o orlim nosie, czarnych oczach i olbrzymich hebanowych włosach.

Dostrzegłem, że mój przyjazd w pierwszej chwili nie zrobił na niej miłego wrażenia i dopiero gdy jej mąż opowiedział historię naszego »pokumania się« w Chrystusowych czasach, spojrzała na mnie życzliwszem okiem i nawet uśmiechnęła się przyjaźnie.

Widocznie odgadła, że m spostrzegł jej niechętnie ku mnie usposobienie, bo niby tłómacząc się, rzekła:

— W pierwszej chwili, gdym pana zobaczyła, tom pomyślała, że pan jest jednym z galicyjskich paniców... A bardzo nie lubię, gdy oni do męża przyjeżdżają, bo są niegrzeczni, i sama nie wiem, w jaki sposób z nimi rozmawiać.

Po tem wyjaśnieniu, byliśmy już z panią Sabina w zupełnej przyjaźni, polubiła mnie nawet była, jakby dawnego znajomego.

W domu było bardzo czysto, porządknie, a nawet wykwiintnie.

W pół godziny po naszym przyjeździe, stary lokaj, w czarnym surducie, dał znać, że obiad na stole. Weszliśmy do dużego jadalnego pokoju; meble w nim były dębowe i bardzo gustowne, na ścianach wisiało kilka portretów. Słońce zachodzące rzucało jaskrawe promienie na te stare obrazy. Nagle stanąłem jak wryty. Na samym środku ściany ujrzałem portret starej kobiety, zupełnie podobny do pani Barbary, malowany ręką... Matejki. Tak! W żaden sposób nie mogłem się pomylić, to śmiałe, gwałtowne prawie pociągnięcie pędzla, ta oryginalna specyalność sposobu malowania, ta zuchwała jaskrawość barw, nie pozwalały mi ani na chwilę powątpiewać, że obraz ten malował mistrz Matejko.

— Co to za obraz? — zapytałem gwałtownie Tuhanowicza.

— To portret mej matki.

— Ale kto go malował?

— Matejko.

Zapanowała chwilowa cisza. Przyznam się, że mogłem się spodziewać zastać w Hreczance wszystko inne, a nie obraz, malowany przez Matejkę.

— Ha, dziwisz się, jak do tego przyszedłem — przerwał milczenie gospodarz — poczekaj, jak zjemy obiad, to ci to opowiem. Była to dziwna i śmieszna historia.

Nigdy żaden obiad nie wydawał mi się tak długi, jak ów w Hreczance. Ciekawość wprost mnie paliła.

Wreszcie obiad się skończył. Gospodarz kazał podać omszałą butelkę starego tokaju i nalewając mi kieliszek, rzekł:

— Kiedyś ciekawy, to posłuchaj.

* * *

— Działo się to przed laty dwunastu. Właśnie w maju umarła była moja kochana matka i ciężko mi było myśleć o interesach, ale obowiązek obowiązkim, na św. Jan miałem płacić hrabinie ratę dzierżawną z całego klucza, krągło dwadzieścia cztery tysiące. Nie lubiłem takich znacznych pieniędzy posyłać pocztą, tylko miałem zwyczaj sam ratę do Krakowa odwozić. Opłacało mi się to nawet dobrze, bo hrabina była ludzka pani i zawsze tysiąc lub dwa opuszczała mi z raty na poprawę budynków i inne reparacye. Więc i wtenczas, jak zawsze, sprzedałem woły i rzepak i dwudziestego drugiego czerwca pojechałem do Krakowa. Całą noc nie spałem w wagonie; dwadzieścia cztery tysiące, to nie bułka za grajcar, a nuż mi kto ukradnie, to i praca moja poszłaby na marne.

— Przyjeżdżam do Krakowa, niewyspany i zły, jak dyabeł... Macam się na piersiach, torba z pieniędzmi jest.

Myślę sobie, pójdę zaraz do hrabiny, niech bierze pieniądze, później kupię co Sabinie na prezent i walę wieczorem, lekki, jak ptaszek, do domu... Cóż powiesz! Przychodzę do hrabiny, dzwonię. Nikt się nie odzywa, dzwonię drugi raz — cicho! Idę przez kuchnię — zamknięta. Co za dyadeł, umarła, czy co? Łażę po tych galeriach, aby człowieka spotkać, co by mi powiedział, gdzie się hrabina podziała?

Nareszcie jakiś starowina, jak się później pokazało, stróż z kamienicy, pyta mnie:

— A dyć kogo jegomość szukają?

— A kogoby, jak nie hrabiny.

— Wczoraj wieczorkiem wyjechała jak się patrzy do Częstochowy, na Jasnej Górze do Najświętszej Panny pomodlić się.

— Wielka nabożność — pomyślałem — to tu ma brać dwadzieścia cztery tysiące, i nie czeka na to; tylko jedzie do Częstochowy... Już ja bym tego nie był zrobił, tylko bym zamiast na św. Jan, na św. Piotra i Pawła jechał na dewocyę, a pieniądze bym w terminie odebrał i do banku złożył.

Myśląc tak, pytam się tego staruszka dalej:

— A nie wiecie ojczy, kiedy ona wróci?

— Może za trzy dni, może aż za tydzień, jak jom tam nabożeństwo rozbierze, to i tydzień posiedzi.

— Masz tu nabożeństwo — pomyślałem — siedź tu tydzień, a tam żyto dochodzi.

Ten stary widząc mój frasunek, mówi:

— Jeżeli jegomości tak nagle do hrabiny potrzeba, to jedźcie jegomość do Częstochowy, pomodlić się tam nikomu nie zawadzi. Teraz kolejom to nie długo pociągnie, z wieczora wyjedzie jegomość, a na północ już w Częstochowie...

Mądrze radził, ale znowu bałem się z takimi pieniędzmi przez granicę jechać, a nuż zrewidują i odbiorą,

nikomu teraz dowierzać nie można. Nie było innej rady, postanowiłem czekać na hrabinę. Byle w jakiej austeryi z takimi pieniędzmi także niebezpiecznie było siedzieć, więc poszedłem z powrotem na dworzec, zabrałem podróżną torbę i wróciłem z nią do »Saskiego hotelu« i tam kazałem sobie dać mały pokoik, żeby mnie ten pobyt znowu nie kosztował za drogo.

W głowę tylko zachodziłem, co ja w tym Krakowie będę robił przez tyle dni, koni tam niema, a jak się nawet jaki pojazd pański zobaczy, to zaprzężnięty w takie wywłoki, że aż patrzeć obrzydliwie. Myślałem, że popołudniu pójdę na Podgórze i będę szukał, czy gdzie niema wojskowej ujeżdżalni, to bym się może tam przypatrzył jakimś nowomodnym koniskom. Jednakowoż inaczej mną Pan Bóg pokierował.

Z hotelu poszedłem prosto do kościoła Maryackiego. Po mszy zaś świętej idę do Rhemana w Sukienicach na kawę. Już w bramie kościoła dostrzegłem, że mi się jakiś sucherlawy człowiek w niezwyčajny sposób przypatruje. Macałem się tylko po piersiach — torba z pieniędzmi jest. Wałę więc do cukierni. Ledwie siadł, patrzę, ten sam sucherlawy siedzi obok i tak patrzy na mnie, jakby mnie chciał zjeść. Żle! myślę sobie, trzeba się tego ptaszka pilnować... Jakie to szelmy nosy muszą mieć, nic nikomu o pieniądzech nie mówiłem, a ten łotr nosem zwęszył. Choć gorąco było piekielne, ałem się na wszystkie guziki pozapinał, żeby trudniejszy miał do torby przystęp. Nawet kawy nie wypilem, płacę czem prędzej i wychodzę. Nie uszedłem i stu kroków, obzierał się, sucherlawy za mną. Co tu robić, przecież i jemu chodzić wolno. Trzeba go nastraszyć. Patrzę, wystawa z bronią, wstąpiłem do sklepu, kupiłem rewolwer, naładowałem go i wychodzę. Patrzę, sucherlawy za mną. Tego już było zanadto, pasya mnie porwała, myślę sobie, pójdę na planty, jak go

skusi do mnie przystąpić, to mu w łeb palnę i z nudów będę miał polowanie.

Com się tej hrabinie wtenczas naklął, to aż dotychczas mam zato wyrzuty sumienia.

Idę plantami — sucherlawy sto kroków za mną... Chodzę godzinę, dwie, on ciągle, jak mój cień. Wreszcie z tej komocyi jeść mi się zachciało, wracam do hotelu — sucherlawy za mną. Idę do restauracyi, on za dwie minuty także w restauracyi. Każę sobie podać obiad, on naprzeciw mnie, przy drugim stole siada i patrzy na mnie, że aż oczyma mnie pożera. Już nie strach, ale pasya szewska mnie porwała, idę prosto do niego i zacisnąwszy pięście, wołam:

— Czego ty, człowiecze, chcesz odemnie? Czego za mną łązisz?

A on mi na to nic nie odpowiada, tylko szepcze sam do siebie:

— Co za głowa! Co za wyraz! Jakie zęby! Istny, jedyny Stefan!

— Waryat jakiś! — pomyślałem i powiadam mu na to — ja nie Stefan, ja Teodor.

A on sobie dalej:

— Stefan! Stefan! Stefan!

Machnąłem ze złości ręką i odwróciłem się, myślę waryat skończony, niech ci będzie Stefan. Idę kończyć zupę. A on wstaje, idzie za mną. Zakipiało we mnie, już podniosłem pięść, jak lunę — pomyślałem — to się sucherlawy prochem rozsypie. Lecz on w tej chwili musiał się domyśleć mego zamiaru, bo nagle rozśmiał się delikatnie i kłaniając się nisko, zarekomendował się.

— Jestem Matejko!

Przyznam ci się, żem zgłupiał, on to swoje »Matejko« powiedział tak, jakby był jakimś wojewodą, widocznie myślał, że każdy musi wiedzieć, co to jest Matejko... Wprawdzie pamiętam, że na jakichś imieninach

pani Ewelina rozpowiadała coś dużo o jakimś Matejce, pamiętałem, że to pewno znaczny człowiek, ale ani rusz nie mogłem przypomnieć sobie, co on robi, czy książki pisze, czy gra na fortepianie, czy maluje obrazy. Pomyślałem jednak: Dobrze, że Matejko a nie złodziej, i już całkiem grzecznie spytałem go:

— Czego pan dobrodziej może chcieć odemnie, prostego hreczkosieja?

On zaś na to:

— Maluję obraz... Szukam już pół roku głowy dla króla... Aż dopiero pierwszego pana spotykam... Panie, niech mi pan nie odmawia tej przysługi...

Na tom się zmarszczył, bom myślał, że sobie kpi ze mnie.

Ale on dalej:

— Ja nie chcę panu darmo czas zajmować, ja wiem, że czas to pieniądz, ja zapłacę, co pan zechce.

Tego mi było już zanadto, zirytowany do najwyższego stopnia wołam więc w pasy:

— Choć tam pan jest Matejko, czy kto, ale skąd pan ma prawo mnie obrażać... Jestem Tuhanowicz, ormianin, familiant, z książąt Tuhanów się wywodzę. Musisz pan wiedzieć, że żaden Tuhan nie pokazywał się za pieniądze, ani się za pieniądze nie dawał malować... Idź pan do dyabła i daj mi pokój.

Widziałem, że mój Matejko skonfundował się bardzo i zaczął mnie przepraszać, mało po rękach nie całował, mówił, że odemnie jego los zależy, że lepszej postaci na króla nie znajdzie, że to będzie najślawniejszy jego obraz.

Choć nie wiele z tego rozumiałem, ale czułem, że ten człowiek z całego serca prosi, więc pytam go:

— Jakiż to król ma być?

A on odpowiada, że polski.

Tu już śmiać się zacząłem.

— O — pomyślałem sobie — to powściekają się nasi hrabiowie, że Matejko na króla polskiego aż Ormianina, Tuhanowicza znalazł.

— A którego króla, pan ze mnie chce robić — zapytałem:

— Stefana Batorego!

— Batorego... No... To zgoda, bo jakbyś pan chciał ze mnie zrobić Stanisława Augusta, to bym nie pozwolił, bo to był król nędzny, skórka na buty.

Matejko się rozśmiał wesoło, widać podobało mu się moje gadanie, a ja pomyślałem sobie: Kiedy ja jestem podobny do króla Stefana, to on musiał także pochodzić z Ormian, nic to zresztą nie byłoby trudnego, bo przecież w Siedmiogrodzie z dawności było bardzo wielu Ormian... I przyjemność mi to zrobiło, że najmędrzy król polski, był Ormianinem.

Obiada dokończyliśmy już razem. Matejko zrobił się słodki, że go można było do rany przyłożyć. Opowiadałem mu cały mój kłopot z hrabiną, on się cieszył z tego i mówił, że przez tych kilka dni robi sobie dokładny szkic. Śmiał się i cieszył, jak małe dziecko, gdy mu opowiadał, że go miał za złodzieja i kupiłem na niego rewolwer.

Swoją drogą, gdy miał po obiedzie jechać do niego, bo posłał po karetkę hotelową, to mnie jeszcze trochę lęk brał o moje pieniądze i dopiero jak mi portyer hotelowy powiedział, że to jest w rzeczy samej sławny malarz Matejko, który po kilkadziesiąt tysięcy za każdy obraz bierze, uspokoilem się trochę i nawet kupiony rewolwer zostawiłem w hotelu.

Od kiedy żyję i jak długo żyć będę, takiej parady nie widziałem, jak w tej malarni u Matejki... Czego tam nie było? Zbroje, buławy, buzdygany, miecze, tarcze, jakieś kapy złotolite, jakieś żupany z lamy, kołpaki, korony, hełmy, jak w jakim muzeum...

Ubrał mnie w długi żupan, na to zarzucił jakąś złocistą kapę, jak na księdza, kołpak na głowę mi włożył i posadził na złotym tronie. Pokazał mi jakieś siodło z turkusami i kazał się w nie ciągle wpatrywać — a sam zaczął malować na płótnie, a pracował, że mu aż pot po mizernej twarzy płynął strugami.

Nudziło mnie takie siedzenie i tylko to jedno mnie zabawiało, że taki sławny malarz nie mógł nikogo innego sobie na króla polskiego wybrać, aż mnie Tuhanowicza, Ormianina, który i jednej kropli krwi polskiej w sobie niema. Prawda, że i król Batory nie miał polskiej krwi w sobie.

Przez trzy dni miałem prawdziwie królewskie życie. Matejko gościł mnie w Krakowie, jak senatora jakiego. Prawda, że nudno mi było na tym tronie siedzieć, ale zato później woził mnie po spacerach, pokazywał osobliwości różne, sprawiał obiady i kolacje, że palce oblizywał.

Po trzech dniach hrabina przyjechała, pieniądze odebrała i zakwitowała, jak należy. Za głowę się złapała z podziwu, gdym jej opowiedział, co mnie tu spotkało. Zaraz pobiegła ze mną do Matejki i cieszyła się ogromnie, jak mój portret w królewskich szatach zobaczyła.

Jeszcze jeden dzień później coś sobie on wykończył i powiedział, że już jestem wolny. Żegnając się, zaczął mnie na wszystko prosić, żebym sobie wybrał w jego pracowni jaki obraz, to mi go na pamiątkę daruje. Że mnie jednak i portyer i hrabina mówili o wielkiej cenie tych obrazów, więc brać nie chciałem, on pracuje ciężko, poco bym go obdzierał. Ale jak mnie zaczął bardzo prosić i molestować, to pomyślałem o mojej nieboszczce matce i zdawało mi się, że już musi być taka wola Boża, żeby taki wielki malarz jej portret zrobił. Powiedziałem mu tedy i prosiłem, żeby z jej fotografii zrobił mi mały portrecik. On zgodził się z radością. Po-

słałem mu fotografię, a on w pół roku przysłał mi ten obraz razem z temi ramami. I udał mu się doskonale, bo nieboszczka na tym portrecie całkiem niby żywa.

* * *

Skończył i ze łzami w oczach spozierał na wizerunek matki.

Pomyślałem wówczas, że może żaden obraz Matejki nie jest w takiej czci i poszanowaniu, jak ten portret starej, nieznanej kobiety, odtworzony z czerniowieckiej fotografii.

Cały następny dzień przesiedziałem w Hreczance, podejmowany całym sercem przez zacnego Tuhanowicza. Woził mnie w pole, pokazywał prawdziwie wzorowo prowadzone gospodarstwo, prezentował stadninę i gwałtem chciał mi darować dwuletniego ogierka, wielkiej wartości, z trudem udało mi się wymówić od tego kosztownego upominku.

Synowie jego, bardzo inteligentni chłopcy, także polubili mnie nadzwyczaj i w sekrecie przed ojcem przyznali mi się, że choć ojca nad życie kochają, to jednak nie mogą zrozumieć, dlaczego on trzyma się tak zawzięcie ormiańskiej odrębności, bo oni mają się w zupełności za Polaków i Polskę kochają nad wszystko.

* * *

W kilka lat później doszła mnie smutna wiadomość, że Tuhanowicz umarł na tyfus, zostawiając każdemu z synów po jednej wsi... Kupiłem sobie po tej żałobnej wieści fotografię obrazu Matejki »Król Stefan pod Pskowem«, i patrząc na nią, żywo sobie przypominam postać zacnego człowieka, spotkanego raz w życiu w dalekiej stronie.



ZGINAŁ MARNIE!

(OPOWIADANIE)

SCIENCE MARTINI

BY JOHN W. MARTINI



listopadzie 1898 roku zapadłem na wychodzącą już wówczas z mody ciężką chorobę, influencę. Nie wyleczywszy się z niej należycie, pojechałem na pogrzeb mego przyjaciela Ludwika W. i tam przeziębilem się po raz wtóry i — przestałem mówić. Czułem straszną jakąś duszność w piersiach i tylko rano przez pół godziny byłem w stanie kilka słów wypowiedzieć, później tylko jakieś niewyraźne szmery z ust moich się wydobywały. Dla człowieka, który nigdy nie chorował, było to nieznośne i straszne. Przyjaciel mój, doktor K., opatrzywszy mnie i ostukawszy na wszystkie strony, uśmiechnął się wesoło i rzekł:

— Nic ci nie będzie, boś zdrowszy niż twój najsilniejszy wół, ale żebyś nie chrypiał, to na całą zimę musisz pojechać do Abbazyi... Tam za tydzień będziesz mógł perorować, jak poseł w parlamencie, ale wracać przed wiosną nie można.

Nie było rady; sprzedałem do sąsiedniej gorzelni tysiąc korcy kartofli, któremi miałem zamiar karmić woły pod wiosnę, i po raz pierwszy w życiu ruszyłem za granicę.

* * *

W Budapeszcie kupiłem głośną wówczas powieść Bourgeta »Cosmopolis« i zaczytując się w niej, starałem się odgadnąć, jakich wrażeń będę doznawał w tem zupełnie nowem dla mnie otoczeniu.

Doznałem jednak pewnego rozczarowania.

Towarzystwo, jakie zastałem w Abbazyi, nie przedstawiało dla mnie nic nowego i nic nadzwyczajnego. Polaków było osób kilkadziesiąt, z pośród nich kilka pań i kilku panów znałem z kraju, z karnawałów lwowskich i krakowskich, z polowań i zebrań towarzyskich na prowincyi. Była jedna hrabina, która tak się stroiła, jakby chciała zaćmić wszystkie bankierowe wiedeńskie i budapeszteńskie; była druga, która znowu sadziła się na to, żeby się ludziom wydawało, iż nic sobie z Abbazyi i towarzystwa nie robi, i występowała na »sztrandzie« w sukniach, które w domu nosiła do gospodarstwa. Było jeszcze kilka innych, które albo pierwszą, albo drugą naśladowały. Był pewien wielki pan, magnat milionowy, mecenas literatury i sztuki, który miał słabość pisania utworów dramatycznych, i dowiedziawszy się, że i ja zajmuję się czasem pisaniem i »drukowaniem«, zameczał mnie jako »kolegę«, każąc mi słuchać wieczorem to, co przez cały dzień napisał — a był płodny jak świeża gleba ukraińska. Były dwie panny, Litwinki, dobre dziewczęta, ale tak nafaszerowane powieściami panny Rodziewiczówny, że o niczem nie mówiły, tylko o jakichś niebywałych bohaterach. Była znajoma panna z Podola z cicią — ta chciała koniecznie uchodzić za hrabiankę i z niechęcią na mnie patrzyła, bojąc się, bym nie zdradził, iż jej ojciec dorobił się wielkiej fortuny na dostawach dla armii w czasie ostatniej rosyjsko-tureckiej wojny.

Całe to towarzystwo przepędzało czas kubek w kubek tak samo, jak go przepędzają ludzie zebrani w zimie w mieście »na karnawale« lub w lecie u wód. Spotykali się na spacerach, odwiedzali po domach, zapraszali się wzajemnie na herbatki i urządzali wspólne wycieczki.

Przyznam się, że doznałem był pewnego rozczarowania. Myślałem: i warto to było aż tak daleko jechać,

ażebym zobaczył to samo, co mogę widzieć pojechawszy na tydzień do Lwowa? Jedno tylko przyznać muszę, że powietrze nadmorskie poskutkowało nadzwyczajnie na moje gardło, tak, że po dwu tygodniach wszelkie ślady cierpienia zniknęły zupełnie. Nie wracałem jednak do domu, bo wybrawszy się raz na całą zimę, chciałem wyzyskać tę rzadką w mem życiu sposobność — zapomnienia na kilka miesięcy o kłopotach finansowych i trudnościach gospodarskich.

Wziłem się jakoś w to wszystko. Rozkoszowałem się balsamicznem, morskiem powietrzem; całemi godzinami przypatrywałem się modrej fali, marszczącej się cudownie pod podmuchem lekkiego południowego wietrzyka. Brałem czynny udział w życiu towarzyskiem; nauczyłem się dokładnie rozpoznawać wiatr Bora od Tramontany i byłem z wszystkimi w bardzo dobrej komitywie. Nawet kandydatka na podolską hrabiankę, widząc, że nie myślę podkopywać jej arystokratycznych aspiracyj, pogodziła się zupełnie ze mną i nie okazywała mi swych złych humorów.

Po trzech tygodniach zrobiłem pewne spostrzeżenie, które mnie ogromnie ubawiło. Mianowicie skonstatowałem, że wszyscy Polacy w Abbazji bawiący mieli po egzemplarzu »Cosmopolis«, a jednak nigdy otwarcie o tej powieści nie mówili, tylko każdy z nich starał się skrycie pozować na jedną z postaci w niej opisanych. Ku większej jeszcze ucieście i zabawie odkryłem, że mnie przeznaczono rolę literata Dorsenne'a. Rozśmieszyło mnie to nadzwyczajnie.

* * *

Ja i Dorsenne! Niebo i ziemia!..

Śmiałem się sam do siebie, zrobiwszy to okrycie, i odczytywałem z uwagą welinowe stronicy Bourgetowskiego romansu. Ja, który całe życie łamałem sobie

nad tem głowę, jak wydostać pieniądze na zapłacenie podatków, rat do banków i procenta, mam być podobny do człowieka, który żył na wzór ptaków niebieskich i nigdy nie myślał nad tem, skąd weźmie pieniędzy na pobyt w Rzymie lub na Riwierze... Ja polski, skromny powieściopisarz, dobijający się prawie gwałtem miejsca w którymś piśmie peryodycznem dla każdego prawie utworu świeżo napisanego — mam tu reprezentować autora, którego prosiło zawsze kilkadziesiąt redakcyj, żeby raczył coś dla nich nadesłać?

— Nie! Stanowczo ironia była za ostra, żeby nawet to było zabawnem.

Czułem się tą maskaradą niemile dotkniętym i zacząłem unikać polskiego towarzystwa; zaczęło mi się ono wydawać za głupie i za pospolite. A gdy już koniecznie musiałem się w niem znaleźć, to demonstracyjnie starałem się odgrywać rolę zagorzałego hreczkosieja, który drwi z całej literatury i sztuki. Rozpoczywałem wówczas z szanownym papą dwóch Litwinek, szukających po świecie ideału na wzór Marka Czertwana, dysputy ekonomiczno-gospodarskie na temat naprzykład czy większe zyski można osiągnąć z chowu bydła rogatego, czy... świnek. — Nic nie pomagały jednak te prozaiczne rozmowy; na upór niema lekarstwa. Do tego, żeby nasze towarzystwo przypominało bohaterów »Cosmopolis«, koniecznie potrzeba było zblazowanego literata, więc jednomyślnie naznaczono mi tę rolę i gwałtem kazano mi go naśladować.

Doszło nawet do tego, że jedna z Litwinek wprost mi powiedziała, że jej zupełnie Dorsenne'a przypominam.

Tego mi już było zanadto, wybuchnąłem, i z wiejskim ferworem wydeklowałem:

— A niechże mi pani tej krzywdy nie robi! Cóż we mnie może być podobnego do tego dekadenta paryskiego?

— Co?... Ja właściwie nie wiem — odparła nieśmiało. — Ale coś jest... Jest z pewnością.

— Całkiem się panie mylicie! — przerwałem jej porywczo. — On spotkał na swej drodze jasną, niewinną duszę, obudził w niej marzenia i pragnienia, których zaspokoić nie był w stanie, i zdeptał tę duszę, jak nędznego robaka... Ja gdybym spotkał taką, któraby mnie zdołała pokochać, to bym był najszczęśliwszym na świecie i kochałbym ją nad życie.

Cały ten okres był widocznie za gorąco, za ognicie powiedziany, bo poetyczna i ideału szukająca Litwinka zmięszała się i widocznie przestraszyła się, czy ja przypadkiem nie posądzam jej o gorętsze dla mnie uczucia... Po chwili wstała i odeszła milcząca.

Wszak ona poszukiwała po świecie nieistniejącego Marka Czertwana i nic jej nie zajmował zakapturzony Dorsenne, udający zdaniem ogółu entuzyastę.

Wskutek tych wszystkich płytkości, całe towarzystwo nudzić mnie na dobre zaczynało. Co raz więc mniej obcowałem z tymi ludźmi, a prawie cały czas przepędzałem na wycieczkach samotnych, czy to na morzu, czy w okolicach Abbazy i Rjeki. Byłbym tak jednak przepędził całą zimę i dopiero w połowie marca wracał do domu, gdyby nie nieszczęśliwy, poprostu tragiczny wypadek, który wstrząsnął gwałtownie mą duszą, a w którym mimowolnie pewny udział wziąłem.

* * *

W drugie święto Bożego Narodzenia wybrałem się parowcem do Rjeki, chciałem być na mszy św. w kościółku w Torsato. Wiedziałem, że to jest miejsce cudowne, do którego z całej Chorwacyi, Dalmacyi, Iliryi i Sławonii ściąga się mnóstwo pątników; ciekawy więc byłem te nieznanne mi typy poznać. Układałem sobie, że po nabożeństwie zwiedzę jeszcze zameczek Frangi-

panich, w którym miały znajdować się różne pamiątki po tej wygasłej, ongiś sławnej i potężnej rodzinie, która poprostu trzęsła całym wschodniem wybrzeżem adryatyckiem. Pospiesznie przeszedłem dość kręte, ale względnie czyste ulice dolnego miasta i zacząłem się wspinać w górę po dziwnej drodze, składającej się ze schodów i teras wyłożonych gładkimi, wyszlizganymi płytami. Jest to rodzaj kalwaryi i na każdej terasie znajdują się sklepione i w skale kute kapliczki pełne ołtarzyków, obrazów, świec płonących i pobożnych zamodlonych pątników. Cała ta droga jest nad wyraz oryginalna i niezwykła, a jednak przypominałem sobie, że już kiedyś w życiu drapałem się po podobnych schodach w skale kutych. Nagle serdeczne wspomnienie stanęło mi jasno w umyśle... Tak, takie same schody znajdują się w Kamieńcu podolskim... Wieleż razy wspinałem się po nich, chcąc krótszą drogą dostać się z miasta na Polskie Folwarki. Wspomnienie to rozmarzyło mnie niezwykajnie. Stawałem co chwila i spozierałem przez arkady kapliczek w dół na ruchliwe miasto portowe, na las masztów w zatoce, na lazurową, cudną powierzchnię kwarnerskiego zaułku, który, jak jezioro jakie zewsząd otoczone białymi skałami, tworzy tak doskonałą, tak artystycznie zamkniętą całość, że tylko wszechmoc Boska tak doskonałe, tak wykończone dzieło stworzyć może.

W myślach tych pogrążony doszedłem do kościołka, ale o dostaniu się do środka mowy nawet nie było, taki był ścisk, że nawet blisko bramy dopchać się nie mogłem. Stałem więc na uboczu i z ciekawością przypatrywałem się tym tłumom, pogrążonym w gorącej modlitwie. Doznawałem przytem przyjemnego wrażenia, bo do uszu mych dochodziły słowa księdza odprawiającego mszę św. pod gołem niebem, przy ołtarzu opartym o zewnętrzne ściany kościołka, słowa te były słowiańskie, rodzime, tak bardzo własny mój język przypomi-

nające... Franciszkanin po mszy świętej zaczął odmawiać litanie, a cały tłum potężnym głosem powtarzał:

— *O Majko Boża! O Majko Boża!*

Nagle wzrok mój spoczął na świetnym, w błyszczący od złota mundur odzianym oficerze huzarów węgierskich. Dostrzegłem ze zdziwieniem, że i on mi się z ciekawością przypatrywał. Wreszcie nasze oczy się spotkały, on drgnął i wyraz radości wypiętnował się na jego smagłej, ogorzałej twarzy; w tej chwili wydało mi się, że twarz tę znam, że ją już w życiu widziałem, a nawet często i długo na nią patrzyłem. Nie mogłem jednak przypomnieć sobie, kto by to taki był.

Litania się skończyła, tłum powstał na nogi i pocałował się cisnąć do bramy. W tej chwili spostrzegłem oficera tuż obok mnie. Wyciągnął do mnie rękę na powitanie i uśmiechając się przyjaźnie zawołał:

— Cóż nie poznajesz mnie?

Stałem milczący.

— Nie poznajesz! A jednak cztery lata obok siebie na jednej ławce siedzieliśmy.

— Stefan Poziomski! — zawołałem radośnie i w rzeczy samej teraz nietylko go poznałem, ale przypomniałem sobie do najdrobniejszych szczegółów, nasze lata szkolne, naszą przyjaźń, wspólność gustów i zapatrywań.

— A ja cię od razu poznałem — mówił smętnym głosem. — Choć zmieniłeś się, utyłś.

— Stefan! Stefan! — powtarzałem z rozrzewnieniem i ścisnąłem jego suchą, muskularną dłoń. — Dwadzieścia lat cię nie widziałem. Trudno mi było poznać cię pod tym wspaniałym rotmistrzowskim mundurem.

— Już mi ten mundur dokuczył — przerwał mi porywczo — ale co mam robić, muszę go nosić, bo innego życia nie mam... Cóż ty tu robisz?

Opowiedziałem mu w pośpiechu przyczyny mego pobytu w Abbazyi.

— Teraz idę do zamku Frangipanich — dodałem — jeżeli masz czas to chodź ze mną... Pogawędzimy.

— Teraz nie mogę — odrzekł z pewnem zakłopotaniem. — Muszę tę panią odprowadzić do domu.

I wskazał mi oczyma cudowną postać kobiecą, starającą się docisnąć do przepełnionej pobożnymi furty. Oniemiałem z zachwytu, tak pięknej blondynki z czarnymi oczami w życiu swem nie widziałem. Była wprost olśniewającej piękności.

On spostrzegł ten zachwyt, uśmiechnął się po oficersku i szepnął mi do ucha:

— A co, prawda, że mam oko? W ciągu tygodnia pobytu w Rjece, umiałem ją wyszukać i znajomość zawrzeć. Prawda, że po huzarsku?

Nic mu nie mogłem odpowiedzieć.

On ucisnął mi rękę i wesoło zawołał:

Nie patrz na nią, jak wół na słońce. Kobiętę przestraszysz!... Do widzenia! Idź do zamku, za kwadrans tam będę.

Za chwilę był obok pięknej Rjeczanki. I widziałem jak ich oczy spotkały się ze sobą, jak w magnetycznym upojeniu. Dostrzegłem, znane mi z obserwacji na innych, miłosne półuśmiechy i figlarne spojrzenia i całą tę dziwną, słów pozbawioną mowę miłości, którą kochankowie od wieków z takim kunsztem używać zwykli. Przyznam się, że uczułem żądło zazdrości w piersi i pomyślałem: dlaczego ja nigdy takich rozkoszy nie doznaję, dlaczego nie jestem w stanie zadowalać się temi miłośkami spotykanemi co chwila na drodze życia, do niczego nie zobowiązującemi — tylko szukam jakiejś niezwyklej, nadziemskiej miłości, której znaleźć nie mogę, tylko na bolesne rozczarowania się narażając?

Wyszedłem z podwórca kościelnego ze spuszczoną głową, zamyślony nad zagadnieniami życia. W dali spostrzegłem dwie postacie wysokie, smukłe, nachylone ku

sobie: błyszczącego oficera huzarów i czarno ubraną Rjeczanę. Wkrótce skręciłem do zamku i znikli mi z oczu, lecz nie znikli z myśli. W tej chwili przypomniały mi się dokładnie czasy, gdyśmy obok siebie z Poziomskim na ławie szkolnej siedzieli. Był to chłopak bardzo dobry, uczynny, przyjacielski, tylko zazwyczaj trochę smutny i pozbawiony tego humoru i wesołości, które cechują pierwsze dni młodości — zaranie życia. W trzeciej klasie przyszedł do nas z Tarnowa chłopak wesoły, trochę wisus i pustak, którego ze szkół tarnowskich za jakieś psoty wydalono; był synem zamożnego szlachcica i wiedział, co się w tamtejszem »towarzystwie« dzieje. Zrazu uciekał i stronił od Poziomskiego, a nam na ucho szeptał, że stary Poziomski w nieuczciwy sposób dorobił się fortuny. Po pewnym jednak przeciągu czasu Poziomski potrafił i tego niechętnego zjednać sobie i do dwu miesięcy byli w najściślejszej przyjaźni. Nie trudno zresztą było Poziomskiemu jednać sobie przyjaciół, miał zawsze wiele pieniędzy i każdemu w potrzebie dopomógł drobną sumką, o którą się nigdy nie upominał.

Co do mnie, choć nigdy nie posługiwałem się jego kredytem, jednak lubiłem go bardzo; była w nim jakaś słodycz charakteru i chęć dogodzenia drugim, która wprost do niego zniewalała...

Po skończeniu czwartej klasy zniknął nam zupełnie z oczu; ów sąsiad z tarnowskiego opowiadał, że Poziomski poszedł do szkoły wojskowej, że zdał świetnie egzamin wstępny i ma przyszłość przed sobą, bo za trzy lata zostanie oficerem.

Później nic o nim nie słyszałem, tylko w sprawozdaniach wyścigowych spotykałem czasem oficera Poziomskiego, w spisach wyścigowych jeźdźców z przeszkodami i właścicieli koni zwyciężających na arenach w Peszcie i Wiedniu.

Za chwilę miałem się spotkać z tym niezwykłym kolegą; przyznam się, że ciekawość mnie paliła, pragnąłem dowiedzieć się, jakimi drogami toczyło się to niezwykle życie.

Długo nie czekałem; za chwilę usłyszałem brzęk ostróg i pałasza, który mi zwiastował, że dawny kolega dotrzymał słowa.

Rotmistrz Poziomski, wspinając się po dość stromych i zmarzniętym śniegiem pokrytych schodach, wołał do mnie wesoło:

— Jak się masz, kochany! Dziwny zbieg okoliczności, potrzeba mi było aż do tej dziury przyjechać, ażeby się z tobą spotkać... Około dwadzieścia lat nie widzieliśmy się.

Podszedłem do skraju basztowej platformy i podałem mu rękę, pomagając mu do przebycia kilku ostatnich najbardziej oślizłych schodów.

— Koncept miałeś nie lada — zawołał kpiącym głosem — drapać się na te walące się zabytki... To się nazywa zamek!... Dwie nasze armaty za kwadrans zrobiłyby z tego kupę gruzów... No, ale mniejsza z tem, dobrze, żeś się wybrał na zwiedzanie tego kurnika, bo w ten sposób spotkaliśmy się... Co tu robisz?

W najkrótszych słowach opowiedziałem mu przyczynę mego pobytu w Abbazyi i nawzajem spytałem:

— A cóż ciebie do Rjeki przyciągnęło! Przecież tu huzary nie stoją?

— No pewno! Cóżby tu robili, po tych wertepach manewrować nie można... Ot zwykła mądrość naszego ministerstwa. Robią spis koni. Do każdego komitatu wysłali rotmistrza i weterynarza i po komitatatach mają co robić przez trzy tygodnie... a że Rjeka uważa się także za komitat, więc i mnie z całym sztabem przysłali na taki sam przeciąg czasu... Chabety tutejsze spi-
sałem w kilka godzin, a teraz baki zbijam, bo zgoła nie

mam co robić, do pułku niema poco wracać, a do Pe-sztu lub Wiednia nie można.

— Nudzić się nie nudzisz — przerwałem mu z pewną złośliwością — widziałem, że asystujesz jakiejś prześlicznej Rjeczance... Co to za jedna?

— Żona *torgowca*. Mąż jej jest bogaty, handluje drzewem, ale zupełnie prosty człowiek, gbur nieokrzesany. A ona z lepszej, wykształcenijszej rodziny; matka jej była Włoszką, ojciec Chorwat, był urzędnikiem w porcie... Biedna kobieta!

— Więc ją w tej biedzie pocieszasz.

— Cóż mam robić! — zawołał porywcz. — Moje życie składa się z takich pocieszeń.

Ostatnie słowa brzmiały jakoś tak smutnie i żałośnie, że mi go się serdecznie żał zrobiło, wziąłem więc znowu jego rękę i patrząc mu wprost w oczy mówiłem:

— Stefek! Ty nie masz prawa tak mówić... Masz względem społeczeństwa obowiązki... Bóg ci dał zdolności i majątek nie na to, żebyś to wszystko zmarnował, uganiając się za łatwymi romansami po całym szerokim świecie.

Przez chwilę myślałem, że się rozgniewa, bo najeżyły mu się czarne wąsy i zmarszczył czoło. Po chwili jednak rozśmiał się serdecznie i zawołał:

— Dobryś! Palisz mi kazanie, traktujesz morałem, a nie wiesz, że to wszystko, co mi zalecasz, chciałem zrobić, ale nie mogłem. Cieszę się, że cię spotkałem. Dość tego oglądania nadbrzeżnych skał. Chodź do mnie na obiad, opowiem ci przez jakie kolce przeszedłem... Podłe życie, pies go gryź, a nasze kochane społeczeństwo to najniesprawiedliwsze istoty na świecie.

I zaczął schodzić pospiesznie na dół.. Rzucił dużą srebrną monetę, kłaniającemu się do stóp burgrabiemu, szepnął komplement kryjącej się poza ojcem córce i pogwizdując arzę z »Cygańskiego barona« wyszedł na sze-

roka ulicę. Szedłem za nim milcząc i przypatrując mu się pilnie, myślałem, czy przypadkiem ten zawadycki i lekkomyślny oficer nie powiedział prawdy głębokiej.

Wyszedłszy na szeroką drogę publiczną chciałem skierować się w stronę kościoła, lecz Poziomski zatrzymał mnie mówiąc:

— Chodź w stronę przeciwną. Tam koło zajazdu czeka na mnie dorożka, której po siebie kazałem wyjechać... Po kalwaryach lubię chodzić w towarzystwie pięknych kobiet... Z mężczyznami wolę jeździć... Chciał trochę dalej na około, ale daleko wygodniej niż spuszczać się z tysiąca stopni...

Przeszedłszy jakie pięćset kroków w rzeczy samej spostrzegliśmy dorożkę, w której ulokowaliśmy się wygodnie i okrążając całą kotlinę Rjeki, pędziliśmy kłusem wybieganych *Lipicanerów* do hotelu Deaka.

Przez drogę nie mówiliśmy prawie z sobą; Poziomski palił cygaro, ja zaś pogrążyłem się w myślach, które kłębiły się i zmieniały jak obrazki w kalejdoskopie.

Gdyśmy weszli do obszernego i wykwintnego mieszkania, które rotmistrz zajmował w hotelu, stary służący słysząc, że rozmawiam z Poziomskim po polsku, omal że nie oszalał z radości i po rękach mnie całował i co dwie sekundy powtarzał:

— Wielmożny panie!... Wielmożnego pana i t. d., przez wszystkie przypadki.

— Dość tej radości, stary — zakomenderował rotmistrz. — Biegaj na dół i przynieś z restauracyi kartę, dziś będziemy jedli w numerze...

— Słucham wielmożnego pana — odparł radośnie — pewno, że lepiej w numerze... Między swoimi.

Po spożytym obiedzie, przy czarnej kawie Poziomski wpadł w jakiś dziwny zapał i począł mi się wywnętrzać, opowiadał mi przykrości, jakich doznał w kraju od swoich:

— Najszczęśliwsze lata mego życia były te, w których razem siedzieliśmy na szkolnej ławce... I to przez pierwsze trzy klasy. W czwartej już się coś w około mnie psuć zaczęło, koledzy się odemnie odsuwali, nauczyciele niechętnem okiem na mnie spoglądali. Najgorzszy był Wolgar — przypominasz go sobie — uczył nas łaciny i polskiego języka, prześladował mnie strasznie... Wreszcie w końcu roku dał mi całkiem niesprawiedliwie dwójkę z obu przedmiotów. Poleciałem do niego pytać, zaco mnie prześladowuje. Śmiał się jak satyr i poradził, żebym się z krajowych szkół wynosił, bo niema tu miejsca dla syna szubrawca.

Tu przerwał i gwałtownym ruchem wypił spory kieliszek likieru, a później zawołał porywczco:

— To straszne słowo zdruzgotało mi życie... A ten zarzut zrobiony tak lekkomyślnie memu ojcu był niesprawiedliwy, był fałszywy, później doszedłem tego... Stary nie bardzo przebierał w środkach zdobycia fortuny, ale pieniędzy publicznych nie kradł. Na to daję ci słowo honoru.

— Ależ nie wątpię — odparłem, uspokajając go.

— Na razie nie wiedziałem co robić, ojcu nie chciałem mówić o tem zajściu, bo nie chciałem mu krwawić serca... zresztą, choć kochałem go w gruncie, jednak zaufanie do niego straciłem... W czasie feryi szkolnych oficerowie stali na kwaterach u nas, porozumiałem się z nimi i jeden z nich namówił mego ojca, żeby mnie oddał do szkoły wojskowej.

— Od tego czasu ciebie nie widziałem — szepnąłem.

— Tak jest, od tego czasu przez lat sześć nie pokazywałem się w kraju. Uczyłem się świetnie, a na czas wakacyi mój stary przyjeżdżał do mnie i zabierał mnie na kilka tygodni gdzieś w Alpy, do Szwajcaryi, lub nad morze. Zostawszy oficerem ułanów, pierwsze lata służyłem w Wiedniu, bo tam pułk stał... Później przenieśli

nas do Galicyi w najbliższe sąsiedztwo majątku mego ojca — sztab pułku stał w Tarnowie.

— I cóż, nie cieszyłeś się tą zmianą? — spytałem bezmyślnie.

— Cieszyć się! — zawołał gwałtownie. — Przeciwnie, nie pamiętam w życiu takiej katuszy duchowej jak ten marsz konno z Wiednia do Tarnowa. Dzień po dniu zbliżaliśmy się o cztery mile do kraju... Do tego kraju, w którym mi byle kto mógł w oczy rzucić straszłą obelgę: syn zdrajcy! — Wiedziałem, że każdemu, ktoby się ośmielił te słowa wyrzec, wpakuję w piersi kulę, ale, wierzaj mi, nie miałem żadnej ochoty zabijać ludzi... Nie!... Przeciwnie, ja ich chciałem kochać, serdecznie przyciskać do piersi. Taka już moja natura!

Zamilkł na chwilę, a ja pogrążyłem się w smutnych rozmyślaniach nad tragicznością losu tego świętego oficera. Dziwnym darem, który otrzymałem od Boga, wyczuwałem wszelkie tortury opowiadającego, tak, jakbym ich sam doznawał. On tymczasem zaczął znowu mówić, a ból straszny wprost sączył się z każdego słowa.

— Lecz wszystko to, co przypuszczałem, że mnie w tym kraju czeka, było niczem w porównaniu z rzeczywistością. Zrazu nie doświadczałem żadnej niechęci ze strony ludzi. Przyjmowali mnie z otwartymi rękoma. Do miesiąca znałem już całą okolicę i na rękach mnie noszono. Znaczenie fortuny mego ojca było takie, że w kilku wystawniejszych obywatelskich domach, gdzie były córki na wydaniu, w wyraźny sposób dawano mi do poznania, że z ochotą powitanoby mnie jako zięcia. Miałem jednak zawsze nieszczęśliwą naturę — nie podobano mi się to, co łatwo zdobyć można... Przeciwnie pokochałem dziewczynę, której dostać nie mogłem, chociaż i ona mnie wzajemnie kochała... To był dramat mego życia!

Czułem, że każde słowo, które on teraz mówił, wychodziło z ust jego ze strasznym bolem. Były to bole porodu duchowego; uczucia poczęte przed laty, spoczywające tak długo na dnie duszy, dziś w chwili niezwykłej chęci wywnętrzenia się, rodziły się na świat, szarpiając mu nerwy i targając mięśnie serca... Widocznie jednak, że dojrzały już zupełnie i zachodziła potrzeba duchowa, która wprost zmuszała go do podzielenia się niemi z drugim człowiekiem. Los zdarzył, że ja musiałem wysłuchać tej spowiedzi. Słuchałem więc tych słów bez oddechu, pochłaniałem te wyznania, w których widniała prawdziwie naga dusza.

— Pokochałem dziewczynę zupełnie ubogą, ale śliczną i uroczą jak marzenie. Cudna była ze swojemi modremi oczami, olbrzymimi płowymi włosami i tą dziwną melancholią rozlewającą się na jej delikatnej twarzy... Była córką jedynaczką wdowca, starego szlachcica, familianta, który cały majątek stracił w jakichś zawieruchach politycznych, teraz trzymał w dzierżawie folwarczek od swego krewnego, najpotężniejszego magnata w okolicy. I ona mnie pokochała serdecznie, każdy jej ruch, każde słowo mówiło mi, że jestem jej nad wszystko drogi.

Przerwał, bo mu tchu w piersi zabrakło i łyzy spływały po ogorzalej, męskiej twarzy. Milczeliśmy czas jakiś obaj, bo nie miałem wprost siły pytać go o dalsze losy tej nieszczęśliwej miłości, wkrótce jednak zwyciężył ból i mówił dalej:

— Krótko trwało moje szczęście!... Przez sześć tygodni spotykaliśmy się z Anną w sąsiedztwie i te wystarczyły, żebyśmy się wzajemnie pokochali, choć żadnych wyznań pomiędzy nami nie było, wiedziałem doskonale, że mi jest całą duszą oddana. Wreszcie pojechałem do nich. Ojciec jej przyjął mnie zimno, nawet odpychająco. Myślałem, że uważa mnie za zwykłego

oficera, który niema poważnych zamiarów i tylko dla zabawy chce pannę bałamucić. Przypuszczałem, że usposobienie to zmieni się, jak otwarcie mu wyznam, w jakich zamiarach przybywam... Przy pierwszej wizycie nie miałem sposobności zrobić tego wyznania, później już w tym domu nie byłem.

— Cóż się stało? — zapytałem wzburzony i zaciekawiony zarazem.

— Słuchaj! — odrzekł z goryczą. — Na drugi dzień po mej wizycie przyjechał stary żbik do mojej kwatery. Bardzo spokojnie, bez cienia ubliżenia, nawet z komplementami dla mej osoby, powiedział mi, że między nim a moim ojcem przed laty dwudziestu kilku zaszły jakieś tak ważne przejścia, że nawet mowy o tem niema, by syn Poziomskiego miał się żenić z jego córką... Mówił, że ona uboga, a ja bogaty i t. p. głupstwa. A gdym mu perswadował, że to nic nie znaczy, skończył rozmowę stanowczo: »Przepaść między wami leży, ani za życia, ani po śmierci nie pozwolę, żeby Andzia za pana wyszła«. — Po tych słowach skinął mi głową, mrugnął złowrogo szaremi oczami, nasrożył siwe wąsy i wyszedł z pokoju.

— Cóż dalej, dalej? — pytałem niecierpliwie.

— Cóż?... Na drugi dzień dowiedziałem się, że Annę odwieźli do dalekiego klasztoru i oddano mi list od niej, w którym ona stanowczo oświadczyła, żebym zapomniał o niej zupełnie, bo »pomiędzy nią a mną leży przepaść nie do przebycia«.

Po tych słowach rotmistrz zerwał się i kilka minut latał jak szalony po pokoju, wreszcie uspokoił się trochę i chodząc ciągle mówił gwałtownie:

— Poleciałem za nią do tego klasztoru. Pozwolili mi nawet z nią widzieć się. Opowiedziała mi, że sama chciała tam jechać, że przeszkody są nie do zwalczania, że nasi ojcowie należeli ongiś do przeciwnych obozów

i że między nimi zaszło coś takiego, co stanowi nieprzełamana przeszkodę naszego połączenia. Prosiła, bym ją poniechał i nie zakłócał jej spokoju. Próbowałem ze starym — nic z tego. Wreszcie wziąłem urlop, pojechałem za granicę, później przenieśliem się od ułanów do huzarów, do węgierskiego pułku... W rok później dowiedziałem się, że Anna została zakonnica... Życie się dla mnie skończyło, jak nadzieja szczęścia zgasła, wegetowałem! Miałem konie wyścigowe, a że mam oko i sam dobrze jeżdżę, więc dużo pieniędzy wygrywałem. Pić dużo nie mogłem, bo mam wstręt do tego, ale zamiast miłości nurzałem się w miłostkach wszelkiego gatunku. I damy z arystokracji i damy półświatka były przedmiotem moich удаłych zabiegów. Sławę sobie zyskałem w pewnej sferze. Zapelnia mi to życie, zajmuje mnie chwilowo, ale w duszy pustka, a w sercu nuda.

W słowach tych był smutek olbrzymi, że żal mi go się strasznie zrobiło i począłem mu tłumaczyć, że młody jest, że bądź co bądź ma obowiązki względem kraju, że, jeżeli ojciec w czem zawinił, to jego rolą jest błąd ten naprawić. On słuchał uważnie, lecz uśmiechnął się ironicznie. Wreszcie zawołał porywczo:

— To, co ty mi tu mówisz, powtarzałem sam sobie po tysiąc razy. Ale nic z tego, jestem połamany człowiek, ta sprężyna, która mnie popychała do lepszego, szlachetniejszego życia, pękła i nikt jej nie naprawi, ni nowej nie włoży.

— Cóż zrobisz? — pytałem uparcie.

— Co! Ożenię się z tą Chorwatką, którą dziś rano widziałeś. Ona mężatka, rozwiodę ją, będzie zajęcie na jaki rok... A ona mi się bardzo podoba... Ma głos całkiem do Anny podobny... Im więcej stary Kornicz, jej mąż, będzie przeszkód stawiał, tem mi będzie droższą. Ona mnie kocha do szaleństwa, będę miał dobrą żonę... No i piękną nad wszelkie porównanie.

Milczeliśmy potem długie półgodziny, on palił cygaro i dym puszczał w misterne kółka, ja dumałem nad smutnym losem tego kolegi. I żał mi go było okrutnie. Żał zmarnowanych zdolności, zapału i szlachetnych porywów... Myślałem nad tem, jak krwawo czasem mści się społeczeństwo na dzieciach za winy ojców i jak nawet tą zemstą krzywdę sobie robi.

Później myśli moje przeszły na całkiem inne tory; zacząłem sobie przypominać różne opowieści, zasłyszane już w Abbazyi o zawziętości Słowian nad Adryatykiem zamieszkałych, o różnych wypadkach zemsty krwawej pokrzywdzonych mężów, o krwawych zabójstwach i morderstwach, więc lęk uczułem w duszy o tego świetnego oficera i żał wielki, że on może życie narazić w tej miłosnej awanturze. Zebrawszy więc myśli, rzekłem doń — panując nad wewnętrznem wzburzeniem — spokojnie:

— Uważaj tylko, Stefku, żeby cię ten Kornicz gdzie z za węgła nie zastrzelił.

Słowa moje wywarły wręcz przeciwny skutek niż myślałem. Rozśmiał się tylko ironicznie, nieprzyjemnie, mówiąc:

— Nie wielka szkoda! Nic nie mam do stracenia... Zawsze to nie zwykła i romantyczna by była śmierć... Warta ostatnich dziesięciu lat mego życia!

Zmieniłem przedmiot rozmowy, mówiliśmy o koniach, o polowaniu, wspominaliśmy o dawnych szkolnych czasach, wreszcie spojrziałem na zegarek i widząc, że się zbliża czas odejścia ostatniego statku do Abbazyi, począłem się z nim żegnać.

— Zostań! — zawołał. — Pójdziemy razem do Korniczów, poznasz mą przyszłą żonę i jej terażniejszego męża... Robisz studia, dla ciebie to będzie ciekawe... Przenocujesz później u mnie, mam miejsca dość.

Stanowczo oparłem się tej propozycji i chociaż widziałem, że on z tego nie był kontent, pożegnałem go

i w kwadrans później unosił mnie parowiec z powrotem do Abbazyi. Gdyśmy już odbijali od brzegu, Stefek zawołał do mnie:

— Jutro lub pojutrze cię odwiedzę, ale daj mi słowo, że nie zapoznasz mnie gwałtem z żadną hrabiną galicyjską, ni litewską patriotką.

Mówił coś więcej, ale gwizd maszyny zagłuszył słowa, tak, że nic słyszeć nie mogłem.

* * *

Opowiadanie Poziomskiego tak na mnie podziałało głęboko, tak pobudziło do twórczości siłę wyobraźni, że wróciwszy do Abbazyi zamknąłem się w moim pokoju i zabrałem się gwałtownie do opracowania powiastki, która od długiego już czasu kołatała mi się w mózgu, pod wpływem silnego wrażenia poczułem, nieprzepartą konieczność nadania tym marzeniom pozytywnych form. Pracowałem więc bez wytchnienia prawie, a myśl o mej pracy i proces tworzenia i formowania powieści tak mi zaprzątnął umysł, że prawie zupełnie o Poziomskim zapomniałem.

W trzy dni po widzeniu się z nim przyjechał do mnie, ale bawił krótko, nic nie opowiadał, ani się wynętrał ze swej miłości do pięknej czarnookiej Rjezczanki. Po godzinie obojętnej rozmowy odjechał. Przyznam się nawet, że był rad temu, bo piekły mnie prosto dalsze, ułożone już rozdziały mej pracy.

W kilka dni później przysłał Poziomski swego starego służącego z biletem, w którym zapraszał mnie na obiad i namawiał do odwiedzenia rodziny Korniczów. Odpisałem, że strasznie zajęty i nie mam ani chwili wolnego czasu. Dodałem, że proszę go, by mnie uwiadomił o dniu swego wyjazdu, to dzień przed tem odwiedzę go i pożegniam. Odpowiedzi na ten list nie otrzymałem żadnej.

Nagle w pewien pochmurny, ponury dzień, ktoś gwałtownie zapukał do drzwi mego pokoju. Po chwili wpadł do środka stary służący Poziomskiego. Sam widok tego człowieka przeraził mnie... Byłem pewny, że się jakieś nieszczęście stało. Ubranie na starym było w nieporządku, włosy wzburzone, a twarz blada i napiętnowana jakimś przestraczem okropnym.

— Wielmożny panie! — zawołał z trudnością chwytając oddech. — Wielmożny panie! Nieszczęście, koniec świata... Pana rotmistrza zabili, zastrzelili, zamordowali.

— Gdzie? Kto? Jak? — pytałem zerwawszy się od biurka.

Minęło z pięć minut czasu, zanim zdołałem starego doprowadzić do takiej równowagi, że mi mógł zrozumieć rzecz całą opowiedzieć.

— Było tak: — mówił — z wieczora pan rotmistrz mi powiedział, że rano o szóstej wracamy do Pesztu. Kazał rzeczy spakować, rachunek w hotelu zapłacił i rozporządził, żebym go z rzeczami na dworcu czekał. Dał pieniądze żebym kupił dwa bilety pierwszej klasy, bilet dla siebie i rzeczy nadał. Odrazu się dorozumiałem, że będzie jakaś marmozela z nami jechać, bo to już nieraz się trafiało. Ale mówić nic nie mówiłem, bo z panem rotmistrzem nie żarty.

Bojąc się, by stary nie wdał się w zadługie opowiadanie, przerwałem mu pytając:

— No i co?

— A cóż! pojechałem, bilety kupiłem, czekam, pociąg poszedł, a rotmistrza niema. Lęk mnie zdjął okrutny, bo on nigdy nigdzie na sekundę się nie spóźnił... Coś mnie tknęło, że to coś złego i domyślałem się, że to musi być z tymi Korniczami, bo on ostatnimi dniami co dnia tam chodził, a pod sekretem powiedziałszy, ona do nas przychodziła. Zostawiłem rzeczy u portyera, biorę dorożkę, lecę tam aż na górę do Torsato. Patrzę,

dom na około obstąpili pandury i policyanci.. Pytam, jak, co — odpowiadają, że rotmistrza zdaje się Kornicę śmiertelnie ze strzelby postrzelił i sam z żoną uciekł... Rano o godzinie czwartej robotnicy znaleźli we krwi leżącego mego pana, a tych zbójców już ani śladu nie było... Dom pusty. Pytam, gdzie mój pan? powiadają, że w szpitalu wojskowym, że tam już koło niego doktorzy. Poleciałem do szpitala, pan jak mnie zobaczył, ucieszył się, ale nic nie mówił, tylko kazał mi lecieć po wielmożnego pana, bo ma przed śmiercią coś mówić, może chce legat robić, albo co?

Gdy to stary opowiadał, ubierałem się pospiesznie. Skoro tylko byłem gotowy do wyjścia, kazałem staremu wracać do parowej łodzi, którą przybył do Abbazy i tam czekać w porcie mego nadejścia. Sam, przypomniałem sobie, że w hotelu Stefanii mieszka sławny chirurg wiedeński, który tu bawił dla wytchnienia, poleciałem doń. Był to dzielny, stary doktor, nie robił nawet żadnych ceregielów i za pięć minut był gotów do odjazdu. U doktora tylko napisałem kilka słów do znajomego polskiego księdza ze zgromadzenia Zmartwychwstańców, prosząc, żeby przyjechał pierwszym parowcem, odchodzącym do Rjeki, dla udzielenia ostatniej pociechy umierającemu rodakowi. Wszystko to nie trwało dłużej niż dziesięć minut. Stary czekał w porcie i wnet mała strażnicza łódź z szaloną szybkością pruća wzburzone fale kwarnerskiej zatoki. Milcząc siedzieliśmy przyciśnięci do siebie i tylko czasem srebrny grzbiet fali przelewał się ponad łodzią i obsypywał nas deszczem zimnych, orzeźwiających kropel morskiej wody.

W szpitalu panował ruch i wzburzenie, po kurytarzach uwijali się zaaferowani młodzi lekarze wojskowi, audytor, władze policyjne, notaryusz... Sławne jednak nazwisko wiedeńskiego profesora wszędzie nam drogę torowało, lekarze wojskowi pochylali przed nim głowy

jak przed świętym. Do mnie zbliżył się audytor, dziwnym zbiegiem okoliczności także Polak, i rzekł po formalnościach wzajemnego przedstawienia:

— Mamy tu do czynienia z podstępną zbrodnią. Rotmistrz Poziomski zeznał, że sam się przez nieuwagę postrzelił, tymczasem strzał padł z boku, prawie z tyłu, ugrzązł w lewej łopatce i w karku... A co najdziwniejsze, że lekarze z rany powydobywali jakieś zardzewiałe, nieforemne żelazne siekańce... Powiadają, że rana nie jest śmiertelna, tylko bardzo wiele krwi spłynęło.

Spieszno mi było do chorego, więc przeprosiłem uprzejmego audytora i wszedłem do pokoju, w którym on leżał. Wiedeński chirurg już był przy nim, z baczną uwagą przypatrywał się ranie, przyczem marszczył czoło i coś mruzczał do siebie; później kazał pokazać sobie wydobyte z rany kawałki, zchmurzył się strasznie i skinął na mnie, żebym z nim wyszedł do drugiego pokoju. Tu krótko i węzłowato powiedział:

— Rana nie jest śmiertelna, ale chory umrze na zakażenie krwi... Postrzelony jest brudnymi, zardzewiałymi kawałkami żelaza, które w ranie leżały pewno z ośm godzin. Rana niedobra, a w takim miejscu, że amputować nie ma co. Ja zaraz wytnę i wypalę i przepiszę lekarstwa, ale sądzę, że to się nie na wiele przyda i chory trzech dni nie przeżyje. Jeżeli ma jakie interesa, niech załatwia dziś, bo wieczorem przyjdzie straszna gorączka i straci przytomność...

Pożegnałem profesora, prosząc, żeby jutro się jeszcze do chorego pofatygował, a sam pospieszyłem do Stefana.

— A co prawda, że *caput*? — zapytał swobodnie, gdy się do jego łóżka zbliżył. — Po minie tego profesora poznałem, że niema rady... Raz kozie śmierć!

Tu Poziomski skinął na mnie, bym się do niego zbliżył i dał znak, żeby wszyscy wyszli, oprócz mnie

i starego służącego. Gdyśmy zostali we trzech, rzekł powoli i dobitnie:

— Kornicz mnie z za płota postrzelił, ale moja ostatnia wola jest, żeby mu nic się nie stało. Na jego dobro, na jego własność nastawiałem, on się bronił. Ja bym to samo zrobił... Pokieruj tak, żeby on od odpowiedzialności był uwolniony.

Na to odrzekłem ponuro:

— Sam się już uwolnił, bo zabrał żonę i znikł, że ślad za nim zastygł. Jak się dostanie do Bośni, to i słych o nim zaginie, pewno się aż w Turcyi oprze...

— Bóg z nim! Niema o czem myśleć.

Pograżył się na chwil kilka w milczeniu, później rzekł cicho, niby z pewnem wahaniem i wstydem:

— Wiesz... jabym się chciał wypowiedać. Więcej niż dziesięć lat nie spowiadałem się, ale chciałbym księdza Polaka... On mnie lepiej zrozumie.

Odpowiedziałem mu, że pomyślałem już o tem i że ksiądz, Polak, bardzo światły, lada chwila nadejdzie.

Wyciągnął do mnie prawą rękę i szepnął cicho:

— Dziękuję ci!... Bóg cię tu zesłał, żebyś był moją opatrnością... Chciałbym — mówił dalej, namyślając się — tobie powierzyć wykonanie mej ostatniej woli... Trudne to nie będzie. Wezwij audytora.

Za chwilę kapitan wszedł do izby, a Poziomski powitawszy go uprzejmie rzekł:

— Serdecznie się cieszę, że pan Polak, będą mógł w ojczystym języku przy panu zrobić moje rozporządzenie, niech pan to spisze, sądzę, że pańskie potwierdzenie wystarczy.

— Rotmistrzu, masz czas, może tego rozporządzenia nie potrzeba — pocieszał go audytor — wszyscy lekarze mówią, że rana nie jest niebezpieczna.

— A ja czuję, że umrę — przerwał mu niecierpliwie. — Weź pan pióro i pisz.

Wkrótce zaczął dyktować:

»Ja, Stefan Poziomski, herbu Roch, szlachcic polski, rotmistrz drugiego pułku huzarów węgierskich, rozporządzam w godzinie śmierci, żeby wszystkie moje konie wyścigowe, wierzchowe i zaprzężne, wszelkie bronie, kosztowności, dywany, w ogóle wszystkie ruchomości znajdujące się w mieszkaniu mem w Peszcie, przy ulicy Andrassego numer 16, sprzedać przez licytację, a pieniądze stąd uzyskane, po strąceniu trzech tysięcy guldenów dla mego starego sługi Ignacego Burdymura, wypłacić klasztorowi panien Niepokalanego poczęcia w Jazłowcu w Galicyi. — Wykonawcą mej ostatniej woli naczyniam mego przyjaciela«...

Tu wymienił moje nazwisko.

»I mam nadzieję, że stanie się zadość mej woli«.

Gorączkowo przeczytał, mówiąc: — »wystarczy« — wziął za pióro i podpisał.

Audytor wezwał dwóch lekarzy, którzy podpisali testament jako świadkowie. I wszyscy wyszli z pokoju, tylko ja czuwałem przy chorym, a stary Ignacy w kącie beczał jak bóbr, nie mogąc się z żalu ukoić.

Żeby nie rozdrażniał chorego, posłałem go na stację telegraficzną w celu nadania depeszy do starego Poziomskiego z wieścią o wypadku syna.

Wkrótce nadszedł ksiądz z Przenajświętszym Sakramentem. Usunąłem się do drugiego pokoju i tam rozmawiałem bezmyślnie z młodym lekarzem wojskowym, który został przydzielony, aby bezustannie czuwał nad chorym. Wróciliśmy do izby rannego, gdy nas ksiądz wezwał, byśmy byli obecni przy udzielaniu Sakramentów.

Poziomski był spokojny, nawet miał twarz prawie wesołą. Komunię przyjął z wielką skruchą i pobożnością. A gdy się cały uroczysty obrzęd skończył, rzekł radośnie:

— Wielki mi ciężar z serca zdjąłeś księże, teraz mogę spokojnie umierać.

To były ostatnie słowa chorego, które mi dokładnie do dnia dzisiejszego w pamięci zostały, dodał tylko żegnając się z księdzem:

— Chcę, w razie śmierci, być pochowanym na cmentarzu w Torsato... Na prostym krzyżu z kamienia napisać: »Zginął marnie!«... To święta prawda!

Wnet po tem zapadł w dziwne odrętwienie i ja przy nim. Leżał spokojnie, tylko usta mu się nieznacznie poruszały, ale nie mogłem dociec, czy się modlił, czy coś szeptał niezrozumiale. Nad wieczorem przyszła maligna i chory stracił zupełnie przytomność.

Dwie doby tak przy nim przesiedziałem, ale całkiem pozbawiony byłem zdolności liczenia czasu. Dni te i noce wydały mi się wiekiem; w zmaconej pamięci odbijały się tylko zmieszane jęki, złorzeczenia, naprzemian zmieszane z płaczem i urywanymi objawami skruczy i żalu za zmarnowanym życiem. Były to straszne majaczenia człowieka, który przeszedł krótkie, ale pełne silnych wrażeń koleje, a wrażenia te odbijały się mglisto w przedśmiertnych skłębionych obrazach.

Jak we śnie przypominam sobie postacie, lekarzy i pomocników szpitalnych, którzy pomagali mi czuwać nad chorym i prawie gwałtem przytrzymywali go, gdy zrywał się w malignie z łóżka i chciał gdzieś w świat szeroki lecieć.

Trzeciej doby nad ranem nadjechał ojciec, skamieniały z bólu i zastał syna już konającego i bez najmniejszego śladu świadomości. Martwy i złamany wysłuchał opowieści mojej o ostatnich dniach umierającego i zimną wyschlą ręką zamknął mu sam oczy.

Wobec ciężkiego i straszego majestatu śmierci zdobył się na ciężkie wyznanie:

— Panie! — zawołał do mnie — moje życie jest przyczyną śmierci mego syna... pragnąłem, żeby miał życie jasne i bez troski, a grób mu przedwczesny zgutowałem... To tylko panu powiem — dodał — że świat się z nami niemiłosiernie obchodził... Prawda, zem skąpił i zbierał dla mego jedynaka... Prawda, że łza niejedna do mej fortuny przyschła, ale krwi na niej niema i przeciw ojczyźnie nie zgrzeszyłem niczem!... Chyba obojętnością i skąpstwem.

* * *

Pogrzeb odbył się z wielką wspaniałością. Wszystkie oddziały wojska, stojące w Fiume, towarzyszyły zmarłemu rotmistrzowi do grobu, a przed trumną jechał herold w stroju rycerza średniowiecznego, cały zakuty w stal. Muzyki wojskowe grały smutne marsze żałobne. Cała polska kolonia z Abbazyi i wszyscy oficerowie, bawiący tam na kuracyi, odprowadzili zmarłego do grobu. Starego Poziomskiego sam prowadziłem za trumną, bo sił mu brakowało i padał z bólu co chwila.

Po pogrzebie mi powiedział:

— Dziękuję panu za wszystko!... znam ostatnią wolę mego syna i święcie ją spełnię, z tą różnicą, że ani koni, ani ruchomości nie pozwolę przez licytację sprzedawać, tylko je sam kupię na pamiątkę i zapłacę dwa razy tyle, co warte. Legat dla Ignacego już załatwiłem, a na klasztor poszlę natychmiast po powrocie do domu pięćdziesiąt tysięcy reńskich... Zapis ten Stefan zrobił przez pamięć dla tej Anny, która jest zakonnicą w tym klasztorze.

* * *

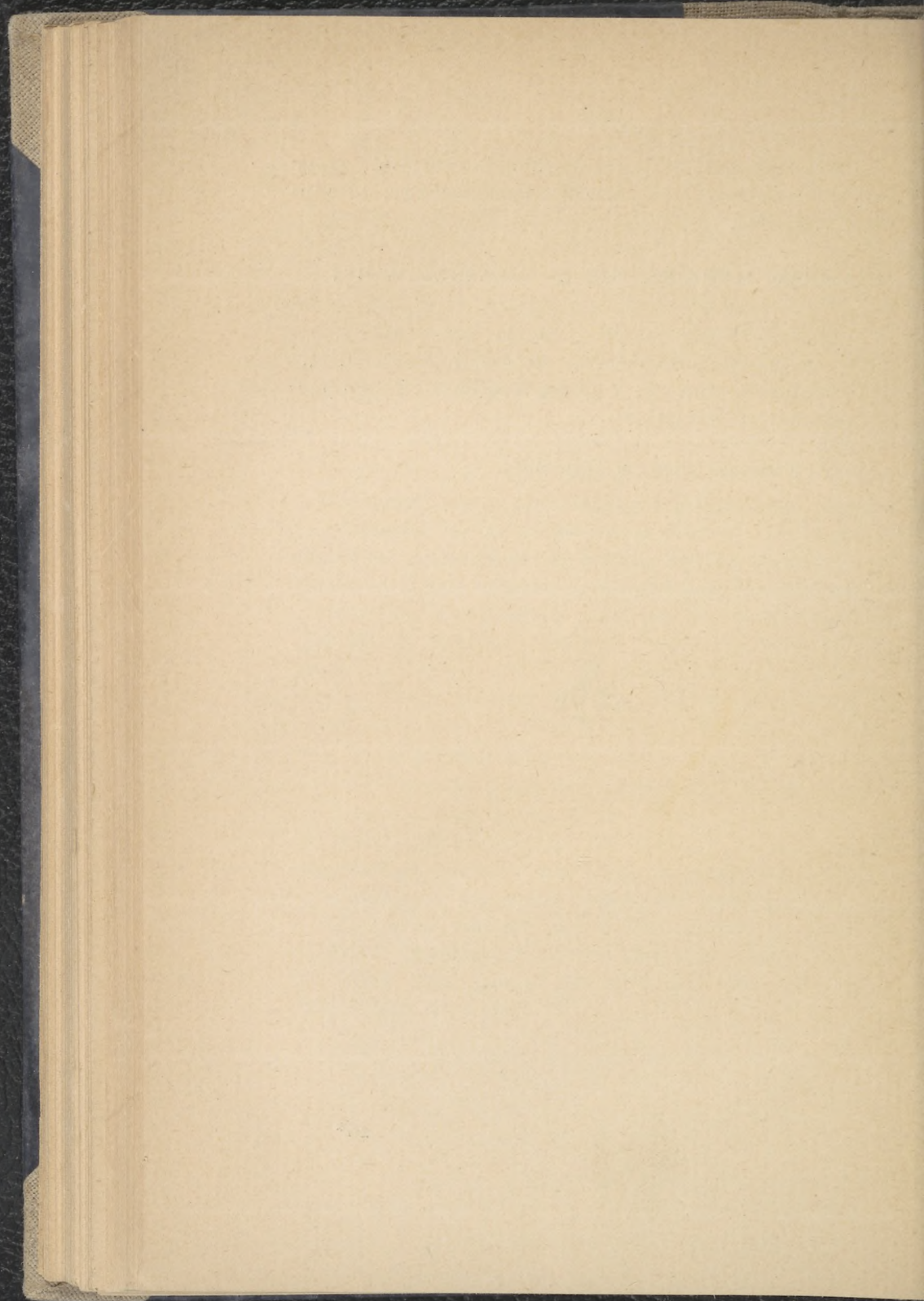
Na cmentarzu w Torsato widnieje olbrzymi, szary krzyż, a na nim wyryte nazwisko Poziomskiego, ze smutnym napisem:

ZGINĄŁ MARNIE... NIE Z WŁASNEJ WINY!

Ile razy o nim pomyślę, zadaję sobie straszne pytanie, czy nasze społeczeństwo nie jest za srogie dla ludzi, czasem niewinnych, a którzy mogliby być jego podporą, a nawet chlubą?...

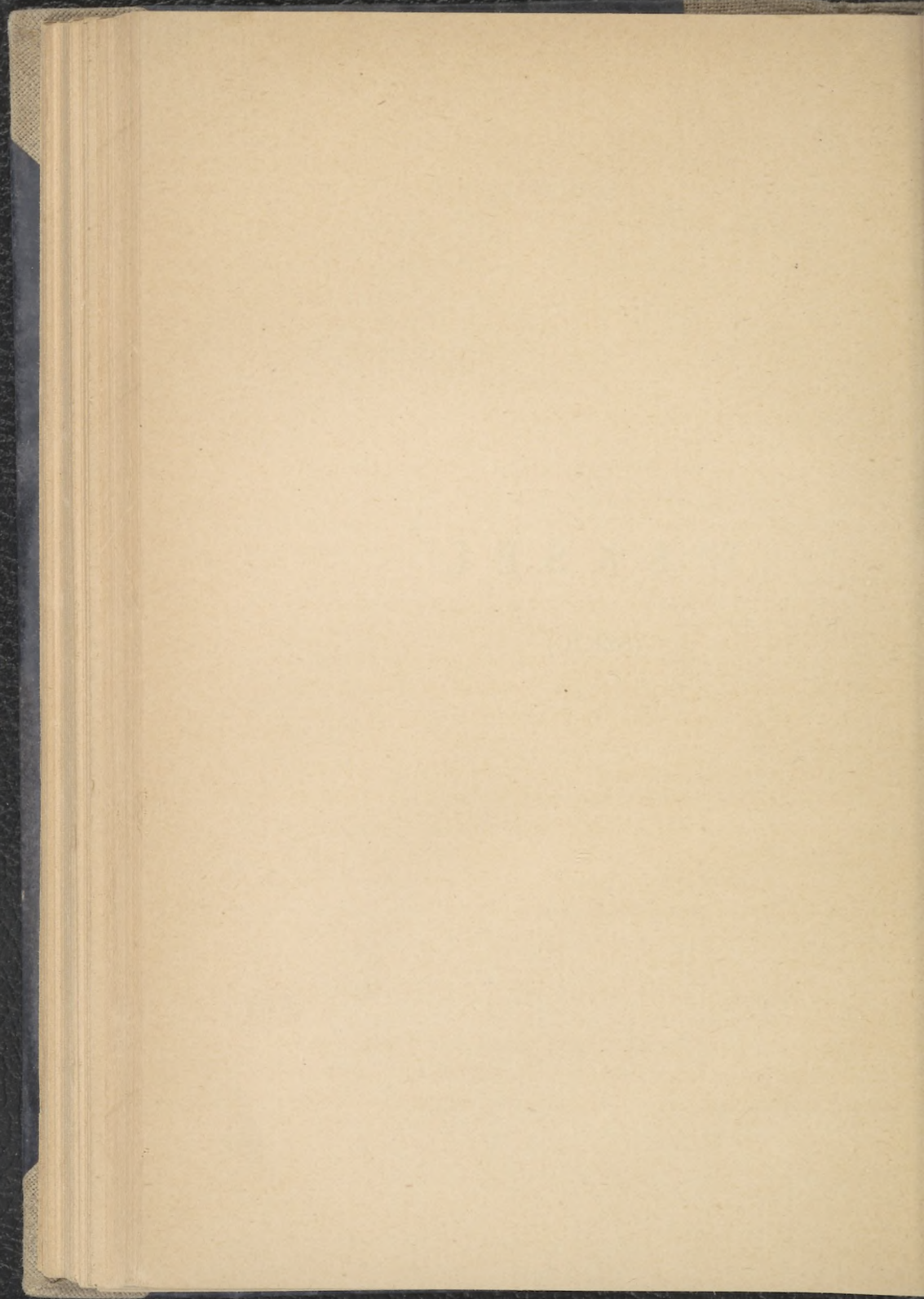
W kwietniu 1900, w Dubienku.





W E K S E L

(SZKIC)



Roman Garkowski był poetą.

W kraju, w którym nawet Mickiewicz nie opływał w dostatki, los młodego poety jest zawsze nie do pozazdroszczenia; z pisania wierszy więc Roman żyć nie mógł, a że miał wstręt do biurokracyi, nie mógł więc zostać urzędnikiem, przeto musiał zasiać do dziennikarskiego biurka.

Był panem, płacono mu sto guldenów miesięcznie. Chodził co dnia do teatru, jeździł darmo kolejami i nabierał znaczenia. Wiersze pisywał z łatwością i wielką wprawą, omal, że łatwiej mu było skleić »michałka« do kroniki rymowaną mową bogów, niż zwykłą, stateczną prozą...

Byłby tak chodził w poetyckim wieńcu długie lata, byłby z czasem zasiadał na wysoko położonych miejscach, przy uroczystych bankietach, miałby z pewnością skromnie urządzony jubileusz dwudziestopięcioletniej twórczości poetyckiej... gdyby nie to, że w piątym roku tej twórczości niespodzianie nagle umarł.

* *

Roman był poetą prawdziwym — miał duszę poezyi pełną.

Liczyć, kombinować, spekulować nie umiał; będąc w trzecim roku swej pracy dziennikarskiej na wakacjach u dalekiego krewnego, zapracowanego szlachcica,

zakochał się na zabój w pannie Anuli, córce »pana dziedzica«, a siostrze trzech innych pańienek dorastających i trzech »mundurowanych« gimnazystów... Miłość swą taił jak mógł, przed wszystkimi, tylko wyznał ją pannie Anuli i zyskał jej zupełną wzajemność...

Zakochani bali się jednak przyznać przed rodzicami, bo pamiętni trudności, jakie miał Mickiewicz z ożenieniem, byli pewni, że Roman będzie miał jeszcze większe, i że »pan dziedzic« nie pozwoli wyjść swej najstarszej i najukochańszej Anuli za... poetę.

Tajemnica trwała rok i kilka miesięcy. W tym czasie byli nad wyraz szczęśliwi. Roman pisał prawdziwie natchnione liryki do swego ideału, panna Anula kochała go nad życie... Cieszyli się tą swoją miłością, jak skarbem najdroższym. Roman roił, że zdobędzie sławę wielką, że stanie się sławnym poetą, że zdobędzie środki materyalne, zapewniające mu byt dostatni wraz z rodziną...

* * *

Epoka ta jego życia pełna marzeń poetycznych skończyła się nagle i niespodzianie.

Panna Anula przyznała się do swej miłości przed ukochaną ciotką; ciotka powiedziała matce, matka ojcu... Pan dziedzic obliczył odrazu, że lepiej córkę wydać za dziennikarza, który bądź co bądź miał kawałek chleba, niż czekać na problematycznego konkurenta ze świata szlacheckiego.

Przy pierwszej więc wizycie Romana, zagadnął go »prosto z mostu«: w jakim celu bywa w jego domu. Poeta zmieształ się ogromnie, zaczerwienił po uszy, przypuszczał, że raj jego skończył się, mimo to wyznał, że kocha nad życie pannę Anulę, że pragnie ją pojąć za żonę, tylko czeka na zdobycie sławy i dóbr. Ojciec był zdania, że czekanie do niczego nie doprowadzi

i powiedział, że najlepiej będzie, jeżeli będą dobijać się polepszenia losu we dwoje; dodał przytem, że posagu córce dać nie może, że sprawi jej wyprawę, urządzi wesela i da trzysta reńskich rocznie na utrzymanie.

Tak się stało. W trzy miesiące później Roman został mężem Anuli i pisał coraz piękniejsze liryki.

* * *

Był szczęśliwy najzupełniej.

Mała Anulka przyzwyczajona do skrzętności i pracy w ubogim domu wiejskim, potrafiła się odrazu zastosować do warunków miejskich. Mieli malutkie, o dwu pokojkach i kuchence mieszkanko w oficynie na drugiem piętrze, starą sługę ze wsi i stworzyli sobie raj.

Roman poznał, co to znaczy kochająca, mądra kobieta, wraz z żoną wydawali mniej, niż on pierwiej wydawał sam na siebie.

Rano bywał w redakcyi, popołudniu i wieczorem pisywał w domu. Ona otoczyła go opieką wszechstronną: bieliznę i ubranie miał zawsze w porządku, jadał skromnie, ale zdrowo i dostatnio; nie bywał nigdy w kawiarniach i innych nocnych lokalach... Koledzy śmiali się z niego, że siedzi u żony pod pantoflem, ale właśnie przez to ogromnie cenili i szanowali panią Romanową.

Poezye, które Roman pisywał w tej epoce, budziły ogólny zachwyt; zewsząd sypały się wyrazy uznania i zachęty... Przez kilka miesięcy napisał tyle, że mógł się zebrać z tego spory tomik. Ułożył to, uporządkował, popoprawiał i odniósł do wydawcy... Księgarz, krzywił się trochę, narzekał na ciężkie czasy, wreszcie zgodził się drukować, z warunkiem jednak, że honorarium, w kwocie stu pięćdziesięciu guldenów, wypłaci dopiero w pół roku po wyjściu książki... Roman zgodził się na to, bo nie miał żadnych naglących potrzeb.

* * *

W pół roku po ślubie, Roman dowiedział się »pod sekretem«, że Anula spodziewa się zostać matką... Radość jego była ogromna, żona stała się dlań świętością, pracował jak tytan, ażeby pomnożyć swe dochody i otoczyć żonę większym dostatkiem... Dawny przyjaciel jego rodziców, starszy lekarz, przychodził od czasu do czasu badać stan zdrowia Anuli... Nie budziło ono żadnych obaw.

Wiekowy doktor jednak z pewnym niepokojem spozierał na Romana samego. Pewnego razu, gdy przyszedłszy, nie zastał pani Anuli w domu, zwrócił się wprost do Romana.

— Słuchaj chłopcze — rzekł z powagą — rozbierz się, ja muszę cię zbadać.

Roman rozśmiał się wesoło.

— Nie śmieję się! — zgromił go lekarz. — Twoja cera mnie nie cieszy, masz dziwnie zmęczone i smutne oczy. Ja tego nie lubię.

Roman śmiał się ciągle i zapewniał doktora, że czuje się zdrów jak koń.

Doktor jednak uparł się i kazał mu się rozebrać. Stukał, pukał, przykładał jakieś słuchawki do uszu, głowę kręcił, marszczył czoło, wreszcie rzekł:

— Możesz się ubrać, żonie nic nie mów, ale jesteś mężczyzną, więc muszę ci jasno twój stan przedstawić... Serce jest osłabione, ma głucho tętno. Lata całe niespania, picie wódki, czarnej kawy w nadmiernej ilości, opalania się tytoniem, zrobiły swoje.

Roman patrzył nań z przerażeniem.

— Nie obawiaj się — mówił doktor, uspokajając poetę — wady serca jeszcze nie masz i może mieć nie będziesz... Ten stan może się poprawić, tylko nie pal, a przynajmniej pal jak najmniej, nic zgoła nie pij i żyj spokojnie, nadmiernie nie pracuj... Mam nadzieję, że to się poprawi.

Słowa te wywarły na poetę dziwne, przygnębiające wrażenie; zdawało mu się, że chwile jego szczęścia skończyły się raz na zawsze... Sciskając dłoń lekarza na pożegnanie, zapytał zdławionym głosem:

— Powiedz mi pan otwarcie, jak długo ja jeszcze żyć mogę?

Teraz znowu eskulap roześmiał się wesoło.

— Prawdziwe nieszczęście z poetami... Wyobraźnia ich zabija! Potem dodał z mocą: — Życ możesz i lat pięćdziesiąt, ale sił nie trzeba nadużywać i szanować się należy.

* * *

Wrażenie rozmowy z lekarzem przeszło prędko... Roman był zajęty stanem żony i pisaniem dramatu fantastycznego, który miał mu zapewnić naczelne stanowisko między współczesnymi poetami... Pracował często do pierwszej w nocy, a podniecając się do pracy, nie pomny na przestrogi starego przyjaciela, wypalał jeden papieros po drugim i pił nadzwyczaj mocną herbatę. Obliczył sobie, że dramat musi być przedstawiony przed urodzeniem jego dziecka i powinien dostarczyć mu środków do otoczenia ukochanej żony takim dostatkiem, żeby jej na niczem zgoła nie zbywało. Wiedział, że słabość żony, pobyt matki, chrzciny, muszą zwiększyć ogromnie wydatki i chciał w ten sposób zapobiedz kłopotom finansowym... Pomocy od rodziców żony nie chciał pod żadnym warunkiem żądać, bo był dumny i wiedział zresztą, że ojciec jest w ciężkich tarapatach.

* * *

Dramatem swoim cieszył się ogromnie; instynktem twórczym czuł, że sztuka ta porwie publiczność, wprowadzi ją w entuzjazm; że zawładnie duszami tysięcy ludzi. Opracowywał, wygładzał, »piłował« swój utwór,

żeby mu nikt nic zarzucić nie mógł. Zakończył robotę w sam czas, bo w domu zaczynało już być gwarno i ciasno; zjechała matka i sprowadziła się *madame*, on sypiał w przedpokoiku, obok kuchenki, i spodziewał się, że najdalej do dwóch tygodni urodzi mu się syn... Syna się spodziewał na pewno.

Dramat odniósł do dyrektora teatru, ten przyjął go bardzo uprzejmie, kazał rękopis zostawić, nagadał mu masę komplementów, wynosił pod niebiosa jego talent, kładł jednak przedewszystkiem wagę na liryzm jego utworu; dawał do zrozumienia, że zbytek liryzmu w dramacie szkodzi.

— Jestem jednak pewny — mówił — że pański talent potrafił się wznieść do dramatycznego napięcia... Sztuka musi mieć *Stimmung*... Jestem pewny, że muszą być w niej nadzwyczajne nastroje, że odpowiada dzisiejszym wymaganiom.

Skromny Roman, rumieniąc się, odpowiadał, że zdaje mu się, że tak jest w istocie.

W kwestyi honorarium nic nie mówiono, oprócz zapewnienia dyrektora, że będzie wypłacone wedle przyjętego zwyczaju, tak, jak każdemu z autorów...

Żegnał dyrektor poetę z rozczuleniem, ścisnął jego rękę, mówiąc:

— Natychmiast wezmę się do czytania, a później zaraz do prób... To dobrze, że szanowny pan w miejscu mieszka, wielkie ułatwienie z próbami.

Roman wyszedł uszczęśliwiony; był pewny powodzenia tej sztuki, głos wewnętrzny mówił mu wyraźnie że zdobędzie niebywałe powodzenie.

Dyrektor, po wyjściu poety, przeciągnął się leniwie i szepnął:

— Uf... Skaranie Boże z tymi poetami, każdy myśli, że jest Szekspirem!

Za chwilę wrzucił rękopis do szuflady, w której spoczywało rękopisów ze sto i w pięć minut później zapomniał, że kiedykolwiek rozmawiał z Romanem.

Gdy chwila radości z ulokowania rękopisu minęła, Roman przypomniał sobie, że koniecznie potrzebuje około dwustu guldenów na bieżące wydatki, poszedł więc do księgarza i poprosił go o wypłacenie mu stu pięćdziesięciu reńskich honorarium za tomik poezyj...

Wydawca przyjmował go jak arcybiskupa, sypał pochwałami, w końcu jednak rzekł:

— Najmocniej przepraszam łaskawego pana, że dziś nie mogę mu tej przysługi zrobić... My mamy w interesach stałe zasady, reguły, od których nie odstępujemy... Tomik pański zaledwie od dwu miesięcy ukazał się w handlu... Idzie, idzie, ale to nie powieść... zysków niema dotychczas... W każdym razie należne honorarium w terminie oznaczonym zapłacę.

Skłonił się, dając do zrozumienia, że posłuchanie skończone.

Romanowi krew uderzyła do głowy, wrodzone poczucie godności nie pozwalało mu uciec się do prośby, wiedział, że księgarz postępował zupełnie z umową zgodnie... Wszedł, ukłoniwszy się niezgrabnie.

* * *

W redakcyi był smutny i roztargniony. Zauważył to kolega »od kroniki«, młody, wesoły chłopak, słynący z tego, że nigdy nie miał pieniędzy i zawsze robił różne finansowe interesa z lichwiarzami, zaczął mu się bacznie przypatrywać i wreszcie, gdy znaleźli się sam na sam zapytał go serdecznie:

— Co tobie jest, Romanie?

Poeta odpowiedział opryskliwie:

— Ty mi nie pomożesz.

— A może właśnie pomogę?

— Ciekawy jestem, w jaki sposób? — odparł poeta chmurnie — pieniędzy nie masz, a ja gwałtownie potrzebuję dwustu reńskich... Spodziewam się słabości żony.

Kronikarz zaczął się śmiać wesoło:

— Oho! oho! Jakiż ty nedorajda... Gdybym był Romanem Garkowskim, to miałbym na każde zawołanie nie dwieście, ale dwa tysiące guldenów.

— W jaki sposób?

— Nie pytaj... Za chwilę wyjdziemy, to ja ci nastręcę takiego finansistę, że z pocałowaniem ręki da ci dwieście reńskich, na twój własny akcept.

Poszli za pół godziny.

Kronikarz wprowadził Romana do jakiejś strasznej kamienicy, gdzie na trzecim piętrze od brudnego podwórza gnieździł się znany lichwiarz, pan Icko Szpiner. Oprócz samego »bankiera« było w izbie dwóch innych żydków, nie najlepszej powierzchowności... Cały ten widok wstrętem przejmował Romana, otoczenie to raziło w najwyższym stopniu jego zmysł estetyczny; rozpoczął jednak rozmowę, bo potrzebował pieniędzy koniecznie.

Kolega redakcyjny w krótkich słowach przedstawił interes.

Żyd poprosił obu panów siadać i zamyśliwszy się głęboko, rzekł:

— Ja to rozumię, że panu potrzeba... Młody człowiek... Ja wiem... młoda żona... Ja wiem.

— Do rzeczy, panie — zawołał niecierpliwie Roman. — Dostanę! Czy nie?

— Niech pan będzie nie tak prędko — przerwał uśmiechając się żyd. — Ja lubię z klientem pogadać.

— Tu krótkie gadanie — bąknął Roman.

— Dlaczego ma być krótkie... Interes zawsze musi być długi — tu potarł się po łysej czaszce i patrząc z podełba, zapytał: A kto drugi podpisze? Mnie trzeba drugi podpis, bo ja sam żyruję i daję do banku.

— Drugiego podpisu nie będzie — odrzekł Roman.

— To źle — cedził przez poszczerbione zęby żyd. — A pan zna hrabiego Jula Warskiego... to pański przyjaciel. Ja pana widział kilka razy z nim spacerować.

— Co to ma do rzeczy? — zawołał z gniewem Roman i wstał zmierzając do drzwi...

— Niech pan poczeka, na co się tak irytować — uspokajał żyd — ten młody pan może już iść — tu wskazał na kronikarza — on nam niepotrzebny, jego interesa tylko do pięćdziesięciu guldenów się robią... A my pogadamy.

Młody chłopak wysunął się, a Roman zły, zdenerwowany, ale przykuty potrzebą, pozostał.

— Niech się pan nie gniewa — rzekł powoli żyd — to mała suma, to może być i na jeden podpis, ja wiem doskonale, kto pan jest, ale pytałem się o hrabiego Jula, bo może pan będzie potrzebował więcej, to jużbym na jeden podpis nie mógł dać, ja leżących pieniędzy nie mam, a ja wiem, że hrabia Julo lubi podpisywać dla swoich przyjaciół.

— Kończmy, panie! — zawołał Roman.

— Zaraz będzie koniec... Lejba, daj papier — zwrócił się do jednego z żydków — pan pewno niema swego.

Żydek skwapliwie zaczął szukać pomiędzy papierami w szufladzie i wnet podał nowy, czysty papier wekslowy. Roman nigdy weksłów nie podpisywał i nie miał pojęcia o wystawianiu tychże. Pan Icek ułatwił mu wszystko, kazał u góry wypisać cyfrę 200, a u dołu Roman Garkowski. Ceremonia była skończona. Poeta nie zauważył nawet, że papier, na którym się podpisał, mógł służyć na weksel, opiewający: »do trzech tysięcy guldenów«; nie miał wyobrażenia o tych sprawach.

Nastąpił rachunek: pan bankier strącił z kwoty pożyczonej piętnaście guldenów za procent trzymiesięczny, a za papier nie porachował ani grosza.

Roman uszczęśliwiony, ze stu ośmdziesięciu pięciu guldenami wrócił do domu... Był pewny, że do trzech miesięcy odbierze pieniądze od nakładcy i honorarium z teatru.

* * *

Słabość żony pochłonęła całą jego uwagę.

Wszystko poszło szczęśliwie. Urodził się oczekiwany syn. Chrzciny odbyły się uroczystie, matka była zdrowa, teściowa po trzech tygodniach wróciła do domu, Anula sama syna karmiła, wszystko wróciło do dawnego stanu. Na kilka dni przed terminem, Roman poszedł do księgarza i ku wielkiej swej radości odebrał całe sto pięćdziesiąt guldenów. — Pięćdziesiąt reńskich miał zaoszczędzonych z zaliczki, którą wziął w redakcyi. Szczęśliwy więc i wesoły poszedł do pana Icka, na dwa dni przed terminem i kładąc mu pieniądze na stole, zażądał zwrotu owego weksłu.

Żyd przyjął go zimno i prawie niegrzecznie. Patrząc mu impertynencko w oczy rzekł:

— Czy pan myśli, że ja weksle chowam w domu, jak przykazania... Pański weksel jest gdzieś w banku. Oni panu dadzą znać, pan go tam zapłaci.

— A w którym banku? — zapytał poeta. — Chcę wiedzieć pójdę go wykupić.

Żyd zaczął się śmiać ironicznie:

— Czy ja mogę wiedzieć, w którym banku? Weksel idzie jak pieniądz, dziś tu, jutro tam, ale niech się pan nie boi, oni mają pański adres, to się zgłoszą.

Mówił prawdę, ale nie całą!

W dzień terminu woźny z jakiegoś banku żydowskiego zgłosił się do Romana o dziewiątej rano. Poeta czekał nań z przygotowanymi dwustu guldenami.

Woźny spojrzawszy na pieniądze uśmiechnął się ironicznie i rzekł:

— Pan dobrodziej żartuje, tu nie chodzi o częściową spłatę, ale o całkowitą; weksel opiewa na dwa tysiące guldenów, jeżeli pan nie płaci to zwrócimy się do żyranta.

Roman, słysząc to, skamieniał, uczuł, że go coś mocno zabolalo w piersiach, ale przemógł się i rzekł:

— To jakaś pomyłka panie, takiego wekslu nie wystawiałem.

Woźny śmiejąc się ciągle, mówił:

— To się pokaże, to się pokaże... Czy pan dobrodziej płaci?

— Proszę mi pokazać weksel.

Woźny nie wypuszczając papieru z rąk, pokazał mu weksel... był formalnie wystawiony na dwa tysiące złotych, a na drugiej stronie widział wyraźny podpis: Juliusz hr. Warski...

Roman zbladł strasznie, wszystka krew zbiegła mu do serca, przypatrywał się podpisowi Warskiego, litery na tym podpisie były zupełnie podobne do jego własnego pisma; w oczach mu pociemniało, omal, że nie stracił przytomności. Opanował się jednak wnet; myśl, że afera ta przestraszy jego żonę, pomogła mu do odzyskania zupełnej przytomności... Rzekł więc przyciszonym głosem do woźnego:

— Panie, to fałszerstwo i oszustwo, nigdy takiego wekslu nie wystawiałem... Proszę z tem przyjść za godzinę do kancelaryi doktora Friedsteina, to sprawa się wyjaśni.

Woźny uśmiechnął się dwuznacznie i odparł:

— Mogę to zrobić, mamy czas do wieczora... Za godzinę będę u pana mecenasa.

Wyszedł, a Romanowi zdawało się, że otchłań przed nim się otworzyła.

* * *

Nie mówiąc słowa żonie, ubrał się coperędzej i pobiegł do adwokata, żeby go jeszcze w domu zastać.

Dr Friedstein był żydem, a równocześnie najlepszym przyjacielem i kolegą Romana... Dlatego właśnie, że był żydem, cenił go Roman tembardziej; pamiętał on jeszcze z czasów szkolnych, jak marzyli razem z Dawidem Friedsteinem o zupełnem zlaniu się mas żydowskich z polskiem społeczeństwem... Szlachetna natura Dawida, nie pozwoliła mu zmienić ani na jotę swych szczytnych zamiarów, życie całe poświęcił idei swej młodości... W obecnych czasach, z powodu większego zajęcia, Roman rzadziej widywał się z nim, jednakowoż przyjaźń ich nie osłabła.

Wpadłszy zdenerwowany nadzwyczaj i drżący do adwokackiej kancelaryi, zastał Dawida ubierającego się w zarzutkę; miał już wychodzić do sądu. Zawołał więc rozzwierającym głosem:

— Szczęście, że cię zastaję! Wysłuchaj mnie chwilę... Tu chodzi o życie!

Friedstein, znając spokojną naturę i sposób życia swego przyjaciela, odrazu zrozumiał, że zaszło coś nadzwyczajnego, skinął więc na koncypienta i oddając mu trzymane w ręku papiery rzekł:

— Niech pan dziś idzie sam do sądu i te sprawy załatwi, najlepiej uzyskać odroczenie... Ja tu muszę zostać z panem Garkowskim...

Później zwracając się do Romana rzekł:

— Chodźmy do mego gabinetu, tam opowiesz mi co zaszło.

W przepysznie urządzonej gabinecie znaleźli się sami; adwokat zamknął dzwi, usiadł na wygodnym fotelu i znowu przemówił:

— Usiądź, uspokój się i opowiedz, co ci się stało?

Roman biegał po puszystym dywanie i ubiegło dobrych pięć minut zanim zdołał przemówić... Twarz mu

zsiniała, na skroniach nabiegły mu grube żyły, oddychał z trudnością.

— Napij się wody — rzekł Dawid i podał mu szklanekę wody i patrzył nań ze współczuciem i ciekawością.

Za chwilę uspokoił się poeta i o ile zdołał, najwięcej opowiedział całe przejsie.

— Kto widział jak podpisywałeś i brałeś pieniądze? — spytał adwokat.

— Icek Szpiner i jego dwaj żydzi.

— Czemuś do djabła nie zatrzymał już tego przekłętęgo smarkacza, tego kronikarza?

— Czyż mogłem przypuszczać coś podobnego?

Tu zakaszłał się mocno, krew uderzyła mu znowu do głowy, z chciwością przyłożył szklanekę do ust i wysączył resztę wody... I zaczął mówić z płaczem prawie:

— I to mnie właśnie musiało spotkać... Mnie, który zawsze żydów broniłem... Pamiętasz te nasze rozmowy z czasów uniwersyteckich. Dawidzie pamiętasz?

Adwokat spojrział nań z widocznym bolem i zmuszając się do spokoju, rzekł:

— Sny młodości zawsze życie inaczej przedstawiają, niż ono w rzeczywistości ma wyglądać... Ułuda musi odpaść... Wróćmy do interesu... Czy mówiłeś komu o pożyczce u Szpinera?

— Nikomu!...

— Czy przynajmniej powiedziałaś temu waszemu kronikarzowi, wiele u Szpinera pożyczyłeś?

— Nie mówiliśmy nigdy o tem... Wierz mi, nie miły był dla mnie ten temat.

W tej chwili dało się słyszeć dyskretne pukanie do drzwi gabinetu. Dawid poskoczył i drzwi otworzył. W drzwiach stał pisarz, który pół głosem szepnął do adwokata, że woźny bankowy z interesem do pana Garkowskiego przyszedł.

— Wprowadź go tu — zawołał adwokat.

Woźny wtoczył się, kłaniając się uniżenie.

— Z jakiego banku? — spytał Dawid ostro.

— Towarzystwo dla oszczędności i kredytu, proszę łaski wielmożnego pana mecenasa.

— To ładna instytucja! — szepnął przez zęby adwokat.

— Proszę przedstawić weksel..

Woźny z dobrą miną podał weksel.

Adwokat wziął skwapliwie podany papier do ręki, przypatrywał mu się z wielką uwagą, podszedł z nim do okna, skinieniem przyzwał Romana do siebie i szepnął mu do ucha:

— Arcydzieło fałszerstwa, gdybyś ty mi nie powiedział, żeś Jula nie podpisywał, tobym mógł przysięgać, że to twoje pismo... No i zero dodane doskonale.

Później zwrócił się do woźnego i rzekł groźnie:

— Weksel jest potrójnie fałszowany, pan Garkowski płacić nic nie będzie... A proszę powiedzieć panu dyrektorowi, żeby w swym własnym interesie zgłosił się tu do mnie do kancelaryi, między piątą a szóstą popołudniu. Do widzenia!

Woźny wyszedł jak zmyty.

— Cóż będzie? — zapytał ze strachem Roman, gdy zostali sami.

— A nic! — odrzekł swobodnie adwokat. — Spróbuję popołudniu pogadać na rozum z tym panem dyrektorem... Oh! to bestye kute na cztery nogi... Oszusty najpierwszej wody. Jeżeli nie da się nakłonić do zgody to wytoczmy im proces o oszustwo i oddamy sprawę prokuratury państwa.

— A coź będzie jeżeli on pójdzie z tym wekslem do Warskiego?

— To mu Warski powie, że weksel fałszowany; ja zaraz Warskiego uprzedzę o wypadku.

— No, a co będzie ze mną, jeżeli on zaskarży o sfałszowanie podpisu? — pytał dalej Roman zmienionym głosem.

— Dostaniesz wezwanie do sędziego śledczego, temu panu wyjaśnisz całą sprawę i jestem pewny, że cię uwolni od dalszych dochodzeń... W najgorszym razie sprawa pójdzie przed przysięgłych i ja będę miał sposobność do wypowiedzenia świetnej mowy.

Nie skończył jeszcze tych słów, gdy nagle stało się coś z Romanem niespodziewanego; schwycił kilka razy powietrze ustami, zachwiał się i runął na ziemię.

Adwokat przestraszył się okropnie, posłał po najbliższego lekarza; sprowadził do kwadransa czterech lekarzy i tym udało się wreszcie Romana do przytomności przyprowadzić.

— Co to było? — spytał adwokat odchodzących lekarzy.

— Atak sercowy — odrzekli ponuro — ten człowiek musi się bardzo wystrzegać wszelkich wzruszeń... Na razie przejdzie, ale spokój potrzebny koniecznie.

Na klasycznie pięknej twarzy mecenasa ukazał się uśmiech, w którym zmieszana była litość z sarkazmem; odchodzącym lekarzom rzucił na pożegnanie słowa:

— Znakomici jesteście z tem nakazywaniem unikania wzruszeń.

Wrócił do chorego, który leżał w gabinecie na szezłagu, dysząc jeszcze ciężko.

— Przepraszam cię mój Dawidzie — szepnął Roman — za tę komedię, którą ci urządziłem... Sam nie wiem, co mi się stało?

— Atak nerwowy! — odrzekł adwokat. — Szczęśliwie minęło.

— Takie na mnie wrażenie zrobiło twoje wspomnienie sądu przysięgłych... Prawda, że ty żartowałeś... Do tego przyjść nie może.

— Postaramy się o to... Teraz pilnuj się, żebyś znowu w to rozdrażnienie na nowo nie popadł... Prawdziwa bieda z poetami..

W pół godziny później dr Friedstein odwiedził Romana do domu.

Roman po tym ataku przez dłuższy czas nie mógł przyjść do siebie.

Stary lekarz, przyjaciel domu, przyszedłszy, pokłamał smutnie głową. Ale wobec chorego udawał wesołego i na pożegnanie rzekł:

— Mówiłem ci unikaj wzruszeń... Potrzeba ci było tego ataku nerwowego, jak dziury w moście. Teraz musisz mieć spokój na dłuższy czas.

Dowiedziawszy się o całej aferze, odwiedził Romana i hrabia Juliusz Warski. Był to kolega Romana z gimnazjum, człowiek wesoły, dobry i lubiący stosunki z literatami i malarzami, wskutek tego utrzymywał ciągle znajomość z Garkowskim. Miał dobre serce, ale podlegał chwilowym wpływom i wiele liczyć na niego nie było można.

Wszedłszy uściskał na wstępie poetę, nagadał mu masę serdeczności i wreszcie rzekł:

— Jakie ty głupstwa wyrabiasz Romanie, warto było rozchorować się przez taką bagatelę.

— Bardzo ciężkie przejście miałem — odparł Roman ponuro.

— Wielka historia dwa tysiące białów... Byłbym zapłacił i koniec, ale Dawidek mi powiedział, bym nie płacił, bo to oszustwo i fałszerstwo... Gałgana do kryminału zamkniemy.

Hrabia Juliusz mówił wiele i starał się być wesołym i swobodnym. Roman ongiś lubił go bardzo, bo cenił w nim dodatni typ wyższej szlachty, dziś był w takim usposobieniu, że wesoła paplanina Juliusza nużyła go, nic mu też prawie nie odpowiadała.

Na wychodnem hrabia spytał go dyskretnie, czy nie mógłby mu służyć jaką pomocą, było to powiedziane tak delikatnie, że właściwie niktby się nie mógł za to obrazić; Roman jednak oburzył się i cierpko mu odpowiedział, że całe życie dawał sobie sam radę, to i dziś sam sobie wystarczy. Zresztą pieniędzy nie potrzebował, bo redakcyja, pomimo, że od kilku tygodni nie pracował, przysyła mu regularnie pieniądze.

Pożegnali się dość zimno.

Choroba Romana była ciężkim ciosem dla Anuli; kochała go nad życie i wyrzucała sobie ciągle, że była bezpośrednio przyczyną jego choroby, bo dla niej zapracowywał się, dla niej musiał uciec się do interesu z żydem, który tak fatalny obrót przybrał.

Raz zebrawszy się na energię powiedziała mu to wszystko i gorzko zaczęła płakać. On ją przyciągnął do siebie, przycisnął swe zimne usta do jej białego czoła i szepnął: Najdroższa, byłeś jedynym promykiem szczęścia w mem szarem życiu... Jeżelibym miał odejść z tej ziemi, to tylko ciebie jednej żal mi będzie porzucić.

Ona dławiła łzy w sobie i przyciskała swą głowę do wychudłych piersi męża.

Choroba widoczne robiła postępy, Roman chudł z każdym dniem, a twarz jego pokrywała się sinemi plamami; stary doktor coraz smutniej głową kręcił; mecenas Dawid mimo swej ogromnej klienteli znalazł co dnia prawie chwilkę wolną, dla odwiedzenia przyjaciela.

Pewnego wieczoru przyszedł smutny i zgryziony. Roman był jakby dla przeciwieństwa weselszy i swobodniejszy.

Okno w pokoju było otwarte, a świeże powietrze wiosennego poranku wpływało szeroką falą do zatechłego pokoju.

— Dlaczego masz tak strapioną minę, Dawidzie? — spytał Roman.

— Głupie te nasze sądy — zawołał porywczo. — Twoją sprawę przydzielili jakiemuś smarkaczowi, sędziemu śledczemu... Musi być jakiś socyalista, bo uparł się, żeby cię przesłuchać.

— Mnie przesłuchać!... Mnie do sądu...

Nie skończył słowa i blada jego głowa opadła na piersi w szezlongu.

Dawid skamieniał, przystąpił do niego, ujął rękę, była sztywna i martwa.

Co się później stało, dr Dawid nigdy sobie nie mógł dokładnie przypomnieć... Widział mdlejącą Anulę, staro doktora, wrywającego sobie włosy z siwej brody.

Roman Garkowski, pełen nadziei poeta, umarł na aneurizm serca, dowiedziawszy się, że będzie przesłuchiwany przez sędziego śledczego.

* * *

Wszystkie pisma nazajutrz wyszły w żałobnych obwódkach. Związek dziennikarski wspólnie z Kołem literackim wyprawiły Romanowi wspaniały pogrzeb. Hrabia Juliusz naradzał się z najgłośniejszym artystą-rzeźbiarzem, jaki pomnik wznieść na grobie »przedwcześnie zmarłego« przyjaciela - poety. Dyrektor teatru zelektryzowany wieścią o nagłej śmierci autora, wziął się do czytania dramatu, który mu Roman przed pół rokiem pozostawił do grania, przekonał się, że dramat był arcydziełem i zabrał się z zapałem do przedstawienia... Grano go z niesłychanym zapałem, oklaskom autorowi nie było końca.

Autor nie mógł się ukazać na scenie, bo nie wraca się z tamtego świata!

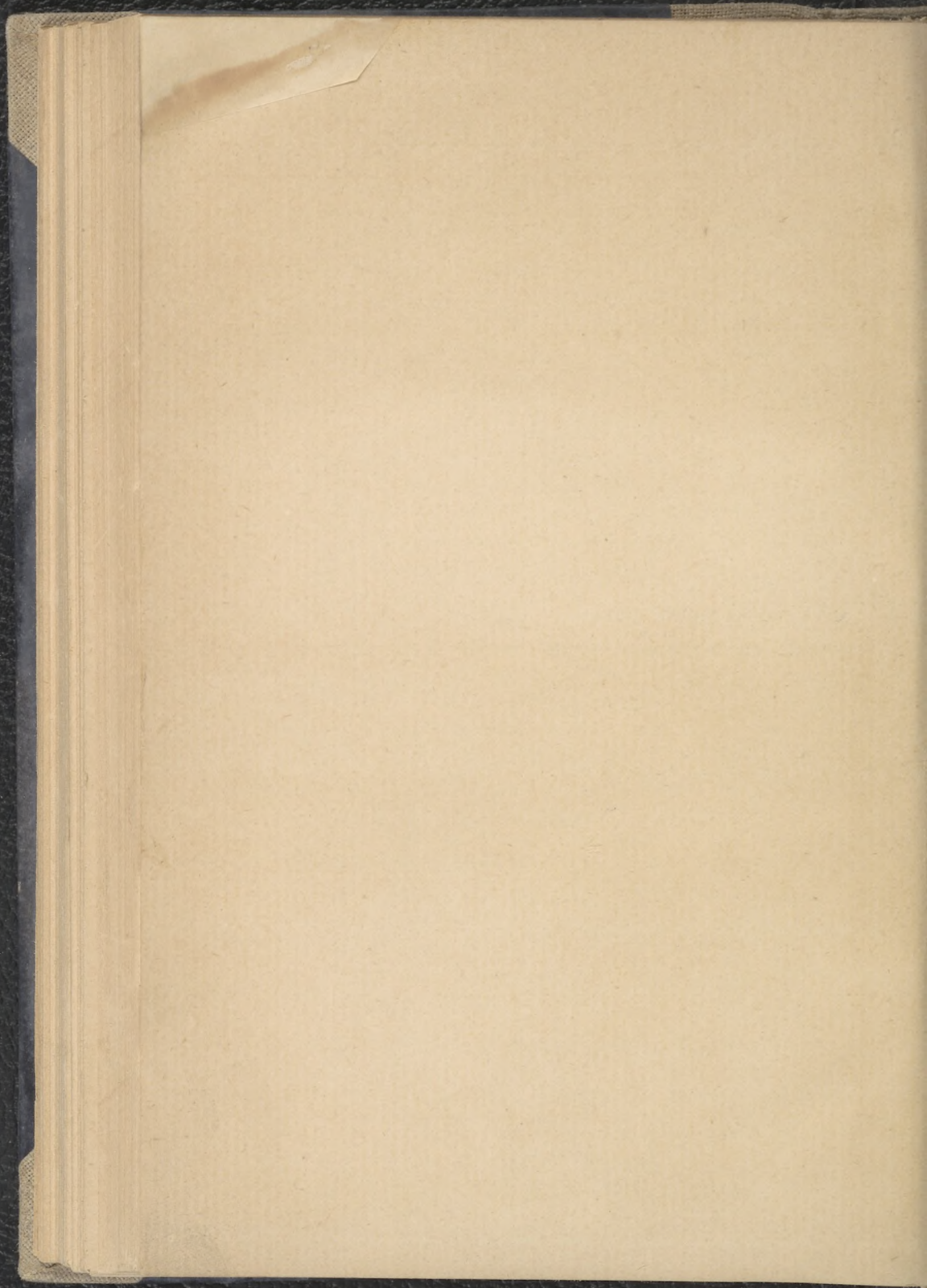
W grudniu 1902 roku, w Dubienku.

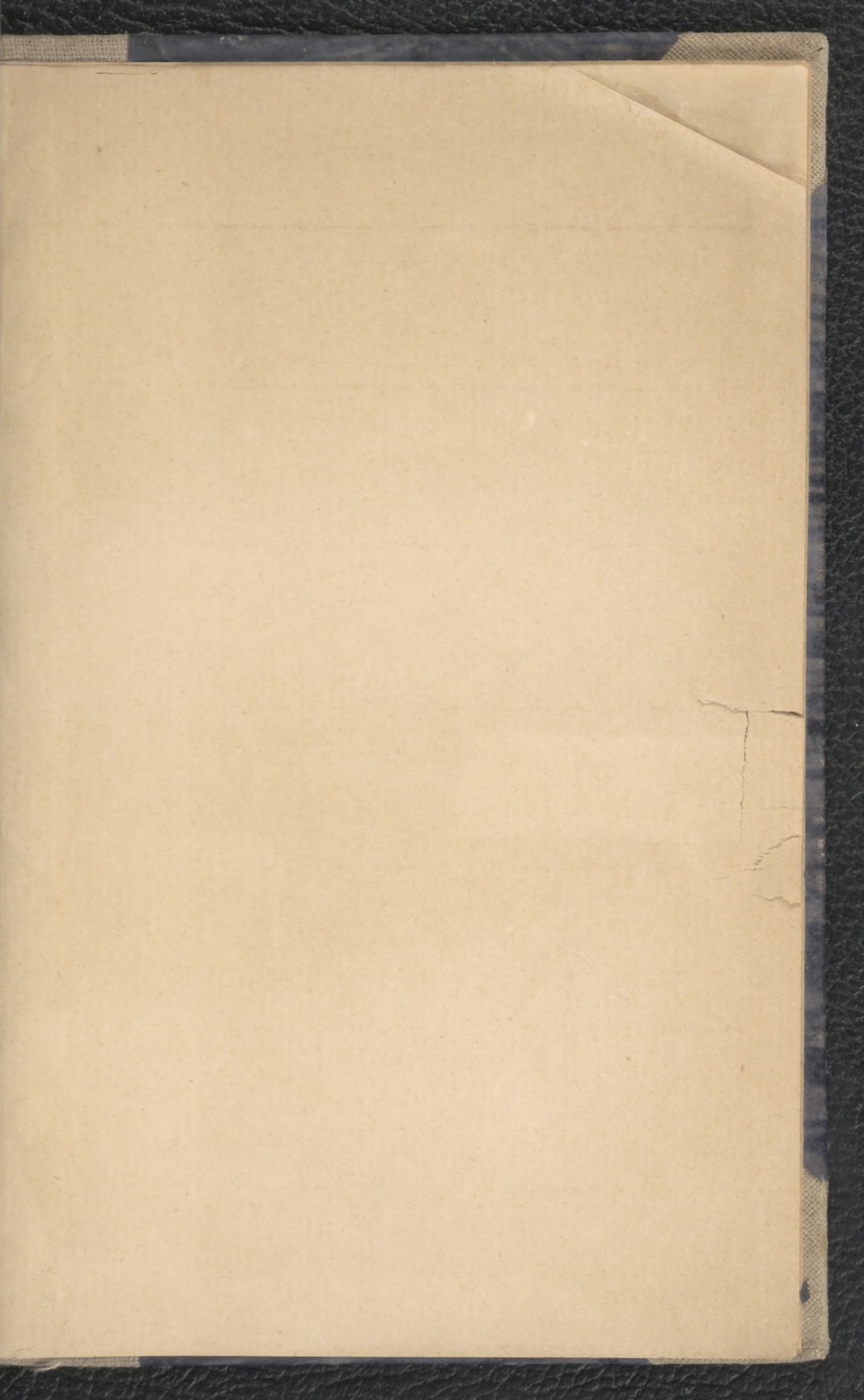


T R E Ś Ć.

	Strona
Kolega (szkic) ,	I
Pierwszy bunt (szkic).	49
Dzikie gołębie (wspomnienie z młodości) . . .	167
Król polski (opowiadanie)	261
Zginął marnie! (opowiadanie)	279
Weksel (szkic)	309

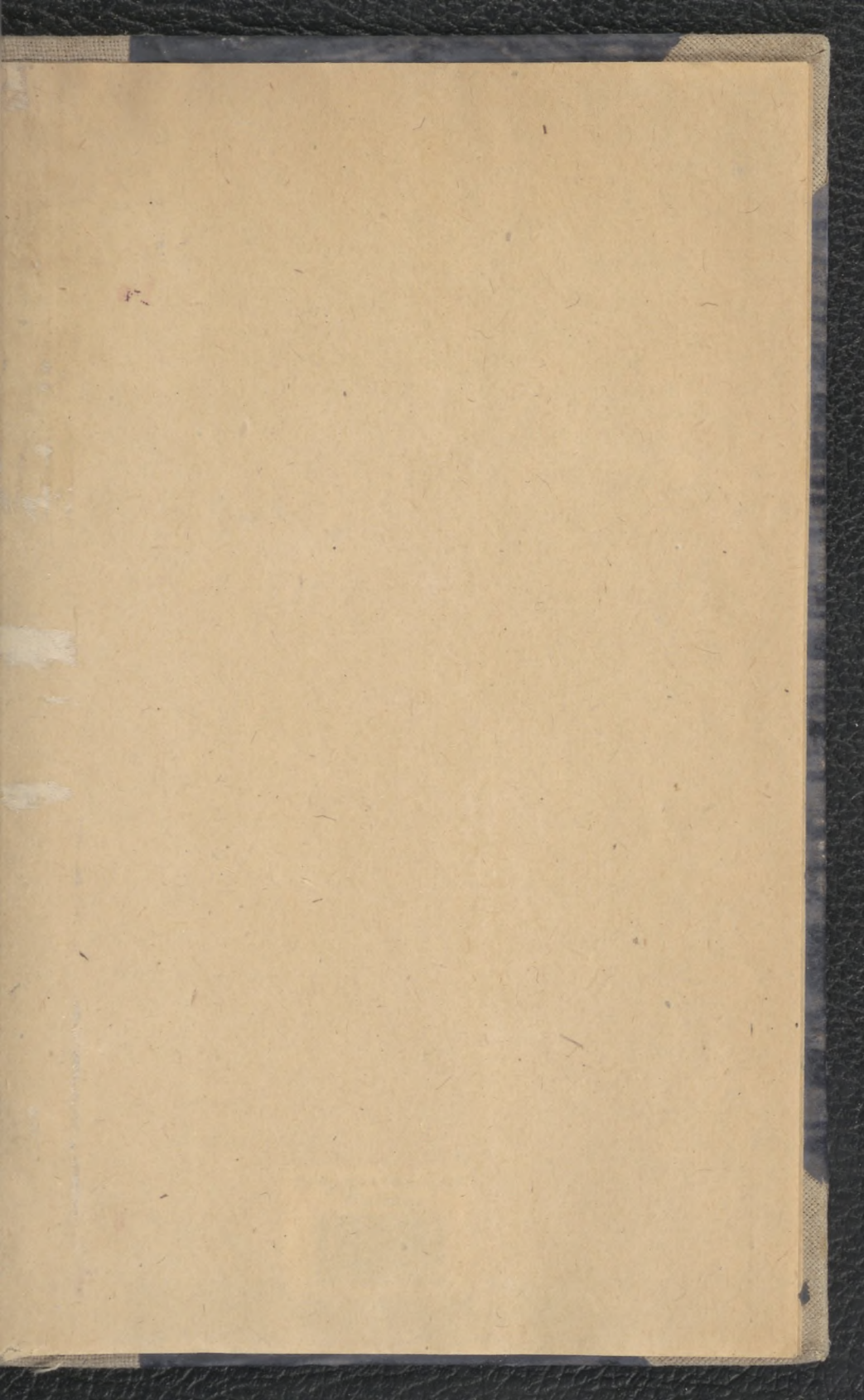






14

1



Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001023105919



BN

BIBLIOTEKA
NARODOWA

2016423
